

Na jednej śmierci się nie kończy...

AGNIESZKA JEŹ

W

CIEŃMIU

GÓRY



LU
NA

AGNIESZKA JEŻ
W
CIENIU
GÓRY

LU
NA

Spis treści

Karta redakcyjna

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Epilog

Od autorki

Przypisy

Copyright © by Agnieszka Jeż 2022

Copyright © by Wydawnictwo Luna, imprint Wydawnictwa Marginesy 2022

Wydawca: NATALIA GOWIN

Redakcja: LENA MARCINIAK-CAKAŁA / Słowne Babki

Korekta: JOLANTA KUCHARSKA, BEATA TURSKA

Projekt okładki i stron tytułowych: MARIUSZ BANACHOWICZ

Zdjęcie na okładce © lasedesignen/Shutterstock

Skład i łamanie: Perpetuum / MARZENA MADEJ

Warszawa 2022

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-67262-38-5

Wydawnictwo Luna

Imprint Wydawnictwa Marginesy Sp. z o.o.

ul. Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

www.wydawnictwoluna.pl

facebook.com/wydawnictwoluna

instagram.com/wydawnictwoluna

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)

Prolog

Pierwsze nacięcie było za płytkie, w efekcie powstało coś jakby zadrapanie.

Zupełnie nie o to chodziło, znak miał być ewidentny.

Za drugim razem ostrze skalpela weszło więc w ciało głębiej. Napięta skóra pękła, jej brzegi się rozeszły. Równy, całkiem elegancko.

Srebrny koniec ostrza znowu przejechał po ciele, tym razem w dół, po skosie. Końcówka wykonana ze zbyt mocnym naciskiem, ale czego oczekiwać po debiucie?

Trzecia linia wyszła najlepiej – zgrabnie łączyła się z poprzednią, nacięcie miało odpowiednią głębokość.

Na gładkim udzie dziewczyny pojawiła się litera Z.

Krew powoli spływała po jasnej skórze i zakrywała ją.

Papierowa chusteczka, chwilę przytrzymana, załatwiła sprawę. Z się ujawniło.

Dobrze, bo powinno być widoczne.

Teraz i następnym razem.

Rozdział 1

Nic nie pachnie tak pięknie, jak łopiany porastające brzegi górskiego strumienia.

Znała wiele obezwładniających zapachów. Dwie półki w jej krakowskiej łazience były zajęte przez ozdobne flakony, z których każdy kosztował mniej więcej jedną piątą pensji przedszkolanki. Rok temu nie przeliczałaby swoich kosmetycznych zasobów na zarobki nauczycielki nauczania początkowego czy jak to się tam nazywało. No ale wtedy nie znała jeszcze Marcina.

I Marty, jego żony.

Otrząsnęła się i przesunęła stopy z powrotem na suchy kamień. Było już bardzo ciepło, na pewno powyżej dwudziestu stopni, mimo że ledwo co minęła szósta rano. Od kilku dni w kraju panowały upały, a najczerveniejszym punktem na pogodowej mapie były okolice Magurskiego Parku Narodowego, gdzie właśnie spędzała weekend. Woda jednak była chłodna.

Spojrzała na strumień. Wartki, przezroczysty, nieokiełznany. I niepoddający się panującej dokoła duchocie. Zanurzyła dłoń w bystrej wodzie i przeniosła ją nad kolano. Siedziała na osłonecznionym otoczaku. Plecy opierała o pień zwalonego drzewa, skrzyżowane nogi wyciągnęła przed siebie. Jedna kropla kapnęła na jej gładką karmelową skórę. Lekko się wzdrygnęła; przypomniał się jej wczorajszy wieczór. W roli wody wystąpiło wtedy białe półsłodkie wino, jej rękę zastępowały palce Marcina. Przejechała dłonią po udzie – gładkim, z elastyczną, ciepłą i miękką skórą. Nic dziwnego, że szybko przerwucił się z głaskania na lizanie. Poczula gęsią skórę na dekolcie i miły skurcz w podbrzuszu. Jej dłoń podjechała wyżej, natykając się na koronkę, którą była wykończona jej koszula nocna.

Właściwie to koszulka – do tej ilości materiału zdecydowanie bardziej pasowało zdrobnienie. Wcześniej nie przepadała za satyną, ale Marcina kręciły takie fatalaszki. „Marta nigdy...”, zaczął i nie skończył. Zresztą ta fraza pojawiała się nie tylko wtedy, kiedy się ubierała. Także wówczas, gdy się rozbierała. Kochała z nim od tyłu. Pieściła go ustami. Jadła śniadanie w łóżku, nie przejmując się okruchami. Zarywała noc i spóźniała się do pracy, bo urządzała sobie maraton z filmami Bergmana. Mówiła „no i chuj”, zamiast „a jednak się nie udało”. Wpłacała kilka stów na jakieś schronisko dla zwierząt, a potem, do kolejnego przelewu, jadła wafle ryżowe. Nosiła na tej samej dłoni pierścionek z brylantem po babce i jakąś taniochę ze sklepu indyjskiego. Tak, ona to wszystko robiła, a „Marta by nigdy...”.

Karolina była „codziennym zdumieniem” Marcina. Zresztą przy takiej żonie...

Znowu się otrząsnęła; mimowolnie zanurzyła stopę w potoku. Zimno, za zimno. Cofnęła nogę. Nachyliła się i objęła kolana ramionami. Koszulka podjechała jej teraz do połowy uda. Zupełnie się tym nie przejęła, bo tu przecież było kompletne odludzie. Aż się zdziwiła za pierwszym razem, że w dwudziestym pierwszym wieku są jeszcze takie miejsca. No ale to Beskid Niski – ziemia piękna i tragiczna. Tereny wypędzonych i skrzywdzonych. Raj utracony i niechciane piekło. Dobrze to znała w teorii, a od jakiegoś czasu zajmowała się przecież tym zawodowo. Tak zresztą poznała Marcina.

Uśmiechnęła się do siebie. To był naprawdę fajny facet. Taki... pełen sprzeczności. Z jednej strony wykształcony, bystry, z jakąś iskrą i ikrą, z drugiej – wylądował w Gorlicach jako lokalny dziennikarz. Pełen erotycznej inwencji – znowu ta kula ciepła w podbrzuszu – i jednocześnie mąż przedszkolanki, która spowiadała się z tabletek hormonalnych. Ostatnio chyba ich nie brała, bo podobno oni od dłuższego czasu nie...

– Au! – Coś ją zniecka dziabnęło w ramię. Przejechała dłonią po skórze, ale owadzi napastnik już zniknął, zostawiając po sobie czerwoną zgrubiałą plamkę.

Na moment straciła równowagę – jej stopy zsunęły się ze śliskiego kamienia do wody. Zimna, ale teraz jakby mniej. A może to jej zrobiło się trochę cieplej? Od tych erotycznych obrazków czy może od... zazdrości? Pokręciła głową – nie, nie była zazdrosna. Tak deklarowała i tak myślała. Marcin nie do końca jej chyba wierzył. „Marta by...” Może. Może „Marta by...” – cokolwiek dalej by się wpisało. Ale Karolina nie była jak Marta, była jej przeciwieństwem. To dlatego Marcin tracił dla niej głowę, nagiął swoje morale, lawirował, kłamał, miał wyrzuty sumienia, próbował jakoś rozsupłać tę ich trójkątną sytuację, ale czas tylko zaciskał małżeńsko-romansowy węzeł. Karolina wiedziała, że takie sytuacje są nierozwiązywalne. No bo jak? Odejdzie od żony i od dwójki małych dzieci? Przecież je kocha, zdjęcia córek ma w portfelu. Marty zresztą też chyba miał – kiedy płacił, gdy pierwszy raz się spotkali i zabrał ją na kawę do tej gorlickiej kawiarni w podcieniach, zauważyła trzy małe fotografie. Potem już tylko dwie, jakby się wstydził – pytanie tylko, czy przed nią, czy może sfotografowanej żonie nie chciał patrzeć w oczy, kiedy regulował rachunki za kolacje lub desery z kochanką. Z tym zresztą też bywało różnie, bo po pierwsze, Karolina nigdy nie miała parcia, żeby stać się czyjąś utrzymanką, a po drugie – pensja Marcina była adekwatna do lokalnych warunków. Stryjkowscy żyli ponad te warunki, ale nie dzięki zarobkom Marcina, a przy wsparciu zasobnego portfela jego teściów, tutejszych przedsiębiorców. Ich był dom w Gorlicach, w którym mieszkali „młodzi”. SUV, którym Marcin ją tu przywoził, był prezentem od nich i nawet chyba, gdzie ich zięć wystrzeliwał Karolinę na orbitę cudownego seksu, też należała do nich.

Kula ciepła zatoczyła kolejne okrążenie w jej podbrzuszu. Tak, Marcin był cudownym kochankiem. Sprawny i pomysłowy; i ta chemia między nimi... To się rzadko zdarza, i to dlatego przyjeżdżała tu z Krakowa i rozwalala to małżeństwo. Widziała przecież obrączkę na jego palcu. Ba! Za pierwszym razem, po tej wiosennej konferencji, to ona mu zostawiła swój numer telefonu. Fakt, zadzwonił sam, nieprzymuszany, ale czy zdobyłby się na to, gdyby go otwarcie nie zachęciła?

Mimo wszystko nie walczyła o to, aby go wyrwać z tego miejsca, od tej kobiety. Raz, że to byłoby poniżej zasad, które przecież miała, a dwa, że była realistką – jego smutek, wyrzuty sumienia, tęsknota za dziećmi, obrona przed teściami, którzy by go chcieli grillować i pewnie by im się to udało... Plus proza zwyczajnego życia, jaka by się wdarła w ich pełnoetatowy związek.

Czy miałyby wtedy czas i ochotę – i pieniądze, by malować sobie paznokcie u stóp? Kupować nowe perfumy? Robić weekendowe wypady po Europie? Takie przyjemności szybko znikają w małżeńskim kieracie. A gdyby jeszcze pojawiło się dziecko... Nie, żadnych dzieci, żadnych.

O Martę nie była zazdrosna. Nawet gdyby jednak, mimo deklaracji (bo to w końcu facet, ich konstrukcja psychiczna, jeśli idzie o seks, zakładała priorytet biologii nad prawdomównością), sypiał z żoną, byłoby to raczej spełnianie „małżeńskiego obowiązku” niż nieokiełznane harce, jakie były ich udziałem.

Uśmiechnęła się do siebie. Poruszyła palcami u stóp. Czerwień lakieru tak ładnie połyskiwała pod wodą, w której odbijały się promienie porannego słońca...

Marta zdecydowanie byłaby zazdrosna. Ta sytuacja przekraczałaby jej ciasnawy światopogląd. Zarazem... Marcin coś przebąkiwał, że ona może się domyślać, w końcu to już ponad rok, a on nigdy wcześniej nie miał tylu konferencyjnych wyjazdów... Twierdził jednak, że Marta nic by z tym nie zrobiła, bo zawsze wolała niewiedzę lub samooszukiwanie się od ewentualnej bolesnej pewności.

– Może... – powiedziała na głos.

Szum wody zgłuszył jej słowa. Zresztą nawet gdyby nie potok, to i tak mogłaby tu sobie krzyczeć, ile sił w płucach. Żadnej publiczności.

Znowu poruszyła stopami. Tak, bardzo ładne miała stopy – szczupłe, z długimi palcami. Marcin lubił je ssać. Kostki też były niczego sobie – mocno przewężone. Łydki szczupłe, kolana seksownie chude, smukłe uda...

Tak, gdyby ona była Martą, byłaby o sobie, znaczy Karolinę, zazdrosna. O to ładne ciało, o brak zahamowań, o wykształcenie i swobodę. I o to, że

Karolina wysysa z Marcina to, co najlepsze. Trzeba by być Matką Teresą, żeby unikać takich myśli. Marcin przychyłał się do teorii o świętości żony, choć wczoraj wieczorem...

Parking leśny kilkadziesiąt metrów przed skrzyżowaniem do ich chyży zawsze był pusty, nie licząc jakichś lokalnych skuterów czy łazików. Nikt inny się tutaj nie zapuszczał. Może w sezonie, ale teraz był początek czerwca. Tymczasem wczoraj, gdy Marcin wybrał się po chrust do kominka, wrócił jakiś niewyraźny. Wreszcie przyznał, że „chyba”, „może”, „nie jest wykluczone”, „choć to jednak nieprawdopodobne”, widział odjeżdżające z tego parkingu auto żony.

Jasne, mogło mu się coś pomylić, bo już się lekko zmierzchało, ale jednocześnie czy fioletowy mini cooper to częste zjawisko na tych drogach?

Przeszył ją nieprzyjemny dreszcz. Nie chciałyby żadnej sceny, telefonów, listów, nie daj Boże jeszcze na jej wydział. To byłoby takie prozaiczne i prostackie.

– Nie. – Znowu powiedziała to głośno. Nie da się tym myśлом, nie po to tu przyjechała, żeby się zamartwiać. Ma spędzić miłe dwa dni pełne seksu, oddechu, zachwyty nad życiem po prostu. Żadnych kłopotów, awantur. Wystarczy, że już wczoraj... Wzdrygnęła się. Nie powinni tyle pić; ona bardziej niż Marcin. Alkohol rozwesela, ale potrafi też szybko wepchnąć w smutek. Albo w złość. Właściwie nie potrafiłaby powiedzieć, jak do tego doszło, że od euforii i niepohamowanego śmiechu przeszli do złości. Znaczą Karolina przeszła. Może jest dziwna, może rozkapryszona, a może po prostu zbyt wrażliwa? Pozory potrafią mylić, a ona...

Gdzieś z tyłu strzeliła gałązka. Wstała i odwróciła się; odgłos dobiegał chyba ze ścieżki do chyży. Pomyślała, że Marcin już się obudził i zauważył, że jej połowa łóżka jest pusta. Lubił poranny seks (południowy i wieczorny zresztą również), więc pewnie wyszedł jej szukać.

Ona natomiast poczuła dzisiaj nieodpartą potrzebę kontaktu z naturą. Zerwała się wcześniej i boso, w koszuli, poszła nad strumień. Kiedy się mieszka w centrum Krakowa, takiej okazji nie można zmarnować.

Znowu suchy trzask, na stojąco lepiej słyszała. Odwróciła się, żeby być tyłem do ścieżki. Uda, że go nie zauważyła, niech ma, uśmiechnęła się do siebie. To tym bardziej pomoże zatrzeć wczorajszy zgrzyt. Przeniosła stopy na suche kamienie, bliżej brzegu. Teren był tu w miarę stabilny; najgorzej było stanąć na takim ślizgaczu – upadek gwarantowany, a to wyglądałoby żałośnie, nie podniecająco. Złapała obiema rękami koronkę na dole koszulki i lekko uniosła materiał. Wydawało się jej, że znowu usłyszała jakiś szmer. Satyna powędrowała do góry, odsłaniając pośladki. Przed sobą Karolina widziała polankę ze splechotkiem trawy. Będzie musiała im wystarczyć. Teraz miała już gołe i plecy; lekko przekręciła biodra i wciągnęła brzuch. Przybrało się jej ostatnio, i choć Marcin mówił, że lubi krągłości, ona wołała siebie chudą. Kremowy materiał spłynął na kamień obok. Postanowiła się nachylić, udając, że chce sięgnąć do stóp. Wypięte pośladki zawsze tak na niego działały, że...

Świat się przesunął – zieleń lasu i srebrną niebieskość wody widziała teraz pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Zachwiała się, z trudem utrzymując równowagę. Dobrze, że zawsze miała silne nogi, inaczej by upadła. Dopiero teraz poczuła pulsujący ból ramienia, tego samego, w które coś ją ugryzło. Z tyłu dostrzegła... przede wszystkim słońce, ale chyba też... patyk? O co tu chodziło? On chyba nie chciał?... Ale na pewno ją uderzył, bo przecież to ramię...

– Zwariowałaś, kurwa? – Jej dobry nastrój znikł. Balansując, żeby nie upaść, wyprostowała się i odwróciła.

Słońce świeciło jej prosto w twarz, ale widziała sylwetkę, która trzymała coś w ręku. Tak, to chyba był patyk.

Tym razem kąt widzenia się zmienił o prawie dziewięćdziesiąt stopni. Tylko centymetry dzieliły ją od pozycji horyzontalnej, jej włosy niemal dotknęły wody.

Już nie myślała. Obleciał ją paniczny zwierzęcy strach. Splot słoneczny ścisnął się bólem, prawie tak silnym jak drugie uderzenie, tym razem chyba w głowę. Próbowwała się podnieść, ale poślizgnęła się na omszałym kamieniu. Kto to był? No chyba nie Marcin, nie, to nie mógł być on, no

skąd? Nie widziała dobrze, bo zachlapała sobie twarz. Przetarła policzek i zobaczyła czerwoną szramę na palcach – to nie była woda, tylko krew.

A jeśli nie Marcin, to kto?

Adrenalina ze stukotem przewalała się przez jej tętnice.

„Uciekaj!”, rozległo się w jej głowie. Podniosła się, jakby nie było tego rwącego ramienia i skaleczonej skroni. Przelotnie spojrzała na nieruchomą sylwetkę, która była ciemnym zarysem opromienionym świetlistym kręgiem.

Ktokolwiek to był, był nienormalny, agresywny i straszny.

A może to Marta? Może jednak ona, skoro wczoraj na parkingu?...

Chciała krzyknąć, ale głos uwiązł jej w gardle. Nie potrafiła przepchnąć powietrza przez krtań. Zresztą kto by ją tu usłyszał?

Zaczęła przeskakiwać z kamienia na kamień. Bliżej brzegu, bo tam było sucho i równiej. Były też jednak zwisające gałęzie drzew. Czuła, że zostawiają zadrapania na jej ciele.

Cień w aureoli ruszył za nią.

Poślizgnęła się, ale udało się jej nie upaść. Kolejny krok, jeszcze jeden i będzie ta polanka, i wtedy przyspieszy, i...

Tym razem ciosy były dwa – najpierw w kark, a potem gdzieś wyżej.

Chyba, bo zraniona głowa słabo sobie radziła z przekazywaniem informacji. O jej położeniu nie musiała jej informować – Karolina poczuła, że zapada się w wodę, a potem, że szoruje bokiem po kamieniach.

Bolało, wszystko ją bolało. Chciała się podnieść, ale nie mogła. Dobrze, że woda chłodziła poranioną skórę.

Cień się zbliżył. Z trudem przekręciła głowę w jego stronę. Wciąż nie rozpoznawała, kogo skrywa.

Udało się jej trochę podciągnąć. Obraz wirował, nie potrafiła odróżnić konturów. Głos wciąż miała odcięty. Przed oczami zamajaczyła jej czerwień – płynąca z prądem. Zdziwiła się, że lakier, w końcu hybryda, mógł się rozpuścić. A jednak nie – czerwień płynęła do stóp, wzdłuż jej

długich nóg, lekko zaokrąglonego brzucha, pełnych piersi. Płynęła z jej głowy.

Znów ta ciemność przed oczami. Cień stał przed nią. A może stała?...

Ciemna plama z piekącą jasnością obramowania.

Mrok, dudnienie, fala mdłości.

– Kim? – powiedziała, a może próbowała powiedzieć?

Świst, nagły ruch, trzask, seria rozbłysków w jej głowie o ułamki sekund wyprzedzające ból.

Ciemno, mokro, woda, wszędzie woda.

Poczuła, że odpływa w ciemność.

Nic już tam nie było – żadnego czucia, myśli, obrazu.

Nie było też dłoni, w której błysnął srebrny skalpel. Ostrze noża dotknęło gładkiej skóry uda. Zagłębiło się w nią i wykonało pierwsze nacięcie. Potem, bez odrywania metalu od ciała, wykonało zwrot i zjechało, znacząc dłuższy kawałek skóry. Trzeci zwrot przyniósł nacięcie równoległe do pierwszego.

Z. Ładne i wyraźne Z.

Rozdział 2

Pogłośnił radio. W robocie by się nie przyznał, że lubi taką muzykę. Kiedyś był z kumplami na sobotnim piwie i w pubie leciała właśnie ta piosenka, a na dużej plazmie teledysk do niej. I o ile dziewczyna, która się tam pojawiała na początku, zyskała ich aprobatę, o tyle kiedy zobaczyli tego śpiewającego chłopaka, zarechotali, że taki wypacykowany, zrobiony, no gładki i pachnący. „Niby macho, a jednak dupa”, zaśmiał się Tomek. Stereotypowo, ale przecież tu było Podkarpacie, a oni mieli „twardy” zawód. Czy taki zestaw mógł budować męską wrażliwość?

A chłopak mu się podobał, w tym sensie, że wyglądał w porządku. Zadbany, fajnie na luzie ubrany. On też lubił dobrze wyglądać, przynajmniej na tyle, na ile mu pozwalały warunki, znaczy praca i płaca. Pierwsze lubił, drugie było nie do ruszenia. Spojrzał w lusterko. Całkiem gładka twarz, oczy niepodkrążone, w miłym niebieskim kolorze, nawet zmarszczek mało. Włosy też okej, jeszcze gęste i dopiero co przycięte. Bez siwizny, choć w ich zawodzie pojawiała się wcześniej. Na jasnym może nie będzie tak widać. Sylwetkę także miał w porządku, szczupły, ale umięśniony.

„...bam-bam”, tyle był w stanie wyłapać z tekstu tej piosenki. I jeszcze *despacito*, co znaczyło „powoli”, bo sobie sprawdził w Internecie.

Dziś miał czas, bo w Krempnej był umówiony na ósmą. Jechał do siedziby Magurskiego Parku Narodowego. Ostatnio ktoś w Ośrodku Edukacyjno-Muzealnym zniszczył kamerę zamontowaną na budynku. Może to głupi żart, a może... cholera wie, ale na pewno nic poważnego, bo u nich nigdy nic poważnego się nie trafiało, nawet w wakacje, kiedy zjawiali się turyści. Stłuczka, co najwyżej, lub jazda po pijaku. Tak czy

owak, zająć się tym trzeba, zwłaszcza że osobiście znał Janusza Orła, szefa ośrodka.

Poprawił klapkę nad lusterkiem. Słońce dziś nieźle dawało, jak od kilku dni zresztą. Było wpół do ósmej, a termometr w samochodzie pokazywał już dwadzieścia trzy stopnie.

Wyjechał wcześniej, bo lubił wcześniej wstawać, zawsze tak miał. Kaśka, jego żona, poprosiła, żeby wpadł do jej rodziców po jajka, skoro już się tak zrywa. Zgodził się, bo kochał żonę, a teściów lubił. No i tak ładnie mieszkali, w Polanach. Cisza i spokój. No, strumień szumiał, ale on by wolał ten szum wody niż szum szosy, a im akurat szosa szumiała.

Nadłożył drogi, bo pojechał przez Chyrową, ale jeździć również lubił. I skoro to nie on płaci za benzynę...

Posiedział chwilę nad strumieniem z teściem, dłonie zamoczył. „Wpadnij w sobotę, kobiety w sadzie, a my tu – z piwkiem”, zaprosił go ojciec Kaśki. Może, czemu nie. Lubiał tak odpoczywać – nie najbardziej czynnie. Choć ruch też lubił, wszystko z umiarem. Umiar był jego dewizą życiową.

– *Favorito, favorito baby...* – zanucił.

I nagle zahamował tak, że wytłoczki z jajkami spadły z tylnego fotela na podłogę.

– No kuźwa! – zaklął.

Serce mu mocniej zabiło. Nikogo się nie spodziewał na tej szosie, a już na pewno nie jakiegoś skaczącego chłopaczka, który machał rękami, jakby go giez ugryzł.

Zjechał na pobocze, zaciągnął hamulec ręczny, bo tu było z górki, wyłączył silnik i wysiadł z auta.

Chłopak w kraciastej koszuli i wymiętych szortach stał na asfalcie, kilka kroków przed nim. Trząśł się. W ogóle dziwnie się zachowywał – najpierw wyskoczył jak filip z konopi, próbując go zatrzymać, a teraz skamieniał. Przystojny był – młody, muskularny, opalony. „Trochę jak ten gostek od *Despacito*”, pomyślał.

Podszedł do niego.

– Dzień dobry – przywitał się. – Coś się stało?

Chłopak spojrzał na niego. I jakby wrócił do rzeczywistości.

– Nie żyje. Ona nie żyje. No po prostu nie żyje.

Kucnął na środku drogi i zaczął się trząść.

„Bam-bam”. Głupie i nie na miejscu, ale wróciło to do niego. Dziewczyna, którą zobaczył, miała sporo wspólnego z tą z teledysku. Była podobnego typu urody – karmelowa skóra, długie brązowe włosy, ładna, bardzo ładna sylwetka. I nawet sceneria się zgadzała – tu i tam była woda. Tyle że ta dziewczyna była całkiem naga. I nieżywa. I na dodatek brzydko wcześniej potraktowana – kilka ciosów w głowę, chyba jakimś tępym narzędziem, skrzepnięta krew na skroni, tam, gdzie nie dostała się woda, bo część głowy była przez nią obmywana, podobnie jak spory fragment ciała. I liczne zadrapania, które trzeba będzie zbadać. Jedno było pewne – naturalna śmierć to nie była.

Patrzył na nią, bo nie chciał jeszcze wstawać. Widział już martwych ludzi, zabezpieczał wypadki komunikacyjne, przyjeżdżał do śmiertelnych bójek, mieli dwa pożary. Rzadko, ale śmierć się zdarzała. Ostatni raz, kiedy zginął ten młody chłopak. Radził sobie z widokiem martwych ludzi, ale tu... To była młoda kobieta. Ładna, bardzo ładna. Nie uważał, że ładnym kobietom życie należy się bardziej niż brzydkim czy starszym, ale w tym kontraście było coś okrutnego. niesprawiedliwego. Mogła żyć, fajnie żyć, a leżała martwa w strumieniu. Tamten chłopak też był młody i też by mógł żyć, ale jego akurat potrafiło auto. Paskudny wypadek. A tutaj... I pomyśleć, że rano narzekał na brak rozwojowych spraw.

Podniósł się z kucek. Podszedł w stronę jasnej plamy na kamieniach. Znowu się nachylił. Koszula nocna, połyskująca i... – pochylił się niżej – ładnie pachnąca, jakimiś chyba drogimi, bo trwałymi i oryginalnymi perfumami.

To wszystko wyglądało przedziwnie. I zupełnie nie pasowało do tej scenerii.

Wstał i obrócił się w stronę obecnych tu osób.

– Podkomisarz Piotr Durlik, Komisariat Policji w Dukli – przedstawił się, ale odzewu nie było.

Oprócz tego chłopaka, który wypadł mu przed maskę, były jeszcze dwie dziewczyny – w podobnym wieku i podobnie ubrane. Z pleckami, w butach do trekkingu; pewnie turyści. „Trzeba mieć pecha, żeby coś takiego na wyjeździe...”, pomyślał.

– Ja... znaczy my... – zaczął chłopak – chodzimy po górach. I właśnie tu szliśmy, i... – Spojrzał w kierunku wody, ale szybko odwrócił wzrok.

Był blady i przerażony. Durlik nagle się przestraszył, że oni są niepełnoletni. Jeszcze tego by brakowało.

– Ile macie lat? – zapytał.

– Dziewiętnaście – odparł chłopak.

– Wszyscy?

– Wszyscy – odpowiedział za dziewczyny.

One pokiwały głowami.

Durlik odetchnął.

– A skąd się tu znaleźliście? – zapytał.

– No... – Chłopak popatrzył na swoje towarzyszeki.

Jedna z nich, niższa, pełniejsza blondynka, w końcu się odezwała.

– Ze Słowacji. Przez Olchowiec. Tak, wiemy, tam nie ma przejścia, ale to chyba nic złego, no po prostu zmieniliśmy szlak ze słowackiego na polski, bo tak najbliżej, zresztą tu wszędzie Unia, a my do Bartnego idziemy, więc... – urwała.

„Więc to ich gryzie”, pomyślał.

– Więc poszliście przez zieloną granicę. I?...

– I chcieliśmy iść dalej przez Krempną, bo tu jest sklep spożywczy i bar. Kupić coś, zjeść i później przez Mareszkę, na drugą stronę góry.

Durlik kiwnął głową. Tak, to byli turyści, przygotowani do wędrowki, w dobrych butach, z laminowanymi mapami wetkniętymi w boczne kieszenie plecaków, z bidonami, karimatami i śpiworami. Oraz z pechem.

– I?...

– I chcieliśmy sobie trochę odpocząć nad wodą, śniadanie zjeść. Zobaczyliśmy taką jakby przecinkę, ścieżkę w lesie, a z mapy wynikało, że prowadzi do rzeki, zresztą nawet słychać było szum, więc zeszliśmy, tak trawersem.

– Tak, była ścieżka, jakby nielegalna... – Chłopak się zmieszał. – Znaczący prywatna, w sensie, że nie jakiś popularny szlak. Zresztą tutaj w ogóle nic nie jest popularne, bo nawet oficjalne szlaki pozarastane.

Durlik znowu kiwnął głową. Było pozarastane. Ludzie walili w Bieszczady, a tu, w Beskidzie Niskim puchy.

– Koło domu, bo tam dalej, wyżej znaczący, jest taki dom. Drewniany. Taki... Jezu, no jak one się nazywają? – Blondynka popatrzyła na niego bezradnie. Wyglądała, jakby miała się za chwilę rozpłakać. Międlila w palcach rękawy przewiązanej na biodrach koszuli.

– Chyża – odezwała się wreszcie ta milcząca, trzecia turystka, szczupła brunetka. – Te domy nazywają się chyżami.

Świeciło mu w twarz. A skoro tak, to musiała być...

Zastanowił się. O tej porze roku to pewnie jakaś siódma, no, może później. Wiedział to, bo teść się chwalił, jak zmyślnie obstalowali tę chyżę. „Zgodnie z naturą”. Bale były stare, przeniesione z okolicy, ale odczyszczane, zaimpregnowane, starannie złożone. I to właśnie tak, żeby wykorzystać naturalne warunki tej położonej na zboczu działki.

Teść. Marta.

Przymknął powieki. Odechciało mu się wstawać, jeszcze chwilę poleży. Najlepiej się czuł wczoraj wieczorem i w nocy, kiedy dokoła było całkowicie ciemno, a oni byli tu, na tym dużym łóżku, oświetleni zapalonymi świeczkami. Karolina lubiła taki nastrój, a on lubił Karolinę. Kochał. Tak, kochał ją. Za ten superseks, za śmiech, za luz, za mądrość i za urodę.

Martę też kochał. Od lat. Za dzieci, za spokój, za pewność. Tyle że...

Wciąż nie otwierał oczu.

Bez sensu była taka sytuacja, że się szarpał. Zwłaszcza wtedy, kiedy mieli z Karoliną trochę czasu dla siebie. Trzeba go wykorzystywać, a nie się samobiczować. Taki był plan, ale...

Podniósł się nieco. Poczuł, że lekko wiruje mu w głowie. Wino, za dużo wina. Wyciągnął rękę. Pusto. Przesunął się trochę w stronę środka łóżka. Znowu wyciągnął rękę. Nic, tylko prześcieradło. Ciepłe, ale samotne. W końcu otworzył oczy. Karoliny nie było.

Usiadł na łóżku. Przypomniał sobie wydarzenia ostatnich dwunastu godzin. Poczuł, że ma erekcję. Uwielbiał Karolinę. Jej ciało, takie gładkie i... przyjazne. Podniecała go, pociągała, ale jednocześnie czuł się z nią po prostu dobrze, beztrudnie. Nie hamował się, bo nie był oceniany. Ona również się nie hamowała, choć jemu nie przyszłoby do głowy, żeby ją oceniać. Tymczasem ona... Znowu jakieś bolesne pyknięcie w głowie.

Wstał. Był nago, bo Karolina spała nago. „Marta by nigdy...”, pomyślał i urwał.

Przeszedł przez sypialnię, wszedł do pokoju. Układ był oryginalny, czyli przechodni. Tu też nie było Karoliny. Pomyślał, że może jest w łazience. I że może się kąpie. Pod prysznicem także lubił się z nią kochać. Z pokoju poszedł więc do dawnej sieni, na której końcu teść zrobił łazienkę. Nacisnął klamkę i otworzył drzwi. W środku było pusto.

Karoliny nigdzie nie było. Podeszedł do drzwi wejściowych i zauważył, że są niedomknięte. Najpierw się przestraszył, że może sobie poszła, zostawiła go, ostatecznie wczoraj się trochę posprzeczali... Nigdy wcześniej im się to nie zdarzyło, a ostatniej nocy – tak. Kilka słów za dużo, kilka kieliszków wina za wiele, nawet się na niego zamachnęła, ale przecież szybko przeszli od tych „zapasów” do innych, pełnych namiętności. Uśmiechnął się; Karolina musiała się po prostu wybrać na spacer i nie zwracała sobie głowy takimi drobiazgami, jak popsuty zamek. Drzwi się nie domykają, to nie, i już. Trzeba by powiedzieć teściowi, żeby się tym

zajął, bo wczoraj też był z tym problem, tyle że Marcin w ogóle nie powinien o tym wiedzieć.

Wyszedł na zewnątrz. Był piękny dzień. Ciepły, słoneczny, idealny. Wciągnął do płuc powietrze. Lubił ten zapach – taki leśno-wilgotno-sosnowy. I...

Schylił się. Na kamieniach, z których była zrobiona opaska wokół budynku, leżał pasek od szlafroka Karoliny. I pachniał nią, to znaczy jej perfumami. Rozejrzał się. Kawałek dalej, na ławie pod ścianą domu, zobaczył jej szlafrok. „Szlafroczek”, jak mówiła. Mówiła również „koszulka”. Fakt, obie te rzeczy były kuse.

Wciągnął zapach z paska i rzucił go obok szlafroka. Znowu poczuł erekcję. Zastanowił się, dokąd Karolina mogła pójść, i doszedł do wniosku, że chyba wie. Postanowił dołączyć do niej, tylko się ubierze. Takiego luzu jak jego... – nie miał dla niej dobrej nazwy, chyba że ukochana – nie posiadał. Wrócił do domu, poszedł do sypialni. Podniósł z ziemi wczorajszy T-shirt i włożył go. Bokserek nie zauważył, ale machnął ręką, bo i tak się wykąpie, jak wrócą. Albo tam, w strumieniu. Wciągnął szorty na gołe pośladki. Znowu się uśmiechnął. Fajny był ten luz, który czuł przy Karolinie. W domu, przy Marcie nigdy by...

Westchnął.

Znowu przeszedł przez pokój, korytarz, mocno docisnął drzwi wejściowe i ruszył w kierunku strumienia.

Piotr Durlik sięgnął po komórkę. Odblokował ekran i wybrał numer na komisariat. Odpowiedziała mu głucha cisza.

– Tu nie ma zasięgu – odezwała się ta brunetka. – Dlatego Krzysiek pobiegł na drogę, bo myśleliśmy, że może tam...

Westchnął. Cały ten teren był jak ser szwajcarski telefonii – łączność ze światem raz występowała, a raz nie.

– Dotykaliście tu czegoś? Jej?... – Odwrócił się w stronę zamordowanej.

– Nie. – Tym razem odezwała się blondynka. – Ja tylko podeszłam, kiedy ją zobaczyliśmy, bo myśleliśmy, znaczy ja miałam nadzieję, że może upadła czy coś... – Wzruszyła ramionami.

– A oni? – Spojrzał na jej towarzyszy.

– Oni też nie. – Blondynka odpowiedziała za resztę.

– I niech tak zostanie. – Kiwnął głową. – Pójdę teraz na drogę, z radiowozu skontaktuję się z komisariatem. Wy tu zostaniecie, najlepiej tam z boku. – Pokazał głową w kierunku przecinki w lesie.

Już miał się odwrócić i pójść, ale po chwili wahania dodał:

– Tylko jeszcze wasze dowody poproszę.

– Ale my... – zaczęła brunetka.

– Formalność – uciął.

I tak muszą trafić do komisariatu, ale przecież nie będzie im tłumaczył, że woli uniknąć sytuacji, że oni, powodowani jakimś głupim impulsem, dadzą nogę, a potem trzeba będzie ich w tej dziczy szukać.

Blondynka podeszła najpierw do dziewczyny, później do chłopaka, a na koniec do niego, z trzema plastikowymi plakietkami w dłoni. Odwrócił się, żeby nie oślepiało go słońce, i sześć razy pstryknął aparatem. Wsunął telefon do kieszeni i znowu wykonał półobrót, żeby oddać im dokumenty.

I wtedy zobaczył kogoś na ścieżce.

Ten mężczyzna też go zauważył, bo przystanął. Nawet z tej odległości było widać, że jest zdziwiony – rzeczywiście, jak na lokalne warunki takie zgromadzenie to było coś niezwykłego.

Durlik ruszył w jego stronę; z miejsca, w którym mężczyzna stał, jeszcze nie mógł dostrzec ciała; i tak powinno zostać. Szybko przeskakiwał z kamienia na kamień; strumień był w tym miejscu wąski, koryto wysychało. To się działo od kilku lat i wyglądało na to, że jest to stała tendencja. W tej konkretnej sytuacji akurat korzystna.

Mężczyzna wciąż stał na ścieżce. Nie odezwał się, nie wykonał żadnego ruchu; po prostu im się przyglądał. Durlik nie widział wiele, poza tym, że na pewno jest to facet, raczej dość młody, sądząc po sylwetce, i tyle. Gdyby

zabrał okulary przeciwsłoneczne z radiowozu, widziałby lepiej, ale kto mógł przypuścić, że tyle tu zabawi?

Wreszcie dotarł do linii drzew i schronił się w cieniu.

Spojrzał na mężczyznę i pomyślał, że skądś go zna, że gdzieś już widział tę twarz, ale nie mógł sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach to się wydarzyło. Miał dobrą pamięć do obrazów, to zawsze był jego atut. Teraz również go wykorzystał – ten facet to był dziennikarz z „Głosu Gorlic”; obok artykułów jego autorstwa zamieszczano małą fotografię jego twarzy. Kaśka lubiła czytać te teksty – takie trochę historyczne, trochę społeczne, może to były reportaże? Jak ten człowiek się nazywał?

Do nazwisk nie miał tak dobrej pamięci.

– Dzień dobry. – Facet wreszcie się odezwał.

Teraz mógł mu się dobrze przyjrzeć. Tak, to na pewno był ten dziennikarz, w wersji zdecydowanie wakacyjnej – z lekkim zarostem, w wyciągniętym T-shircie. Durlik spojrzał na jego nogi – na stopach miał crocasy, a to znaczyło, że raczej nie wędrował po górach. Choć chyba to lubił; tak, lubił to, taka informacja była w krótkim biogramie, który, oprócz zdjęcia, towarzyszył jego artykułom.

– Dzień dobry – odpowiedział mu podkomisarz.

Pomyślał, że dziennikarz musi mieszkać w tej chyży, o której mówili młodzi. Coś jeszcze mu się kołatało po głowie w związku z tym człowiekiem. Coś jeszcze o nim wiedział... Co to było? O, przypomniał sobie. Kaśka znała jego żonę, były razem w szkole, chyba w liceum. Potem ją kiedyś spotkała w Gorlicach i coś opowiadała, o tym mężu właśnie, i o rodzicach chyba, że kasiaści czy coś...

O moment za późno ocknął się z tych rozważań.

Facet wykonał dwa kroki w jego stronę i spojrzał w lewo, w kierunku strumienia, gdzie leżały koszulka i ciało.

Dłoń Durlika dzieliły centymetry od T-shirtu dziennikarza; nie zdążył go złapać. Strykowski, wreszcie przypomniał sobie jego nazwisko, rzucił się w stronę zamordowanej. Durlik też obrał ten kierunek, ale mimo

zdecydowanie lepszych butów poślizgnął się na omszałym kamieniu. Przez chwilę walczył o zachowanie równowagi; ręką złapał się gałęzi, igły wbiły mu się w skórę.

– Stój! – krzyknął za nim.

Bez efektu.

Dopadł do niego w tym samym momencie, gdy dziennikarz nachylał się nad ciałem zamordowanej.

– Karolina... Boże, Karolina, Karola... Karola!...

Durlik jeszcze sobie przypomniał, że ta koleżanka Kaśki, czyli żona dziennikarza, miała na imię Marta.

Na pewno Marta, nie Karolina.

Rozdział 3

Był już wtedy nastolatkiem; nie takim zbliżającym się do pełnoletności, bliżej mu było do niedawno ukończonej pierwszej dekady życia, ale dzieckiem, maluchem już nie. Piąta, może szósta klasa – jakoś wtedy to się wydarzyło. Pojechali na wakacje, w Bieszczady. Na miejscu ojciec go zabierał na takie „męskie” łazęgi: w doliny, po wsiach, na połoniny, bez szlaku, za to z mapą, menażką, termosem i scyzorykiem. I podczas jednej z takich wypraw zaszli do jakiejś zagrody, która wyglądała jak ze skansenu. Ojciec chciał zapytać o sery, czy może mają na sprzedaż. Na podwórku nikogo nie było, więc poszli do domu, znaczy do chałupy. Tam też pusto, no to się skierowali do stodoły. Marcin zdążył jeszcze pogłaskać cielaczka, który brykał po trawie, zanim wszedł do dużego drewnianego budynku. Wszedł i od razu stanął. Nie bardzo rozumiał, co zobaczył. Na dużym stole przykrytym ceratą leżał cielak, bliźniaczo podobny do tego z podwórka. Tyle że ten był nieruchomy, a wokół jego szyi zebrała się kałuża krwi. Oczy – duże, brązowe – miał otwarte i patrzył na Marcina tak, jakby czegoś od niego chciał. Pomocy, współczucia? Więc przez moment Marcin nie rozumiał, co widzi, po prostu stał i patrzył, choć w tyle głowy już czały się rozpacz i lęk. „Chodź, zobaczysz, jak się oprawia mięso”, z tego stuporu wyrwał go głos ojca. Nie ruszył się, jakby był przyspawany do podłoża, dopiero kiedy ten facet wziął duży nóż i rozplątał brzuch cielaka, odwrócił się i wybiegł ze stodoły. I prawie od razu zwymiotował – na swoje nowe górskie buty. Po tych wakacjach je wyrzucił, bo skóra wciąż i wciąż śmierdziała wymiocinami.

Teraz miał na stopach crocсы, zresztą wymiotował na kłęczkach, do strumienia. Woda od razu zabierała to, co wyrzucała jego przepona.

– Dobrze się pan czuje? – Usłyszał.

Podniósł głowę i spojrzał na tego faceta, którego spotkał przy ścieżce. Przeniósł wzrok na stojącą trochę dalej grupkę jakichś młodzików. Nic z tego nie rozumiał. Ich tu nie powinno być, nikogo tu nie powinno być, tylko on i Karolina.

Karolina...

Podniósł się z klęczek i znowu chciał do niej dopaść. Przecież to niemożliwe, żeby ona leżała tutaj, w tym strumieniu, zimna, nieżywa i patrząca na niego jak tamten cielak.

– Nie wolno. – Facet mocno go przytrzymał.

Marcin był rosły, miałby z nim szansę, ale teraz nie umiał wykrzesać z siebie więcej siły. Kręciło mu się w głowie, bolał go żołądek, ale najgorsza była niemoc, która go ogarnęła. I rozpacz. Nie sądził, że rozpacz tak boli.

– ...Policji w Dukli. – Facet mówił do niego, ale dosłyszał tylko tę końcówkę.

Najpierw się przestraszył, taki naturalny odruch każdego człowieka, może nie wszędzie na świecie, ale w Polsce tak. Z wieloma ludźmi rozmawiał, kiedy pisał reportaże, i często przewijał się motyw lęku przed policją. Nawet jeśli człowiek był czysty jak łąza, to i tak się bał, że policja coś na niego znajdzie. Więc najpierw się przestraszył, ale potem przyszła ulga – on już nikogo nie musi zawiadamiać. Dzwonić, tłumaczyć, czekać. Siedzieć tu z nią, patrzeć na nią, nieżywą, podrapaną, taką nagle obcą. I jeszcze się zastanawiać, czy na pewno wzywać policję, czy może po prostu się po cichu zwinąć i udać zdziwienie... Wzdrygnął się. Czy potrafiłby zrobić coś takiego?

– Podkomisarz Piotr Durlik. Komisariat Policji w Dukli – powtórzył ten facet. – Proszę wstać.

Posłuchał. Powoli się podniósł. Świat się lekko zakołysał, ale udało mu się zachować pion.

– Dobrze się pan czuje? – Policjant znowu o to zapytał.

Wpatrywał się w niego.

– Ja... – Okropny był ten posmak wymiocin w ustach.

Znowu przykucnął. Oparł kolano o kamień i zanurzył obie dłonie w wodzie. Nabrał jej i przepłukał usta. Potem przemył twarz. Woda była zimna, wręcz lodowata, ale dzięki temu trochę go orzeźwiła.

Wstał.

– Ja nie wiem... po prostu nie wiem... – zaczął bezradnie, w tym jednak momencie dotarło do niego, w jak beznadziejnym położeniu się znalazł. Karola, jego kochanka, nie żyje, wcześniej spędzili razem kilkanaście godzin w chyży jego teściów, on powinien być na konferencji na temat wielokulturowości Podkarpacia w Rzeszowie. Tymczasem był tu, nad jej pięknym, nagim, martwym ciałem. I jeszcze te młodziki z tyłu. Tego się nie uda utrzymać w tajemnicy, bez szans. Marta...

Zmroziło go. Wczoraj... Przecież wczoraj pod wieczór widział auto. Fioletowe. Mini coopera. Był tego pewien na sto procent. Potem, kiedy powiedział o tym Karolinie, to już na dziewięćdziesiąt. „Niemożliwe”, stwierdziła. Lekko, trochę zbyt za lekko, jak później pomyślał. Dlatego wrócił jeszcze do tego tematu, może niefortunnie, bo w łóżku, ale gryzło go to. Niby czasem chciał, żeby się wydało, najlepiej tak bez jego udziału, i żeby się musiało jakoś rozwikłać, bo to napięcie zaczynało mu ciążyć. A napięcie trzeba jakoś rozładować.

– Jak się pan nazywa? – Usłyszał.

– Marcin Strykowski. – Odchrząknął.

– Znał pan ofiarę?

Kiwnął głową. Nie ma sensu tego odwlekać.

– Jak ofiara się nazywa?

„Ofiara”. Boże, Boże!

– Karola, znaczy Karolina. Karolina Malik.

– Byliście tu razem?

Kiwnął głową. Tego też nie ma co ukrywać.

– Tam, na górze, gdzie jest dom?

Trzecie kiwnięcie.

„Dom”. Jaki związek, taki dom – chyża, zabrana ze swojego pierwotnego miejsca, przeniesiona i złożona na nowo. Obca, wakacyjna, nie ich.

– Musimy porozmawiać. Im szybciej, tym lepiej. Pójdę na szosę zadzwonić po kolegów, a pan niech tutaj poczeka. Proszę nie iść do domu i niczego tam nie ruszać. Tu też.

Znowu ten „dom”. Nie nadawał się do podwójnego życia; wędrówka między dwoma łózkami, kuchniami, salonami – to jeszcze jakoś, jakoś, przecież to były dwa całkiem różne, w pewien sposób dopełniające się światy, ale napięcie, jakie temu towarzyszyło, było ogromne. Domagało się ujścia i pewnie dlatego wczoraj...

– A ta ręka? Co się panu stało?

Policjant już miał odejść, ale jeszcze stał, patrząc na jego poharatane ramię.

– Skaleczył się pan?

Strykowski przeniósł spojrzenie na podrapaną skórę. Nie zwrócił na to uwagi rano, ale rzeczywiście, nie wyglądało to dobrze. Nie tak źle, jak u Karoli, ale...

Zdrętwiał. Spojrzał na jej ciało – pokryte podobnymi zadrapaniami. Ten facet chyba nie... przecież oni wczoraj... ale to było...

Chyba.

Piotr Durlik patrzył na siedzącego przy stole dziennikarza. Teraz mógłby go nie poznać. Od pierwszego spotkania, tam, na ścieżce, minęły trzy godziny, ale twarz Strykowskiego się zmieniła. Wyglądał... Durlik nie potrafił się zdecydować. Nad strumieniem widział zrozpaczonego, zakochanego faceta. Potem, kiedy przyjechała ekipa, a on poszedł razem z nim do tej chyży, miał wrażenie, że tym razem towarzyszy mu ktoś, kto ma coś na sumieniu. I może coś więcej niż romans.

Postać jeszcze chwilę na korytarzu, patrząc na niego. Strykowski go nie widział; twarz miał schowaną w dłoniach. Płakał? Ukrywał emocje? Udawał?

Spróbował sobie wyobrazić siebie w takiej sytuacji. Co on by zrobił? Wszystko z siebie wyrzucił czy szedł w zaparte? Nigdy Kaśki nie zdradził, ale gdyby... Nie, broniłby się do końca, bo myśl o tym, jak ona zareaguje, jak zareagują teściowie, rodzice, dzieci...

Otrząsnął się. Koszmar, słusznie, że go unikał. Wszedł do pokoju.

– Marcin Strykowski, lat czterdzieści dwa, zamieszkały w Gorlicach, zawód wykonywany: dziennikarz. Karolina Malik, lat trzydzieści sześć, zamieszkała w Krakowie, zawód – historyk.

Mimo że położył na stole plastikową teczkę, te informacje podał z głowy.

– Historyczka – poprawił go dziennikarz. – Historyczka, ona, znaczy Karolina, tak lubi. Lubiała. Wołała. Żeńską formę.

Durlik pokiwał głową. Kraków to nie Dukla. W mieście, w którym sklepy zamykają się o szesnastej, ludzie mają inne problemy niż żeńskie końcówki.

– Relacja, jaka łączyła pana z ofiarą, to?... – Zawiesił głos, może trochę zbyt teatralnie, bo Strykowski się spiął.

– My... my byliśmy... znajomymi. Znaczy parą. Znaczy... mieliśmy romans.

– Jest pan żonaty?

Znał odpowiedź na to pytanie, ale to nie miało znaczenia. Kaśce też nic nie powie, przynajmniej na razie.

– Tak.

Pokiwał głową. Wróci jeszcze do tego wątku.

– Proszę opisać przebieg wydarzeń poprzedzających śmierć ofiary.

– My... mieliśmy tu spędzić dwa dni. Prawie trzy. Od piątku po południu do niedzieli do południa. Karolina przyjechała z Krakowa, bo ona tam mieszka. Ja z Gorlic, bo tam mam... – urwał.

– Rodzinę – odpowiedział mu.

Strykowski próbował go chyba ocenić – czy to skrupulatność, czy złośliwość. Widać uznał, że to pierwsze, bo ciągnął:

– Cóż, słabo to zabrzmiało, ale oficjalnie, znaczy dla żony – zająknął się – byłem w Rzeszowie, na konferencji. O wielokulturowości. Bo ja się tym zajmuję. Znaczy ostatnio się tym zajmuję. Karolina się specjalizowała w tym kawałku historii – te tereny, czterdziesty czwarty do pięćdziesiątego szóstego. Przesiedlenia, akcja „Wisła”. Tak się poznaliśmy rok temu, kiedy potrzebowałem do artykułu wypowiedzi jakiegoś specjalisty. Trafiło na nią, potem przyjechała do Gorlic i tak jakoś...

Strykowski rozłożył bezradnie ręce. Teraz zadrapanie na prawym ramieniu, przechodzące brzydką szramą ze strony zewnętrznej na wewnętrzną, było dobrze widoczne.

– I tak jakoś – powtórzył po nim podkomisarz.

Nie chciał być złośliwy, nie miał powodu. No, może gdyby ten pokątny związek dziennikarza kwitł, a on nie ponosiłby z tego powodu żadnych konsekwencji... Znowu przypomniał sobie teledysk do tej piosenki. Kochał Kaśkę, ale mężczyźni są wzrokowcami. Muszą zdobywać, polować, posiadać. A ta dziewczyna nad brzegiem morza, w tych skąpych szortach... Nic nie mógł poradzić na to, że działa na jego wyobraźnię zdecydowanie inaczej niż Kaśka. Inna sprawa, że tu, w Dukli, nie było szans na taki romans. Sprawa czysto teoretyczna. Tymczasem Strykowskiemu się trafiło – ofiara była podobna do tej ponętnej modelki, z którą śpiewający by chciał „bam-bam”.

– Wiem, co pan myśli...

– Nic nie myślę – przerwał mu. Miał tylko nadzieję, że nie było po nim widać, że kłamie. – Nie jesteśmy policją obyczajową, tylko powiatową. Proszę dalej.

– Więc zaczął się nasz romans. Najpierw myślałem, że to raz, no raz to można przecież stracić głowę. Małe dzieci, praca, dom, kierat...

Pomyślał, że Strykowski chce poruszyć w nim podobną nutę. Rozumiał go, hipotetycznie. Zachował pokerową twarz.

– Więc zdarzył się raz. A potem kolejny i kolejny... A później to się zakochałem, Karola też. I już nic nie można było zrobić. I tak minął rok. A teraz... Zaraz wakacje, ja wyjadę z ż-żoną – znowu ten poślizg spółgłoskowy – więc chciałem, chcieliśmy spędzić choć ten weekend razem.

– Chyż jest pana?

– Teścia.

Durlik próbował sobie wyobrazić, co jego teść by mu zrobił, gdyby zdradził Kaśkę na działce u nich. Skończyłoby się rękoczynem, na pewno.

– Rozumiem, że teść też nic nie wie o tym pobycie?

Teraz Strykowski spojrzał na niego jak na idiotę.

– Nie, skąd.

– Pytam pro forma. Proszę mówić dalej.

– Więc pomyślałem, żeby się tutaj spotkać. My, znaczy Marta, moja żona, nie lubi tu przyjeżdżać. Jej rodzice i ona są z tych okolic, to znaczy dokładnie z Jasła. Dla niej to nie atrakcja, woli miasto. Natomiast Karola... Karola mieszka, to znaczy mieszkała... – Głos mu się załamał.

Durlik patrzył na niego i wciąż nie mógł się zdecydować, co myśleć o tym facecie. Już wiedział jednak, co go w nim drażniło.

– Pan nie jest stąd, prawda?

– Nie, z Krakowa. Tam na ujocie poznałem Martę. Jej rodzice byli hojni, kupili dom, ale chcieli mieć córkę blisko siebie. To była duża pomoc, po czasie jednak powiem, że małe miasta nie są dla mnie.

Tak, drażniło go to wyczulenie na swoim punkcie. Taka ogólna wrażliwość. To dla mnie, to nie dla mnie. Rozczulanie się. Życie było, jakie było, to również, prócz umiarkowania, była dewiza Durlika.

– Więc mogliśmy pojechać do Krosna, Rzeszowa, Jasła czy nawet Krakowa, ale Karola lubi... lubiła naturę. Kiedyś jej pokazałem tę chyzę,

tak z zewnątrz, i to miejsce nie dawało jej spokoju. Tu nie ma wielu miejscówek na wynajem, turystyka kuleje, więc w końcu się zgodziłem.

– I?...

– I przyjechaliśmy. Oddzielnie, znaczy Karola do Dukli. Stamtąd ją zabrałem. Przyjechaliśmy bezpośrednio tu. Zakupy zrobiłem wcześniej. Poszliśmy jeszcze na spacer, tam, do góry, w las, nad chyzę. Potem wróciliśmy na kolację.

Strykowski skończył. Durlik pomyślał, że gdyby to był romans, to dziennikarz pozbawiłby czytelników najciekawszej części. On nie mógł być jej pozbawiony.

– A po tej kolacji? Co się wydarzyło od tego momentu do chwili, gdy spotkałem pana na ścieżce?

Strykowski poprawił się na krześle.

– No... Zjedliśmy. To znaczy jedliśmy kolację dość długo, z przerwami.

– Na?...

Popatrzył na niego, jakby Durlik był kosmitą. Lub nigdy nie miał romansu.

– Na seks. Nie widzieliśmy się prawie miesiąc. No i te wakacje... Więc po prostu byliśmy w pokoju.

– Czy któreś z was wychodziło?

– Nie. Znaczą tak. Ja. Po chrust.

– Było ciepło – zdziwił się.

– Tak, ale Karola poprosiła o ogień w kominku. Mówiła, że to taki pierwotny symbol, że tak atawistycznie go lubi.

Durlik pominął te socjologiczne wtręty. Przypomniał sobie za to, że przed kominkiem widział białą skórę owczą. Tak, było jak w romansach, na przykład takich, jakie stały w witrynie kiosku przy przystanku autobusowym. Krótkie, schematyczne historyjki, akurat tej długości, żeby starczyło na przejazd z wioski w Polsce B do miasta w Polsce B lub na odwrót.

– Poszedł pan do drewnutni? – zapytał.

– Nie. Bierwiona były przy kominku, ale brakowało podpałki. Poszedłem po jakieś gałązki, na zewnątrz, pod drzewa. Wróciłem, dołożyłem do pieca, chwyciło i... i już nie wychodziłem. Aż do rana, to znaczy, kiedy zobaczyłem, że Karoli nie ma, i poszedłem jej szukać.

– Ona też była z panem do rana?

– Tak. To znaczy w sumie nie wiem, bo niewiele pamiętam z zasypiania, więc gdyby wyszła w nocy, pewnie bym tego nie zarejestrował.

– A oprócz tego, że jedliście, pan rozpałił w kominku i się kochaliście... – przy okazji – rozumiem, że nie było żadnego wymuszenia seksu?

Strykowski znowu spojrzał na niego tak, jakby sądził, że Durlikowi coś w głowie nie styka.

– Nie.

– Więc był niewymuszony seks. A czy było coś wymuszonego?

Zauważył, że Strykowski drgnął. Więc jednak.

– W sensie?

Był przekonany, że dziennikarz coś ukrywa. Facet słabo kłamał, aż dziwne, że jeszcze nie wpadł z tym romanssem. Durlika Kaśka już dawno by rozgryzła.

– W sensie, że ma pan świeże, mocne zadrapanie na ramieniu.

Strykowski mimowolnie przycisnął rękę do klatki piersiowej.

– Co się panu stało?

– To... od... ramki na zdjęcia. Zahaczyłem o nią niechcący.

– Od ramki?

– Tak. Nad łóżkiem jest półka, a na niej zdjęcia. Przypadkiem, nieuważnie, wie pan, w amoku...

Nawet by mu uwierzył, solidarność... jak to się mówi? Plemników chyba, skoro u kobiet to jajniki. Wzdrygnął się. Medyczne określenia, ale go peszyły. Więc mógłby się na to nabrać, gdy nie ten drobny szczegół. Sięgnął do teczki, przesunął gumkę, uwalniając zapięcie. Podniósł klapę

tak, że Strykowski nie widział, co robi. Sięgnął po przezroczystą koszulkę, w której znajdowała się kartka. Widać, że była zmięta, a potem rozprostowana. Przeniósł rękę, położył koszulkę na blacie stołu i przesunął ją w kierunku dziennikarza.

– A to też było w amoku?

Strykowski zbladł. Podniósł folię, przez chwilę się w nią wpatrywał, a potem ją obrócił.

„Czyli wie, że napis jest z dwóch stron”, pomyślał. Strykowski złapał to spojrzenie i pewnie dlatego gwałtownie się poderwał.

– Skąd? To znaczy... ale to przecież... pan chyba?...

– No to jak było? – powiedział łagodnie, jak do dziecka. – „Nienawidzę cię”, to chyba było pierwsze? A „Jeśli umrę, to przez ciebie”, drugie. Proroczo, prawda?

Rozdział 4

„To nie tak, jak myślisz” było okropnie zużytą frazą i do tego na kilometr jadącą fałszem. Wszyscy ludzie słowa, a Strykowski był jednym z nich, unikali takich wyświechtanych zdań, a mimo to usłyszał teraz swój głos:

– To nie tak, jak pan myśli.

Policjant patrzył na niego dobrodusznie. A może z politowaniem? Jedno było pewne – złapał ten trop i nie odpuści, bo dlaczego w sumie miałby odpuszczać? Samo mu weszło w ręce, nic, tylko pociągnąć temat i rachiach pchnąć sprawę do przodu. Statystyki odfajkowane, zaliczone i jedziemy dalej. Oni przecież, w tych wszystkich dziurach dokoła, mają same prymitywne paragrafy – bijatyki po wódce, mandaty za wjechanie na teren parku, za szybką jazdę, za kradzież drewna z lasu. I już. Morderstwo, i to takie, na pewno ich przerasta. No bo kto, jak, dlaczego? Z taką złością... Mimowolnie dotknął ramienia. W niego też coś wczoraj wstąpiło, sam seks nie rozładował napięcia, którym był wypełniony, mimo że przecież kochali się intensywnie, nawet może za bardzo, bo Karola...

Zimna strużka potu spłynęła mu po plecach. A jeśli uznają, że on ją tu zwabił i zgwałcił? Przecież ten facet pytał, czy seks był wymuszony. I jeszcze ta rana na jego ręce. Tak, to Karola go zraniła. On jej nie.

Chyba.

Ale jej ciało w strumieniu, takie pokiereszowane...

Poczuł mdłości. Nigdy nie miał mocnej głowy, a wczoraj dużo wypił, to jednak przecież niemożliwe, żeby zrobił coś takiego.

Niemożliwe. W sumie o zdradzie też kiedyś myślał, że to niemożliwe w jego przypadku.

Ale by pamiętał, gdyby tak ją... Na pewno.

Choć teraz nie mógł sobie przypomnieć, kiedy i jak zasnął.

– A co ja myślę? – zapytał go policjant.

– Pan myśli, że to ja ją zabiłem.

Patrzył na niego. Mimo że miał wyrobione, średnio korzystne zdanie o lokalnej policji, to ten facet był inny. Miał mądre spojrzenie. W zależności od tego, co naprawdę się wydarzyło, to mogła być zaleta lub wada.

– Tego nie powiedziałem. Dostrzegłem po prostu związek między tymi treściami a wydarzeniami, które po nich nastąpiły. Pan je potwierdził jeszcze przed tym, nim zapytałem, kto to napisał. Bo pisała to ofiara, prawda?

Dał się podejść jak dziecko. Jasne, sprawdziliby, że to jej pismo, ale on miałby trochę czasu. Tylko w sumie po co mu ten czas? Na przykład na znalezienie adwokata. Jednego, bardzo dobrego, zna. „Do mnie jak w dym”, powtarza mecenas Janicki.

Przyjaciół ojca Marty.

Nerwowo przejechał dłońmi po włosach. W co on się władował? „Weź się w garść!”, wrzasnął na siebie w duchu. Tak się darł na niego ojciec. Wtedy, kiedy zarzygał te nowe, drogie buty górskie, też.

– Tak, to pisała Karola. Ale w żartach.

– Żartowała z nienawiści czy ze śmierci?

Słabo to brzmiało, musiał przyznać.

– Nie w tym sensie. Często jest tak, że ludzie mówią rzeczy, których nie mają naprawdę na myśli. „Zabiłbym go za to”, „jeszcze raz tak powiesz, to cię zabiję”. No przecież to tylko słowa, ludzie nie zmieniają ich potem w czyn.

– Różnie bywa – stwierdził Durlik filozoficznie. – To za co pana nienawidziła?

Strykowski westchnął. Dalsze kłamstwa i kłamstewka nie miały sensu.

– Za psucie nastroju. Za nerwy. Bo wczoraj... no wie pan, jak to jest, jak ma się romans i ludzie się zaczynają zastanawiać, czy to się wyda, kiedy się

wyda i czy nie lepiej, żeby się wydało.

Policjant milczał.

„Myślałby kto, że taki święty się znalazł”, zezłościł się Strykowski.

– Więc wczoraj ja miałem taki nastrój, a Karola nie. Uważała, że przesadzam, że wyolbrzymiam.

– Bał się pan konsekwencji?

– Nie... to znaczy trochę. Ale przecież nie w tym sensie, żeby...

Kurwa, a taki był elokwentny w tych swoich artykułach. Na co dzień zresztą też. Nie powinien pić, nie tyle, nie tak.

Zebrał się w sobie.

– Karola się obraziła, że psuję nastrój. Napisała na kartce „nienawidzę cię”, zmięła ją i rzuciła we mnie. Potem rozmawialiśmy, właściwie to się pokłóciliśmy, i ona wtedy wzięła fotografię z półki nad łóżkiem, na której byłem ja, żona i dzieciaki. Teść tam ją postawił. Zamachnęła się nią na mnie i stąd ta rana. – Dotknął ramienia. – Ale potem się pogodziliśmy. Seksem też. Takim... intensywnym. – Odchrząknął. – A jeszcze później ona wzięła tę kartkę, rozprostowała ją i z drugiej strony napisała to drugie zdanie. W sensie, że ją wykańczam, ale to też na żarty, już po tym, kiedy się pogodziliśmy.

Piotr Durlik milczał.

Strykowski nie potrafił go rozgryźć. Czy on by sobie uwierzył?

– A czy był jakiś powód, konkretny powód, że akurat wczoraj rozważał pan, że państwa romans może się wydać?

Strykowski znowu poczuł zimną wilgoć na plecach. Co za bagno! Gdziekolwiek się obróci, gdziekolwiek postawi nogę, grzęźnie jeszcze bardziej. Czy to, co powinien teraz powiedzieć, pogrąży go, czy wręcz przeciwnie, zbliży do suchego brzegu? Tyle że, jakkolwiek na to patrzeć, nie był w tym układzie sam. Jeśli jemu bilans się poprawi, to po drugiej stronie będzie gorzej, bo suma musi się zgadzać. A suma, i to on był temu winien, była marna. Cholernie marna.

– No dobrze, powiem, jak było.

I kolejne oklepane zdanie. Czy on naprawdę był dziennikarzem? Dobrym dziennikarzem?

– Słucham zatem.

Policjant poprawił się na krześle, wygodniej oparł i zaplótł ręce. Strykowski pomyślał, że to poza jak z amerykańskich filmów sensacyjnych. Gdyby nie to spojrzenie...

– Więc było tak, jak powiedziałem. Przyjechaliśmy po południu, poszliśmy na spacer, potem do łóżka, później do kuchni, gdzie razem robiliśmy jedzenie. Później znowu łóżko...

Strykowski nie potrafił ocenić, czy to, co widzi na twarzy podkomisarza, to zazdrość, czy raczej zażenowanie. A może smutek?

– To znaczy łóżko w sensie przenośnym, bo właśnie się przenieśliśmy na podłogę, tam jest taka duża biała skóra przy kominku... I wtedy Karla poprosiła, żebym rozpałił ogień. Uruchomiłem cug, włożyłem szczapy, ale nie bardzo było czym podpalić – kilka gazet było pod ręką, zajęły się i szybko wypaliły. Ponieważ Karli zależało, to postanowiłem, że pójdę po jakiś chrust na podpałkę. Ubrałem się i wyszedłem. Miałem iść do góry, do lasu, ale przypomniałem sobie, że na parkingu przy drodze, tam, gdzie wiata, widziałem dwie kupki suchych gałązek. Zszedłem ścieżką, to blisko, skręciłem w lewo, w dół. Przez moment tego parkingu nie widać, bo droga idzie mocno po łuku, a to miejsce postojowe jest tuż za zakrętem, ale kiedy przeszedłem ten kawałek, zobaczyłem... – urwał.

Nagle poczuł się cholernie zmęczony. Już nie przestraszony, nie zły, tylko po prostu zmęczony. Do wczoraj miał dwie kobiety. Sto procent ponad normę. Teraz Karla nie żyła, a za chwilę powie coś, co, być może, sprawi, że...

– Samochód mojej żony.

Piotr Durlik stał w pokoju socjalnym przy czajniku, który wyrzucał z siebie kłęby pary. Wrzenie osiągnęło punkt kulminacyjny, guzik kliknął,

urządzenie się wyłączyło.

Obraz nagiej dziewczyny w potoku wciąż do niego wracał. Zabite piękno. Próbował go przykryć migawkami z oględzin przez techników i prokuratora, jakoś to utechnicznić, nadać temu urzędowy bieg, ale to wciąż przebijało.

– Medytujesz?

Nie zauważył, że przybyło mu towarzystwo.

Ocknął się.

– Nie, zamyśliłem się.

– O tym dziennikarzu myślisz? – Komendant Zbigniew Zaręba, wysoki, masywny pięćdziesięciolatek, zdjął kubek z ociekacza, nasypał dwie łyżeczki kawy i zalał je wrzątkiem do trzech czwartych. – Mleko jest?

– Nie ma. Miałem kupić, jak będę wracał z Krempnej, ale... – Durlik rozłożył ręce.

– Park powiadomiłeś, że dziś do nich nie dojedziesz? – Komendant podniósł kubek, zawahał się i odstawił go na blat.

Durlik kiwnął głową.

– Tak. Może w poniedziałek się uda.

– Tomka się wyśle. Akurat sprawa dla sierżanta. Po mleko zresztą też. Nie mogę takiej czarnej, za gorzka, za ostra. On na dole jest?

Durlik znowu kiwnął głową.

– Poczekaj chwilę. – Zaręba skierował się w stronę schodów.

– Słuchaj, to może ja... – Durlik zrobił krok w jego kierunku.

– Daj spokój. – Komendant machnął ręką. – Co to ja nóg nie mam? Będzie potrzeba, to się tobą wyręczę. Swoje prawa znam.

Durlik przystanął. Nie zaprzyjaźniłby się z Zarębą, ale go lubił. I szanował. Udało mu się z tą pracą mimo wszystko. Niektóre lokalne komisariaty od lat były obsadzone rodziną i znajomymi, a Zaręba przyjechał tu z Lublina. I Durlik to doceniał, może dlatego, że sam też był

poza siecią okolicznych powiązań. Trochę dlatego, że przyjechał tutaj ze Stalowej Woli, a trochę dlatego, że w ogóle był bardziej pojedynczy.

– No, dobra. To jestem. – Zaręba ponownie pojawił się na korytarzu.

– Tak szybko? – zdziwił się, patrząc na karton w ręku szefa.

– A co to, daleko ma? Skoczył, kupił, wrócił, a teraz jedzie do Krempnej, żeby zaległości w robocie nie było. Powiedziałem mu: „Przekaż im, żeby oni tak ustawili kamery albo nową dołożyli, żeby te, które ktoś zniszczył, były z innego punktu obserwowane”. Wielkiej filozofii tu nie trzeba, nawet naukowiec od roślin i zwierząt to wymyśli. Swoją drogą, to dziwne, bo co tam z tego budynku czy terenu można ukraść? Wypchane wilki? Zasuszone kwiaty? Zresztą nic nie zginęło. Gówniarzeria się pewnie tak bawi. No, dobra, mamy teraz ważniejsze sprawy. To co myślisz o tym morderstwie?

Zaręba wziął duży łyk kawy i spojrzał na podwładnego.

– Dziwna sprawa. Dziewczyna zamordowana w dość prymitywny sposób. Myślałem, że może kamień, ale Rzeszów mówi, że raczej młotek, bo powierzchnia uderzenia nieduża i równa. Ran kilka, zadawanych jedna po drugiej.

– Zazdrość? Emocje? – Zaręba znowu upił kawy.

– Trudno powiedzieć. – Durlik się zawahał.

To była pierwsza myśl, jaka do niego przyszła. Kochankowie pokłócili się, pobili, potem o jedno słowo, jedno uderzenie za daleko i... bach, taki finał. Ale teraz nie miał tej pewności. Bo raz, że ciało nie było jednak zmasakrowane, choć można to było załatwić szybciej i skuteczniej. Sugestia, że to być może żona, również nie zmieniła tego wahania – ani w jedną, ani w drugą stronę.

– Z jednej strony tak, bo on przyznał, że się kłócili. Do tego był alkohol i jeszcze ta jego rana, o której też zresztą powiedział, że zadana przez kochankę. Z drugiej strony, gdyby ją zabił, toby ją tak zostawił? Na widoku?

– Dużo wypił?

– Dość, skoro alkomat pokazał teraz zero trzy.

– No to go nie przesłuchujesz.

– No to nie – zgodził się Durlik. – Wstępne rozpoznanie, zostanie wezwany jeszcze raz na komisariat. Na razie nie jest o nic oskarżony.

– Wie o tym?

– Nie. Chyba.

– Jak na dziennikarza to niezbyt lotny... Choć znam jego teksty, fajnie pisze. – Komendant przetarł czoło ręką. W komisariacie było duszno. – A te jej obrażenia... Za życia czy po śmierci?

– Najpewniej tuż przed. Chyba podczas ucieczki, bo ona uciekała. Zresztą leżała tylko kawałek od domu. Świeża sprawa.

– Jak świeża?

– Kilka godzin.

– Ślady innych osób?

– Maturzystów. Ofiary. Strykowski. Chyba tyle. Sucho jak pieprz, nie padało od dwóch tygodni.

– Rzeszów kiedy da opinię?

– Do tygodnia. Mają wolne moce przerobowe.

– No dobra, dobra, Piotrek. A Siuda?

Podkomisarz przypomniał sobie spojrzenie prokuratora, który zjawił się nad strumieniem – beznamiętne, raczej pełne urazy. To znaczy takie było finalnie, bo na początku to jednak inne emocje. Ta kobieta była naprawdę ładna i nawet sześćdziesięcioletni wyga i stoik Mariusz Siuda musiał to odnotować, mimo że zachowywał pozory zawodowej obojętności. Zresztą, do czego Durlik potrafił się przyznać, miał z prokuratorem pewien problem – po prostu go nie lubił

– Afekt, to jego hipoteza, ale czeka na nas.

– To co teraz?

Komendant dopił kawę i trochę zbyt głośno odstawił kubek do zlewu. Mleko sam załatwił, ale mycie to już było za dużo.

– Wracam do niego z wodą, bo prosił. I z herbatą, dla siebie. I zaraz zadzwonię do jego żony. Co do żony... Strykowski powiedział, że wieczorem widział jej auto w okolicy chyży.

– Kłamie? – zainteresował się komendant.

– Trudno powiedzieć, ale to by było kłamstwo na bardzo krótkich nogach, bo sprawdzę to w pierwszej kolejności.

– Wiesz, zazdrość potrafi zaślepić. – Zaręba nie chciał rezygnować z tego wątku. – Z tego, co mówisz, ta zbrodnia mogłaby zostać popełniona przez zdradzoną kobietę. Afekt, jak powiedział Siuda. Coś wiemy o tej żonie?

– Przedszkolanka. Córka Jaskólskiego.

– Tego od hurtowni budowlanych i sklepów spożywczych? – Zaręba się ożywił.

– Tego samego.

– No, to gdyby jemu córeczka się poskarżyła na męża, pewnie wzięłby sprawy we własne ręce. W tym układzie śmierć kochanki to może być jeden z mniejszych kłopotów pana dziennikarza. Dobrze, że my nie mamy takich problemów. – Klepnął go po plecach. – Na mój nos to jednak raczej on, nie ona. Tak czy owak, działaj i melduj.

Durlik popatrzył na zmniejszającą się sylwetkę szefa, po czym odwrócił się w stronę stołu. Fakt, Marcin Strykowski wpadł w szambo po samą szyję. Ponownie włączył czajnik, podszedł do lodówki, wyjął butelkę mineralki, nalał ją do szklanki, zalał wrzątkiem przygotowaną torebkę. Już miał wrócić do pokoju, ale zmienił zdanie i zszedł na dół, by poszukać sierżanta Tomasza Białka.

– Uch. – Strykowski wypił wodę duszkiem. Odstawił pustą szklankę na stół i spojrzał na policjanta. – To teraz?...

– W tej chwili to już wszystko. Oczywiście potrzebne będzie oficjalne przesłuchanie.

– A to, co myśmy, to?... – zdziwił się.

– Wstępne rozpoznanie. Rozmowa. Niezobowiązująca. – Podkomisarz się uśmiechnął.

– Nie jestem podejrzany?

– Na razie nie.

– A... – urwał. – To co będzie dalej?

– Dalej mogę pana podwieźć do chyży. Ale to potem, jak zadzwonię do pana żony.

Strykowski zdrętwiał. Wiedział, że tak będzie, no jakby mogło nie, skoro sam im podał ten trop. Teraz to już całkiem mu się pomieszało, czy naprawdę widział jej auto, czy nie. Nawet jeśli, to przecież ona by nie mogła skrzywdzić Karoliny. Wszyscy, ale nie Marta. Co prawda Karola stwierdziła, że nie docenia furii zdradzanych żon, ale on znał Martę bardzo dobrze. Jak nikogo na świecie.

„Na pewno? A siebie samego znasz?”, od razu przystąpił do kontrofensywy. Był lepszym adwokatem diabła niż własnym.

– Mogę znaleźć numer, chyba że pan mi da?

Durlik patrzył na niego wyczekująco.

Strykowski kiwnął głową.

– Kontaktował się pan z żoną dzisiaj?

– Nie. A... co jej pan powie?

Było mu wstyd, tak cholernie wstyd. Gdzie jego honor i godność? Rozplącze się tu, będzie błagał, żeby jej nie informować o romansie męża?

– Że dokonano morderstwa niedaleko miejsca, gdzie świadek widział jej auto. I że chciałbym zamienić z nią kilka słów.

– Tyle?

– Tyle. Reszta jej nie ominie, ale ma pan trochę czasu, żeby sam jej o tym powiedzieć.

– Tu? – Piotr Durlik łagodnie zahamował. Radiowóz powoli się toczył po gładkim asfalcie. Wyremontowali tę drogę kilka lat temu i teraz mieli luksus. Nie dość, że równo, to jeszcze te widoki po lewej stronie – łagodnie opadające zbocze porośnięte łąkami, które teraz, na wiosnę, były kolorowe od kwiatów, w dole wstążka szosy, a nad nią las. A do tego niewiarygodnie niebieskie niebo. Landszaft, po prostu landszaft. Czasem, w sezonie, widział tu zatrzymujące się auta. Turyści wysiadali, dawali trzy kroki w bok i na tle tego pocztówkowego widoczku robili sobie zdjęcia. Po czym jechali dalej, ku cywilizacji. Dzikość tych terenów niby ludzi urzekała, ale w większości wypadków zachwytu wystarczało na przejazd krętymi, wąskimi drogami, wizytę nad zalewem w Krempnej, zjedzenie pstrąga pod Mareszką i odwiedziny w muzeum Magurskiego Parku. To zresztą właściwe wyczerpywało lokalne „atrakcje”. No, nie licząc zapierającej dech w piersiach przyrody – półdzikiej, zabierającej to, co jej samej kiedyś odbierano, gdy jeszcze toczyło się tutaj jakieś życie. Durlik znał te historie, choć akurat nie ze szkoły. Wtedy w programie nauczania panowała inna narracja i inne „prawdy historyczne” im podawano. Ich nauczycielka była młoda, więc podała im te „prawdy”, a oni je wpisali do zeszytów. I tyle. Wiele lat później, kiedy zaczął czytać, oglądać zdjęcia, wrócił do tej historii. I za każdym razem było mu smutno. No, smutno to może nie, w końcu był dorosłym facetem, a do tego gliną, ale jakoś tak... Nie był stąd, mieszkał tu dopiero kilka lat, a jednak ruszały go te historie. Artykuł tego Strykowski o Świerzowej Ruskiej też czytał. Pomyślał wtedy, że coś go łączy z tym dziennikarzem, właśnie ta wrażliwość na bezwzględność historii. Ale czy to wykluczało inne, zupełnie odmienne cechy charakteru?

– Tu? Na pewno? – Pozwolił, żeby auto łagodnie zjechało na pobocze. Silnika jednak nie wyłączył.

– Tu. Tak. Pan może zawrócić i... – Strykowski odpiął pas i przechylił się do przodu. Widać było, że chce wstać z fotela. – Trochę znam te tereny, poradzę sobie.

Durlik mu się przyglądał. Tak, wahał się, co ma o nim myśleć. Nie używał słowa „intuicja”, w każdym razie nie za często, ale zgadzał się co

do tego, że człowieka da się ocenić, nie znając go. Wiele drobnych szczegółów i szczegółików, od butów po spojrzenie, pozwalało mu od razu mniej więcej przewidzieć, z kim ma do czynienia. Strykowski mu się wymykał.

– Tak, no oczywiście... – Trzymał rękę na klamce, ale jeszcze nie wysiadł z auta.

– Niech pan się doprowadzi do ładu.

Kiwnął głową.

– A... – Widać było, że się waha.

Durlik wiedział, o co chce go zapytać, ale nie zamierzał mu niczego ułatwiać. „Jak ci mleko wykipi, bierz szmatę i sprzątaj”, mówiła mu babka. Sprzątał, to i wiele innych miejsc. Chłopcy bez ojców wychowują się inaczej. Strykowski musiał mieć pełną rodzinę, z klasycznym podziałem ról. I jeszcze pewnie był jedynakiem.

– Tak? – zapytał uprzejmie.

– Czyli na razie nie powie pan żonie o mnie? I o Karli? – Ni to pytał, ni prosił.

„Jedynak”, ponownie pomyślał. Jedynak, który nigdy nie musiał rozwiązywać swoich problemów, bo robili to za niego rodzice, pewnie matka. I kiedy w dorosłym życiu coś się sypnie, to...

– Myślę, że wszystkiego się pan dowie.

Uśmiechnął się, dając mu znać, że czeka, aż wysiądzie. Strykowski chyba chciał coś jeszcze powiedzieć, ale się rozmyślił. Kiwnął głową i otworzył drzwi. Przeszedł do przodu i zrobił krok w głąb, żeby Durlik mógł wyjechać na drogę.

„Jakieś osiem kilometrów”, pomyślał podkomisarz, ruszając. Nie chciało mu się sprawdzać w komórce, jaką trasę ma do przejścia Strykowski, ale na oko to było tyle. Dla kogoś na lekkim kacu, po takich przeżyciach, bez wody i w temperaturze, która za dwie godziny osiągnie trzydzieści stopni, to było całkiem spore wyzwanie.

Pewnym wyzwaniem mogła też być rozmowa z Martą Strykowską. Kiedy Durlik do niej zadzwonił, była trochę zdziwiona, ale nie aż tak, jakby się spodziewał. Przyznała, że znalazła się wczoraj w „okolicy Krempnej”. Nie pytała o szczegóły „wypadku”, o którym zresztą prawie nic jej nie powiedział, zaoferowała „wszelką pomoc”. To go zbiło trochę z pantałyku, bo raczej by obstawił zaprzeczenie albo grad pytań. Spodziewał się też, że może być problem z terminem rozmowy, bo Strykowscy mieli dwie córki w wieku przedszkolnym, a był sobotni poranek. Okazało się jednak, że kobieta jest sama, bo dzieci od wczoraj są u babci. Gładkość tego wyznania również go zdziwiła.

Włączył kierunkowskaz. Żadnego auta za nim, żadnego na horyzoncie, ale to nie zwalniało z przestrzegania przepisów. „Choćby nikt nie widział, i tak bądź w porządku”, znowu usłyszał babkę. Był w porządku, zawsze.

Wjechał na wysypany żwirem placyk i zawrócił. Tych kilka parkingów leśnych także się pojawiło po remoncie. Słusznie, bo trudno się tu dostać inaczej niż autem, więc gdzieś trzeba je parkować. Tyle że amatorzy wyprawy w dzicz i tak stawali na wąskim poboczu, byle bliżej szlaku. Nie pojmował tego. Kiedyś któryś z polityków powiedział, że Polacy mają w sobie gen niepokornej natury, że gdy się im czegoś zakáže, to oni właśnie będą w kontrze. „To zakażcie im bycia mądrymi”, pomyślał wtedy.

Znowu włączył kierunkowskaz i wyjechał na asfalt. Przejechanie tego odcinka zabrało mu pięć minut. Strykowski dojdzie tu pewnie za pół godziny, może trochę szybciej, bo tutaj jednak ciągle z górki. Potem tym szlakiem drugie tyle, ale już w cieniu. No i strumień jest, więc pewnie się dotelepie do chyży. Tak czy owak, będzie miał czas na rozmyślanie.

Auto Durlika powoli pięło się w górę. Piękny i dziki był ten fragment drogi. Pierwsza ścieżka pojawiała się dopiero przy parkingu, na szlaku, wcześniej natura broniła dostępu do siebie.

Rozglądał się, wypatrując Strykowskiego. „W takim tempie to do wieczora będzie się włókł”, pomyślał. Nawet biorąc pod uwagę nie najlepszą formę dziennikarza, to jednak był młodym, sprawnym facetem, tak go Durlik ocenił, kątem oka obserwując jego umięśnione nogi i ładnie

zarysowane mięśnie brzucha, gdy rano zmieniał koszulkę przed jazdą do komisariatu.

Wjechał na wzniesienie, gdzie się rozstali.

Pusto i cicho. Ani śladu Strykowskiego. Jakby rozpułnął się w powietrzu.

Rozdział 5

Nad strumieniem było kilka stopni chłodniej. Było też wilgotno; wilgoć nie ograniczała się do ziemi położonej w bezpośrednim otoczeniu rwącej wody – rozciągała się ku górze, obejmując ściółkę. Nawet w upalne dni, takie jak ten, połączenie bliskości strumienia i bukowego lasu dawało ten sam efekt: chłodnego, miejscami mazisto-grząskiego terenu, który był jak gąbka – ugiął się pod stopami.

Robił to bezszelestnie, co w tym przypadku było bardzo ważne. W ogóle było ważne, bo sztuka znikania okazywała się najważniejsza w życiu. Samemu decydować, co inni mogą zobaczyć, unikanie ich radarów, rozpływanie się w powietrzu – to decydowało o przetrwaniu. Człowiek nie różnił się specjalnie od zwierzyny. Mógł być myśliwym, ale mógł też być ofiarą. A ofiary nie przeżywają.

Szedł powoli, rozważnie stawiając każdy kolejny krok. Nie mógł się dać zauważyć, usłyszeć. Musiał być czujny, zwłaszcza po tym, co się stało wczoraj. Skrzywił się. Sprawy poszły nie tak, bardzo nie tak.

Coś zaszeleściło. Przywarł do drzewa. Minimalnie wychylił się zza jego pnia.

Była tam, zauważył ją. Aż się uśmiechnął.

Dotknął skórzanej pochwy, w której trzymał nóż.

Dzisiejsze polowanie zakończy sukcesem.

– Z mlekiem? – Kobieta wychyliła się zza obłożonej klinkierem ściany, która oddzielała kuchnię od salonu.

Piotr Durlik lekko się unióśł ze skórzanej kanapy w kremowym kolorze.

– Tak, poproszę. Bez cukru – dodał od razu.

Dom Strykowski był położony ładnie, na wzgórzu, niedaleko gorlickiego rynku. Wyróżniał się wśród sąsiednich budynków – widać było, że jest nowy, solidny i że postawienie go sporo kosztowało. W środku było podobnie – nijaki gust, ale świadczący o grubym portfelu gospodarzy. W tym przypadku rodziny gospodarzy. Pensja przedszkolanki i lokalnego dziennikarza nie pokryłaby wydatków na dębowe meble, skórzane kanapy, wełniane dywany, granitową kostkę, utrzymany ręką ogrodnika ogród.

I fioletowego mini coopera zaparkowanego na podjeździe.

– Proszę. – Podeszła do niego, niosąc przed sobą tacę. Schyliła się i postawiła ją na ławie. Przygotowała dwie identyczne kawy w ozdobnych filiżankach i ciasteczka, które wyglądały na takie z cukierni, nie z supermarketu, i bardzo świeże. Durlik pomyślał, że przygotowała się na jego przyście, jakby się tu wybrał z wizytą towarzyską.

Usiadła naprzeciw gościa.

– To o czym chciał pan porozmawiać?

Durlikowi znowu przyszło do głowy, że przestrzelił z oceną. Wcześniej o Strykowskim myślał, że jest wrażliwym humanistą. Tymczasem facet mógł mieć sporo za uszami i jeszcze zniknął nie wiadomo gdzie. Może trzeba było go od razu na czterdzieści osiem? A jak zwieje? Granica rzut beretem, potem kolejne granice i będzie kłopot. O Strykowskiej zaś myślał, że jest nieśmiała i wycofana, z jednej strony rozgrywana przez nadopiekuńczych rodziców, z drugiej – przez niewiernego męża. I że przywita go z podkrążonymi oczami i nerwowo ściskając róg fartuszka, w którym robi sobotnie porządki. Tymczasem przed nim siedziała zadbana, umalowana, przyjemna dla oka czterdziestolatka, której powierzyłby pod opiekę swojego syna lub swoich rodziców.

– Powiedziałem pani przez telefon, że w okolicach Krempnej dokonano przestępstwa. Wczoraj także, niedaleko miejsca zbrodni, widziano pani samochód. Dlatego chciałbym zadać pani kilka pytań.

– Zbrodni – powtórzyła po nim.

Kiwnął głową. Przez telefon nie użył tego wyrazu.

– A co to za zbrodnia? – Mimo że nie chciała, głos jej lekko zadrżał. Może była po prostu wrażliwą kobietą, a może...

– Zabójstwo.

Patrzył na nią. Siedziała bez ruchu, ale zauważył, że nerwowo poprawiała fałd sukienki.

– Ale co ja mam wspólnego z tym... z tą sprawą?

Mógłby odpowiedzieć, że nic lub że pewnie nic, ale odezwał się inaczej:

– To właśnie chcemy ustalić. Więc potwierdza pani, że wczoraj, poruszając się stojącym teraz na podjeździe fioletowym mini cooperem, była pani w okolicy Krempnej?

Skinęła głową.

– Była tam pani sama?

Znowu potaknęła.

– O której to było godzinie?

– Cóż... Wieczorem, myślę, że około dziewiątej.

– A dzieci? Dziś są pod opieką babci, a wczoraj?

– Wczoraj też były. Zawiozłam je po pracy do rodziców. Zostaną tam na cały weekend. Dziadkowie uwielbiają wnuczki.

Pokiwał głową. Oboje małżonkowie zrobili sobie wolne, tyle że nie po to, by spędzić ten czas ze sobą.

– Dobrze... A mogę zapytać, co pani robiła w tej okolicy?

Wszedł na wyżyny kurtuazji, która przecież nie była jego mocną stroną.

Marta Strykowska wstała i powoli przeszła do okna. Odwrócona do niego plecami podniosła z parapetu małą konewkę i podlała kwitnącego na mocny różowy kolor storczyka. Odstawiła konewkę na kamienny parapet i wróciła na fotel. Usiadła i nachyliła się w stronę podkomisarza.

– Wie pan, ten storczyk to jest dziwny. Kiedy o niego dbam, to znaczy podlewam go często, myję liście, nawożę, to on nie kwitnie. Nic, po prostu nic. Stoi takie zielone coś, grube liście i bezkwietne łodygi. Natomiast

kiedy go zostawię, trochę zaniedbam, to od razu wypuszcza pąki. Ciekawe, prawda?

Durlik patrzył na nią bez słowa. Nie rozumiał, po co robi mu wykład o biologii roślin.

– Natura działa podobnie, czy to w przyrodzie, czy wśród zwierząt albo ludzi. I podobne jest także to, że nie ma sprawiedliwości, takiej, jaką my rozumiemy – że dobro jest dobrem wynagradzane, złe uczynki karane i tak dalej. Liczy się przetrwanie. A kto ma na to najwięcej szans? Sprawni drapieżnicy. Albo ci, co potrafią się dobrze ukryć. Statystyki są najgorsze dla przeciętniaków. A ja jestem przeciętna. Dobra i przeciętna. Żle to rokuje, prawda?

Durlik patrzył na żonę Strykowskiego. Już się domyślał, co chce mu powiedzieć.

– Ale mimo wszystko można próbować coś z tym zrobić. Jakoś przetrwać, mimo że jest się przeciętnikiem. I ja próbuję. Ciasteczko? Są bardzo dobre, z najlepszej cukierni w mieście.

Sięgnął do patery. Wybrał okrągłe z makiem i marmoladą. Rzeczywiście, było dobre.

– Więc tak, pojechałam do Krempej, żeby śledzić męża. Niestety, jest to tak angażująca emocjonalnie czynność, że na nic innego nie zwracam uwagi, zatem obawiam się, że nie pomogę jako ewentualny świadek jakiejś zbrodni.

Gra czy mówi prawdę? Kompas Durlika znowu szwankował. Przyznała się do śledzenia, żeby nie dało się jej potem zarzucić kłamstwa, czy naprawdę nic nie wie o śmierci konkurentki? Przypomniało mu się ciało Karoliny Malik. Kilka uderzeń, sporo zadrapań, porzucenie nago w rzece. Pasowałyby do złości, ale takiej, którą zabójca – lub zabójczyni – potrafi utrzymać w ryzach. Wyeliminować z tego kręgu życia, o którym Strykowska przed chwilą powiedziała, trochę dać upust nienawiści i zostawić ciało na widoku. Tak, pasowałyby.

– Od kiedy pani wie o romansie męża?

– Myślałam, że przyjechał tu pan w innej sprawie. Romanse nie są chyba karalne? I nie podlegają kontroli?

Nie, jednak nie była taką ofiarą losu, za jaką ją miał. I nawet te ułożone w loki włosy, te pociągnięte różem policzki i sukienka w kwiaty nie maskowały tego kawałka jej charakteru, który doszedł teraz do głosu.

– Nie, nie podlegają kontroli. Ale obawiam się, że mają związek z tym, z czym do pani przyjechałem.

Nachylił się po kolejne ciastko. Postanowił, że on też zagra w tę grę.

Stryjkowska patrzyła na niego i przez chwilę nie mogła się zdecydować, jak pociągnąć konwersację.

– Zaczęło się rok temu, tak myślę. Marcin pisał wtedy cykl reportaży o wysiedleniach na tych terenach. Trochę historii, trochę wspomnień, trochę współczesności. Zapalił się do tego projektu, jeździł do Bartnego, Czarnego, Regietowa, Olchowca. Dla niego to było coś nowego. Nie w sensie wiedzy, bo tę miał, choć nie tak rozbudowaną, ale w sensie... przeżyć. Chwilę wcześniej w tych miejscach zaczęły się pojawiać tablice ze zdjęciami, które pokazywały, jak tam wyglądało życie przed wojną: wsie, młyny, karczmy, cerkwie, ludzie. A teraz pusto, tylko krzyże zostały. Dla mnie to było normalne, oswojone, bo ja stąd jestem. Wzruszałam się jego wzruszeniem, że taki jest wrażliwy. A jego ta praca pochłaniała coraz bardziej, zwłaszcza kiedy w reportażach zaczęły się pojawiać wypowiedzi pani historyk z Uniwersytetu Jagiellońskiego. – Sięgnęła po filiżankę i wzięła łyk kawy. Teraz ręce jej nie drżały. – Marcin mniej już opowiadał, więcej pracował. W terenie. Czułam, że coś jest nie tak, ale nie miałam dowodu. Dziś bym nie szukała potwierdzenia swoich przypuszczeń, ale wtedy mnie to zjadało. Musiałam wiedzieć, po prostu musiałam. To się zmieniło w jakąś obsesję, aż mi się rzuciło na głowę i na hormony – bezsenność, bóle, na niczym się nie mogłam skupić. Poszłam do lekarki, a ona powiedziała, żeby odpocząć. Mądra babka, na emeryturę już powinna iść, ale nie ma komu jej zastąpić. Więc ona kazała się nie stresować, spacerować, dać sobie wytchnienie od myśli. I ja posłuchałam tej rady. A Marcin jeździł. I z któregoś wyjazdu, na wiosnę tego roku, wrócił

z pomadką w plecaku. Takim błyszczkiem do ust, ale smakowym, wiśniowym, oryginalnym. Ten plecak miał ubłocony, chciałam mu wyprać, jak to dobra żona... – Odchrząknęła.

Durlik zauważył, że ma załzawione oczy.

– Więc ten błyszczek to już był taki prawie pewnik. Z tym, że nie wiedziałam, kto to, znaczy czyj to. Jeszcze nie potrafiłam powiązać faktów, choć teraz, gdy patrzę wstecz, wydaje mi się to oczywiste. Ale krótko po tym zdarzeniu kupiłam „Świat Kobiet”, taki miesięcznik dla pań.

Durlik kojarzył ten tytuł, Kaśka też go czytała.

– A tam artykuł o kobietach, które łączą swoją pracę z życiem, w sensie, że zawód jest i po prostu pracą, i pasją. Przedszkolanki, takiej jak ja, nie było, bo co to w końcu za pasja – dzieci, ale pani historyk – owszem. Ta historyk.

Durlikowi przypomniało się, że Strykowski mówił o historyczce. I że Malik lubiła feminatywy. Strykowska nie wyglądała na feministkę.

– Więc ten artykuł, a obok taka ramka, co ona zabiera na te swoje wyprawy historyczne. I tam błyszczek. I firma ta, co w plecaku Marcina. A to błyszczek, którego w zwykłych sklepach nie ma, tylko w takich drogich perfumeriach, bo to amerykański produkt. Pięćdziesiąt złotych za małą tubkę. No i dostałam tę swoją pewność. I muszę panu powiedzieć, że to było tak, jakby... kamień spadł mi z serca.

Ponieważ na tym zdaniu zakończyła, Durlik powiedział:

– Chyba nie rozumiem.

Nie rozumiał za grosz.

– Bo już wszystko się wyjaśniło. Już miałam pewność. Już nie było miejsca na wahanie.

– Ale to chyba gorzej?

Uśmiechnęła się do niego jak do dziecka.

– Wie pan, romanse się zaczynają i kończą. Trochę poczytałam na ten temat i znam dane. Na przykład te, które mówią o tym, że jeśli w pierwszym roku trwania romansu mężczyzna nie odejdzie od żony, to

w kolejnym ryzyko takiej sytuacji dramatycznie maleje. A do tego... Ten dom – obrzuciła spojrzeniem salon – to auto na podjeździe, SUV, którym Marcin jeździ, ziemia pod Gorlicami, czyża – to wszystko albo rodziców, albo moje. Zatem... – Rozłożyła ręce w geście udawanej bezradności.

Uroczej i... bezwzględnej.

Tak, wydała mu się teraz bezwzględna. Czy na tyle, by zabić?

– Czyża? Czyża jest pani? – To go zdziwiło. Strykowski mówiło o teściu.

– Moja. Była rodziców, ale tata postanowił przepisać ją na mnie. Jakieś sprawy podatkowe, nie wnikałam.

– Kiedy to się stało?

– Niecałe pół roku temu.

– Mąż wiedział?

– Nie. Nie było okazji. Taki był... zabiegany.

Znowu to samo – zimny wzrok, stal w głosie. Pełne opanowanie. Grała czy była niestabilna emocjonalnie? I jedno, i drugie mogłoby popchnąć do zbrodni.

– Dobrze, to skoro ta sprawa jest wyjaśniona, wróć do tego, z czym przyjechałam. Świadek zeznał, że widział panią wczoraj w okolicy tej właśnie czyży wieczorem, około dziewiątej. Zgadza się?

– A co to za świadek?

– Na tym etapie śledztwa nie ujawniamy tej informacji.

– Cóż, zgadza się. Godziny nie pamiętam dokładnie, ale mogła być i dziewiąta. Wieczór w każdym razie.

– Co tam pani robiła?

Delikatnie wzruszyła ramionami.

– Właściwie trudno powiedzieć. Zauważyłam, że brakuje jednego kompletu kluczy do czyży. Gdybym nie robiła porządku w biurku, pewnie by mi to umknęło.

Durlik pomyślał, że zamiast słowa „porządek” bardziej adekwatne byłoby „przeszukanie”. Albo „szpiegowanie”.

– Pomyślałam więc, że pojadę i się upewnię, że mąż tam jest.

– I był?

– Było jego auto.

– Nie weszła pani do domu, żeby sprawdzić? Po prostu zobaczyła pani auto na podjeździe i już?

– To mi dało... Jakby to panu wytłumaczyć? – Albo świetnie grała, albo była naprawdę zmieszana i niepewna. – Poczucie panowania nad sytuacją. Okłamuje mnie, nie ma go ze mną, ale ja wiem, co robi. Mam go pod kontrolą.

– I to pani wystarcza?

Gwałtownie wstała.

– Nie życzę sobie, żeby mnie pan oceniał. Sugerował, jak mam żyć. To chyba wykracza poza pana obowiązki i kompetencje.

Znowu podeszła do parapetu i znowu stała odwrócona tyłem. Tak, ta rozmowa przebiegała inaczej, niż założył. Strykowska znowu sięgnęła po konewkę i znowu podlała storczyk, który wyglądał tak nierzeczywiście, jakby był z plastiku. „Wcześniej chyba go nie dręczyła, skoro tak kwitnie”, pomyślał.

Ta scena wydała mu się bardzo teatralna.

Zignorował wybuch i zapytał:

– O której wróciła pani do domu?

– Świadek nie powiedział? – Spojrzała na niego, ale stała pod słońce, więc nie widział dobrze jej twarzy.

Poczuł, że wzbiera w nim złość. Ta kobieta go rozgrywała, a on był bezradny.

– Powiedział. Proszę odpowiedzieć na pytanie.

– Około dziesiątej, no, może trochę później, bo jeszcze poszłam się przejść na rynek.

– Ktoś panią widział?

– Nie, chyba niespecjalnie. Tu życie zamiera o osiemnastej.

Poczuł, że w jego kieszeni wibruje telefon. Wyjął aparat i zerknął na wyświetlacz. „Pato Rzeszów”.

– Przepraszam, muszę odebrać, gdzie bym mógł? – Popatrzył na nią znacząco.

– Może na tarasie? Tamte drzwi. – Wskazała miejsce po przekątnej.

Salon Strykowski miał ze czterdzieści metrów. Mieszkanie podkomisarza było niewiele większe. Skinął głową i poszedł w kierunku tarasu.

– Durlik, słucham. – Przyciskając telefon do ucha, podniósł klamkę i otworzył drzwi balkonowe.

Słońce od razu go zaatakowało. Taras miał południową wystawę i żadnego zadaszenia. „Można się usmażyć”, pomyślał. Zauważył jednak, że nie kończył się razem z tą ścianą budynku, wzdłuż której go zbudowano, tylko zakręcał. Na rogu dostrzegł zarys daszka. To ten zacieniony kawałek widział, gdy szedł po granitowej ścieżce do drzwi wejściowych. Postanowił się tam przesunąć.

– Cześć. Pierwsze ustalenie, zainteresowany? – Głos Adama Świątko, patologa, był pogodnie ożywiony.

– No pewnie. Robota ci się w rękę pali, co?

– Dzisiaj w domu kinderparty, dwudziestka rozwrzeszczanych dzieciaków, więc wszystko lepsze niż to, nawet trup. Zresztą ten trup... Dobra, żarty na bok. Twoja ofiara to świeża sprawa. O której ją znalazłeś?

– Mniej więcej o wpół do ósmej.

– To rozminąłeś się z mordercą o jakieś dwie godziny.

– Dokładnie?

Durlik poczuł ukłucie zawodu.

– Do pół godziny.

– Nie mogła umrzeć w nocy albo wieczorem?

– Nie. Wtedy mogła robić co innego i do tego też dojdziemy, ale była żywa. Zdecydowanie żywa. Dobra, reszta po sekcji. Wtedy ci wszystko opowiem.

Czyli to nie Strykowska. Może jest rozchwiana, może rozchwiana i wyrachowana, a może tylko wyrachowana, ale nie morduje. Durlik doszedł do miejsca, gdzie zaczynało się zadaszanie. Ta część tarasu była zatopiona w cieniu i sporo chłodniejsza.

Wsunął telefon do kieszeni. Spojrzał na ogród. Wspaniale utrzymany, z wieloma krzewami i kwiatami, których nazw nie znał. Pięknie kwitły, ale dlatego, że były podlewane – zauważył też dysze będące częścią systemu automatycznego nawadniania. Choć o gustach się nie dyskutuje, to w tym domu musiało się mieszkać komfortowo. Strykowski mógł nie chcieć go tracić, ale skoro to nie jego żona zamordowała kochankę...

Telefon znowu zawibrował. Tym razem na wyświetlaczu pojawił się Tomasz Białek. Durlik zdążył już wrócić na rozgrzaną część tarasu, więc cofnął się w cień.

– Cześć. Mam coś dla ciebie.

Wyczuł w jego głosie entuzjazm.

– Złapałeś tego, co niszczy kamery z muzeum?

– Nie, to jeszcze nie, bo dopiero się do nich zbieram. Mam coś z tej twojej sprawy, o którą prosiłeś. Więc jest nagranie z tej kamery przy centrum handlowym, tam przy wjeździe, gdzie jest pod górkę, na rynek, nie? I zgadza się, jest ten twój mini, fioletowy jak szaty biskupa. Dwudziesta pierwsza czterdzieści pięć. Jedzie, przejeżdża skrzyżowanie, sunie do góry.

To by się zgadzało, Durlik tą samą drogą dojechał dziś do Strykowskich. Tomek potwierdził mu to, co powiedziała Strykowska. I co nie miało już znaczenia dla sprawy, skoro dziewczyna zginęła kilka godzin później.

– Dzięki. To teraz do ośrodka, co?

– I właśnie to jest to coś, co dla ciebie mam. „Bam-bam”.

Durlik się skrzywił. Tomek miał dobrą pamięć i słabe wyczucie taktu. Był młodszy od podkomisarza o dziesięć lat, a traktował go jak kumpla. I to podobnego sobie.

– Żartuję. Nie obrażaj się.

– Nie obrażam się. – Postarał się, by zabrzmiało to w miarę wiarygodnie.

– To co tam?

– Bo zadzwoniłem do nich, że będę, ale trochę później, skoro miałem w tych nagraniach grzebać. A oni mi na dzień dobry, że bardzo czekają, bo znowu mają rozwaloną kamerę, tym razem przy bramie. No normalnie jakaś paranoja. Ale uważaj.

Durlik znowu poczuł się tak, jakby role między nimi się odwróciły i Białek stał wyżej w hierarchii. Westchnął; nie miał dziś siły, żeby go ustawiać do pionu, zwłaszcza że chłopak był słabo reformowalny.

– No? – dopasował się do konwencji.

– Tamta kamera pokazywała dzicz, znaczy kawałek ich ogrodu, a potem to te pola i łąki, co się w kierunku cmentarza na górze ciągną. Tam nie ma nic, absolutnie nic. A ta kamera jest skierowana na centrum – sklep, budkę z żarciem, główne skrzyżowanie. Jakiś konkret.

– Każdy, kto się w Krempanej zjawia, musi się pojawić na tym skrzyżowaniu – zgodził się Durlik.

– Właśnie! – Świętek ucieszył się tak głośno, że Durlik aż odsunął telefon od ucha. – Tak samo sobie pomyślałem. I jeszcze, że ten ktoś, kto zniszczył tę kamerę, a pewnie i tamtą z boku, mógł się na tym skrzyżowaniu znaleźć.

– Zakładając, że to ktoś obcy. Bo lokalnie to można na piechotę, od tyłu, znaczy od zalewu, albo samochód gdzieś wcześniej zostawić.

– Wiem, wiem, ale pomyślałem, że to jednak jakiś przyjezdny.

– To chyba za duże uproszczenie. Szedłbym raczej w lokalność, pijacka fantazja, nuda, może jakiś romans albo drobny szwindel, albo...

– Może tak, w sumie, ale pierwsza myśl była taka. I poszedłem za nią. W Nowym Żmigrodzie, tam, gdzie zjazd na Krempaną, mój kumpel ma

sklep spożywczy. Zresztą wiesz, bo twoje okolice.

Niestety, były jego.

– I on, bo alkoholu ma sporo, działa na dwadzieścia cztery. Z powodu tych nocnych godzin pracy i procentowego asortymentu ma też kamerę przy sklepie, akurat obok tego skrzyżowania. Myślę sobie, że może akurat coś ciekawego mu się nagrało. I wiesz co?

– No nie wiem. – Durlik westchnął.

– Przejrzał od wczoraj wieczorem. I teraz uważaj, jakieś piętnaście po dziewiątej widać tego fioletowego mini coopera.

– Stamtąd do Gorlic jest pół godziny, wszystko się zgadza.

– No. A potem było kilka aut do północy, sprawdzę numery. I cisza, też w sumie normalne, bo ten, kto tam zjeżdża, to raczej musi tam mieszkać, inaczej to by bardzo naokoło gdzieś jechał. Więc cisza, pusto, aż do piątej, dokładnie piątej trzy. I teraz zgaduj, kogo tam widać?

– Nie wiem – odparł Durlik.

Do południa zostało jeszcze sporo czasu, a on już był zmęczony. Kamery go teraz średnio obchodziły, bo...

Nagle poczuł, że tętno mu przyspiesza. A może jego przyjazd tu nie był na darmo? Może jednak...

– Fioletowego mini coopera.

Rozdział 6

– To jest niedorzeczne, po prostu niedorzeczne.

Marta Strykowska znowu siedziała w fotelu naprzeciwko. Poprosił ją, żeby usiadła, bo bał się jakiejś gwałtownej reakcji. Pomyślał, że Karolina Malik bardziej pasowała do dziennikarza. W obojgu był jakiś luz, wdzięk, nawet fizycznie byli podobni. Gdyby on był Strykowską, na pewno byłby wkurzony. Zły, że został podmieniony na lepszy, bardziej kompatybilny model. Ale czy to uczucie by wystarczyło, żeby zabić? Czy kobieta, która na co dzień śpiewa dzieciom o jeżu, który tupta dokądś nocą, przytula i pociesza, która sama jest matką, mogłaby komukolwiek, nawet kochance męża, rozwalić głowę? Sumienie upierało się, że nie, ale doświadczenie było bezlitosne.

– To są fakty – powtórzył. – Potwierdza pani, że pojechała pani do Krempnej dziś około piątej rano?

– Skoro ma pan to na nagraniu – prychnęła.

Cały czas zachowywała się tak samo – albo była opryskliwa, albo zdumiona. I w jednym, i w drugim wyglądała całkiem naturalnie. Trudno mu było uwierzyć, że mimo wszystko tak się trzyma, co więcej – że tak chojarkuje. Tak może robić ktoś, kto ma asa w rękawie, a na to się nie zanosilo.

– Po co? Dokąd?

– Po co? Jezu, no co to za pytanie. Zakupy zrobić w markecie Atlantik – prychnęła znowu.

Milczał. Postanowił dać jej jeszcze chwilę.

– Dobrze się pan bawi, tak mnie upokarzając? Przyznałam, że jestem zdradzana. Że śledzę męża. Mało chwalebne, można pomyśleć, że zazdrość

mi rozum odbiera. Ale to nie jest karalne. I nie muszę się z tego opowiadać. W ogóle nic nie muszę, więc jeśli nie ma pan żadnych innych pytań związanych ze sprawą, z którą pan tu rzekomo przyjechał, to proszę...

Podniosła się. To był ten moment.

– Proszę jeszcze na chwilę usiąść. Już żadnych pytań o romans. To dokąd pani pojechała?

– Nie, naprawdę dość. Albo pan wyjdzie, albo dzwonię do mecenasa Janickiego. – Sięgnęła po komórkę, która leżała na biurku.

„Mecenas Janicki, lokalna szycha. Drogi i skuteczny, zapewne ubezpiecza działalność jej ojca”, pomyślał Durlik.

Nie ruszył się; czuł, że koszula przykleiła się do skóry kanapy. Takie obicie jest może praktyczne, ale nieprzyjemne. Kremowy kolor wydał mu się teraz mdły. Jak skóra Strykowskiej. Tak, Malik była zdecydowanie bardziej pociągająca, było w niej życie.

Było.

Marta Strykowska odblokowała klawiaturę i zaczęła przesuwać palcem po ekranie. Przyłożyła aparat do ucha.

– Dziś w godzinach porannych niedaleko pani chyży znaleziono zwłoki – powiedział obojętnym tonem.

Wciąż jeszcze stała z telefonem przysuniętym do głowy.

– Ciało, które leżało w wodzie, nosiło oznaki napaści. Ofiara została zamordowana. Zbrodni dokonano niedługo przed tym odkryciem, na pewno rano, bardzo prawdopodobne, że na przykład o... – Udał, że się namyśla. Od tego skrzyżowania do Krempnej było ze dwadzieścia minut, do chyży kolejne dziesięć, dołożyć czas na zaparkowanie, przejście, to dawało około czterdziestu minut. – Za piętnaście szósta. Aha, zamordowana to Karolina Malicka.

W telefonie coś zakłaskało i Durlik usłyszał wypowiedane męskim głosem „Halo”. I tuż potem „Halo, pani Marto”.

– Przez pomyłkę – wyszeptała Strykowska. – Przepraszam.

Odsunęła telefon od ucha, dotknęła palcem ekranu. Podeszła do wyspy kuchennej i położyła aparat na kamiennym blacie. Spojrzała na Durlika. Nic nie potrafił wyczytać z jej wzroku. Poczul się dziwnie. I pożałował, że nie ma przy sobie broni. Byłoby absurdalne, gdyby próbowała mu zrobić krzywdę, ale po tym, co od niej usłyszał, nie spodziewał się racjonalnego zachowania.

Marta Strykowska zaczęła się śmiać. Najpierw cicho, nieśmiało, ale potem coraz głośniej i intensywniej. Sprawiała wrażenie, jakby nie mogła się opanować. Oparła się o wyspę i zgięła w pół, gdy zabrakło jej tchu. Kilka razy odkaszlnęła i się wyprostowała. Durlik zauważył, że teraz płacze.

Czego żałowała – swojego czynu czy tamtej dziewczyny?

Płakała nad nią czy nad sobą?

– No, tego to się nie spodziewałem. – Zbigniew Zaręba chodził po pokoju. – Ona na pewno nie chce adwokata? – Przystanął.

– Nie, nie chce – odparł Durlik.

– Bo wiesz, jak potem go wezwie, to on nas będzie szarpał. Za każde najmniejsze uchybienie. To facet bez skrupułów. I bardzo skuteczny. A jeszcze teraz, kiedy wiesz, prokuratura jest... No. – Obejrzał się w stronę otwartych drzwi.

– Na pewno. Zapytałem od razu, bo ona już raz do niego dzwoniła, ale kiedy się dowiedziała o śmierci Malik, to się rozłączyła. I to mnie martwi, bo wyglądała na naprawdę zdziwioną. Zdziwioną i wstrząśniętą.

– Kobiety potrafią grać lepiej niż mężczyźni. Całe życie doświadczeń. – Komendant był sceptyczny. I też nie był feministą.

– Wcześniej myślałem, że ona mnie rozgrywa, ale ten moment...

Durlik powinien być zadowolony, bo Strykowska jako morderczyni była bardzo prawdopodobna. Miała motyw, miała sposobność. I obecnie była

jedyną podejrzaną. A mimo to jej reakcja na wiadomość o śmierci kochanki męża sprawiała wrażenie prawdziwego zdumienia.

– No, nie przesadzamy, ale jest się czego chwycić. No i nie mamy tabunu innych podejrzanych...

Nie mieli, fakt.

– I w statystykach to by dobrze wyglądało. Żartuję. – Klepnął Durlika w plecy.

Tego Durlik wcale nie był pewien.

– To teraz dla odmiany Strykowski odetchnie, co?

– Tak się przez moment zastanawiałem... – Podkomisarz spojrzął na komendanta. – Ile on naprawdę wie. Bo, i to też mnie dziwi, był szczerze smutny, że mówił o tym mini cooperze żony. Skrępowany był, było mu głupio, ale też właśnie był smutny. Bo on jej nie nienawidzi. Zresztą ona jego też nie. I w sumie, jak na przypadek zdradzanej żony i męża, który zdradza, to nie jest typowe.

Zbigniew Zaręba oparł się o stół. Wyciągnął z kieszeni chustkę i wytarł spocone czoło.

– Ale duchota. Człowieka normalnie zatyka.

Odwrócił się i sięgnął po szklankę z wodą. Opróżnił ją do dna.

– No to co chcesz przez to powiedzieć? Że to nie ona? Albo że to ona, ale on wie? A może razem? Albo to on, bo się posprzeczał z kochanką, zresztą tak było, oboje są podrapani, i sytuacja się wymknęła spod kontroli i bach! Może nawet niecelowo, po prostu wypadek, ale w tym układzie słabo wyglądający.

Durlik nic nie odpowiedział. Jeszcze w Gorlicach ucieszył się z tej wiadomości od Tomka. Spadła mu jak z nieba. Strykowska daje się złapać kamerom pół godziny przed morderstwem kochanki męża. Absolutnie piękna poszlaka, którą będzie można podciągnąć pod dowód, zwłaszcza że sama się przyznała do obecności poprzedniego wieczoru w tym miejscu. Co prawda słabo stali z dowodami na miejscu zbrodni, ale raz, że susza, a dwa, że rzeka. I jeszcze ci maturzyści, co narobili tam bajzlu... Ktokolwiek zabił

Malik, powinien być im wdzięczny za wejście z buciorami na miejsce zbrodni. Wbrew deklaracjom, że niczego nie ruszali, porozsiewali swoje ślady. Zresztą sami potem przyznali, że podeszli do ciała, że kucnęli, że siedli na kamieniach, że położyli plecaki, że...

– No nic, słuchaj, ja to bym ją na cztery osiem. Po pierwsze, po to, żeby nie miała kontaktu z nikim, kto mógłby na nią jakoś wpłynąć, pomóc tuszować, po drugie, bo mogłaby zwiać, w końcu ma kasę, a po trzecie, bo są poszlaki. Mocne.

– Są. Ale w sumie takie same są w przypadku jej męża. Nawet bardziej, bo on był na miejscu cały czas. Też miał sposobność. No i ta kłótnia... Może być, że to nic, spory kochanków, przekomarzanie, ale chyba za wcześnie uznać, że Stryjkowskiego można wykluczyć.

– To co, wracasz do koncepcji, że razem ją zabili? – spytał Zaręba. – Bo idą łeb w łeb.

– Nie wiem – przyznał Durlik. – Póki nie ma wyników sekcji, próbuję też sobie wyobrazić innego, trzeciego zabójcę. Kogoś, kto się tam zjawia rano. Przypadkowo czy celowo? Jeśli przypadkowo, to chyba tylko jakiś szaleniec, bo trudno podać inny powód morderstwa.

– Seksualny?

– To też po sekcji, ale ona wykaże, że ofiara uprawiała seks, z tego, co mówił Strykowski, intensywny.

Pomyślał o sobie i o Kaśce. Kiedy oni ostatnio? Jakoś tak się to wypaliło. Bez powodu, przecież ją kochał, ona jego też, ale dziecko, robota, ostatnio remont, zmęczenie i tak dzień po dniu. Teść się śmiał, że na emeryturze odpocznie, ale myśl, że będzie tak samo, tylko wolnego czasu więcej, nie była szczególnie optymistyczna.

Komendant, Durlik mógłby się o to założyć, miał podobne refleksje.

– Poza tym to by znaczyło, że ten ktoś wiedział, że ona tu jest. Pierwszy wariant jest taki, że morderca ją znał i tak mu podpadła, że ją zabił. Tutaj w kolejce stoi już Strykowka. Drugi, że to ktoś obcy, kto wie, że jest tu nie tyle Karolina Malik, ile jakaś młoda, ładna kobieta. I jeszcze by musiał

założyć, że wstanie rano i sama pójdzie nad strumień. Przecież nie mógł jej obserwować, bo wcześniej tutaj nie przyjeżdżała, zero rutyny. Więc ten trop odpada. Mógłby być przypadek – ktoś jest w tej okolicy, nie planuje morderstwa, ale Malik się zjawia i z jakiegoś powodu prowokuje mordercę. Lub morderczynię, jeśli wykluczmy seks.

– Próbuję sobie wyobrazić ten powód. – Zaręba był sceptyczny.

Durlik właściwie też.

– Czyli wracamy do wąskiego kręgu podejrzanych. – Zaręba nalał sobie kolejną szklankę wody. – To co proponujesz?

Durlik pomyślał, że to jak wróżenie z fusów. Nie potrafiłby powiedzieć, ile spraw o zabójstwo prowadził, ale nie był to taki hurt, jak na przykład w stolicy. A te, które się zdarzyły, były innego rodzaju. Zresztą tam... Aż się otrząsnął, bo znowu chciał pomyśleć o intuicji. Więc w tamtych sprawach były jakieś ślady, była też dedukcja, ale i coś z innego porządku, co utwierdzało go, że idzie w dobrą stronę. Tu mu tego brakowało; nie wpadł w pułapkę, że któreś z podejrzanych wzbudza jego sympatię czy litość, więc obiektywizm nie był zagrożony. Nie, nic z tych rzeczy, z żadnym z małżonków by się nie zaprzyjaźnił, nawet gdyby mieli razem dzieci w przedszkolu czy klasie, toby się z nimi na grilla nie umawiał. Grill. Byli u teściów. Durlik się wahał, czy powiedzieć Kaśce o tej sprawie. Uznał jednak, że nie. Tajemnica śledztwa to jedno, ale drugie to właśnie uniknięcie bardziej osobistego odniesienia. Wolał sam zebrać informacje o Stryjkowskiej, nieprzefiltrowane przez opinię kogoś, kto był mu bliski. Powinien jeszcze raz porozmawiać ze Stryjkowskim, bo są nowe fakty. A potem wrócić do Stryjkowskiej i skonfrontować ją z tym, czego się dowie. Albo...

– Pojadę do chyży, do Stryjkowskiego. Ma się tu zjawić, ale wolę pogadać z nim na miejscu. I upewnić się, że do nas dotrze. A potem złoży oficjalne zeznanie.

Przypomniał sobie puste pobocze, kiedy wracał po wysadzeniu dziennikarza; nie mówił o tym Zarębie, bo komendant pewnie zareagowałby nerwowo i kazał sprawdzać, gdzie facet się teraz znajduje,

podczas gdy Durlik w życiu prywatnym i zawodowym stawiał na spokój. Do tej pory całkiem nieźle to wychodziło.

Może z wyjątkiem namiętności.

Otrząsnął się.

– Chciałbym, żeby Strykowska została do czasu mojego powrotu. Powiem jej, że teraz muszę wyjść, ale wrócę, żeby dokończyć formalności. A Tomek niech wystąpi o billingi obojga, zobaczymy, z kim się ostatnio kontaktowali. I czy nie ze sobą.

– Nie mamy podstaw, żeby ją zatrzymać, chyba że... – Zaręba spojrział na niego.

Durlik kiwnął głową. Nie mieli, ale przypuszczał, że kobieta jednak poczeka. Znowu to przeczucie. Podobnie myślał o Strykowskim, no bo dokąd facet w jego sytuacji mógłby się wybrać? Jeśli nie zwiął, to siedzi w chyży.

I zastanawia się, co dalej.

Znał te tereny, to wiele ułatwiało. Chyba mógłby powiedzieć, że jest z nimi związany, co z kolei trochę komplikowało sprawy. Bo sprawy zawsze się komplikują, kiedy w grę wchodzi emocje.

Splunął; zbyt energicznie żuł źdźbło trawy i odgryziony kawałek przykleił się mu do podniebienia. Splunął ponownie, ale kłująca drobina przyczepiła się mocno i w takim miejscu, że nie mógł jej przesunąć językiem. Spróbował znowu, bez efektu.

Zdenerwował się. Ostatnio ciągle chodził zdenerwowany, w tej sytuacji jednak to było normalne – takie napięcie go trzymało.

Źdźbło wciąż tkwiło w gardle. Postanowił zmienić lekko trasę i zejść nad strumień.

Strumień.

Woda to życie.

Ale i śmierć.

Po prostu natura, a natura eliminuje słabszych, zostawia zaś mocniejszych. Z tym się nie dało walczyć, do tego należało się dostosować.

Wolał być w grupie mocniejszych.

Po kilku minutach dotarł nad potok. Lubił tu być, ten szum zawsze go uspokajał. Wszedł na kamienie; wyschnięte, wypłowiałe, choć niedawno jeszcze zalewane wodą. Ci, którzy kiedyś tutaj żyli, pewnie by się zdziwili, jak to teraz wygląda. Zresztą – wszystko by ich zdziwiło – że kiedyś tętniło tu życie, a teraz natura weszła w miejsca wcześniej używane ludziom.

Znowu ta natura. Tak, rządzi wszystkim. No, prawie – on chciał zachować wolność.

Kucnął. Nabrał w dłonie wody. Wziął do ust i je przepłukał. Wypluł. Nie pomogło, trawa wciąż tam była. Powtórzył czynność. Znowu bez efektu. Zaczął się denerwować. Wiedział, że to tylko mały kawałek źdźbła, że się nim nie zakrztusi, nie udusi, ale ciało reagowało inaczej. Może dlatego, że ostatnio jego nerwy były wystawiane na ciężką próbę.

Znowu zanurzył dłonie w potoku. Raz za razem nabierał wody do ust, próbując się pozbyć tego kawałka trawy. Podczas kolejnej próby niechcący wlał sobie trochę wody do nosa. Zakrztusił się, oczy zaczęły mu łzawić. Podniósł się, kilka razy energicznie uderzył się w mostek, wytarł ciekący nos ręką, wypluł wodę.

Wreszcie miejsce w gardle było wolne, pozbył się intruza.

Poczuł, że podczas tego szamotania włożył stopę do strumienia. Woda wlała mu się do buta.

Machnął ręką, było gorąco, szybko wyschnie.

Grunt, że już się nie krztusił.

Pomyślał, że musi zacząć trenować nerwy – przyda się na przyszłość.

Piotr Durlik zaparkował na leśnym parkingu – tym samym, gdzie stawała Marta Strykowska, która – chyba, bo przecież mogła znaleźć lepszą miejscówkę – chciała pozostać niezauważona przez męża. I przez innych. Nie wyszło. A co nie wyszło Marcinowi Strykowskiemu, prócz romansu?

Uchylił lekko obie tylne szyby. Mimo wyczyszczenia tapicerki w samochodzie czuć było niepokojący organiczny zapach. Nie sądził, że rozbite jajka mogą pozostawać tak długo wyczuwalne. Zresztą ślad też był widoczny – zarówno białko, jak i żółtko były dość trudne do usunięcia.

Zamknął drzwi i ruszył do góry. Autem trzeba by podjechać kawałek szosą, skręcić w boczną drogę, przejechać drewniany most i zostawał jeszcze fragment pod sporym kątem. Wolał uniknąć tego podjazdu; był wysypany luźnym tłuczniem, na pewno by mu uciekał spod kół. Terenówka czy SUV dobrze sobie radziły w takich sytuacjach, osobówka – tak sobie. Poza tym miał nadzieję zaskoczyć Strykowskiego.

O ile ten oczywiście był w chyży.

Doszedł do strumienia. Trochę się przeliczył; sądził, że woda będzie płytsza. Tam, gdzie znaleziono ciało Malik, tak było, ale tam też koryto było nasłonecznione, szerokie, a otoczaki na dnie równomiernie rozłożone. Tu panował cień, koryto było dość wąskie i miało kształt rynny.

Zawahał się. Powinien wrócić na parking i pójść tą drugą drogą, ale nie chciał zawracać. Zresztą nie lubił przeżywać porażek swoich planów, nawet jeśli były tak drobne, jak ten.

Spojrzał na strumień. Oceniał, że da radę. Usiadł na porośniętym trawą brzegu i zdjął buty, potem skarpety. Podwinął spodnie maksymalnie, jak się dało, czyli do kolan, i wszedł do wody. Była zimna, cholernie zimna. A kamienie śliskie. Czuł pod stopami wykładzinę z roślin, która była jak lodowisko. Dawno już nie łąził po strumieniu – tyle co usiąść z teściem na brzegu, gdy wpadał na piwo. Kaśka krzyczała na Maćka, żeby nie wbiegał do strumienia, bo trzeba będzie szyć głowę. Uważał, że trochę przesadza; teraz tak nie myślał.

Z trudem dobił do drugiego brzegu. Suchy i cały. Nie było tu jak osuszyć stóp, więc na lekko mokre wsunął skarpety, a potem buty i przeciskając się

przez iglasty młodniak, zaczął się wspinać po zboczu.

SUV w metalicznym zielonym kolorze stał na podjeździe, co, oczywiście, nie musiało o niczym świadczyć. Zauważył jednak, że drzwi do chyży są lekko uchylone. Strykowski wspominał, że się nie domykają. To również nie musiało przesądzać sprawy. Zapukał; nikt nie odpowiedział. Już miał wejść, ale postanowił obejść budynek. Chyżę ustawiono tak, jak zawsze się stawia domy w górach – pokój, w którym się najwięcej przebywa, na godzinę jedenastą, słoneczną. Tu warunki były takie, że wejście do domu wypadało na północnym zachodzie.

Szedł po opasce zrobionej z otoczków, wzdłuż grubych bali. Mimowolnie dotknął jednego dłonią. Pomyślał o tym, do kogo ten budynek wcześniej należał – czy opuścił go dobrowolnie, czy pod przymusem. Gdyby dobrowolnie, toby znaczyło, że był farciarzem; niewielu takich tu się po wojnie ostało.

Skręcił w lewo. I zobaczył Strykowskiego.

Dziennikarz siedział na ławie postawionej pod ścianą. Szeroki pień przecięty na pół. Jaśniejszy od drewna budynku, dużo młodszy.

– Dzień dobry – przywitał się podkomisarz.

Strykowski patrzył na niego; zauważył go od razu, gdy policjant wychynął zza rogu, ale się nie odezwał. Dopiero teraz, z opóźnieniem odpowiedział:

– Średnio. Średnio dobry. Znowu jestem podejrzany?

„Nigdy tak do końca nie przestałeś być”, pomyślał Durlik.

– Kontaktował się pan z żoną?

– Nie. Jeszcze nie. A... pan?

– Naprawdę? Taka historia, z morderstwem, w domu, który należy do rodziny żony – przemilczał fakt zmiany własności – i jeszcze widział pan tu jej auto, o czym powiadomił organy ścigania. I nic?

Strykowski milczał. Durlik nie mógł go rozgryźć. W co on grał? W co oni oboje grali?

– No dobra, niech będzie. Jestem drań, nieodpowiedzialny i jeszcze nie mam odwagi, żeby ponieść konsekwencje. Zadowolony?

Teraz Durlik milczał.

– Też średnio – odezwał się po dłuższej chwili. – Będę zadowolony, jak znajdziemy zabójcę Karoliny Malik. Na dwunastą ma pan wezwanie, przypominam. Może pan odmówić, ale to pan pewnie wie.

Strykowski pokręcił głową. Uśmiechnął się ironicznie.

– Mam się już pakować? Na dwa dni, a może dłużej?

– To chyba nie będzie konieczne. Dokumenty niech pan weźmie. Aha, tym razem może pan prowadzić?

– Mogę. Nie jestem alkoholikiem.

– To dobrze. Każdy plus cieszy. Poczekam na pana przy drzwiach wejściowych.

Odwrócił się i pokonał tę samą drogę, co przed chwilą. Dziennikarz całkiem szybko do niego dołączył. Zmienił T-shirt na koszulę z krótkimi rękawami, wciąż jednak był w crocsach. Zauważył spojrzenie Durlika.

– Kurde, zapomniałem. Na tarasie mam buty. To jeszcze moment.

I znowu zniknął w środku. Tym razem zajęło mu to chwilę dłużej.

– Możemy iść.

Zamknął drzwi, ale zamek nie zaskoczył. Docisnął mocniej, i jeszcze raz, aż trzasnęło.

– Trzeba naprawić. – Durlik zauważył tę oczywistość.

– To już chyba nie będzie mój problem. – Strykowski wzruszył ramionami.

Dopchnął butem drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Durlik przyjrzał się jego adidasom.

Jeden but był zdecydowanie ciemniejszy od drugiego. Wyglądał na mokry.

– Był pan nad rzeką? A raczej w rzece?

– Aaaa. – Dziennikarz machnął ręką. – To też podejrzane? Tak, byłem na miejscu zbrodni, tam, gdzie... – Głos mu uwiązł w gardle. – Potem szedłem i szedłem wzdłuż strumienia, musiałem się zagapić i wpaść. Nawet nie zauważyłem, teraz też mi nie przeszkadza.

Strykowski się mu przyglądał, znów bez jednoznacznego rozpoznania.

– Pan chyba w ogóle lubi naturę, prawda? I wyprawy. Dobrze pan zna te tereny?

– Nieźle. Geograficznie i historycznie.

– Schodzi pan ze szlaków?

Teraz to Strykowski przyglądał się jemu.

– Tak, zdarza się. Niech pan poinformuje inspektorów Magurskiego Parku Narodowego.

Durlik nie skomentował tej uszczypliwości. Pomyślał, że będzie musiał zapytać Tomka o postęp w sprawie kamer. Wieść o morderstwie zaraz się rozejdzie po okolicy, ludzie zaczną gadać, zwłaszcza że tu żadnych innych sensacji nie ma. Jeśli policja nie poradzi sobie z takim bzdetem, jak chuligańska dewastacja kamer, to co będzie z prawdziwą zbrodnią?

Rozdział 7

Kierownica parzyła go w dłonie. Słońce dosięgało tylko części karoserii; w ten obszar wchodziła także lewa połowa kierownicy. Uczucie było przedziwne – pod palcami na zmianę przesuwano mu się gorąca i chłodna skóra. Nie mógł odpędzić od siebie skojarzeń z Karolą – wtedy, tej ostatniej nocy, właśnie taka była: rozgrzana, ze sperlonym potem, szepcząca mu do ucha różne rzeczy. Dlaczego potem się pokłócili? Przecież to nie było nic ważnego, jakieś bzdety, i tak od bzdetu do bzdetu, i pieprznięło, że hej. Dosłownie i w przenośni. Potem się chyba pogodzili, bo jeszcze pamiętał ostatni raz, kiedy się kochali, chyba właśnie na zgodę, ale to wszystko było jak za mgłą. Równie dobrze mógł sobie to zmyślić, przecież wie, jak to działa, kiedy głowa na siłę chce ochronić jej właściciela przed myśleniem o sobie źle.

A potem ona, w strumieniu. Wracała do niego w tym obrazie, już prawie tylko w tym. Kiedy przymykał oczy, widział ją martwą, na kamieniach, oblewaną zimną wodą. Właściwe to było jeszcze gorzej, bo przecież wiedział, że to ona, czuł ból w piersiach, ale Karla miała inną twarz, twarz tej dziewczyny z teledysku *Where the Wild Roses Grow*. Nie mógł sobie przypomnieć jej nazwiska, to była jakaś aktorka, ale zupełnie wyleciało mu z głowy. Bał się odpalić tę piosenkę, żeby to sprawdzić, bo wtedy by się już pewnie od tego widoku nie uwolnił. To Karla mu ją puściła, że taka liryczna i zmysłowa. W sumie była, tylko ten tekst... *On the third day he took me to the river. He showed me the roses and we kissed. And the last thing I heard was a muttered word she stood above me with a rock in his fist.* On zabiera ją nad rzekę. On zanurza się w wodzie. On ściska kamień w pięści. A potem jeszcze: *All beauty must die.*

Wszystko, co piękne, musi umrzeć.

Poczuł, że zaczyna płakać. Znowu. Wcześniej mu się to nie zdarzało, nawet wówczas, gdy urodziły mu się dzieci. Albo dziadek umarł. A teraz łzy spływały mu po twarzy.

Zjechał na pobocze i wyłączył silnik. Przez chwilę siedział bezradnie, a później zaczął walić pięściami w co popadło – w kierownicę, w fotel obok, deskę rozdzielczą.

– Kurwa, kurwa, kurwa! – wyrzucał z siebie raz za razem.

Potrzebował tego, musiał to zrobić. W końcu opadł z sił. Miał mokrą już nie tylko koszulę, lecz także twarz. I poczuł, że pieką go dłonie.

Odchylił górne lustro i zobaczył w nich nieszczęśliwego i cholernie pogubionego faceta.

– Boże – powiedzieli obaj równocześnie.

Nie wierzył, nawet próbował się ostatnio wymiksować z niedzielnych wizyt w kościele, ale Marta go ciągnęła, bo „po co martwić rodziców”. No, teraz to będą zmartwieni na pewno. I może mimo tej swojej religijności każą Marcie go zostawić, a potem załatwią jej rozwód kościelny czy tam unieważnienie ślubu. Później zaś puszczą go w skarpetkach, czyli w sumie z tym samym stanem posiadania, z którym wszedł do ich rodziny.

To byłby koszmar, ale jednak, mimo wszystko, bardziej by go zabolęła utrata żony. On ją właściwie... Kochał. Tak, kochał Martę. Dwie nieporównywalne miłości. „Miłość niejedno ma imię” – wyświechtana fraza, ale prawdziwa. Przynajmniej w przypadku facetów. Co powinien teraz zrobić? Po prostu do niej zadzwonić? Wytłumaczyć, przeprosić, błagać o przebaczenie, powiedzieć jej, żeby zdecydowała za nich oboje? W zasadzie zawsze to robiła. Tak delikatnie, niezauważalnie nim – nimi wszystkimi – sterowała. Taki dom, taki samochód, takie wakacje, taki weekend. Z wdziękiem i subtelnie rozstawiała pionki na planszy. I je przesuwiała. W bok, do przodu, rzadko cofała. Co by zrobiła z pionkiem Karoliny? Zmiotłaby go? Zniszczyła? Przecież to też była sprawa, którą powinien do siebie dopuścić. Marta tu była, na pewno, widział jej auto. Nie chciał tego mówić, powstrzymałby się, gdyby nie poczuł, że grunt mu się

pali pod stopami. A potem, już trochę spokojniej, zaczął się zastanawiać, czy jego żona by mogła...

Była subtelna i krucha, kochała dzieci. Ale pamiętał przecież, jak jeździli do jej dziadków, w okolice Jasła. Gospodarka, pola, zwierzęta hodowlane. Ładna wieś. A później dziadek poprosił ją o pomoc w zabiciu kury. Nie pomogła mu, tylko go po prostu wyręczyła. Strykowski nie był nawiedzony, wiedział, skąd się bierze mięso na stole, lubił je jeść, ale jednak widok ptaka, który jeszcze przed chwilą biegał po podwórku, a teraz w kilku konwulsyjnych ruchach dogorywał na pieńku, a nad nim stojącej Marty z siekierą w dłoni i uśmiechem na ustach, był straszny.

Więc może mogła tu przyjechać, przycząić się, podglądać ich wieczorem, w nocy wyczekiwać, a nad ranem wziąć kamień albo coś innego, co zabrała ze sobą, i po prostu zabić Karłę.

Poczuł, że kręci mu się w głowie i jest mu niedobrze. Wsiadł z samochodu. Zorientował się, że jest w tym samym miejscu, w którym nie tak dawno wysadził go ten policjant.

Zawahał się. Wiedział, że to będzie źle wyglądało, że się spóźni, bo przecież wyruszyli mniej więcej w tym samym czasie. I że ten facet na niego czeka w komisariacie, choć w sumie to nie wiadomo po co zajechał do chyży.

„Bo ci nie ufa”, odpowiedział sam sobie.

A jednak musiał, po prostu musiał się przejść, bo bał się, że zrobi coś złego – komuś albo sobie. Czuł, że jest cholernie spięty. Kwadrans szybkiego marszu i znów wsiadzie do auta. Temu Durlikowi powie, że tankował benzynę. Nie, bez sensu, przecież to można sprawdzić, zresztą najbliższa stacja jest spory kawałek stąd. Powie mu prawdę, i tyle. Prawda jest najlepsza.

Chyba.

Kliknął pilotem i wszedł w wysoką trawę. Wtedy też tędy szedł. Średnio pamiętał tamten powrót do chyży, po prostu ruszył przed siebie, w tę gęstwinię. Było mu wszystko jedno, mógłby się tu nawet zgubić. No, może zgubić to nie, w końcu to Beskid Niski, nie Wysokie Tatry, ale bywa tu

zwodniczo i dziko. Choć miał wtedy wrażenie, że szedł po czyichś śladach, bo trawa łagodnie rozchodziła się na boki, a zbutwiała ściółka w buczynach była miejscami uklepana. A może mu się tylko tak wydawało, bo właściwie to nie chciał umierać; ostatecznie i tak się walczy o życie, choćby chwilowo było raczej beznadziejne.

Przemierzył łąkę, wszedł w zacieniony las. Tak, to chyba było to miejsce, tak mniej więcej. Ruszył przed siebie. Adidasy miękko się zapadały w ziemię. Wilgoć łagodnie go otulała. Poczuł, że natura go wciąga, zasysa, otula. Mógłby tak iść i iść, dalej od tego Durlika, smutku, kłopotów. Było coś w tym miejscu, na tych terenach, co ciągnęło jak magnes.

Początkowo wydawało mu się, że jest cicho, ale kiedy się zatrzymał, zaczął nasłuchiwać. Szумы, świsty, jakieś cykania, kłaskania. Wszystko się komponowało w spójny dźwięk.

Nagle usłyszał coś innego, chyba trzask suchej gałęzi. Serce mu podskoczyło, tak to nie pasowało do tego harmonijnego szumu.

Otworzył oczy i się rozejrzał. Niczego nie dostrzegł – dokoła było monochromatyczne tło. Ten obraz wyglądał jak tekturowe karteluszkі, które okuliści pokazują, żeby sprawdzić wzrok. Gdy się dobrze widzi, to człowiek wyłapuje na nich cyfry. Tutaj było podobnie, ale on niczego nie wyłapał – las wyglądał jak las.

Znowu zamknął oczy. Podniósł głowę. Po chwili zaczął mieć wrażenie, że świat wokół niego zaczyna się lekko kręcić. Robił tak w dzieciństwie, kiedy...

Znowu ten trzask.

Wzdrygnął się i nerwowo rozejrzał. Obraz był lekko rozmyty, bo błędnik przyzwyczajał się do nowego położenia, ale zobaczył go. To. Coś.

Jakiś cień, ciemniejsza plama, ruch między drzewami. Nie było tu aż tak gęsto, bo wybujale buki nie dopuszczają do ziemi zbyt wiele światła, więc podszyt prawie tu nie istniał, a i tak nie mógł się zdecydować, co widział. Zwierzę czy człowieka.

Nie był bojaźliwy, ale ta trudność w identyfikacji go zdziwiła. I jednak lekko przestraszyła.

Bo jeśli to faktycznie nie było zwierzę, tylko człowiek, to może miał jakiś powód, skoro się ukrywał.

Na przykład morderstwo.

Widział, jak Marcin Strykowski podjeżdża pod komisariat. Wsiadł, zamknął drzwi, spojrzał do góry, chwilę postać i ruszył w kierunku wejścia.

Na dole, o czym wiedział, dziennikarz natknie się na sierżanta Białka. Powie, że jest umówiony z komisarzem Piotrem Durlikiem. Tomek wskaże mu drzwi, Strykowski podejdzie i...

– No to...

Durlik obstawiał, że w ogóle się nie odezwie. Po prostu stanie wmurowany i będzie tak tkwił. Pomylił się o dwa wyrazy, reszta się zgadzała.

Marta Strykowska podniosła się, ale od razu usiadła. Znowu wstała, zrobiła krok w stronę męża, przystanęła jednak. Dziennikarz ani drgnął.

– To po to mnie pan zaprosił? – zapytał go w końcu.

W jego tonie nie można było wychwycić żadnej emocji – ani zdziwienia, ani złości, ani buntu.

– Po dodatkowe informacje. Powiedziałem też, że może pan nie skorzystać z zaproszenia. Pani Strykowska otrzymała tę samą informację.

Durlik zastanawiał się, czy dziennikarz wytrzyma nerwowo tę sytuację. Wyglądał słabo, zdecydowanie gorzej niż żona. Jak to pierwsze opinie mogą być nietrafione.

– Proszę... – zaczął, ale nie udało mu się skończyć.

– Wiedziałam. Wszystko wiedziałam.

Strykowska ruszyła w stronę męża.

Durlik zrobił dwa kroki w ich kierunku. Zazdrość i zranione uczucia mogą doprowadzić do jatki. Zresztą może już doprowadziły.

– Czyli konfrontacja? – Strykowski, wciąż nieruchomy, spojrzął na Durlika.

– Jeśli... – zaczął znowu komisarz i znowu bez finału.

Nie był tym jednak zmartwiony.

– Mniej więcej rok, tyle to trwa, prawda? – Kobieta była już blisko męża. Kiwnął głową.

– Trwało – powiedział, zdecydowanie ciszej niż żona.

– Nic jej nie zrobiłam, absolutnie nic. – Strykowska najpierw spojrzała na niego, potem na Durlika.

Obaj milczeli.

– Nie lubiłam jej, więcej – nienawidziłam, ale to przecież zrozumiałe, skoro miała romans z moim mężem, znaczy z tobą. Ale to nie znaczy, że bym mogła... – Pokręciła głową.

– Ja ci wierzę – powiedział Strykowski.

Durlik zastanawiał się, czy to jego prawdziwe przekonanie, czy chęć zapunktowania u żony. Kochanka nie żyła, już nie musiał między nimi wybierać. Teraz jego wybór ograniczał się do powrotu do żony lub rozstania. Życiowe doświadczenie podpowiadało Durlikowi, że dziennikarz wybierze, jeśli oczywiście będzie mógł, pierwszy wariant. Tak czy owak, żadne z nich nie zamierzało obarczyć winą tego drugiego. Co do Strykowskiej, to było jasne – widać, że kocha męża. Mocno, może nawet obsesyjnie. Co do Strykowskiego – najwyraźniej miał pojemne serce. Albo nie miał ochoty na znoszenie prozy życia w pojedynkę.

Strykowska zaczęła płakać.

– Ja bym przecież nie mogła... ja nigdy, nikogo, no przecież wiesz, że ja jestem łagodna, ja tylko chciałam, żebyś wrócił... do domu, do mnie, tak naprawdę. Ja bym ci wybaczyła, wszystko, przecież ja wszystko wiedziałam, że to wychodzenie z telefonem do łazienki, że nocne spacerunki po mieście, to było po to, żeby do niej pisać, dzwonić. Że nie było tych

konferencji czy wyjazdów, tylko ona. I nawet ten raz, kiedy chciałeś sam, że niby odpocząć, chodząc po górach i śpiąc w namiocie, to też była ona. – Rozszlochała się i rzuciła na Strykowskiego. Nie po to jednak, by dać wyraz złości. Objęła go i przylgnęła do niego całą sobą.

Dziennikarz stał sztywno, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała.

– Nie było żadnego namiotu w lesie, mimo że pojechałam ci go kupić w tym sportowym w galerii. I jeszcze śpiwór, taki puchowy, gdyby w nocy było chłodno, bo to przecież był kwiecień, pierwsza połowa – mówiła z nosem wciśniętym w tors męża. – Bo miałam nadzieję, że może jednak tamto się skończyło, że naprawdę jedziesz odpocząć. Przemyśleć wszystko i wrócić. Tak naprawdę wrócić.

Na chwilę oderwała twarz od koszuli męża, na której już zdążyła się zrobić mokra plama. Wyjęła z kieszeni chusteczkę i wytarła nos. Kilka razy głębiej wciągnęła powietrze. Znowu się przytuliła. Tym razem Strykowski delikatnie ją objął.

Durlik patrzył na nich i próbował jakoś zaklasyfikować to, co rozgrywało się przed jego oczami. Na pewno widział silną miłość żony do męża. Zbyt silną, jak na informacje, które miała. On sam był raczej wycofany, jeśli chodzi o ekspresję uczuć, ale Strykowska też nie mieściła się w normie, tyle że była po drugiej stronie skali.

– I pachniesz nią... – powiedziała z zamkniętymi oczami.

Durlik zauważył, że dziennikarz się spał. Jego ręka, która do tej pory delikatnie gładziła plecy żony, teraz się zatrzymała.

– A wtedy, co miałeś z tym namiotem chodzić, to pojechałeś do Lipowca. Z nią. I mieszkaliście w tej agroturystyce, takiej ładnej, co to ci ją kiedyś pokazywałam w Internecie. – Głos się jej załamał.

Durlik pomyślał, że to niesprawiedliwe, że on też się czuje głupio, skoro to nie jego romans i nie jego zdrady.

– I zamiast mnie to jej dałeś bukiet, polny...

– Wtedy również śledziła pani męża?

Spojrzała na niego. Miał wrażenie, jakby dopiero teraz przypomniała sobie, gdzie się znajduje.

– Ja... Tak, no tak... Dziewczynki były u dziadków, ja byłam sama...

Popatrzyła na niego smutnymi oczami. Durlik widział w tym wzroku coś jeszcze – utratę kontaktu z rzeczywistością. Strykowska zostawiała świat realny; jej życie toczyło się wokół męża. Nawet jeśli był nieobecny, to i tak mu towarzyszyła.

– Ale tam... Jak? Tam jest pustkowie, dom na polanie, dużej, nie da się...
– Strykowski urwał. Był zdziwiony i zaniepokojony.

Jego żona się uśmiechnęła.

– Mam swoje metody.

Durlikowi wydało się, że w tym uśmiechu jest jednak coś niepokojącego. Nie pasował do smutnych okoliczności, był też jakiś taki... no właśnie niepokojący.

– Wtedy także jeździła tam pani wieczorem i rano? – zapytał.

– Także? – powtórzył po nim Strykowski. – Dlaczego „także”?

– Bo ostatnim razem, kiedy pańska żona pana śledziła, zjawiła się pod chyzą dwa razy: wieczorem, kiedy pan ją widział, i rano. Gdy jej pan chyba nie widział.

– To ty na mnie doniosłeś? – Kobieta spojrzała na męża.

– Po prostu udzieliłem informacji. Nie mogłem zataić...

– Nie mogłeś zataić... – Tym razem zabrzmiała całkiem normalnie. Normalnie i kpiąco. Odsunęła się od męża. – Tak, byłam rano, już to powiedziałam. Bo nie mam nic do ukrycia. Nic. Powiedziałam panu policjantowi – zerknęła na Durlika – że podjechałam do Krempnej. Zaparkowałam na tym samym parkingu i podeszłam do chyzy. To w końcu mój dom... – Głos się jej lekko załamał, ale się opanowała. – Więc podeszłam, zajrzałam przez okno, zobaczyłam ciebie. I ją. Razem. W łóżku. I wróciłam do samochodu. A potem pojechałam do Gorlic.

Durlik pokiwał głową. Jemu też przedstawiła taką wersję. Jedyna rozbieżność polegała na tym, że twierdziła, że to wszystko zajęło jej mało

czasu, bo czynności wykonywała jedną po drugiej: dojazd, zaparkowanie, podejście do chyży, zajrzenie w okno. O piątej trzy skręcała z głównej drogi w dół. Na miejscu powinna być mniej więcej w pół godziny, może ciut później. Początkowo założyła, że kwadrans przed szóstą. Gdyby rzeczywiście zrobiła wszystko tak, jak to opisała, chwilę po szóstej powinna wyruszyć do domu i w okolicy kamer przy sklepie z alkoholem znaleźć się między wpół do siódmej a siódmą, maksymalnie. Tymczasem fioletowy mini cooper pojawił się na nagraniu o siódmej czterdzieści.

– Tyle że nie od razu. – Teraz uśmiechnął się Durlik.

– Nie, ja już tłumaczyłam. – Popatrzyła na niego jak na dziecko, które upiera się przy swoim.

– Nagranie mówi co innego.

Zamrugła.

– No to nie wiem, może się zamyśliłam albo jednak posiedziałam w aucie. Słabo spałam w nocy, nie była najłatwiejsza.

Spojrzenie, którym obrzuciła teraz męża, należało do klasyki gatunku: to wszystko twoja wina. Durlik był pod wrażeniem liczby i jakości jej środków ekspresji. Pomyślał, że jest albo tak dobrą aktorką, albo tak niestabilna emocjonalnie.

Poczuł wibrowanie telefonu w kieszeni. Na wyświetlaczu zobaczył „Adam Świątek”. Spojrzał na Strykowskiach.

– Za chwilę wrócę.

Niespecjalnie zwrócili na niego uwagę. Strykowski oglądał swojego przemoczonego adidasa, a Strykowska, z zaplecionymi rękami, spoglądała przez okno.

Wyszedł na korytarz, nie zamykając za sobą drzwi, i odebrał połączenie.

– Cześć. Rzecz skończona, możesz przyjechać.

– Tak szybko? – zdziwił się Durlik.

– A co, macie premię od przeciągniętych spraw? – Świątek miał dobry humor. – Nie było innej roboty, sprawa w sumie ciekawa, z tego, co mówiłeś, więc...

– I co masz? – przerwał mu Durlik.

– Wiesz, że lubię wszystko dokładnie opowiedzieć.

Wiedział. Godził się z tym, że każdy patolog i w ogóle wszyscy, którzy wybierają pracę z niezwykłymi, są jakoś pokręcani, więc nie zamierzał dyskutować ze Świątkiem lubiącym szczegółowo i dokładnie przedstawiać wyniki sekcji, ale „w obecności najbardziej zainteresowanego”, czyli denata.

– Dobra, przyjadę niedługo, ale powiedz, czas zgonu się nie zmienił?

– Między piątą a siódmą.

Strykowska się łapała.

– A od czego zginęła?

– Młotek. Mało subtelnie. W ogóle mało subtelne historie ją przed śmiercią spotkały, ale to już na miejscu.

– Będę za jakieś trzy godziny.

Do Rzeszowa jechało się od nich średnio półtorej godziny, musiał jednak jeszcze porozmawiać z Zarębą.

– Ale wiesz co? – zagadnął go uprzejmie Świątek. – Słyszę, że jesteś czegoś smutny. Więc dam ci teraz coś małego.

– No – odparł Durlik. – Słucham.

– A nie, to obraz. Zaraz wyślę, sprawdź. Czekam.

Durlik westchnął.

– Do zobaczenia.

Usłyszał piknięcie. Tym razem telefon poinformował go o nadejściu SMS-a.

Z pokoju zaś dobiegł go podniesiony głos Strykowskiej. Słyszał, że rozmawiają, od pewnego momentu Strykowska zaczęła żywo gestykulować, teraz dołączyła do tego głośniejszy ton.

Przejechał palcem po ekranie.

„Ładowanie obrazu”. Tu też mieli nie najlepszy zasięg. Całe Podkarpackie zresztą miało nie najlepsze połączenie ze światem.

– ...ty wiesz, co ja czułam? Co czuje kobieta, która jest...

W telefonie zaczęło się pojawiać zdjęcie.

W pierwszej chwili Durlik nie wiedział, co ogląda, ale po chwili się zorientował, że skórę. Miejscami posiniaczoną, z wybroczynami i...

– ...zdradzona? Wiesz, jak boli zdrada? Jest jak zadra. Na zawsze!

„Strasznie dużo tych zet”, zdążył pomyśleć, a zdjęcie do końca się załadowało.

Patrzył teraz na fragment ciała nieżywej Malik, na którym ktoś, chyba nożem, wyciął dużą literę Z.

Rozdział 8

– O, to tu. Wtedy nie mogłeś widzieć, bo skóra była zakrwawiona i zabrudzona ziemią, ale teraz wszystko odsłonięte i czyste.

Piotr Durlik patrzył na udo Karoliny Malik. Na jego wewnętrznej stronie, wysoko, niedaleko pachwiny, ktoś wyciął nożem sporych rozmiarów literę Z.

– To specjalnie – powiedział sam do siebie.

– Specjalnie – zgodził się Świątek.

– Popapraniec – odezwał się Mariusz Siuda.

– A kiedy to zrobił? – zapytał Durlik.

– Czas przybliżony do czasu zgonu, żadne procesy gojenia się nie zaczęły.

– Przybliżony... A mogłoby trochę przed?

– Trochę. Troszkę. Tyle że wtedy trudno by było o takie równe cięcie, bo ofiara by nie współpracowała, chyba że byłaby związana, a taka okoliczność się nie zdarzyła.

– Czyli po.

– Postawiłbym kasę na taki wariant.

– Zet. – Durlik wciąż się wpatrywał w ten fragment skóry. – Z czym ci się kojarzy?

– Zorro. I zemsta – odparł Świątek bez wahania.

– Zdrada – dodał Siuda.

Prokurator wyglądał na najmniej zaangażowanego emocjonalnie.

– Właśnie. Mnie też. A co możesz powiedzieć o sposobie, w jaki ktoś tę literę wyciął? Sprawnie, głęboko, szybko? – Podkomisarz nachylił się nad

ciałem.

– Dość głęboko, chyba szybko, całkiem sprawnie.

– Kobieta czy mężczyzna?

– Nie umiem powiedzieć.

– Robił to wcześniej?

– Raczej tak. Techniczna sprawność to jedno, ale druga to jednak podświadomy lęk czy niechęć do krzywdzenia innych, obrzydzenie przed przerwaniem ciągłości tkanek. Tu tego nie było. Może to wynika z zawodowej rutyny, bo to na przykład weterynarz albo rzeźnik. A może psychopata?

– Spory rozrzut... – Durlik się zamyślił. Nie żeby miał nadzieję, że Świętek powie mu, kto jest mordercą, ale że będzie więcej pewników, to owszem. – Biorąc pod uwagę lokalizację, pewnie bym obstawił mężczyznę. Jako formę kary. A może naznaczenia? Taki trwały znak. Pamiętasz, była ta sprawa sutenerów, którzy nie tylko stręczyli dziewczyny, lecz także sami korzystali z ich usług. Tyle że nieodpłatnie i pod przymusem. I jeszcze dodatkowo je znaczyli, tatuowali, a jeden, taki zwyrol, wycinał im swoje inicjały nożem.

– Było coś takiego, fakt. – Świętek pokiwał głową.

– Po dwanaście lat dostali – powiedział Siuda. – Wyjdą i wrócą do bandyterki. Na takich kary nie działają.

– Tyle że w tamtym przypadku chodziło o naznaczenie, żeby nie mogły tego zmyć, cały czas miały to znamię. Tu było pośmiertnie, więc raczej jako przekaz, za co to morderstwo, ta kara.

– Wychodzi, że jakby za zdradę – stwierdził Świętek.

– Jakby za zdradę – powtórzył po nim Durlik.

Prokurator pokiwał głową.

– I właśnie, à propos. Stosunek był, a nawet, sądząc z otarć, niejeden. I na pewno intensywny.

– Pod przymusem?

– Nie.

– Czyli wariant, że ktoś przypadkowy najpierw ją zgwałcił, a potem zabił, niemożliwy?

– Niemożliwy. Materiał biologiczny z pochwy też jednorodny.

– A najważniejsze, czyli narzędzie zbrodni?

– Młotek. Zwyczajny, taki do wbijania gwoździ. Raczej nie nowy, bo trzonek nie był idealnie gładki. Ma też nieładne obrażenie na ramieniu, o tu – Świątek pokazał siną plamę – ale to nie od młotka, tylko od czegoś, co ma zdecydowanie nierówne brzegi, na przykład od kamienia. Zabójcze były uderzenia w głowę, dwa. Obydwa młotkiem.

– Oba potrzebne?

– Tak, jedno mogło nie być śmiertelne. Ale jeśli pytasz z intencją, czy morderca wyładowywał na niej złość, był w furii, to odpowiedź brzmi: nie. To raczej dość metodyczna zbrodnia.

– Czyli jednak wykluczyłbyś zdradzaną żonę?

Świątek się zawahał.

– Nie wiem. Z jednej strony ta precyzja i dość mocne uderzenie, z drugiej... Kobiety się zmieniają. Kiedyś było tak, że raczej zabijały, unikając kontaktu z ciałem, ale może teraz, w dobie równouprawnienia, to się odmieniło. – Uśmiechnął się i poklepał Durlika po plecach.

Mariusz Siuda też się uśmiechnął.

Rzeczywiście, statystyki mówiły, że kobiety wolą „eleganckie” morderstwa, a przemoc stosują wtedy, gdy dojdą do ściany i puszczają im wszelki hamulce – co prawie zawsze dotyczyło męża czy partnera, który latami je gnębił. „Kochankę również by można w to wliczyć”, pomyślał Durlik.

Jadąc do Rzeszowa, rozkładał tę sprawę na czynniki pierwsze, a potem starał się ułożyć z nich obraz z rozwiązaniem. Za każdym razem, choć próbował kilka razy, najwyraźniejszy wychodził mu ten, w którym za morderstwo Malik odpowiadała Marta Strykowska. Coś go jednak powstrzymywało przed przyjęciem tego wariantu. Intuicja. Nie lubił tego

słowa, bo zaliczał je do słownika charakteryzującego kobiety, coś jednak było na rzeczy, tylko nazwałby to inaczej – wszystkie jego dotychczasowe doświadczenia, zawodowe, teoretyczne i praktyczne, przetworzone przez jego mózg bez kontroli, wypływały mu tę podejrzliwość. Wobec Strykowskiego były jeszcze bardziej sceptyczne, i z tym Durlik zgadzał się także świadomie.

– A masz już coś? Jakiś trop? – Z zamyślenia wyrwał go głos Świątkowskiego.

– Żona jej kochanka. Była, oprócz męża, w pobliżu miejsca zbrodni.

– W tę stronę to idzie?

– Szczerze mówiąc, to raczej nie. – Spojrzał na prokuratora.

Mariusz Siuda nie ukrywał zdziwienia.

– Jak to: nie? Żona na miejscu zbrodni, ginie kochanka. To za mało?

– Jeszcze chwilę, panie prokuratorze. – Durlik silił się na spokój.

– No dobra... nie chcesz, to nie mów, rozumiem, ja też wolę milczeć, dopóki nie obrobie ciała. – Świątek nie lubił, gdy atmosfera się zagęszczała, a tak się właśnie działo. Mariusz Siuda z kolei lubił porządek, procedury i dobre tempo. I niedługo przechodził na emeryturę.

Durlik przeniósł spojrzenie z patologa na Karolinę Malik. Właściwie nic nie wiedział o tej kobiecie, a to, co zebrał, pochodziło od innych, nieobiektywnych wobec niej osób. Jej rodzice nie żyli, tak mu przekazał Strykowski, i to była prawda. Rodzeństwa nie miała, jedyna krewna to jakaś ciotka, Strykowski nie wiedział, czy prawdziwa, czy przyszywana, i to w Szwecji. Chwilę jeszcze poleży w chłodni, dopiero potem trafi do ziemi. Chyba że ta ciotka zdecyduje się na kremację. Karolina Malik wciąż jeszcze była ładna mimo siniaków, plam, szwów. Na pewno nie przypuszczała, że skończy na metalowym stole w prosektorium.

– To co, zabieram ją z powrotem? – Świątek się mu przyglądał.

– Tak. – Durlik jeszcze raz, ostatni, przeniósł na nią spojrzenie.

„Dowiem się”, obiecał sobie i jej.

– I?

Zbigniew Zaręba lubił konkret.

– I niewiele więcej. Młotek, dwa razy w głowę, to ją zabiło. Uderzenie kamieniem, ale tu tylko otarcie. No i ten znak.

– Wiesz, co mi jeszcze przyszło do głowy?

Piotr Durlik wracał z Rzeszowa. Od Świątka, mimo jego kompetencji, nie dostał niczego, co by istotnie zaważyło na sprawie. Patolog potwierdził to, co podkomisarz sam przypuszczał. Nowością była ta litera zet.

– Zdzira. – Zaręba wypowiedział to słowo tak, że brzmiało: zyydzira. – Zdrada, zemsta też. Ale to takie mocne. Naładowane złością. Gdyby nie ten Janicki... Nie chcę spalić tej sprawy, ale musisz szukać, drążyć... Siuda do mnie dzwonił.

„Jasne”, pomyślał Durlik.

– Z informacją, że oczekuje na rychłe efekty. Rychłe, tak powiedział.

– Poprosiłem o billingi i SMS-y, może tu coś będzie.

– Może, ale potrzebujemy czegoś jeszcze mocniejszego, rozumiesz? Sprawa się niby układa, bo wiemy, że żona była w okolicy, ale nie mamy żadnego mocnego dowodu...

– Auto trzeba sprawdzić, tego coopera. Może tam są jakieś ślady.

– Trzeba. Tak czy owak, pogadałem z Kościelskim, wiesz.

Jerzy Kościelski był szefem Komendy Powiatowej w Gorlicach.

– Poprosiłem, żeby miał na nią baczenie. Trochę mu było nie w smak, bo Janicki i Jaskólski... No ale się zgodził. Wiesz, patrol kilka razy dziennie przy domu, przy przedszkolu. Niech wie, że ją obserwujemy. Wyjdzie na moje, zobaczysz.

Durlik uznał, że nie ma sensu powtarzać tego, co już mówił.

– Wracasz na komisariat?

– Tak.

– No, to dobrze, pogadamy więcej. A, jeszcze jedno. Już pojechałeś, a ten Strykowski miał dla ciebie coś jeszcze, o czymś chciał powiedzieć, ale nie przekazał, bo... jak on to ujął?... Że to potrzebuje kontekstu, tak, chyba kontekstu.

– Wiesz, dokąd wrócił? Znaczą do Gorlic czy tutaj?

– Tutaj.

– Zadzwoń do niego. Albo może nawet podjadę? Warto by się rozejrzeć po okolicy, może ktoś coś widział, wie? Może ludzie ze straży parku? Może nadleśniczy?

– Idziesz w inną stronę, co?

– Jadę, szefie. Teraz to jadę.

Durlik pokusił się o lekki żart. Coś go wstrzymywało przed tym, żeby podążyć tropem Strykowskiej.

– Dobra, na razie. – Zaręba się rozłączył.

Podkomisarz minął Kombornię. Poczuł, że jest głodny. Zjadłby jakąś chińszczyznę w tym barze w Krośnie. Kawalek by musiał odbić, ale nieduży, a tam szybko karmią. I niedrogo. Potem, już najedzony, mógłby jeszcze pojechać do Krempnej. Wydzwoniłby Janusza, mogliby pójść do tego baru, Drewutni. Dziwna nazwa jak na bar, ale adekwatna, bo ta miejscówka przypominała szopę. Podobno przyjezdni, zwłaszcza wielkomięscy, lubią taki klimat – natura, prostota. A w tej Drewutni to nawet nieudawane, po prostu niskobudżetowa knajpa zbudowana z najłatwiejszego do pozyskania tutaj surowca, czyli drewna. Kiedy zaczęła działać kilka lat temu, Durlik sceptycznie myślał o jej powodzeniu. Po pierwsze, ze względu na ten wystrój, a po drugie, z obawy o klientelę, bo ten kawałek Polski zdecydowanie nie miał cech kurortu. Tymczasem minęły trzy lata, a ona wciąż prosperowała. Zdziwił się kiedyś, przejeżdżając obok niej. W lecie turyści zjeżdżali tu z okolicy, gdzie konkurencja była żadna, a poza sezonem przychodzili pracownicy tartaku, który się rozrastał. Roboty z obróbką drewna było coraz więcej, a rozrywki po niej, żadnej. Tylko ta buda i procenty. Widać właściciel dobrze wszystko obliczył. Durlik, nawet gdyby chciał, nie odniósłby tutaj żadnego sukcesu,

nie nadawał się na przedsiębiorcę. Trzeba było czegoś więcej niż chęci czy umiejętności, jakichś wrodzonych predyspozycji. Genetyka pozwoliła Durlikowi na zostanie policjantem.

Gdy minął Łężany, telefon znowu zadzwonił. Tym razem był to Adam Świątek.

– Zapomniałem ci o czymś powiedzieć – zaczął bez wstępu.

– O ofierze? – Durlik ściszył radio.

– Nie. Znaczy tak, o ofierze, ale nie o tej. Siuda zawsze tak na mnie działa. Paralizująco. Więc jakiś miesiąc temu mieliśmy tu mieć kobietę, też młodą, też zamordowaną.

– Tak? – Durlik się spiął. Nie potrafił sobie przypomnieć podobnej sprawy. – A co to było?

– Kobieta z gór.

„Kobieta z gór”, to pamiętał, oczywiście, zresztą to bardzo świeże, z kwietnia tego roku. Paskudna sprawa, wypadek raczej, ofiary chyba wciąż nie zidentyfikowano, chyba, bo ostatecznie sprawa trafiła do Słowaków. Ciało znaleziono w lesie, na granicy, podobno dosłownie na granicy, pewnie dlatego Świątek powiedział „mieliśmy mieć”.

– To wiem, ale dlaczego mi o tym mówisz? To się jakoś wiąże?

– Nie mam pojęcia. Tyle tylko, że była młoda, było to niedawno i również była pokiereszowana.

– Chyba nie doszacowałeś...

Ofiara, co malowniczo opisał „Fakt”, została rozszarpana przez jakieś zwierzę, najprawdopodobniej niedźwiedzia. Wydźwięk tego, pozał się Boże, artykułu był taki, że tu dzicz i krwiożercze zwierzęta i lepiej ten kawałek Karpat omijać. Najlepiej pojechać w Bieszczady, jakby mało tam było już tych, co wszystko rzucili, a potem się tłoczyli, wchodząc na Połoninę Wetlińską.

– Efekt ostateczny był słaby, fakt, ale pamiętam, że rozmawiałem potem z Bryndzą, tym przewodnikiem, co zabrał dzieciaki w góry. Mieli sprzątać las czy coś równie ekologicznego, a on ich potem wziął w nagrodę do

Kamienia, tego rezerwatu, a jeszcze później mieli iść na grilla do takiej chaty, która jest na terenie parku, no i po drodze... Słabo wyszło, choć to była już ósma klasa, to może się więcej ekscytowali, niż bali, bo gorsze rzeczy w Internecie już widzieli. Zresztą nieważne, chciałem ci tylko powiedzieć, że ten facet jest starym wygą, myśliwym, a powiedział mi, że na jego oko ta kobitka najpierw była nieżywa, a potem ją coś zjadło. I że część obrażeń nie była przez zwierzę zadana. Tyle wiem. Jak chcesz więcej, to z nim pogadaj, mogę ci dać numer.

– Daj – zgodził się Durlik, choć z umiarkowanym entuzjazmem.

Nie czuł tego, za to czuł, że burczy mu w brzuchu.

Świątek się rozłączył, a chwilę później piknął SMS. Durlik postanowił zadzwonić podczas obiadu. Zaraz dojedzie do Miejsca Piastowego, stamtąd to już rzut beretem. Zamówi i pogada. Jeśli dojedzie, bo musiał przyhamować, podobnie jak auta przed nim. Zauważył, że z przodu, kawałek dalej, ciężarówka z balami drewna skutecznie tamuje ruch. Znowu poczuł burczenie w brzuchu. I że zaczyna się złościć. Był mało odporny na głód, to raz, a dwa – nie lubił marnować czasu. Robił się wtedy podenerwowany. Sięgnął po telefon; zadzwoni do tego przewodnika od razu, będzie po sprawie.

Nacisnął numer z SMS-a. Sygnał za sygnałem, w takim tempie, w jakim on się poruszał po tej drodze. Wreszcie ktoś odebrał.

– Bryndza Arkadiusz, słucham.

Facet miał mocny, trochę zachrypnięty głos.

– Piotr Durlik, Komisariat Policji w Dukli. Czy moglibyśmy chwilę porozmawiać?

– No, moglibyśmy. Choć miałem nadzieję, że to ktoś, kto szuka przewodnika.

– Niestety, szukam tylko informacji.

Durlik zauważył, że coś się wreszcie ruszyło na drodze. Ciężarówka skręcała w boczną drogę i zaraz uwolni ruch. Humor od razu mu się poprawił.

– A co pan chce wiedzieć?

– Chciałbym pana zapytać o tę znaną dziewczynę. Tę, którą zaatakowało jakieś zwierzę.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Halo, jest pan tam? – zaniepokoił się Durlik.

Ciężarówka już zniknęła, ruch się upłynął. Za chwilę Miejsce Piastowe i skręt na Krosno.

– Jestem. – Usłyszał.

– To czy mógłby pan...

– Nie bardzo właściwie.

Durlik zdębiał.

– A dlaczego? To ma związek z toczącym się obecnie...

– Wie pan, ile ja miałem takich telefonów? Nawet że policja. Dobrze, że się w porę orientowałem, że to pismaki.

– Rozumiem, ale ja...

– Panie kochany, przez telefon to pan mnie może wszystko próbować wmówić, nawet że królowa angielska do mnie dzwoni. Ale się nie uda.

– Mam do pana numer od Adama Świątka.

– Od Świątka... – Facet się zamyślił.

Piotr Durlik dojeżdżał do skrzyżowania.

– Jeśli tak, to ja panu coś pokażę. W gratisie do tych informacji. Ale po tym, jak zobaczę pana legitymację.

Durlik się wahał. Na następnych światłach mógłby już skręcić do Krosna.

– A pan gdzie jest?

– No jak gdzie? W domu, w Jaśliskach.

Durlik włączył lewy kierunkowskaz i skręcił w dół, na Rymanów.

Umówili się na rynku. Nawet nie musiał go szukać, facet sam do niego podszedł. Cóż, nie było tu wielu radiowozów.

– Dzień dobry! – Wyciągnął rękę. – Nie musi mi już pan pokazywać legitymacji. Bryndza Arkadiusz.

– Piotr Durlik. – Uścisnął mu dłoń.

Facet miał silne palce o lekko zgrubiałej skórze. W ogóle było po nim widać, że często pracuje fizycznie i lubi ruch. Był wysoki, masywny, ale nie gruby. Ogorzały, ubrany w ciuchy moro.

– No, to może gdzieś siądziemy?

– Zjadłbym coś. – Durlik się poddał. Głód dawał mu się we znaki.

– Ekskluzywów nie mamy, ale jest Czeremcha. Chodźmy.

Fakt, ekskluzyw to nie był, ale pierogi z grochem – bardzo dobre. Lokal był przedziwny, jakby przeniesiony z PRL-u. „Choć właściwie PRL nigdy się stąd na dobre nie wyprowadził”, pomyślał Durlik.

– To co pan chce wiedzieć? – Bryndza upił łyk piwa.

– Pan ją znalazł? – Durlik otarł tłuszcz z brody.

Nigdy nie jadł takich pierogów i chyba trochę w życiu stracił.

– No ja. Koszmarny widok. Wiele w życiu widziałem, ale takiej rozpierduchy to nie. Jak zwierzę padnie i drapieżca je rozbebeszy, to natura. Jak upoluje, też natura. Ale tu było... – Zawahał się. – Coś było nie halo. Ona była poszarpana. Twarzy nie miała prawie, kawałek ręki, nogi... Słabo to wyglądało. Dobrze, że dzieciaki były trochę z tyłu. Zmęczone już, teraz to takie bez kondycji, więc odstały. Na Klin je chciałem wziąć...

– Klin?

– Taki szczyt.

– Kiedy to było?

– W kwietniu. W nagrodę, że tak im dobrze poszło sprzątnie, bo mieliśmy sprzątnie lasu i okolic, ale się okazało, że dla nich taka wyprawa

to jak kara. Rozumie pan? Jak kara. – Pokiwał głową i znowu upił piwa. – Więc się wlokły, ja szedłem przodem. Dochodzę pod ten grzybek, znaczy słup ze znakami, i już mam sobie na chwilę usiąść i się napić, kiedy widzę, że coś leży w krzakach. Najpierw myślałem, że to zwalony pień, ale podchodzę bliżej i... No właśnie. Już nie piłem, tylko przez moment próbowałem ogarnąć, co to w ogóle jest. No i ogarnąłem... I pierwsze, co pomyślałem, to że trzeba dzieciaki trzymać od tego z dala. Zbiegłem, mówię nauczycielce, co i jak, wymyślam, że tu młode wilka i nie wolno podchodzić, tylko się cicho wycofać, i że w ogóle już na ten grill idziemy. Ona się trochę roztrzęsła, ale posłuchała. A ja dzwonię. Mówię, co i jak, pytają o dokładne położenie, więc się wracam, dane spisuję, podaję, a oni, że to po słowackiej stronie. I że im przekażą sprawę. Tak było, ja nawet jechałem potem do Svidnika, zeznałem, co widziałem, i tyle. Później się rozpętało, bo my, Polacy, lubimy sensację... – Pokiwał głową i znowu sięgnął po szklanę.

– „Kobieta z gór”, tak pisali. – Durlik też by się napił piwa, ale musiał się zadowolić colą.

– To jakaś złagodzona wersja. „Potwór z Karpat”, „Dzika bestia” i takie tam... Do mnie kilka razy dzwonili, bo się jakoś dowiedzieli, że to ja, i próbowali mnie podejść, żeby coś wyciągnąć, a potem przekręcić moje słowa na swoje. Dlatego byłem sceptyczny. A panu, jeśli mogę zapytać, to po co ta sprawa? Znowu coś takiego? Bo podobno w Krempnej jakieś morderstwo. – Spojrzał na niego czujnie.

– Rozchodzi się.

– Co się ma nie rozejść, jak tu nuda, nuda, nuda. U nas to ludzie żyli filmem, jak kręcili. I remontem, jak był. I tym, że wały robią w polityce. A poza tym nic, cisza, spokój. Nawet w wakacje. Więc jak coś się trafi w martwym sezonie... O, nawet mi się tak powiedziało, w martwym sezonie, to się niesie.

– Mamy sprawę morderstwa, ale z pewnością bez takiej makabry jak tutaj. Tyle że też kobieta, i to młoda. Każdy trop trzeba sprawdzić, dlatego

tu jestem. Czy mógłby mi pan jeszcze opisać ciało, to znaczy obrażenia? Wiem, że to nieprzyjemne, ale może być przydatne.

– Myśliwym byłem, bo teraz to już bardzo rzadko, więc różne rzeczy widziałem. Nieprzyjemne, ale bez przesady, nie jestem wydelikacyony jak ci młodzi chłopcy. Rany były szarpane, z pewnością od drapieżnika. Obrażenia wskazują na niedźwiedzia, choć akurat tutaj ich dawno nie było, no ale to nie przesądza sprawy. Poza tym ona była podrapana inaczej, jakby od gałęzi, jakby się przedzierała przez chaszczę. Nie było widać żadnej śmiertelnej rany, w stylu broń. Ale wie pan, ja to na szybko, bez dotykania, w sumie byłem jednak trochę poruszony. To musiała być młoda kobieta.

– A te inne rany, mógłby pan je dokładniej opisać?

– No opisać... To trudno, nie jestem mocny w opisach, tyle, co powiedziałem. Zresztą to nie była świeża sprawa, to również było widać. Stawiałem na jakieś dwa tygodnie, ale się pomyliłem. Tyle wiem, bo jak byłem w tym Svidniku, to oni gadali, że tydzień, tak między sobą. Na pewno więcej powiedzą, jak się skontaktujecie. I może już wiedzą kto to, bo wtedy nie wiedzieli. Telefonu i dokumentów nie miała, tyle że podobno koszulka z reklamą jakiejś słowackiej firmy.

– Dobra, i tak mi pan pomógł. Dziękuję bardzo. – Durlik się podniósł. Zrobiło mu się sennie po tej porcji jedzenia. Historię tej kobiety sprawdzi, choć szanse, że jest jakoś związana z Malik, oceniał na niewielkie. Dość daleko od Krempnej, raczej Słowaczka. I co by je łączyło?

Bryndza także się podniósł.

– Tak sobie myślę... Tylko żeby pan nie wyciągał pochopnych wniosków. – Sięgnął do kieszeni kamizelki w maskujących barwach i wyjął z niej telefon. – Zrobiłem na wszelki wypadek. – Przejechał palcem po ekranie, potem kilka razy stuknął w szybkę. – O, mam. Niech pan patrzy.

Durlik zerknął mu przez ramię. Bryndza bez słowa podał mu telefon. Na zdjęciu, które podkomisarz miał teraz przed oczami, była kobieta, o której rozmawiali. A właściwie spora część tej kobiety. Ujęcie zrobiono z pewnej odległości, więc Durlik przez chwilę wyławiał wzrokiem jej ciało, tak się zlewało z krajobrazem, zwłaszcza że ofiara miała brązowawe ubrania.

– Są kolejne. Bardziej z bliska – powiedział Bryndza.

Durlik przesunął palcem po ekranie. Rzeczywiście były, sporo. Spojrzał na Bryndzę.

– Pan nie pyta, sam nie wiem, po co je trzymam. Pierwsza myśl, żeby udokumentować, no bo byłem tam pewnie pierwszy. Tu u nas tłoku nie ma, miejscowi się nie pchają, przyjezdni raczej w lecie, jeśli w ogóle.

„Martwy sezon”, przypomniało się Durlikowi.

– Zrobiłem z oddalenia, potem bardziej szczegółowe, gdyby jednak coś się zmieniło do czasu przyjazdu służb. Miałem usunąć, ale... – Wzruszył ramionami. – Ale żeby była jasność: z pismakami nawet słowa nie zamieniłem.

Durlik pokiwał głową. Wierzył mu. A czasy były teraz takie, że wszyscy pstrykali. Każde kolejne zdjęcie pokazywało trochę więcej i trochę bliżej. Kobieta wyglądała nierzeczywiście, jak wielka pacynka, której ktoś użył do trenowania psów obronnych – poszarpana, w podartym ubraniu. Bluza, raczej polarowa, była oderwana na wysokości łokcia – chyba, bo tego fragmentu ciała brakowało. Brakowało też obu nogawek spodni. I sporej części łydki, która wyglądała, jakby była wyjedzona, wyszarpana.

– Jeszcze jest kilka zbliżeń. – Bryndza odchrząknął.

Durlik znowu przesunął palcem po ekranie. Kolejne ujęcie potwierdziło wcześniejsze przypuszczenia. Pierogi w jego brzuchy skamieniały. Zdjęcia wyglądały jak z horroru, gdzie budżet na charakteryzację był całkiem duży.

Ujęcie przedstawiało...

Bryndza trafnie odczytał jego spojrzenie.

– Noga.

Durlik patrzył na podłużny przedmiot w brązowo-zielonym kolorze, który wtapiał się w prawie idealnie kolorystycznie zgrane podłoże.

– To jest ta cała. Dalej – Bryndza przejechał mu palcem przed nosem – jest ta odgryziona.

Durlik widział krągły, dość wąski walec, właściwie nieprzykryty materiałem, kończący się w nierówny sposób.

– Udo.

Durlik kiwnął głową.

– Ona była w spodniach, prawda?

– Tak. Niby już całkiem ciepło, ale do lasu i w tę wilgoć to tylko długie rękawy i nogawki.

– Tam, z ręką, ta bluza czy polar były poszarpane. A tu... – Durlik próbował się dopatrzeć – chyba nie widzę materiału? Tylko trochę na górze?

– Tak, rzeczywiście tak było. Niesymetrycznie to wyglądało: jedna noga cała, druga w połowie i bez spodni. Kawałek tylko, jak w tych szortach, co teraz dziewczyny noszą, posiepane i niczego niezakrywające.

Durlik znowu przeciągnął palcem.

Tym razem widać było już chyba tylko skórę; Bryndza zrobił to ujęcie z bliska, ale było ciut niewyraźne.

– Też udo. Ostatnie zdjęcie. Już nie chciałem pstrykać, dlatego trochę nieostre. Przypadkiem nacisnąłem guzik.

Durlik patrzył na plamiste tło. Domyślił się, że to zbliżenie na udo, bo taka była sekwencja zdjęć; bez tego miałby trudność z identyfikacją części ciała. Brąz, jakieś plamy, może brud, szramy. Powiększył, ale to pogorszyło widok. Obrócił telefon, z pionu na poziom i...

Poczuł, że serce zaczęło mu szybciej bić.

– A to zdjęcie to z jakiej perspektywy pan robił? – zapytał.

– Nie pamiętam, bo tak jak mówiłem, przypadkiem mi wyszło.

Durlik wpatrywał się w ekran. Przed sobą miał coś jakby brudną ścianę przykrytą bezsensownymi, chuligańskimi mazami. Do niczego nie były podobne. Z wyjątkiem jednego.

– Mogę sobie przesłać? – zapytał Bryndzę.

– Pewnie.

Durlik włączył dane komórkowe i załączył wszystkie obrazy. Czuł, że ma wilgotne plecy. Może to nie było nic ważnego, może to w ogóle nie było

nic, ale...

– Ja bym tam mógł pana zabrać. Dziś nie, bo robotę mam, ale w przyszłym tygodniu.

Durlik kiwał głową. Niby sprawdzał, czy ma komplet fotografii, ale przewijał je szybko, żeby dobić do ostatniego. Poruszył aparatem i obraz się przekręcił.

– Pięknie tu, poza wszystkim. Można dojechać dalej, za Jaśliska, do Lipowca.

Durlik drgnął.

– Do Lipowca? Tam, gdzie agroturystyka?

– No, tam. Zna pan? Tanio bardzo to nie jest, ale niech im, bo karmią naprawdę dobrze.

– Kiedy pan był z tymi dzieciakami na wycieczce?

Bryndza trochę się chyba zdziwił tym przeskokiem tematycznym.

– Mówiłem. W kwietniu.

– Tak, ale dokładnie?

– Dokładnie, to bym musiał... – Bryndza podrapał się po głowie. – A, nie, wiem! Bo to przecież było sprzątanie lasu, na Dzień Ziemi.

– Czyli?

Durlik był całkiem ekologiczny, ale nie aż tak, żeby to specjalnie świętować.

– Dwudziestego drugiego kwietnia, wtedy to jest.

„Dwudziestego drugiego”, powtórzył w myślach. Kobieta umarła tydzień wcześniej, tak orzekli Słowacy. Tydzień wcześniej daje piętnastego kwietnia. Połowę kwietnia. W połowie kwietnia Strykowska pojechała za mężem i Karoliną Malik do Lipowca.

Raz jeszcze spojrzął na ekran. Tak, nierówne, ale wyglądało jak Z.

Rozdział 9

Cofnął się.

Czuł, że serce mu szybko bije. Nie może zostać zauważony, nie może. Wszystko będzie dobrze, póki nikt go nie wysledzi. Jeśli ktoś go zauważy, trzeba będzie uciekać.

Powinien przestać wychodzić, żeby zmniejszyć ryzyko, ale nie potrafił, to było silniejsze od niego.

Natura, wszystko tu było naturą, on też. On był z tego świata, nie nadawał się do innego, do tego w dole. Nic go z nim nie łączyło, nie chciał go, ale on sam do niego podchodził.

Zacisnął dłonie na rękojeści noża.

Jeśli ktoś po niego przyjdzie, będzie się bronił, potrafi. Nie da się złapać.

Nóż miękko zagłębił się w karmelową powierzchnię. Docisnął rękojeść i stalowe ostrze zanurkowało jeszcze głębiej, aż usłyszał zgrzyt. Skrzywił się; nie lubił takich dźwięków. Pociągnął rękojeść, srebro znowu w całości załśniło. Przyłożył czubek w miejscu, w którym poprzednio skończył, i znowu pociągnął po błyszczącym karmelu w dół, na skos.

Pogładził dłonią wyryty wzór.

Powierzchnia była gładka, ciepła, miała taki piękny kolor, zupełnie jak skóra Karoli...

Poczuł ścisk w piersiach; dusiło go, dławiło. Nie potrafił się jednak rozplakać, już nie. Żal obrał teraz inny kierunek; kumulował się i zmieniał w złość.

Chwycił nóż i zacisnął pięść na rękojeści. Zaczął uderzać nożem – jak popadło, raz głębiej, raz płycej, pod różnymi kątami. Dźgał tak, aż zaboląła go ręka. Dopiero wtedy oprzytomniał.

Spojrzał na ławkę, na której siedział – karmelowe siedzisko wyglądało jak durszłak, tak było upstrzone nacięciami. Nad nimi widniały dłuższe szramy, które układały się w szlaczek – jakby ciąg połączonych siódemek. To był wzór, który ćwiczył w dzieciństwie, na tych „męskich” wyprawach z ojcem. Dostał od niego finkę, „bo każdy prawdziwy mężczyzna ma nóż”. Ojciec chciał, żeby razem z nim tym nożem opraciał złapane w potoku ryby, ale jemu robiło się niedobrze na widok martwych, pokrytych łuską ciał. Ojciec mówił wtedy, żeby nie był miękki, a on brał ten nóż i rył nim wzory w drewnie – zapalczywie i długo.

Nie tylko zresztą na drewnie wyładowywał swoją złość. Spojrzał na wewnętrzną stronę swojej nogi, na wysokości kostki. Wciąż miał tam bliznę, pewnie do końca życia będzie widoczna. Pewnego razu kaleczenie drewna mu już nie wystarczało, więc przejechał finką po swojej nodze – najpierw lekko, a potem głębiej, aż popłynęła krew. Nie czuł wtedy bólu, tylko ulgę.

A potem się przestraszył, że mógłby sobie zrobić krzywdę, że się zniszczy. Więcej już się nie okaleczał, ale wciąż nie najlepiej radził sobie z emocjami.

Teraz też.

Marta pojechała do domu, bo przecież musiała odebrać dziewczynki z przedszkola. Nie wiedział, w jaki sposób usprawiedliwiła swoją nieobecność, ale pewnie nie miała z tym problemu. Raz, że nigdy do tej pory się jej to nie zdarzało, a dwa, że każdy, w tym dyrektorka przedszkola, wolał dobrze żyć z jedynaczką Jaskólskich.

Jaskólscy... Teść był taki, jak jego ojciec. Macho, samiec alfa, władczy, pewny siebie. Marcin go nie lubił mimo tego, co od niego dostał. Ucieczka do Karoli była nie tylko wielką namiętnością, była także zostawianiem tego wszystkiego, co go uwierało w tym układzie, choć przecież sam w niego wszedł. A wszedł, bo się kiedyś w Marcie zakochał. Dopiero potem,

właściwie nie wiedział jak, tak między jedną córką a drugą, między kolejnymi świętami, wakacjami, spotkaniami w gronie rodzinnym, zawsze zdominowanymi przez seniora, szefa, ojca, Jaskólskiego, poczuł, że znowu wchodzi w taki schemat. I że się udusi.

Pojawiła się Karola, a wraz z nią poczucie, że może zacząć jeszcze raz, lepiej, lżej, bez tamtego bagażu.

A teraz...

Patrzył rano na Martę i było mu jej tak cholernie żal. Czy to jej wina, że nie jest taka jak Karola? Wyzwolona, spontaniczna, pełna luzu? Że jest... w sumie podobna do Marcina?

Kochał ją, naprawdę. Inaczej niż Karolę, bez tego żaru, który spala, ale to też była miłość. I córki kochał. Jeśli odejdzie, to wszystko spieprzy. I nie poradzi już sobie z życiem.

Wbił finkę w ławkę – głęboko, aż poczuł bolesne wibrowanie.

Podniósł się. Musi się spakować i wrócić do domu.

Niewiele z Martą rozmawiali. On, dziennikarz, a słów mu zabrakło. Ona zapytała tylko, czy przyjedzie. Nie zrobiła mu awantury; może tymi wcześniejszymi złośliwościami dała ujście emocjom. Zresztą nigdy nie była specjalnie wylewna. To również pewnie był powód, dla którego się związali.

Teraz mają kolejny – śmierć jego kochanki.

Wahał się, musiał to przed sobą przyznać – był taki moment, że rozważał, czy to nie Marta zabiła Karolinę. Dopuszczał taką myśl do siebie. Ale przecież zastanawiał się też, czy to przypadkiem nie on, skoro prawie nic nie pamiętał...

Teraz był przekonany o niewinności swojej żony. Wierzył jej. Marta mogła ich śledzić, wyobrażać sobie różne rzeczy, może nawet życzyć Karoli śmierci, ale nie mogłaby jej zabić. Zapytał ją o to, gdy się rozstawali w komisariacie. Spojrzała mu w oczy, tak jak dawno temu, i zaprzeczyła.

Pojedzie do domu i spróbuje, spróbują...

Wiedział jednak, że ten policjant, oni wszyscy, bo komendant również, ją podejrzewają. Właściwie to sam im ją podsunął. Na pewno jednak nic nie znaleźli, bo już by ją zgarnęli. Na poszlakach nie utrzymają oskarżenia.

I nie utrzymają go też wtedy, gdy znajdą prawdziwego mordercę.

To jest konieczne, nie tylko ze względu na Martę; on także nie zazna spokoju, póki się nie dowie, kto i dlaczego zabił Karolę.

To była albo jakaś kosmiczna pomyłka, albo coś wnikliwie zaplanowanego, innej opcji nie widział. Jako dziennikarz często miewał przeczucia. Czytał i wyciągał – niepodane – wnioski. Rozmawiał i wyłapywał fakty. Śledził afery, rozbierał na części pierwsze zagmatwane historie. Wydawało mu się, że ma do tego dryg, coś więcej niż tylko umiejętność analitycznego myślenia i sprawnej syntezy.

Tu jednak niewiele czuł. Cholerna i dziwna sprawa, jak to miejsce zresztą. Zawsze go tutaj ciągnęło, działał na niego dramatyzm historii, która się przez te tereny przewalała. Tyle że to było takie teoretyczne przeżywanie – badacza. Potem zaczął tu przyjeżdżać, oglądać, chodzić, dotykać. Coś poczuł – smutek, żal. niesprawiedliwość. Tak ludziom przemeblować życie, po prostu nożem – spojrzął na ławkę, w której wciąż tkwiła jego finka – uciąć wszystko, co mieli od pokoleń: domy, ziemie, zwierzęta, groby, cerkwie, wspomnienia i marzenia.

Nie był przesądny, na pewno nie. A mimo to, wtedy, ostatnim razem, w lesie, czuł się nieswojo.

„Jezu, kurde, przestań”, pomyślał. Zabobon i wyobraźnia.

A jednak wyciągnął nóż z ławki, wsunął go w sfatygowaną skórzaną pochwę i wetknął do tylnej kieszeni spodni.

Zbigniew Zaręba milczał.

– Pokaż – odezwał się w końcu.

Durlik bez słowa odblokował i podał mu telefon.

Komendant powiększył oglądaną fotografię. Wpatrywał się w nią przez chwilę, a potem wziął z blatu biurka jedno zdjęcie.

– Kurde, coś w tym jest. Jakkolwiek absurdalne by się to wydawało, to coś w tym jest. One, te cięcia, są różne, ale to dwa razy zet. To pierwsze, słowackie, wydaje się po prostu...

– Mniej wprawne – powiedział Durlik.

Zastanawiał się nad tym całą drogę. Wtedy, kiedy się wybrał do Lipowca. Bo tam też pojechał. Od tej agroturystyki do miejsca, w którym Bryndza znalazł ciało, było około pięciu kilometrów. Godzina marszu, wcale nie szybkiego i nie forsownego. Zresztą Strykowska nie wyglądała na zniedołężniałą. Tylko po co, do cholery, miałyby zabijać tamtą kobietę?

– Tylko po co, do cholery, miałyby zabijać tamtą kobietę? – Zaręba czytał mu w myślach.

– Teoretyczna odpowiedź jest taka, żeby upozorować serię morderstw, która odwraca uwagę od prawdziwej przyczyny jednego z nich.

– Ta teoria nie wytrzymuje próby życia. Svidnik, tak?

Durlik kiwnął głową.

– Zajmę się tym wątkiem. Zobaczymy, co udało się im ustalić. Nawet gdzieś mi to chodziło po głowie, ale tak wiesz, ciekawostkowo, a potem ruszyły te zmiany na górze i to się zrobiło zupełnie nieistotne. Możesz przyspieszyć te billingi? Bo być może grzebiemy na jakichś peryferiach, a prawda jest inna i jest blisko.

– Mogę spróbować – zgodził się Durlik.

– To spróbuj. Tu przynajmniej będzie jakiś konkret: z kim, po co, dlaczego. Tylko pamiętaj: mecenas Janicki.

Durlik kiwnął głową. „Mecenas Janicki” był jak straszak.

– Dobra, działaj. A taki miałem mieć spokojny tydzień przed urlopem. – Zaręba machnął ręką. – Jak się pokomplikuje, to pierwszy raz w życiu będę musiał z powodu roboty przełożyć wyjazd...

Durlik już prawie się odwrócił, gdy komendant zapytał go jeszcze:

– A gdybyś miał teraz obstawić, to?...

– To obstawiłbym, że ta sprawa nas zadziwi.

Zaręba patrzył na niego.

– Też mam taką obawę.

W barze było pusto, ale co się dziwić, skoro pora była zdecydowanie wczesna – niedawno minęło południe.

Piotr Durlik tęsknie popatrzył na butelki z piwem. Napiłby się zimnego, goryczkowego, chłodzącego. Czasem, zwłaszcza w taki upał, miał ochotę na piwo – nie po prostu na jakieś procenty, które by go miło wyciszyły, a właśnie na piwo. Zamówił jednak colę. Drugą dzisiaj. To wykraczało poza jego umiarkowanie. I mogło, powtarzane, wykroczyć poza testy sprawnościowe.

– Jesteś. – Usłyszał.

Odwrócił się.

Janusz Orzeł. Zadzwoił do niego z pytaniem, czy mogą najpierw spotkać się tutaj. Chciał z nim przez chwilę porozmawiać w mniej oficjalnych warunkach. Nie znali się jakoś superdobrze, bo Janusz również był tutejszy, ale od kilku lat utrzymywali kontakt wystarczająco miły, żeby zaproponować takie spotkanie.

– Dla mnie też. Tam? – Szef ośrodka przeniósł spojrzenie w zacieniony kąt.

– Pasuje. – Durlik włożył szklanekę w szklanekę i ściągnął z blatu dwie butelki ciemnobordowego napoju.

– To co tam słyhać w pracy? – Orzeł wziął pierwszy łyk coli. – Chemia. Ale jaka smaczna.

– Wiesz już, prawda? – Durlik popatrzył na niego.

– Wiem, choć może są tacy, do których jeszcze nie dotarło. Wiem też, że nie wszystko możesz powiedzieć, ale to pewnie tak: sprawa jest lokalna czy przyjezdna? W sensie podejrzanego?

– Szczerze mówiąc, to nie wiem. Jeszcze.

– Czyli to coś trudniejszego? – Orzeł upił kolejny łyk.

Durlik kiwnął głową.

– Pozornie może nie, ale... zobaczymy. A co do tych kamer...

– Daj spokój, to może chwilę poczekać, rozumiem priorytety. Właściwie to spotykamy się pro forma, bo ubezpieczyciel chce zgłoszenia na policję, a my trochę z tym zabałaganiliśmy, znaczy z papierami.

– A wszyscy myślą, że policja i tak umorzy dochodzenie.

Durlik nie chciał, żeby to zabrzmiało ironicznie, ale chyba trochę tak wyszło.

– Nie, przepraszam, jeśli...

Podniósł rękę.

– Źle wyszło, też przepraszam. Chyba jestem trochę zmęczony ostatnimi dniami. Tomek Białek był w Ośrodku, prawda?

– Był. Bardzo energiczny, rzutki. Wypytał o wszystko, obejrzał, przejrzał nagrania...

– I nic.

Orzeł wzruszył ramionami.

– No nic, ale te kamery to nie jest jakaś superjakość, to raz. Dwa, ta boczna obejmuje teren tylko częściowo oświetlony, dalej ciemno, że oko wykol. No i kto by... – Nagle urwał.

Janusz Orzeł to był bystry facet. Konkretny, skupiony, wykształcony. Trudno, żeby nie chciał łączyć kropek.

Piotr Durlik rozłożył ręce.

– Nie wiem. Może tak, a może nie. Każdy trop może mieć znaczenie. Ta pierwsza kamera to kiedy poszła?

– Nie pamiętam dokładnie, ale w kwietniu.

– W połowie może?

Pytając o to, Durlik poczuł znajome mrowienie w palcach.

– Nie, naprawdę nie pamiętam. Sprawdzę.

– Nie ma potrzeby, przecież my to mamy w dokumentach. Po prostu nie zajrzałem przed wyjazdem, a wcześniej...

Cóż, wcześniej też uważałem, że to gówniana sprawa, aż do teraz.

Orzeł pokiwał głową.

– A takie zdarzenie, z kwietnia właśnie, z okolic Jaślisk, również na pewno pamiętasz: turystka zaatakowana w okolicach Klina.

– Pewnie, że pamiętam. Panika się rozpętała, że jakaś bestia ją zjadła.

– A mogła zjeść? Nie bestia, tylko niedźwiedź. Przewodnik, z którym rozmawiałem, mówił, że nie widuje tam niedźwiedzi.

– To nie przesądza sprawy. Na całym Podkarpaciu jest około dwustu miśków. Populacja rośnie. Po wojnie, w latach pięćdziesiątych, to były pojedyncze sztuki. Najwięcej jest ich w Bieszczadach, ale u nas, w Beskidzie Niskim, też są. Łapią się nam czasem w fotopułapki.

– Atakują?

– Śmiertelnie nie. Ale potrafią poturbować. Dużo przypadków dotyczy zbieraczy poroży. Łazą po lesie, kiedy matka opiekuje się młodymi. Najniebezpieczniejszy moment jest wtedy, kiedy opuszcza gawrę, choć nie było przypadku, by zginął człowiek, a młode tak. Bo jeśli jeszcze siedzą w gawrze, to są naprawdę małe. Wystraszona matka może je przenieść w inne, bezpieczniejsze miejsce, ale jest ryzyko, że umrą z wychłodzenia. Były też bliskie spotkania niedźwiedzi z drwalem, który się bronił piłą mechaniczną, kobiety, która zbierała grzyby, ona uciekła na drzewo. Najmocniej poturbowały turystę, który chodził w Masywie Chryszczatej. Poszarpały mu nogi, brzuch, stracił sporo krwi, ale przeżył, sam się nawet dociągnął do zabudowań.

– Czyli nikogo nie zabiły.

– Bo ich intencją jest przestraszenie intruza. Choć nie zawsze. Właśnie w tym roku zdarzył się na Słowacji, pierwszy raz od stu lat, przypadek śmiertelnego ataku niedźwiedzia na człowieka. W Tatrach, w Dolinie Bańskiej. Odludny teren, jakieś pięćdziesiąt kilometrów od naszej granicy.

– A tam, gdzie ta kobieta zginęła, to również by mogły być?

– Mogły. I były. Myśmy się tym, z oczywistych powodów, interesowali. Zresztą całkiem niedawno był u nich, znaczy w słowackiej prasie, artykuł o niedźwiedziach w górach. Było i o niej, tyle że to inny przypadek, bo tu niedźwiedź nie zabił, tylko najprawdopodobniej naruszył już nieżywą. Potraktował jak padlinę. Wcześniej pewnie wkroczył tam jakiś człowiek, ale tego już nie wiem, mnie ta sprawa pod innym kątem interesowała. Zresztą to na pewno sprawdzicie.

– Tak. – Durlik pokiwał głową.

Kiedy wracał do komisariatu, minął go SUV prowadzony przez Strykowskiego. Pomyślał, że dziennikarz jedzie do domu. I że nie chciałby być na jego miejscu. Choć bardziej by nie chciał znaleźć się w położeniu Marty Strykowskiej.

A najmniej Karoliny Malickiej.

Rozdział 10

„No proszę”, pomyślał, wpatrując się w ekran monitora.

Do tej pory wydawało mu się, że Marta Strykowska najczęstszy kontakt będzie utrzymywać z mężem. No, może rodzice mogliby zagrozić tej pozycji. A tu – zdziwienie. Na pierwszym miejscu – i ze względu na liczbę rozmów, i wysłanych SMS-ów – znajdował się inny numer.

Jolanta Nowik. Równolatka Marty Strykowskiej, też z Gorlic. Pracowała w Miejskiej Bibliotece Publicznej.

Ostatni raz Strykowska kontaktowała się z nią w piątek – od tamtej pory cisza.

Durlik wybrał numer. Kobieta odebrała dopiero po dłuższej chwili.

– Halo? – Usłyszał lekko zdyszany, jak mu się wydawało, głos.

– Dzień dobry, podkomisarz Piotr Durlik z Komisariatu Policji w Dukli. Rozmawiam z Jolantą Nowik?

– Tak. Dzień dobry.

Obstawiał, że będzie zdziwiona, a usłyszał w jej głosie tylko lekkie zawahanie.

– Chciałbym się z panią spotkać i zadać pani kilka pytań. Moglibyśmy dziś?

– Tak, oczywiście.

– A gdzie?

– W pracy, myślę, że tak najlepiej. Proszę wejść do biblioteki i dać znać, że pan już jest, to do pana zejdę.

O nic go nie zapytała, nawet się nie zająknęła. Pomyślał, że jest albo bardzo opanowana, albo bardzo wystraszona.

Prawda leżała pośrodku.

– O Marcie Strykowskiej? – Teraz Jolanta Nowik była tak zdziwiona, że prawie jej uwierzył. – Sądziłam, że pan przyjechał tu w sprawie kradzieży.

– Kradzieży? – Dla odmiany to on się zdziwił.

– Zgłaszaliśmy w zeszłym tygodniu. Zginęła torba z laptopem, telefonem, portfelem. Doktorantka z Rzeszowa zbierała u nas materiały do pracy i taka historia. Taki wstyd. Na kilka minut wyszła z czytelni, a po powrocie już nie zastała swoich rzeczy. Pani kustosz od razu zadzwoniła na policję, myślałam, że to o to chodzi, zwłaszcza że pani kustosz ma teraz kilka dni wolnego, ja ją zastępuję i...

Uśmiechnęła się, ale wyglądała na mocno zawiedzioną.

– Nie, to nie ta sprawa. Zresztą ja jestem z Dukli.

– Tak, usłyszałam, ale pomyślałam, że... No ale to już bez znaczenia. To w takim razie dlaczego chce pan ze mną rozmawiać?

Zobaczył, że lekko się przestraszyła. Jednak na każdego tak działała policja. Czy to wynikało z charakteru Polaków, czy raczej z charakteru polskiej policji?

– Zna pani Martę Strykowską?

– Znam.

– Jak dobrze?

– Bardzo dobrze. To moja przyjaciółka. Czy coś się jej stało?

Teraz bibliotekarka była naprawdę przestraszona.

– Nie. Wręcz przeciwnie. – Patrzył na nią. – Choć przyjechałem tu w sprawie morderstwa.

Jolanta Nowik lekko zbladła, co o niczym nie przesądzało, mało kogo morderstwa usposabiały pogodnie.

– Karoliny Malik.

A jednak. Różnica była ogromna. O ile wcześniej z twarzy bibliotekarki zniknęła naturalna różowość policzków, o tyle teraz jej skóra miała odcień

świeżo wyremontowanej fasady biblioteki – kredowy.

– Ja... – Pokręciła głową, rozłożyła ręce w geście bezradności.

– To chyba nie jest dobre miejsce na rozmowę. – Rozejrzał się po holu. – Możemy gdzieś usiąść?

– Wolałabym, jeśli to nie problem, gdzieś na zewnątrz. Ludzie będą potem... ludzie zawsze... Rozumie pan?

Kiwnął głową. Nie zamierzał być zbyt służbiście.

– Wezmę tylko torebkę i zaraz wrócę.

Przemknęło mu przez głowę, że może jednak nie wrócić, ale to by był bardzo krótki zryw. I faktycznie – po kilku minutach znowu się pojawiła.

Usiedli w kącie kawiarni. Durlik wolałby stolik na zewnątrz, gdzie był miły, chłodny przewiew, ale ona zaproponowała to najmniej wyeksponowane miejsce. Rozumiał. W porównaniu z Duklą Gorlice były jak metropolia, ale i tak zapewne co chwila mijałby ich ktoś, kto zna Jolantę Nowik.

– Kiedy ostatni raz miała pani kontakt z Martą Stryjrowską?

Chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. Nerwowo pocierała palcem brzeg szklanki. Durlik zapytał, czego by się chciała napić, a ona bez wahania wybrała wodę. W sumie pasowała do niej. Jolanta Nowik była ładna – szczupła, jasnowłosa, i, o ile się na tym znał, w naturalny sposób. W ogóle cała była taka naturalna. W lnianej sukience, prostej, z drewnianą biżuterią. To wszystko jednak było fajne – nie jak ze skansenu, a raczej jak z jakiejś galerii. Zupełnie do siebie nie pasowały z Martą Stryjrowską.

– Dzwoniła pani do niej teraz? Kiedy szła pani po torebkę?

Spojrzała na niego. Kiwnęła głową.

– To moja przyjaciółka... – Bezradnie rozłożyła ręce.

– Odebrała?

– Nie. Nie odebrała. – Pokręciła głową. Chyba z ulgą.

– A wcześniej kiedy pani miała z nią kontakt?

– W czwartek.

– Dzwoniła?

– Widziałyśmy się.

– Gdzie?

– Tutaj. – Rozejrzała się po niedużej sali. – Ja mam tu blisko, mogę wyskoczyć w czasie przerwy.

Fakt, przejście z biblioteki do tej kawiarni zajęło im ze dwie minuty.

– On też się z nią tu spotykał – dodała.

Patrzyła na niego, nie uciekała wzrokiem.

– On? Strykowski? Z Malik?

Kiwnęła głową.

– Widzi pan, to ja... Ja jej o tym powiedziałam. To było w zeszłym roku, też na wiosnę. Już po majówce. Poszłam do Urzędu Miasta, to kawałek dalej, przy Rynku. Odebrałam papiery, wracam, skręciłam w prawo, weszłam w te podcienia i zobaczyłam Marcina. I nawet miałam podejść, ale się zorientowałam, że on nie jest sam, bo kobieta, która szła obok niego, odwróciła się w jego stronę i go pocałowała. Wcześniej w ogóle nie myślałam, że on jest z kimś, po prostu szli blisko siebie i tyle. Zresztą mnie się Marcin tylko z Martą kojarzył. A tu...

– Powiedziała jej pani o tym?

– Tak. Ale długo się wahałam. Jedno słowo może mieć czasem koszarne konsekwencje. Jestem bibliotekarką, wiem, co słowa mogą zrobić z ludźmi.

Umilkła. Durlik był przekonany, że właśnie o tych konsekwencjach myśli. O martwej Karolinie Malik.

– Jak zareagowała?

– No a jak miała zareagować? – Nowik trochę się uniosła, ale szybko się opanowała. – Ukochany mąż, dwie córeczki, piękny dom, stabilizacja, pełnia szczęścia i coś takiego...

– Widać jednak bez tej pełni, skoro zdradzał żonę.

– Nie będę się wypowiadać, nie jestem zamężna. W Warszawie pewnie bym była singielką, tu jestem starą panną. W każdym razie nie mam takich doświadczeń, ale z boku wyglądali na szczęśliwych. Zresztą Marcin to miły człowiek, kilka razy spotkaliśmy się w bibliotece, bo prosił mnie o pomoc w zdobyciu jakichś materiałów.

– Książki nie mówią, że to mogą być pozory?

Było w tej kobiecie coś, co dobrze go do niej usposabiało. Jakiś spokój. Dlatego nie był ironiczny, chciał ją raczej choć na chwilę odstresować.

Mimowolnie się uśmiechnęła, ale natychmiast zgasła.

– Mówią. Marta już później mi powiedziała, że ona się czegoś domyślała, bo Marcin zrobił się inny. To chyba zawsze czuć, jak ludzie są ze sobą blisko, a oni byli. Naprawdę byli.

– Rozmawialiście potem o tej sprawie? O tej kobiecie?

Widział, że bibliotekarka się waha. Nie zamierzał jej straszyć, tylko pomóc w podjęciu decyzji – jedynej słusznej.

– Dziś dostałem billingi z telefonu pani przyjaciółki. Dlatego rozmawiamy. Jeśli teraz nie poznam faktów, wrócę z nakazem po telefon. Jeżeli wykasuje pani połączenia i wiadomości, to i tak je odzyskamy.

Blefował. Miał już wszystko, co mógł mieć.

– Co się stało tej kobiecie? Tej historyczce? – zapytała cicho.

Może chciała odwrócić jego uwagę, a może naprawdę nie wiedziała i coraz trudniej znosiła napięcie, jakie towarzyszyło tej rozmowie.

– Widzę, że sporo pani o niej wie – odpowiedział.

– W sumie tylko tyle, że jest historyczką, z Krakowa. I bardzo ładną, efektowną kobietą.

– I że nie żyje. Została zamordowana. Bardzo blisko chyży, która należy do pani przyjaciółki.

Bibliotekarka niechący potrąciła szklankę. Ta się zachybotowała, ale Durlik zdążył ją złapać. Ponieważ kobieta wciąż milczała, ciągnął:

– Zginęła w sobotę rano. I akurat tego dnia pani Strykowska była w Krempnej. W tym miejscu. O tej godzinie.

Nowik złożyła dłonie i pocierała nimi o siebie. Już nie potrafiła ukryć, jak bardzo jest zdenerwowana.

– Ja nic o tym nie wiem, to znaczy o tym wyjeździe. Marta mi tylko mówiła, że musi odpocząć w samotności. Żeby pomyśleć, zastanowić się... Ale ona chciała się w końcu rozmówić z Marcinem, o to chodziło, ona by nigdy nikogo nie skrzywdziła. My się znamy od przedszkola, całe życie. Ja bym sobie dała za nią rękę uciąć.

Durlikowi przypomniało się zdjęcie tej biednej dziewczyn znalezionej w okolicy Klina. Bez ręki właśnie.

– Czyli nie mówiła pani o wyjeździe do chyży?

– Nie.

– I nie wiedziała pani o śmierci Karoliny Malik?

– Nie.

– A utrzymywała pani ostatnio kontakt z Marcinem Strykowskim?

– Nie.

– Czy mógłbym obejrzeć pani telefon? Oczywiście może pani odmówić.

Powiedział to tonem, który zamienił to zdanie w komunikat o całkiem odmiennym znaczeniu. Widział, że się waha – między lojalnością wobec przyjaciółki a obywatelską uczciwością oraz pewnie lękiem przed konsekwencjami. Stawiał na ten drugi zestaw; w Jolancie Nowik była jakaś prostota, taka podstawowa uczciwość.

Nie pomylił się. Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej telefon. Biały, bez żadnej obudowy. Czysty i niezniszczony.

Wyciągnęła do niego rękę, ale zatrzymała ją w połowie drogi. Mocno ścisnęła aparat.

– Znowu jako bibliotekarka panu to powiem, ale przecież pan to wie – mówi się różne rzeczy, w złości, gniewie, w emocjach. Ale to nie znaczy, że się tak naprawdę myśli lub że tak by się zrobiło. To są słowa, po prostu słowa...

Rozluźniła dłoń i palcami drugiej wstukała kod.

Wziął od niej telefon. Kliknął w połączenia. „Martusia”. Lista spora, jak na billingu. Rozmowy zwykle dość długie, średnio po kilkanaście minut. Wszedł w wiadomości. Tych też było dużo, i o tym również wiedział, ale teraz mógł poznać ich treść.

„Nienawidzę jej. Jak można być taką zdzirą?”

„Zyydzira”, przypomniały mu się słowa Zaręby.

„Spotka ją za to kara. Sprawiedliwa”.

„Chciałabym, żeby zniknęła. Wyobrażam sobie, jak znika na zawsze. To mnie opętało. Gdyby tak się stało, już niczego bym nie chciała od życia. Czasem sobie wyobrażam, jak...”

To była ostatnia wiadomość, wysłana dzień przed śmiercią Karoliny Malik.

Durlik spojrział na Justynę Nowik. Nic nie mówiła, płakała.

– Dla mnie to dość. Czekasz, aż się przyzna? – Komendant Zbigniew Zaręba chodził po pokoju. – W cholerę, w taką pogodę otwierać okno, to jakby miasto chłodzić. – Zatrzasnął okiennice. Jego pokój miał południową wystawę i był najcieplejszym pomieszczeniem w budynku. – Wiedziała o romansie. Była na miejscu zbrodni. Mamy nagranie z tej kamery ze Żmigrodu. Mamy SMS-y. Mamy zeznanie męża. Mamy potwierdzenie od Słowaków, że ich ofiara zginęła od uderzenia jakimś tępym narzędziem. – Zbigniew Zaręba wrócił ze Svidnika z pakietem informacji: ofiara była Słowaczką, studentką biologii i zapaloną turystką. Samotnie wybrała się na kilka dni w góry. Tam ktoś ją zaatakował, zabił i zabrał telefon oraz dokumenty. Resztą zajęły się zwierzęta. – I jeszcze ten znak na udzie.

– Brzmi niepokojąco podobnie, ale próbuję sobie wyobrazić Stryjkowską, jak morduje obcą dziewczynę. Zupełnie niewinną. To znaczy Malik też była niewinna, ale tu by zagrały emocje, one by mogły doprowadzić zdradzaną żonę do takiego stanu. Ale z młotkiem czy tam

czymś innym na tę turystkę? – Durlik miał wątpliwości. Po zabójstwie Malik mniejsze, ale teraz, po tym słowackim, się nasiliły.

– Wiesz, co im wyszło? – Komendant chodził po pokoju. – Że nogawkę z nogi, na której była zetka, ktoś specjalnie rozciął. Nożem przedarł materiał, żeby odsłonić udo, i wyrzezał tę literę. Fakt, mniej udolnie niż u Malik, ale to nie może być przypadek. Nie może. Więc jeśli nie mamy innego podejrzanego, a nie mamy, bo Strykowski raczej się nie wysuwa na pierwszy plan, no chyba że uznamy, że to on morduje młode kobiety, w tym tę, w której był zakochany, to zostaje nam Marta Strykowska.

Przystanął zaspany. „Upał naprawdę źle na niego działa. Albo myśl o odwołaniu wyjazdu, który był prezentem dla żony na dwudziestopięcioletnie ślubu”, pomyślał Durlik.

– Siuda się przychyła.

„Siuda chce odfajkować”, pomyślał Durlik. Był lekko uprzedzony do prokuratora, ale miał swoje powody. Facet był, według niego, gorliwy i dokładny, tyle że zawsze chciał wszystko jak najszybciej zaliczyć. Do tej pory ten system się sprawdzał.

– Mecenase Janicki. – Zaręba spojrział na podkomisarza. – Więc wszystko musi być dopilnowane. Przeszukanie domu i ogrodu. Sprawdźcie też auto. Drobiazgowo, bo zawsze jest jakiś ślad, zawsze. Zwłaszcza w zabójstwach w afekcie.

Afekt. Amor. Durlik przypomniał sobie napis na budynku, w którym pracowała Jolanta Nowik. *Amor librorum nos unit*. Ten *amor* go zdziwił; tyle kojarzył z łaciny i zupełnie mu to nie pasowało do miejsca. Całość, bo sprawdził, znaczyła: łączy nas miłość do książek.

Co łączyło te dwa morderstwa, Malik i słowackiej turystki?

Rozdział 11

Było sucho, bardzo sucho. Niżej, gdzie rosły buki – nie, ale tu, między iglakami, ściółka wyschła na wiór. Każdy krok oznaczał jakiś trzask, złamaną gałązkę, skrzypnięcie. Do tej pory udawało mu się poruszać bezszelestnie. Umiał tak chodzić i dzięki temu mógł robić to, co robi. Ona co prawda...

Coś go zakłuło w środku; ostatnio to się zdarzało częściej. Lęk, żal, złość – wszystko to się w tym kluciu mieszało. Więc ona mówiła, żeby nie, że nie powinien, że teraz musi uważać, nie wychodzić. I nie robić tego, co robi.

Ale on nie mógł. Po prostu nie mógł, bo to było silniejsze od niego.

Świst, ruch, cień. Jeden celny ruch ręką i się udało. Znowu się udało.

Podszedł do ofiary. Uklęknął przy niej i dotknął ciepłego jeszcze ciała.

A potem wyjął nóż.

– Błąd, cholerny błąd. Robicie cholerny błąd, rozumie pan? – Marcin Strykowski obiecywał sobie, że zachowa spokój, po prostu spokojnie wyłoży wszystkie argumenty i...

„Czego oczekiwałaś?”, zapytał w myślach faceta stojącego naprzeciwko. Byli podobni, tyle że tamten miał kilkuniedniowy, nieszczególnie atrakcyjny zarost, potargane, nieumyte włosy, podkrążone oczy, wymięty podkoszulek. Wyglądał łajzowato, może jeszcze nie jak kloszard, ale był na dobrej drodze do tego stanu. No i ten bordowiejący siniak na czole i policzku.

Odwrócił się od lustra. Nie mógł na siebie patrzeć.

– Sprawa jest w toku...

I do tego ten Durlik. Strykowskiemu wydawało się, że policjant też nie wierzył w winę Marty, że szuka kogoś innego, prawdziwego mordercy, tymczasem on przyjechał tu z nakazem aresztowania, a Strykowski musiał patrzeć, jak jego żona się pakuje. Nic nie mówi, po prostu zabiera to, co ten gliniarz wymienia, wkłada do torby, potem podchodzi do niego, całuje go, mówi: „Kocham cię. Nie ja ją zabiłam”, i pozwala się im zabrać do aresztu. A Strykowski zostaje w domu sam, bo Marta wcześniej zawiozła dzieci do rodziców. Nawet nie wiedział, co i jak im powiedziała, tyle tylko, że jakoś musiała zapowiedzieć swoją nieobecność, bo potem w drzwiach stanął jej ojciec i...

Dotknął policzka. Bolało, naprawdę bolało. Strykowski nigdy się z nikim nie bił, nawet w szkole. Nie lubił tego, nie rozumiał takiego sposobu załatwiania porachunków. Wierzył, że wszystko da się przegadać, omówić. Pewnie dlatego poszedł na dziennikarstwo.

Ojciec był zawiedziony, no ale to była stała w jego relacji z synem. I akurat z nim Marcinowi dogadywanie się nigdy nie wychodziło. Z teściem, do tej pory – tak. A teraz stanął w drzwiach, popatrzył na niego, powiedział: „Za moją córkę” i wziął zamach. Strykowski się przewrócił, bo nie był na to przygotowany, zresztą teść był wielkim facetem z krzepą. Popatrzył na niego i dodał: „Dziewczynki na razie zostaną u nas. Nie przyjeżdżaj, bo znowu ci gębę obję”.

Więc Strykowski nie pojechał. Na piechotę wybrał się do monopolowego, kilkadziesiąt metrów od domu.

To było dwa dni temu, a teraz, kiedy się wreszcie dobudził i trochę oprzytomniał, zadzwonił do tego Durlika. Po to, żeby mu wszystko spokojnie wytłumaczyć i przekonać go siłą argumentów. Tyle że ani nie był spokojny, ani nie miał argumentów.

– Sprawa jest w toku. Badamy wszystkie wątki. Sprawdzamy auto pańskiej żony, na jutro zaplanowaliśmy przeszukanie domu, przy okazji informuję, bo pan jest tam zameldowany.

Zameldowany. Do tego teraz ograniczała się jego życiowa rola – do bycia zameldowanym w tym domu.

– Zresztą mecenas Janicki ma kompletną wiedzę.

Mecenas Janicki, kumpel teścia. Ciekawe, czy Marta go sama wybrała, czy rodzice jej go nadali. Na pewno oni, przecież ona nie miała prawniczych znajomości, nie były jej potrzebne do tej pory.

– Kurwa! – jęknął.

– Słucham? – Durlik wciąż był po drugiej stronie.

– Nie, ja nic... Gdzie ona jest?

Nawet tego nie wiedział.

– W Rzeszowie.

– Można się z nią widywać?

– Pan nie. Ryzyko matactwa.

– Ale... – zaczął i urwał. Nijak nie potrafił zebrać myśli, zresztą kogo i jak chciał przekonać? Czym? Co miał w zanadrzu?

– Chciałem jeszcze z panem porozmawiać, pamięta pan naszą ostatnią rozmowę?

Nie pamiętał. Tyle tylko, że ten facet tu był i zabierał jego żonę. Matkę jego dzieci. Coś mówił, ale Strykowski wyłączył fonię, skupił się tylko na wizji, jakby chciał za wszelką cenę zarejestrować każdy ruch Marty, dopóki była w domu.

– Tak. Nie. Nie bardzo.

– Jest nowy wątek w sprawie. Jak pan... będzie już mógł, niech pan przyjedzie na komisariat. Lepiej wcześniej chuchnąć w alkomat, dziś koledzy prowadzą akcję trzeźwości.

Nie mieszał pracy i domu. No, ostatnio tak, bo w końcu powiedział Kaśce o zatrzymaniu Marty Strykowskiej. Katarzyna Durlik była jedną z najbardziej racjonalnych osób, jakie znał. Spokojna i opanowana. I była zdziwiona tym posunięciem. „Marta?”, zapytała takim tonem, jakby ją poinformował, że w ich kuchni wylądowali kosmici.

Wsączyło to w niego strużkę niepokoju. Dobra, oszukiwał się. Ta strużka już tam była. Racjonalnie przyjmował argumenty, widział fakty, analizował. I za każdym razem padało na Martę Strykowską. Ale...

Popatrzył na Marcina Strykowskiego. Tydzień, a facet wyglądał na dziesięć lat starszego. Widać, że pił. Że sobie nie radził z życiem. Wcześniej chyba też nie najlepiej mu szło, skoro się władował w taką historię. Czegoś mu brakowało, i chyba nie chodziło wyłącznie o seks.

– Jakiś spór? – Popatrzył na policzek dziennikarza.

Strykowski przejechał dłonią po fioletowym placku.

– Siła argumentów. Teść – dodał po chwili.

– Chce pan wnieść... – nie udało mu się skończyć.

– Nie, nie! – Strykowski zamachał rękami. – Sam bym tak zrobił mężowi mojej córki, gdyby...

Durlik odczekał chwilę. Nie przytaknął, nie miał ochoty pogłębiać go jeszcze bardziej.

– Kiedy był pan w Lipowcu razem z Karoliną Malik, chodził pan go górach?

Strykowski spojrzał na niego.

– Nie. Miałem cały ekwipunek, namiot, śpiwór, buty, ale... Ale to było pro forma, bo przecież nie pojechałem sam, tylko z Karłą. Trzy dni, spędziliśmy je głównie w pokoju. I przy domu, na werandzie, na leżakach. Z wycieczek byliśmy w Jaśliskach ze względu na film, który tam kręcili. I tyle.

– Wie pan, gdzie jest Klin?

– Klin? W jakim sensie? Klina to ja bym dzisiaj potrzebowałem. – Dziennikarz sięgnął po butelkę wody, którą ze sobą przyniósł.

– Klin, taki szczyt. Kilka kilometrów od Lipowca. W kwietniu znaleziono tam zwłoki.

Strykowski popatrzył na niego.

– Zwłoki? – zapytał ostrożnie.

– Kobieta, turystka. Ze Słowacji. Zaatakowana przez niedźwiedzia.

– Tak, było coś takiego, pamiętam. Ale co to ma wspólnego z Karolą?
I z Martą?

– Ta kobieta została zamordowana.

– A niedźwiedź? To nie niedźwiedź ją zaatakował?

– To wtórne. Zginęła w tym czasie, w którym był pan tam z panią Malik.
I kiedy, co sama przyznała, była tam pana żona.

Strykowski patrzył na niego szczerze zdezorientowany.

– Taki przypadek – dodał Durlik. Intencyjnie.

Doczekał się reakcji, całkiem mocnej.

– Ale to przecież! – Strykowski poderwał się od stołu. – Pan chyba?...
Absurd, no co za absurd! – Walnął pięścią w stół, aż przewrócił butelkę.

– Niech pan usiądzie. – Durlik odchrząknął.

Drzwi do pokoju się otworzyły i stanął w nich Tomasz Białek.

– Jest okej. – Durlik kiwnął głową. – Dzięki – dodał, bo sierzant się nie wycofał. Dopiero po tym tekście zamknął za sobą drzwi.

Marcin Strykowski usiadł. Durlik pomyślał, że jeszcze kilka dni i facet
zrobi coś takiego, za co trzeba go będzie zamknąć.

– Kobieta została zamordowana w podobny sposób. I w podobny sposób
okaleczona.

– Okaleczona? Karla była okaleczona? Jak? Czy ktoś ją?...

Strykowski tym razem przechylił się w jego stronę, aż Durlik poczuł
zapach dobrej wody kolońskiej nieskutecznie maskujący mało zdrowy
oddech dziennikarza.

Jeśli potraktować tę reakcję jako test, to Strykowski go zdał – wyglądało
na to, że nie miał pojęcia o literze zet.

– Obrażenie zewnętrzne. Bez podtekstu i czynności seksualnej. Tyle
mogę powiedzieć. Reszta dla dobra śledztwa nie może być ujawniona.

– Pan uważa, że Marta by tak mogła? Chodzić po lesie i zabijać kobiety?
A potem je okaleczać? Przecież to na kilometr jedzie jakimś wariatem.

Popaprańcem. Kimś, kto... – Pogubił się. Bolała go głowa, wciąż męczył go kac, źle mu się myślało. Czuł się przyparty do muru, przestraszony, niepokój siedział mu na karku, trochę jak wtedy... – A dlaczego nie szukacie kogoś innego? No właśnie według takiego klucza? Że to facet, który zna te tereny i ma coś nie tak z głową. Ja widziałem kogoś takiego. Słyszałem raczej. Wtedy, kiedy jechałem tutaj z chyży. Poszedłem się przejść, tam, gdzie pan mnie dzień wcześniej wysadził. I tam ktoś był.

– Kto? – Durlik patrzył na miotającego się dziennikarza.

– Nie wiem, bo go nie widziałem. Słyszałem ruch. Zauważyłem ślady na trawie. Czyjąś obecność. Taką dziwną, bo to było prawie tak, jakby to było zwierzę, ale to nie to, to był ktoś, w sensie człowiek. Jakby zakamuflowany. Taki łązega, jakby w worku jutowym czy coś. Na drodze do chyży. To trzeba sprawdzić, bo...

– Rozmawiał pan o tym z żoną? – przerwał mu Durlik.

– Nie, nie zdążyłem. Zresztą myśmy mało rozmawiali. Dużo emocji, płaczu, trudno, no.

Nie dodał, że chcieli, przynajmniej on miał taką intencję, wrócić do rozmowy następnego dnia, kiedy emocje opadną. Ale właśnie wtedy zjawił się Durlik z nakazem.

Podkomisarz patrzył na dziennikarza. Zadał to pytanie, choć przecież Strykowski, nawet jeśli odbył taką rozmowę, też by zaprzeczył. Miał powiedzieć, że razem z żoną przygotowali taką kulawą i nieprawdopodobną wersję obrony? Mecenas Janicki odradziłby Strykowskiej ten pomysł, ale ona się uparła rozmawiać z Durlikiem sama, czego również nie do końca rozumiał. I właśnie podczas tej rozmowy poinformowała go o „fakcie, który sobie przypomniała”. Że tego ranka w dniu morderstwa widziała przy drodze jakiegoś dziwnego mężczyznę. Nie mówiła o tym wcześniej, bo myślała, że to lokals, który zabalował. Taki „łachmaniarz”. Nic ważnego.

Tak czy owak, policjant zrobiłby pewnie to samo w tej sytuacji – nie uwierzyłby ani jemu, ani jej.

Bo jeśli nagle oskarżona o zabójstwo żona próbuje się bronić, podsuwając śledczemu trop jakiegoś obcego mężczyzny, dziwnie

wyglądającego, „w łachmanach”, a teraz jej mąż zasuwa mu tekst o przebierańcu w kamuflażu, to czy można to uznać za przypadek? Czy w ogóle należy się taką, grubo szytą, próbą odwrócenia uwagi od siebie zajmować?

Kiedy Marcin Strykowski wyszedł z pokoju, Piotr Durlik zamknął za nim drzwi i podszedł do okna. Na zewnątrz było jak w za mocno oświetlonym akwarium – złotożółty upał napierał na szyby. Podkomisarz patrzył, jak dziennikarz podchodzi do SUV-a, otwiera drzwi, wsiada, ale nie rusza. A potem podnosi i przekręca głowę, patrząc wprost na Durlika.

Wytrzymał to. Począł, aż Strykowski odjedzie, i sięgnął po telefon.

Wybrał numer Janusza Orła.

Rozdział 12

– Dziwna historia, trochę nie do uwierzenia w dwudziestym pierwszym wieku.

Janusz Orzeł usiadł w jednym z foteli ustawionych w sporej sali zastawionej roślinami. Była przeszklona, więc Durlik czuł się tu jak w oranżerii. Za dużymi oknami zieleń, w środku zieleń. Zdecydowanie przyjemniejsze warunki pracy niż w komisariacie.

– W worku? W łachmanach?

Durlik przypomniał sobie opis Strykowskiej. Pasowałyby do Piętaszka, nie do kogoś żyjącego współcześnie.

– Nie zdziwiłbym się. Nie pamiętam, kiedy go ostatnio widziałem, ale wtedy też był ubrany... – Orzeł się zawahał – jakby żył w czasach Piasta Kołodzieja.

Zapatrzył się w okno, na którym naklejono czarne sylwetki drapieżnych ptaków, mających uchronić ptactwo przed wpadaniem na szyby.

– Oczywiście znasz historię tych terenów. – Popatrzył na podkomisarza.

Durlik kiwnął głową. Znał. Wszyscy tu znali.

– Że była akcja „Wisła” i że wszystkich stąd wywieziono, a grupce bardzo nielicznych udało się kilka lat później tu wrócić.

Durlik znowu przytaknął.

– Bardzo, bardzo nielicznych. Te wywózki to zawsze były dramaty. Nieludzkie rozwiązanie, żeby osoby, które zapuściły tutaj długie korzenie, wrywać z tej ziemi i rzucać daleko stąd. Zabierano im nie tylko ziemię i domy, lecz także historię, tożsamość, wspomnienia. Wszystko. Papier przyjął te przesunięcia, bo papier wszystko przyjmie, ale ludzie okropnie cierpieli. Właściwie nie było od tego ucieczki, to znaczy nie można było się

nie poddać temu nakazowi. To się udawało w pojedynczych przypadkach, kiedy czyjaś praca była jakoś istotna dla tego terenu. Ale to nie był ten przypadek. – Orzeł poprawił się w fotelu. – Ludzie zostali wywiezieni, a ich gospodarstwa czekały na innych wysiedlonych. Tyle tylko, że tu nikt nie chciał przyjechać. Bo tutaj były, i są, bardzo trudne warunki do życia. Dziko, daleko, bez komunikacji ze światem. Więc wywieźli ich, a na ich miejsce nikt nie przyszedł. Dawne osady zaczęły dziczeć. I tu dochodzimy do tego, o co pytałeś. Bo mimo tego rygoru był ktoś, komu udało się zostać. Żeby to było możliwe, trzeba było się ukrywać, zapuścić w dzicz. Była kobieta, która tak zrobiła, tak przynajmniej słyszałem, bo to przecież stara historia, sprzed siedemdziesięciu pięciu lat. Żyła samotnie, ale w jej życiu musiał być jakiś mężczyzna, bo urodziła dziecko – syna. Mieszkali w prymitywnych warunkach, w małej drewnianej chałupie, już wtedy w lesie, a potem, gdy zniknęło stąd życie, teren dokoła też zaczął zarastać. Żyli w ukryciu, izolacji. Może po pięćdziesiątym szóstym trochę by mogli odetchnąć, ale tak czy owak i tak byli poza społeczeństwem, poza schematem. Ona potem umarła, syn został sam. Mimo tego odizolowania jakoś się spiknął z okoliczną dziewczyną. Czy ona go znalazła, czy on ją, nie wiem. Pewnie też była z jakiegoś powodu nietolerowana przez grupę, skoro związała się z mężczyzną na zewnątrz społeczności, i to takim, o którym musiały krążyć legendy, że nienormalny czy dziki. Ludzie zawsze się boją odszczepieńców... No ale wracając do tej pary, efekt był taki, że dziewczyna zaszła w ciążę i urodziła dwoje dzieci. A potem umarła młodo. Podobno była chora, co nieszczerólnie by dziwiło, biorąc pod uwagę warunki, w jakich żyli. Ten mężczyzna został sam z dwójką dzieci. Jakoś je odchowwał, bo przeżyły. Czasy się zmieniły, to już były lata osiemdziesiąte, nie dało się tak „niepostrzeżenie” żyć. Zainteresowało się nimi państwo, bo dzieci zostały odnotowane w systemie, a w szkole się nie pojawiły. Milicja za nimi chodziła po lesie, żeby je zabrać do placówki z internatem. Ciężko się socjalizowały, chłopiec trudniej, bo to była parka. Przeniesiono je czasowo do zakładu psychiatrycznego, bo były podejrzenia, że są opóźnione w rozwoju. Uciekły stamtąd i wróciły do domu, do tej chałupy

w dziczy – kilkadziesiąt kilometrów, jak zwierzęta pchane jakimś magnetyzmem, rozumiesz?

Piotr Durlik potrafił to sobie wyobrazić. Widział w życiu już różne przejawy natury u ludzi.

– Znowu je zabrano, żeby skończyły edukację przynajmniej w podstawowym zakresie. Z chłopcem to nie wyszło, udało mu się tylko kilka klas zaliczyć. Dziewczyna była bardziej bystra, a może łatwiej ją było przeciągnąć na stronę „normalnego” życia, w każdym razie ona zdobyła wykształcenie podstawowe, a potem poszła do jakiejś szkoły zawodowej, gdzie poznała swojego męża. Żyją dziś w Krempej, też trochę na odludziu, ale jednak wśród innych. Jej brat wrócił do tej chaty w lesie i mieszka tam razem z ojcem. Radzą sobie jakoś, ta siostra im pomaga, wozi jedzenie.

Rozbrzmiał dzwonek telefonu.

– Przepraszam. – Janusz Orzeł spojrział najpierw na aparat, a potem na podkomisarza. – Odbiorę.

Durlik pokiwał głową. Obserwował, jak dyrektor wstaje i zaczyna spacerować. Cały ośrodek był tak urządzony, by jak najlepiej oddać klimat miejsca, w którym został wybudowany – dużo naturalnych materiałów i roślin, imitacja prawdziwego życia. To wszystko były jednak dekoracje. Życ w takich warunkach naprawdę? Współcześnie? Jasne, byli w okolicy starzy ludzie, którzy nie załapali się na rewolucję technologiczną, ale mimo wszystko należeli do społeczności, mieli sąsiadów, wiedziała o nich opieka społeczna, dostawali jakieś renty. Z tego, co mówił Orzeł, ten mężczyzna i jego ojciec żyli jak dzicy.

– Jestem już. Mamy tu w sierpniu maraton, musiałem ustalić kilka spraw.
– Janusz Orzeł znowu usiadł naprzeciwko Durlika.

– A ten facet to w jakim jest wieku?

– Ich ojciec urodził się jakoś w czasie przesiedleń, pewnie między czterdziestym siódmym a czterdziestym dziewiątym, czyli ma teraz siedemdziesiąt kilka lat.

– Nie, chodziło mi o syna.

– Trudno powiedzieć, musiałbyś sprawdzić u siebie. Wydaje mi się, że te dzieci mu się dość późno urodziły. Siostra, młodsza, ma na pewno więcej niż czterdzieści, on jest chyba ze dwa lata starszy. Ona wygląda na więcej, ale to typowe dla kobiet, które ciężko pracują na roli. A on... Jak tak teraz pytasz, to nawet nie potrafię sobie przypomnieć jego twarzy. Tylko sylwetkę i... powiedziałbym: całokształt. Słuchaj, Piotr – Janusz Orzeł jakby nagle się ocknął – a dlaczego ty właściwie mnie tak o nich wypytujesz? Czy to ma jakiś związek z tą sprawą, z tym, no wiesz, morderstwem?

Piotr Durlik przez chwilę patrzył na niego, a potem odbił piłeczkę.

– A według ciebie mogłoby mieć związek?

– Teoretycznie... Tylko po co? Dlaczego? Oni, i stary, i syn, unikają ludzi. Po co by mieli kogoś atakować? – Zamyślił się. – A, słuchaj, jeśli możesz powiedzieć, czy te kobiety, czy któraś z nich została, wiesz... – Zawiesił głos.

– Zgwałcona? – dopowiedział za niego Durlik. – Nie.

Zawahał się, czy nie powiedzieć mu o zetce, ale po pierwsze, to łamałoby zasady, a on się ich trzymał, a po drugie, aż tak dobrze się nie znali. Zresztą życie nauczyło go, żeby nikomu do końca nie ufać; to była cena pracy w tym zawodzie. Wyjątkiem była Kaśka, choć właściwie rzadko bywał w domu, a gdy się zjawiał, to był zmęczony, więc mogła się czuć samotna, a samotni ludzie szukają towarzystwa, tyle że u kogoś innego. Otrząsnął się.

– A ty wiesz, gdzie oni mieszkają? Ten ojciec i syn?

– Mniej więcej. – Orzeł kiwnął głową. – Ale to nie jest tak, że ci po prostu podam adres, żeby była jasność. Mogę spróbować wytłumaczyć, choć pamiętam, że sam kluczyłem, zanim znalazłem tę ich chałupę.

Durlik kiwnął głową. Wiedział, że Zaręba nie będzie zadowolony, bo komendant miał nadzieję, że zatrzymanie Marty Strykowskiej było początkiem końca tej sprawy. To, czego oczekiwał od podkomisarza, ograniczało się do pilotowania związanych z tym działań.

– Mniej więcej tu. – Orzeł zakreślił ołówkiem fragment lasu na mapie z folderu rozdawanego w punkcie informacji. – Zjeżdżasz z asfaltu w szutrówkę, tam jest coś w rodzaju zatoczki, można zaparkować. Dalej jeszcze kawałek jest droga, ale nie pojedziesz, bo raz, że wąsko i spore doły, a dwa, że chyba ze trzy razy musisz przekroczyć bród. Dla ludzi są wąskie kładki, auta muszą korytem, a to kiedyś wyłożono płytami, które się pozapadały, więc jeśli nie masz terenówki, to słabo. To jest w dolinie, tam kiedyś była osada. Zostały po niej tylko dwa krzyże. Przy drugim, większym, jest ścieżka w górę. Może być zarośnięta, tam raczej nikt nie chodzi, może oprócz nich dwóch i tej siostry, choć oni chyba mają swoje szlaki. Więc tą ścieżką w górę i gdzieś tutaj – postawił kropkę na mapie – jest ta chałupa, między starszymi drzewami, jedno z nich jest owocowe. Byłem tam raz, jakoś ich znalazłem, ale... – Rozłożył bezradnie ręce.

Piotr Durlik pokiwał głową. Jasne, tutejsze tereny były dzikie i odludne, ale bez przesady, dom, nawet mały, to jednak nie szpilka.

– Kuźwa.

Wytarł czoło dłonią. Popatrzył na nadgryzione przez czas ramiona krzyża. Widział je już po raz trzeci. Wydawało mu się, że ma dobrą orientację w terenie; zawsze działała – przymykał oczy i potrafił odtworzyć w myślach obraz wędrówki, jakby rysował trasę na kartce. Teraz niby też mu się to udało, ale – nie miał pojęcia dlaczego – wracał do punktu wyjścia. Żałował, że nie zabrał ze sobą niczego do picia. Spojrzał w dół – po drugiej stronie drogi, w lekkim obniżeniu, płynął strumień. Był blisko, tyle że od tej strony zarośnięty wysoką łąką. Zawahał się, ale wszedł między wybujale trawy. Grunt był suchy, mógł iść. Rośliny ocierały się o niego – czuł je na udach i przedramionach. To było dziwne uczucie, trochę jakby się przedzierał przez piach czy śnieg. Doszedł do wody. Zejście było całkiem wygodne – kamieniste, ale równe. Uklęknął i nachylił się nad zimnym rwącym lustrem strumienia. Zanurzył w nim dłonie złożone w łódkę. Przypomniał sobie Karolinę Malik i jej ciało obmywane przez wodę.

– Ale to było niżej – powiedział sam do siebie.

Tu było dziko i pusto. Żadnych domów, żadnych ścieków. I żadnych trupów.

Najpierw ochlapał twarz. Kolejną porcję wody wlał sobie do ust. Od razu zrobiło mu się lepiej – trzeźwiej, zimniej, jaśniej. Rację mają ci, którzy mówią, że woda najlepiej gasi pragnienie. Na co dzień wygrywały inne napoje, ale może gdyby miał czyste źródło...

Podniósł się z kolan i wyprostował. Zakręciło mu się w głowie. Może to z powodu upału, może dlatego, że zbyt gwałtownie zmienił pozycję. A może dlatego, że zobaczył kawałek beżowego materiału z brunatnordzawymi plamami. Takie ślady zostawiała krew. Mogłoby to być cokolwiek innego, ale na kamieniu obok też były plamy – karminowe. Podszedł bliżej. Dopiero teraz, z tej perspektywy, zauważył, że ktoś ułożył tu kilka kamieni, robiąc jakby schodki do potoku. To, co uznał za dzieło natury, było zrobione ręką człowieka. Obok tego zejścia znajdowało się coś na kształt niecki, gdzie stała woda. Taka jakby naturalna balia, w której moczyły się zakrwawione szmaty.

Wyciągnął z kieszeni telefon. Zasięgu, oczywiście, brak.

Kucnął przy znalezisku. Szmata wyglądała jak szmata, kawał oderwanego płótna. Ktokolwiek to nosił, używał tego, musiał być obdartusem. Fleją.

Dziwakiem z lasu.

Musiał także niedawno się skaleczyć. Lub mieć kontakt z kimś skaleczonym. Zranionym. A może zamordowanym.

Podniósł się. Znowu zakręciło mu się w głowie. „Chyba powinienem pójść do lekarza”, pomyślał. „Za młody jestem na takie kołowanie w głowie”.

– Albo rozwiązać tę cholerną sprawę – powiedział na głos.

Źle ostatnio sypiał. Ciągle czuł jakiś nieokreślony niepokój – że coś mu umyka, że czegoś nie widzi, nie rozumie. I że gdyby za tymi morderstwami naprawdę stała Marta Strykowka, to byłoby za proste.

A jakiś wariat z dziczy?

Powinien wrócić do samochodu, zadzwonić do Dukli, zabrać tę szmatę do badania. A potem tu wrócić i znaleźć ludzi, o których opowiadał mu Orzeł. Tak powinien zrobić, ale zamiast tego obfotografował to miejsce i ruszył łąką w górę, ku drodze. Przekroczył ją, minął krzyż i wszedł w las.

Nachylił się nad wodą.

– Ojciec byłby z ciebie dumny – powiedział na głos.

A potem zaczął się śmiać. Najpierw zwyczajnie, jakby usłyszał dobry żart, później coraz głośniej i histeryczniej.

Uderzył ręką w wodę; zapienione rozbryzgi zachlapały mu twarz i T-shirt.

– Kurwa! – Przetarł ręką oczy.

Usiadł na kamieniu. Miał czterdzieści lat i klęczał nad strumieniem, piorąc w ręku swoje spodnie. Kupił jakieś szare mydło w tym markecie w Krempnej, a teraz tarł nim zabrudzony materiał, jakby był jakimś pieprzonym harcerzem na obozie. Albo sobą sprzed lat na wakacjach, a raczej kolonii karnej z ojcem. Bez prądu, bieżącej wody, w naturze, brał się za bary z życiem. „Bierz się za bary z życiem”, mówił mu ojciec. Nienawidził tego powiedzenia. Życie było do życia, możliwie miłego, nie do mocowania się z nim. Kiedy już się uwolnił od ojca, postanowił tak właśnie żyć.

A teraz klęczał nad wodą i prał swoje ciuchy, zupełnie jakby czas się cofnął i znowu był na letnim obozie przetrwania ze starym. A on po prostu nie dawał rady wrócić do pustego domu w Gorlicach, a jedynym miejscem, gdzie mógł się schować, była ta chyża. Marta powiedziała mu, żeby tu przyjechał. Chciał skontrolować, że jej ojciec go stąd wywali, ale dodała, że to jej własność. Zdziwił się, bo nie miał o tym pojęcia – jak, kiedy, dlaczego. I o tym, że ona też ma swoje tajemnice, które przed nim ukrywa.

No ale przecież nie morderstwo.

– Jezuuu! – Podniósł mały kamień i rzucił nim w wodę. Potem kolejny i kolejny.

Poczuł, że się trzęsie. Był niewyspany, skołowany, zmęczony, pogubiony.

I to wszystko na własne życzenie. Tak mu ta niezależna dorosłość wyszła.

Przez chwilę stał, wpatrując się w wartki nurt strumienia.

– Daleko tak nie zajedziesz – powiedział na głos.

Rano zadzwonił do roboty i poinformował, że przez najbliższy tydzień go nie będzie. Szef o nic nie zapytał, tylko czy wszystko okej. Jasne, że wiedział, co by z niego był za dziennikarz, gdyby nie wiedział. Potem jeszcze dodał, że gdyby coś, to Marcin może do niego jak w dym. Nie było jednak w tej deklaracji zbytniego entuzjazmu. Akurat tyle, żeby nie wypadło źle, gdyby jednak Stryjkowscy wyszli z tej sprawy czyści. No, w miarę czyści, bo romansu już się nie da ukryć.

Wziął kilka głębszych oddechów. Musi się uspokoić i zacząć działać. Nie jest policjantem, ale dziennikarstwo ma trochę wspólnego z tą robotą, bo kiedy rozpracowuje jakiś temat, to też chodzi, węszy, pyta, rozmawia.

Postanowił pojechać do miasta, jak nazywał główne skrzyżowanie w Krempej. Tam, przy tym markecie, jest knajpa, a kawałek dalej cerkiew i szkoła. Centrum życia. Ludzie na pewno gadają. A on pogada z nimi.

Schylił się, żeby zabrać swoje rzeczy. Szarawa kostka mydła leżała na kamieniu, ale spodni nie zauważył. Przeniósł spojrzenie trochę dalej i spostrzegł jasną plamę pojawiającą się na powierzchni wody i znikającą pod nią.

Po chwili stracił ją z oczu.

Widział, a i tak trudno mu było w to uwierzyć. Kiedyś, parę lat temu, jechali z Kašką do Koszyc. W jakiejś zapadłej słowackiej wsi po drodze mijali cygańską osadę – domy wyglądały, jakby były zrobione z kartonu albo zbudowane wiele dekad temu i od tamtej pory nieremontowane,

dzieciaki, nawet większe, biegały boso, niektóre małe na golasa, bo też był upał jak teraz, ale pominąwszy biedę i brud, wszyscy byli ubrani wspólnie i te nędzne warunki również były nędznie współczesne. Tu było jak w skansenie, i to takim, który jeszcze nie dostał unijnych pieniędzy na modernizację.

Chałupa rzeczywiście wyglądała na stuletnią – z drewnianych bali, przykryta słomą, w której ubytki łątano mchem. Obok była studnia, nie miał pojęcia, czy sprawna.

A przed domem... To było największe zdziwienie. Facet, który się teraz w niego wpatrywał, był zarośnięty i występował w jakichś przedziwnych ciuchach – szerokiej, chyba lnianej koszuli i równie szerokich spodniach z podobnego materiału. Wyglądał jak chłop pańszczyźniany. No, różniło go to, że był rośli i masywny. W tamtych czasach obowiązywały inne parametry fizyczne.

Durlik wykonał krok w jego stronę, a mężczyzna, nadszpiewanie żwawo, znalazł się tuż przy drzwiach. Podkomisarz zauważył jednak, że ma jakiś problem z nogą, bo w nienaturalny sposób dociągnął ją do drugiej, zdrowej. Przypomniał sobie ślady krwi nad strumieniem.

– Piotr Durlik, komisariat policji w Dukli – odezwał się. – Chciałem tylko porozmawiać.

Sięgnął do kieszeni spodni po legitymację, a potem podsunął ją w kierunku tego faceta, który obrzucił ją przelotnym spojrzeniem, ale nic nie powiedział. Durlik zastanowił się, czy przez te kilka lat przymusowej szkoły nauczyli go czytać, czy może jednak pozostał analfabetą.

– Sam pan jest?

Mężczyzna skinął głową.

– A ojciec?

Durlik zauważył, że to pytanie go wystraszyło.

– Nie ma? – zapytał, kiedy tamten energicznie pokręcił głową.

– A kiedy wróci?

Znowu kilka zaprzeczeń głową.

Durlik się zawahał. Z tego, co mówił Janusz, wynikało, że to naprawdę są jacyś odszczepieńcy. Z drugiej strony, czy to sprawiało, że mieliby być z automatu poza podejrzeniami?

– A co się stało panu w nogę? – Spojrzał wymownie.

Facet wsunął chorą nogę za zdrową. Ponieważ Durlik nie spuszczał z niego wzroku, w końcu odpowiedział:

– Ranę mam.

– Ranę? Od czego?

Chętnie by obejrzał tę jego ranę. I w ogóle jego by obejrzał – czy nie ma jakichś zadrapań na rękach. Pod paznokciami Karoliny Malik znaleziono resztki naskórka, ale tu akurat zeznania Strykowskiego brzmiały sensownie – kochali się zapalczywie, ona go podrapała w miłosnym szale, więc nic dziwnego, że potem miała jego DNA w różnych miejscach swojego ciała.

– Skaleczyłem się.

– Gdzie?

Facet wzruszył ramionami.

Jeśli ma ranę, to te ślady i krew na materiale przy strumieniu mogą być jego. Jeżeli nie, to znaczy, że mogą należeć do ofiary.

– Mogę zobaczyć? – Durlik zrobił krok w jego stronę.

Facet nie wytrzymał napięcia, odwrócił się i w dwóch susach znalazł się w środku chałupy. Policjant usłyszał jeszcze metaliczny zgrzyt, coś jakby kliknięcie zasuwki.

Podszedł i próbował otworzyć drzwi, ale nie puściły. Naprał na nie ramieniem – bez efektu.

Mógłby próbować dostać się przez nieduże okno, ale to wiązałoby się z koniecznością rozbicia szyby. Nie było podstaw do takiej interwencji, to raz, dwa, nie wiedział, co go czekało w środku. Mężczyzna był solidnie zbudowany, wyższy od Durlika. Wyglądał na takiego, co ma sporą krzepę.

Durlik postanowił obejść dom. Na tyłach zobaczył krzywą dobudówkę, która była zamknięta tylko na skobel. Otworzył drzwi – solidnie skrzypnęły. Wszedł, a one się zamknęły, bo najwyraźniej były krzywo

osadzone. W pomieszczeniu było dość ciemno, ale dostrzegł zarys jakichś narzędzi – szpadla, kosy. Na dwóch drewnianych półkach stały pudła – przechylił jedno ręką i zobaczył zbieraninę gwoździ i jakiegoś żelastwa. W drugim było to samo. Wyjął z kieszeni komórkę i włączył latarkę. Przesunął snopem światła po pomieszczeniu. W rogu zobaczył metalowe wiadro – puste. Na ścianie na wprost, która jednocześnie była ścianą chałupy, dostrzegł powieszony zwój drutu. A pod nim...

– Jasne – mruknął do siebie.

Na dole pod drutem leżały wnyki. Facet kłusował. I pewnie dlatego bał się wizyty policjanta. Durlik spojrzął na metalowe zęby pułapki. Widział kiedyś daniela, który wpadł w taką zasadzkę. Gdyby to od Durlika zależało, wsadzałby ludzi za kratki za takie rzeczy. Nie był nawiedzonym zjadaczem zieleniny, nie oburzał się na myśliwych, choć sam nigdy nie miał takich ciągot, żeby strzelać do zwierząt, ale takie metody jak ta to było bestialstwo. Zwierzę konało długo i w mękach. „Trzeba to będzie stąd usunąć”, pomyślał.

Na razie jednak wyszedł z przybudówki i przeszedł wzdłuż drugiej, pozbawionej okna ściany chaty. Gdy doszedł do jej końca, usłyszał, że ktoś się zbliża.

Zrobił krok w tył i przysunął się do drewna. Zza drzewa wyłoniła się kobieca postać – w długiej spódnicy, koszuli, spiętych w koński ogon włosach. W ręku trzymała czerwoną menażkę. Durlik pomyślał, że to siostra tego, co się zamknął w środku.

Wyszedł zza rogu.

– Dzień dobry!

Dwie rzeczy nastąpiły równocześnie: kobieta krzyknęła, a metalowy pojemnik upadł na ziemię. Chwilę później zgrzytnęły drewniane drzwi i Durlik w ostatniej chwili zdążył uskoczyć przed pięścią, która świsnęła przy jego uchu. Poczuł, jak adrenalina przelewa mu się przez tętnice. Złapał faceta za rękę, wykręcił ją i docisnął do pleców. Facet zgiął się wpół, a Durlik wrzasnął:

– Policja!

Odepchnął mężczyznę, tak że ten się zachwiał, ale nie przewrócił. Stali teraz w odległości około dwóch metrów od siebie, a podkomisarz miał świadomość, że gdyby jego przeciwnik się nie przestraszył, układ sił między nimi na pewno byłyby inny.

– Policja, Piotr Durlik. – Znowu wyciągnął legitymację. Czuł, że w środku się telepie.

Facet zastygł w bezruchu, ale kobieta zbliżyła się do podkomisarza. Powoli, nie spuszczać z niego wzroku, podeszła na odległość pozwalającą sprawdzić dokument.

– Co się stało? – zapytała.

Durlik zauważył, że jedną rękę ma wyciągniętą do przodu, jakby próbowała powstrzymać brata przed ewentualnym napadem lub wybuchem.

– Jak się pani nazywa? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Anna Żeleźnik – odpowiedziała.

Wciąż była w niego wpatrzona. I wciąż nie opuściła ręki.

– A on? – Skinął głową w stronę mężczyzny.

– Jan. Jan Dzienisz. To mój brat. Co się stało? – powtórzyła pytanie.

– Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa. – Durlik też na nią patrzył.

– Ale co się? Przecież Janek... Pan chyba? – urywała. Widać było, że jest przestraszona. – Gdzie tata? – Teraz odwróciła się w stronę brata. A strach został zastąpiony przerażeniem.

Mężczyzna pokazał ręką w stronę gęstwiny.

– Ojciec, czy coś się stało ojcu? – Odwróciła się w stronę podkomisarza.

Durlik pomyślał, że zaraz się rozpłacze.

– Nie wiem nic o pani ojcu. Prowadzę śledztwo w sprawie śmierci młodej kobiety.

– Młodej kobiety? – powtórzyła. – A więc to prawda, co gadają.

– A co gadają?

Przyjął jej konwencję. Kobieta, w przeciwieństwie do swojego brata, wyglądała prawie normalnie. Prawie, bo jednak było w niej coś dziwnego,

choć można to było uznać za podkarpacką, wiejską biedę – niemodne ubranie, ogorzała, przedwcześnie pomarszczona twarz, prosty język.

– Nie wiem więcej, ja się z nimi blisko nie trzymam. Tyle co w sklepie usłyszę.

Durlik wciąż na nią patrzył. Ugięła się pod tym spojrzeniem.

– Że dziewczyna zabita, przy strumieniu. Jak się na Polany jedzie. O to panu idzie?

Kiwnął głową.

– A co Janek, znaczy mój brat, ma do tego?

Była zdziwiona, zdecydowanie szczerze. Durlik pomyślał, że ona, oni oboje w ogóle nie potrafią udawać.

– Był widziany niedaleko miejsca zbrodni.

– On tak chodzi po lesie. Całymi dniami chodzi. Tak żyje po prostu. Od małego. I pewnie do śmierci tak będzie robił.

Jan Dzienisz patrzył na siostrę i potakiwał. Sam się nie odezwał.

– Wie pan coś o tej zamordowanej kobiecie? Widział ją pan? Cokolwiek pan widział? – zapytał go.

Mężczyzna gwałtownie pokręcił głową i zamachał rękami.

– Brat nie mówi? – Durlik zwrócił się do siostry.

– Mówi. Ma problemy, kiedy się zdenerwuje, a denerwuje się przy ludziach. Dlatego tu żyje. Od małego tak miał. Ojciec też. Ale nikomu nie wadzą, żadnej krzywdy nie robią – dodała szybko.

– Tak... No, z wyjątkiem kłusowania.

– Jezu... – Anna Żeleźnik pokręciła głową. – Ja mu mówiłam... Mówiłam ci – przeniosła spojrzenie z podkomisarza na brata – żebyś przestał, że nie wolno, że mogą być problemy.

Durlik zauważył, że mężczyzna się przestraszył.

– Nie, nie... nie chcę problemów. – Energicznie pokręcił głową.

– To niech pan nie kłusuje. Zabiorę wnyki – powiedział Durlik.

– Ja nie wychodziłem w las z pułapką. – Znowu przeczący ruch głową.

– A ranę na nodze skąd pan ma?

– Sam się skaleczyłem. Tam. – Pokazał ręką na tył domu. – Kiedy czyściłem...

No tak, widać wypadek przy pracy. „Nie dał rady pójść”, pomyślał Durlik.

– To pewnie ojciec pana zastąpił, co?

Mężczyzna cofnął się o krok.

– Oni nikomu nie robią krzywdy. Nikomu. Ja już im mówiłam, że nie muszą, przecież ja im przynoszę obiady każdego dnia. – Dopiero teraz się schyliła, żeby podnieść menażkę. – Ojciec nie kłusuje, zbiera owoce, grzyby, zioła. Z bratem porozmawiam...

– Mogę zobaczyć tę ranę? – Durlik słuchał, ale zdążył się już zorientować, że tych ludzi łączy jakaś dziwna więź. Więzy krwi to jedno, ale drugie wyglądało jak mocno nerwowa chęć, by nikt nie miał dostępu do ich życia. Jakby coś ukrywali.

– Pokaż – przerwała i zwróciła się do brata.

Jan Dzienisz powoli się nachylił i podciągnął nogawkę. Podkomisarz ujrzał nogę obwiniętą płótnem – takim samym, jak ten przy strumieniu. I tak samo przesiąkniętym zbrunatniałą krwią.

– Czyścił pan tę ranę w rzece? – zapytał.

Mężczyzna kiwnął głową.

– Oni tam się myją. Mają takie swoje miejsce. Ja powiem bratu, żeby więcej nie kłusował, na pewno... – Kobieta znowu weszła w nerwowy, proszący ton.

– Niech pani z nim porozmawia. I o tym, czy nie widział nikogo, niczego podejrzanego. Skoro chodzi po lesie, mógł coś zauważyć. To ważne – dodał, żeby ich zmobilizować. – Mój numer telefonu... – Wyciągnął z portfela sfatygowaną wizytówkę. – Nie pani zadzwoni. Albo lepiej niech brat zadzwoni.

– Brat nie ma telefonu. Nie umie telefonu. Nic nie umie. Ja z nim porozmawiam, ale myślę, że nic nie wie.

Kobieta wsunęła mały kartonik do kieszeni w spódnicy.

Durlik pokiwał głową. Nie miał zbytnej nadziei, że się do niego odezwie. Rodzeństwo oparło swoje życie na unikaniu kontaktu z innymi ludźmi. Nie podejrzewał też tego dużego, półdzikiego mężczyzny, że zamordował Karolinę Malik lub tę słowacką turystykę, choć czuł, że on, że oni oboje coś przed nim ukrywają.

I dlatego postanowił, że jeszcze tu wróci.

Rozdział 13

Patrzył na nich i zastanawiał się, czy jednak przypadkiem im nie zazdrości. Siedzieli razem, we czterech, przy jednym stoliku. Rozmawiali, śmiali się i nie wyglądali na ludzi, którzy mają jakieś poważne problemy. A jeśliby nawet je mieli, to pewnie od razu i po prostu „wzięliby się z nimi za bary”, jak „prawdziwi mężczyźni”. Bary też mieli szerokie. I wyglądali jak „prawdziwi mężczyźni” – mocno zbudowani, ogorzali od ciężkiej pracy, której efekty widać.

Marcin Strykowski zauważył na zewnątrz granatową furgonetkę z drewnem. Musieli nią przyjechać, bo to był jedyny samochód przed barem. On zaparkował z drugiej strony, przy sklepie, bo zrobił zakupy i już nie chciało mu się przestawiać samochodu. Zresztą furgonetka do nich pasowała – na drelichowej kurtce jednego z nich, przewieszanej przez oparcie krzesła, widział trociny. Pomyślał, że pracują w tartaku, największym zakładzie w okolicy. Zatrudnienie tutaj dawały Ośrodek Parku, supermarket, szkoła i poczta. Jeśli nie pracowało się w którymś z tych miejsc, trzeba było dojeżdżać gdzieś dalej. Dużo dalej. Zresztą jeden z tych przy stoliku również tu dojechał, bo Strykowski usłyszał silny wschodni akcent. Musieli mieć przerwę; pasowało – było trochę po pierwszej, pora obiadowa. Potem wrócą do roboty. I któryś z nich będzie kierowcą, mimo że przed każdym stała duża szklanka z piwem.

On także by się napił, ale ostatecznie zamówił sok jabłkowy. Facet za barem uśmiechnął się, kiedy usłyszał, czym chce popijać smażoną kiełbasę. Fakt, do tej porcji tłuszczu zdecydowanie lepszy byłby alkohol, ale Strykowskiemu powrócił instynkt samozachowawczy – jeśli chce odzyskać panowanie nad swoim życiem, musi odstawić procenty. I zacząć działać.

Powoli się podniósł. Zrobił wiele wywiadów, ale zwykle rozmawiał z ludźmi, z którym coś go łączyło – wykształcenie, pochodzenie, zainteresowania. Cokolwiek, co trzymało jego i rozmówcę na tej samej platformie porozumienia. Tu trudno było coś takiego znaleźć.

– Dzień dobry. – Staął nad stolikiem. – Szukam... drewna. Na dom. Dobrze trafiłem?

– Kto przyjeżdża w las, drewno znajdzie – odezwał się ten ze wschodnim akcentem.

Pozostała trójka się roześmiała.

– Ale to nie do nas, my tylko rabotajem. Z szefem trzeba – dodał Ukrainiec.

Strykowski pomyślał, że akurat szef to go niespecjalnie interesuje. Chciał porozmawiać z kimś, kto był bliżej zwykłego życia.

– Pogadam. A gdzie go znajdę?

– Nu, w tartaku chyba. Przyjeżdża często. Albo tu, w barze. Bar zresztą też jego. Waldek więcej powie. – Facet spojrzał w kierunku mężczyzny, który stał za kontuarem i wycierał szklanki do piwa.

– Dzięki. A...

Słabo mu szło, czuł to. Nie wrócił jeszcze do formy. No i nigdy nie łapał klimatu z takimi ludźmi, jak ci tutaj.

– Drewno to stąd, z tych terenów?

– No, nie sprowadzamy je z Warszawy. – Teraz odezwał się inny.

Reszta zgodnie buchnęła śmiechem.

– Pytam, bo zajmuję się tymi terenami. Zawodowo, to znaczy w sensie badawczym. Piszę o tym miejscu, o historii, o wysiedleniach i zmianach. I szukam ludzi, którzy znają te okolice, urodzili się tu albo już tutaj wrosli i...

– To nie drewna pan szuka? – Ten, co mówił o Warszawie, spojrzał na niego, ale już bez uśmiechu.

– Drewna też – zapewnił Strykowski, trochę za szybko. – Mam tu chyżę i to właśnie ją chciałem rozbudować.

– A gdzie ta chyża?

Facet mu się przyglądał, a dziennikarz nie potrafił ocenić tego spojrzenia, czy było przychylne, czy nie.

– W kierunku Dukli, na drodze do Polan.

– E, to tam, co oni ją znaleźli nie? – Teraz odezwał się trzeci z nich; największy, najstarszy i chyba najczęściej pijący.

– Kogo znaleźli? – Strykowski ostrożnie pociągnął wątek.

– No nie drewno. – To znowu ten ze wschodnim akcentem.

– Dziewczynę. Nieżywą. Mieszka pan tam i nie wie? – Zwalisty mu się przyglądał.

– A, ta sprawa. Wiem, słyszałem, okropna. Takie spokojne miejsce, a...

– No, chyba już po fajrancie, nie?

Marcin Strykowski odwrócił się w stronę głosu. Do baru wszedł facet mniej więcej w jego wieku. W dżinsach, koszulce polo z markowym znaczkiem na szerokiej kłacie, pachnący, w przeciwieństwie do siedzących tu mężczyzn, dobrymi perfumami i dostatkiem.

– Kończymy, szefie. – Największy odsunął krzesło i się podniósł.

Pozostała trójka poszła jego śladem.

– Pan pytał o drewno. – To był ten od Warszawy.

– Chce pan kupić drewno? No to świetnie pan trafił. Możemy pogadać, mam kwadrans. Chłopaki – odwrócił się w ich kierunku – teraz prosto na zakład, nie?

– Się rozumie, szefie.

– No, fajni są, ale pilnować trzeba. – Westchnął. – To co, pogadamy? Waldi, dwa – rzucił w stronę faceta za barem. – Siądźmy – powiedział do Strykowskiego i nie czekając na odpowiedź, zajął miejsce przy czystym stoliku obok.

Dziennikarz usiadł obok niego.

– To ile tego drewna, co? Jakiego i gdzie dowieźć?

Zsunął się lekko z krzesła i wyciągnął nogi. Nie wyglądał na tutejszego; równie dobrze mógł być z Krakowa czy z Warszawy. Albo z innego dużego miasta. Był dobrze ubrany, dobrze pachnący, tylko z manierami się trochę rozjeżdżał.

– Niedużo, nie zrozumieliśmy się z pana pracownikami. Chciałem rozbudować swoją chałupkę, taką letniskową. Zdecydowanie detal, nie hurt.

– O, to pan ma tu działkę. Nie dziwię się, to piękne tereny. Dzięki – rzucił do mężczyzny, który postawił przed nimi dwie szklanki z piwem. Podniósł jedną z nich i wziął kilka łyków ciemnożółtego płynu. – Uch, tego potrzebowałem. To gdzie się pan buduje?

– Trochę dalej, jak się jedzie do Dukli.

– Ładnie, zresztą tu wszędzie ładnie. A pozwolenie pan ma? Bo w tym też mogę pomóc.

– Nie, jeszcze nie, to na razie w fazie planów. Ale widzę, że dobrze trafiłem.

– Najlepiej. Krzysztof Rychlik.

– Marcin Strykowski.

Facet lekko się podniósł i wyciągnął w jego stronę rękę. Miał mocny, solidny uścisk. Nie był bardzo wysoki, ale widać było, że dużo ćwiczy i dba o formę.

– Drewno, budowy, pośrednictwo i kilka innych biznesów. – Uśmiechnął się.

– Stąd pan jest? – zainteresował się Strykowski.

– W pewnym sensie. Moja rodzina stąd była. Ja, że tak powiem, wróciłem na ojcowiznę. Po wielu latach, bo ich komuchy wyrzuciły.

Rychlik się wyprostował i znowu upił piwa.

– Naprawdę? – Strykowski po raz pierwszy szczerze się ucieszył. Wreszcie trafił na grunt, na którym czuł się pewnie. – Zajmuję się tym trochę, to znaczy tematyką wysiedleń.

– Tak? A co pan robi? Naukowiec? Historyk?

– E, nie, trochę skromniej. Jestem... piszę artykuły.

Nie chciał użyć słowa „dziennikarz”. Obniżało rangę naukowości, zwłaszcza jeśli by dodał, że to lokalna gazeta, poza tym gdyby zamierzał o cokolwiek pytać, a taki miał plan, to jego zawód raczej by rozmówcę zamykał, niż otwierał.

– No ale jakie? Takie dla ogółu czy raczej dla kogoś, że tak powiem, wyspecjalizowanego?

– Nie, dla ogółu, zdecydowanie. Uważam, że ludzie powinni znać historię tych ziem. Potem przyjeżdżają tu na wakacje i nie mają o niczym pojęcia.

– No to rzeczywiście fart. Dobra, trochę pogadamy, bo mam co opowiedzieć, a potem możemy się zabrać do tartaku, akurat się wybierałem. Albo, jeszcze lepiej, po drodze pogadamy. Możemy pojechać moim autem, potem pana odstawię pod bar, bo i tak tu wracam. Pasuje?

Strykowski kiwnął głową.

– No, to nie ma na co czekać. Czas to pieniądz, jak mówią, nie?

Rychlik przechylił szklanekę i dopił piwo. Zauważył spojrzenie Strykowskiego.

– Małe, trzy dziesiąte. A niedawno jadłem. Pan się nie boi, znam swoje ograniczenia. A pan nie lubi? – Spojrzał na jego szklanekę, której dziennikarz nawet nie tknął.

– Lubię, ale też przyjechałem samochodem. I też znam swoje ograniczenia.

– Dobra, nie namawiam. – Podniósł ręce w geście poddaństwa, a potem odwrócił się w stronę baru i machnął do urzędującego tam mężczyzny. Tamten mu odmachał.

Wyszli na zewnątrz. Strykowski popatrzył na stojącą przed wejściem czarną, błyszczącą nowością oraz myjnią terenówkę i pomyślał, że tartak i te inne biznesy muszą być niezłe dochodowe. Samochód nie pasował do niczego w tej okolicy – z wyjątkiem swojego właściciela. Nawet na teściu

Strykowski zrobiłby wrażenie. Spojrzał w kierunku parkingu, gdzie zostawił SUV-a. Stąd go nie widział, ale zauważył, że pod marketem zjawiała się furgonetka, z której para w średnim wieku wносиła teraz ciuchy i układała je na stoliku ustawionym obok, zajmując w ten sposób prawą część niedużego placu. Co prawda, jego auto było w tej chwili jedyne, ale wiedział, że bliżej piętnastej potrafi się tu zrobić tłoczniej. Pomyślał, że przestawi samochód, zwłaszcza że stał w pełnym słońcu, a on miał w bagażniku zakupy. Miejsca pod barem były ocienione.

– Przeparkuję tylko – powiedział.

– A gdzie ma pan samochód? – zapytał Rychlik.

– Pod sklepem.

– Może stać. Sklep też mój. – Uśmiechnął się.

– Ale się nagrzej.

– To racja, dobra, czekam. Zapalę sobie. – Otworzył drzwi i wyjął ze skrytki paczkę papierosów.

Strykowski ruszył przed siebie. Minął zadrzewiony skwerek, skręcił w prawo, przy budce z lodami, jeszcze przedsezonowo nieczynnej, i po trawniku poszedł w kierunku parkingu. Para z furgonetki już wyładowała swój towar z auta i nawet miała pierwszą klientkę. „Handel obwoźny”, pomyślał. Już dawno czegoś takiego nie widział. Wyszedł na osłoneczniony, pokryty kostką plac. W sumie głupio zrobił, że od razu nie zaparkował w cieniu, przed barem. Odwrócił się w stronę Drewutni. Choć go nie widział z tego miejsca, Strykowski był przekonany, że facet na niego czeka. Może też miał mało rozrywek i każda nowa osoba w okolicy budziła jego zainteresowanie? Zwłaszcza że Strykowski przedstawił się całkiem ciekawie, przynajmniej jak na tutejsze warunki. Facet, co prawda, musiał się zorientować, że kasy na nim nie robi, ale pewnie przeważała chęć rozmowy z kimś, kto interesuje się tymi terenami, szczególnie że on sam miał do nich ewidentnie osobisty stosunek. Z tego, co powiedział, Strykowski zrozumiał, że jest potomkiem wysiedlonych. Takie informacje zawsze go interesowały; najpierw do artykułów, a potem do książki. Od kilku tygodni nosił się z zamiarem, żeby to wszystko, co już zebrał,

przerobić w jakąś dłuższą formę. Karola go namawiała, mówiła, że go merytorycznie wesprze. Karola... Poczul gułę w gardle i automatycznie przymknął oczy. Zawsze tak robił, gdy czuł, że mógłby się publicznie rozplakać. „Nie maź się”. Ojciec się krzywił, gdy Marcinowi zdarzało się rozplakać, nawet kiedy był dzieckiem i miał powód oraz prawo do łez. Zresztą teraz też miał.

Usłyszał, że na parking wjeżdża jakieś auto. Przejechał dłonią po twarzy, rozmazując delikatną wilgoć po powiekach. Odchrząknął i otworzył oczy.

Obok niego zaparkował Rychlik. Nie wysiadł z samochodu tylko otworzył przyciemnianą szybę.

– Pomyślałem, że podjadę, co tam będę sterczał. To pana samochód? – zapytał, patrząc na SUV-a.

Strykowski uznał, że tłumaczenie rodzinnych zawiłości nie ma sensu, zwłaszcza że facet jeżdżący pożyczonym od teścia samochodem na pewno nie zdobyłby uznania w oczach Rychlika.

– Mój.

– Ciekawy kolor. – Rychlik pokiwał głową.

Fakt. Marta po ojcu miała upodobanie do specyficznych lakierów samochodowych. Auto żony wyglądało jak bakłazan, to – jak nabłyszczony awokado.

– Chyba nie widziałem wcześniej takiego. – Biznesmen wciąż siedział w aucie. Teraz patrzył na Strykowskiego, ale dziennikarz nie mógł nic wyczytać z tego wzroku, bo Rychlik założył okulary przeciwsłoneczne.

– Możliwe, to na specjalne zamówienie.

Rychlik pokiwał głową. Było w tym coś takiego... Strykowski nie zdążył się jednak zastanowić, co go w tym geście zaniepokoiło, bo pod Atlantikiem zaparkowało drugie auto – Piotra Durlika.

Podkomisarz wysiadł z samochodu i podszedł do niego.

– Dzień dobry – przywitał się.

Strykowski odpowiedział; zauważył, że Rychlik też skinął głową. Pomyślał, że ci dwaj muszą się znać, co zresztą nie było dziwne – tu każdy

każdego znał. Tereny rozległe, ale ludzi mało.

– Jadę na komisariat. Znalazłby pan teraz chwilę na rozmowę? – Policjant zwrócił się do Strykowskiemu.

Dziennikarz się zawahał. Nie chciał rezygnować z rozmowy z Rychlikiem, szczególnie że facet mógł być trampoliną do innych kontaktów. Choć... Biznesmen wciąż siedział w swoim błyszczącym aucie i w swoich błyszczących okularach. Było w tej pozie coś... „Brak kultury albo dystans”, pomyślał Strykowski. W sumie nie dziwne, jeśli policja zapraszała go na rozmowę. On też by zachował rezerwę, gdyby ktoś nowo poznany miał zaraz jechać na komisariat. Jeżeli facet powiąże go z tym morderstwem, to będzie po imprezie. Z dziennikarskiego doświadczenia Strykowski wiedział, że jak coś się do człowieka przyklei, to już zawsze będzie się za nim ciągnęło. Żadne późniejsze fakty, sprostowania, informacje – nic nie mogło do końca zagłuszyć tej pierwszej pogłoski.

– Właściwie to... – zaczął, ale Rychlik mu przerwał:

– Spokojnie, możemy to przełożyć. Ja się nigdzie stąd nie wybieram, tu jest moje miejsce na ziemi. Pan chyba również zapuszcza tu korzenie, skoro ma już takie zacne – to słowo wypowiedział z akcentem – kontakty lokalne. Moja wizytówka. – Wyciągnął w jego stronę rękę z karteluszkiem przez okno, nie ruszając się z fotela.

Strykowski poczuł się lekko upokorzony. Jasne, do tego faceta pasowałyby i brak kultury, ale czuł, że w tym przypadku to było celowe.

Zrobił dwa kroki i wziął od niego czerwony prostokąt, na którym było tylko imię, nazwisko i numer telefonu.

– Za mało miejsca na wszystkie firmy. – Rychlik się uśmiechnął.

Ciemna szyba powoli się zasunęła i błyszcząca terenówka wyjechała z parkingu.

Strykowski zauważył, że auto pojechało w kierunku zalewu. Kawalek za nim droga się oficjalnie kończyła; zakaz wjazdu nie dotyczył tylko służb i mieszkańców.

– Zna go pan? – Usłyszał głos Durlika.

– Nie. To znaczy właśnie poznałem. Mieliśmy pojechać do jego tartaku.

– Planuje pan jakąś budowę?

– Nie. To był... punkt zaczepienia.

Strykowski po raz kolejny tego dnia pomyślał, że słaby z niego dziennikarz. W najlepszym wypadku w słabej formie.

– A o co, jeśli mogę zapytać, chciał go pan zaczepić?

Podkomisarz nie wyglądał tak, jakby miał zamiar mu elegancko dowalić, ale Strykowski i tak się zirytował.

– To początek przesłuchania? Znowu jestem podejrzany? Może od razu na cztery osiem, jak Martę? A potem na nie wiadomo jak długo, też jak u niej?

– Niecałe dwie doby dłużej. Prawo...

– Prawo, prawo, wiem! – Strykowski walnął ręką w zieloną karoserię. Blacha mocno się już rozgrzała. Napiłby się czegoś zimnego. Najchętniej piwa. – A sprawiedliwość?

Zabrzmiało jak wyświechtany żart z rządzącej partii. Do tej pory sypała się rzeczywistość dokoła, co Strykowski starał się pokazywać w swoich tekstach, w granicach rozsądku dyktowanego układami właścicielskimi „Głosu Gorlic”. Rozsądku, który dbał o to, by gazeta w tym kształcie i z tym zespołem, także ze Strykowskim, istniała. Kłuło go to, ale miał odskocznię – Karolę i dom. Teraz tej pierwszej połowy zabrakło, druga wisiała na włosku, a on nic nie mógł, nic nie potrafił zrobić.

– Wejdę po wodę. Jest cholernie gorąco. Chce pan butelkę?

Durlik jakby zlekceważył jego wybuch. Strykowski kiwnął głową. Nie potrzebował kolejnego wroga, zwłaszcza nie w policji.

Obserwował, jak podkomisarz wchodzi do supermarketu.

Sięgnął po komórkę, żeby sprawdzić, czy ktoś do niego dzwonił, ale na ekranie nie było żadnych powiadomień.

Chciałby pogadać z córkami, usłyszeć ich głos, ale nie miał ochoty na konfrontację w przedszkolu. Opiekunki, cokolwiek wiedziały, na pewno trzymały stronę Marty, w końcu były koleżankami. A gdyby jeszcze

pechowo trafił na moment, gdy teściowie przyjechali po dziewczynki? Z matką Marty by się dogadał, ona go lubiła, on lubił ją, ale kobieta była całkowicie zdominowana przez męża. Była jeszcze Jola, przyjaciółka Marty, taka najbliższa i naprawdę fajna. O ile resztę znał z opowieści, o tyle z Jolą miał osobisty kontakt. Kilka razy pomogła mu z wyszukiwaniem materiałów w bibliotece, raz nawet zamówiła dla niego wydawnictwa z rzeszowskich zbiorów. Zawsze dobrze się im rozmawiało, a kiedy się mijali w mieście, przystawała na kilkuminutową miłą rozmowę.

Zdrętwiał. A może to Jola? Może to od niej Marta się o wszystkim dowiedziała? Przecież Gorlice to dziura. Kiedy czasem szli z Karolą do kawiarni, ktoś mógł ich zobaczyć. Niby nic takiego, on zawsze miał przy sobie torbę i papiery, kładł je na stolik, obok tych kaw, ciastek i lodów, że niby pracują. A potem Karola zobaczyła ten lokal w podcieniach i chodzili tam, bo podobno miał taki uroczy, trochę peerelowski klimat. A to było całkiem blisko biblioteki, Jola mogła, hipotetycznie, ich spotkać. Też wychodziła na obiad, czasem coś załatwiała na rynku. Co prawda, Karola tylko raz, jeden jedyny raz go pocałowała publicznie, bo poprosił ją, żeby tego nie robiła, że wynagrodzi jej tę powściągliwość, kiedy będą tylko we dwoje, ale zrobiła to właśnie tam, przy tej kawiarni, więc... To byłby wyjątkowy pech, ale całkiem możliwy. Dlaczego miałby mu się nie trafić?

Znowu poczuł gulę w gardle. Teraz raczej złości.

W drzwiach marketu zobaczył Durlika. Podkomisarz w jednym ręku niósł baniak z wodą, pod drugą pachą coś ścisnął – pewnie butelki. Podszedł do swojego auta i postawił na ziemi duży niebieski pojemnik.

– Proszę. – Wyciągnął w stronę Strykowskiego rękę, w której trzymał półlitrową wodę mineralną.

– Dzięki. – Dziennikarz kiwnął głową. Z ulgą przytknął schłodzoną szyjkę butelki do ust. Potrzebował tego. Czuł się źle, cholernie źle. Jakby był w matni. Albo w...

Podkomisarz otworzył bagażnik. Strykowski zauważył, że coś w nim leży. Lekko się nachylił. To były wnyki. Solidne, spore, zapaskudzone krwią wnyki.

Tak Strykowski się właśnie czuł – jakby wpadł w jakieś sidła.
Tylko kto je zastawił?

Rozdział 14

Śliska drewniana rączka wysunęła mu się z dłoni. Metal zapadł się w gęsty mech tak, że z zielonej gąbki wystawał tylko poszarzały trzonek młotka.

Schylił się, a potem kucnął, opierając kolana na ziemi. Zanurzył dłonie w poszyciu. Mech był miękki, wilgotny, zachęcający, taki jak...

Zdziwił się, że tak reaguje. Rozejrzał się, ale nikogo nie było, zresztą skąd i jak, tu przecież wszędzie dzicz i pustka. Był tylko on.

Powinna być ona, ale na razie się nie zjawiała.

Lekko się podniósł i poprawił spodnie. Tak, ten mech naprawdę miał coś z tego, co one wszystkie nosiły między nogami – wilgotną obietnicę, żywotną siłę, źródło życia. Niby to wszystko było też w głowie, ale czaszki... Skrzywił się. Moment, gdy ciężki metal spadał na ich głowy, w niczym nie przypominał tej sceny sprzed chwili. Nieprzyjemne stuknięcie, wibracja przenosząca się z kości przez drewno do jego dłoni. Chrupnięcie, czasem odprysk krwi, a i tak trzeba było poprawić, uderzyć drugi raz, żeby mieć pewność, że to już koniec, że życia – ani tego w głowie, ani tego niżej – już nie będzie.

Nie lubił tego momentu, ale nie miał wyboru. Gdziekolwiek by człowiek egzystował – czy w mieście, czy na wsi, czy w lesie – i tak zawsze zostawał częścią natury, a natura rozkazywała, żeby najbardziej dbać o siebie i swoje potrzeby. Słuchał jej, ten głos się zawsze sprawdzał. Trochę już żył, sporo mu się przytrafiło i do takich wniosków doszedł.

Rączka wciąż była wilgotna. Nie miał niczego, czym mógłby ją wytrzeć, więc wsunął ją pod koszulę i przejechał po niej zebrany w dłoń materiałem. Osuszył w ten sposób i drewno, i palce. Spojrzał na metal. Był już wysłużony. Wcześniej miał tradycyjne zastosowania, a teraz...

Podniósł się i oparł o pień. Dobry miał stąd widok na drogę – zauważyłby ją, gdyby szła, a sam pozostałby niewidoczny. Tyle że jej nie było. Powinna być, ale się nie zjawiała.

Trudno, poczeka. A jeśli nie dziś, to jutro.

Nie może się denerwować, choć trudno było powstrzymać emocje, skoro o tej sprawie robiło się coraz głośniejsze i policja wciąż szukała sprawcy.

Wierzył jednak, że mu się uda, że oni się pogubią. I że wreszcie nadejdzie ta chwila, kiedy chłodny, rozpedzony metal zatrzyma się na jej głowie, robiąc w czaszce wgłębienie. Przez moment jeszcze będzie stała, a potem upadnie. Wtedy on pochyli się nad nią, sięgnie do kieszeni i wyjmie skórzane etui, w którym trzyma nóż. Na miękkiej, wciąż ciepłej skórze, pojawią się trzy nacięcia.

Z.

– Nigdzie? Nic? – Zbigniew Zaręba niedowierzająco patrzył na Piotra Durlika.

– Nic. Nawet kropli. W ogóle bardzo czysto, ale przecież nawet gdyby zrobiła trzy kursy na myjnię, a potem długo pucowała wnętrze w garażu, to i tak by coś przegapiła. – Podkomisarz nie był specjalnie zdziwiony tymi wynikami oględzin samochodu Marty Strykowskiej.

– A w domu?

– W domu też czysto. I też żadnych śladów krwi. Nic, co mogłoby się wiązać z tą zbrodnią, czy raczej z tymi dwiema zbrodniami. Noży sporo, ale żaden, który by pasował do opisu z sekcji. To powinien być nóż myśliwski, z wypukłym szlifem. Typ surwiwalowy, tak powiedział Adam. U nich zwykłe, kuchenne. W garażu na regale był młotek, w zestawie narzędziowym z Ikei. Chyba nigdy nieużywany, zresztą Strykowski przyznał, że on się nie garnie do majsterkowania, wszystkie takie prace robił złota rączka przysyłany przez teścia.

– A coś jeszcze powiedział? – Komendant podszedł do okna. – Kuźwa, no, jeszcze jego tu nam brakuje.

– Janicki? – domyślił się Durlik.

– A jak! Badania młotka już zakończone?

Durlik pokręcił głową. Nie mieli tego wyniku, ale był przekonany, że nie będzie dopasowania.

– Strykowski spotkałem wczoraj w Krempej, pod Atlantikiem. Zakupy robił, ale potem wybierał się do tartaku. Z Rychlikiem. Tym, wiesz...

– Wiem. Z Rychlikiem? A co oni, znają się? – Komendant się zdziwił.

– Nie. – Durlik pokręcił głową. – Rychlik dał mu przy mnie swoją wizytówkę. Podobno poznali się chwilę wcześniej, w barze. Strykowski twierdził, że jeździ po okolicy po to, żeby zdobyć jakieś informacje, że może ktoś coś widział i to coś uniewinni jego żonę.

– Średnio w nas wierzy.

– Bo my średnio wierzymy w jej niewinność.

Durlik powiedział „my”, choć dla nich obu było jasne, że ta wiara nierówno się rozkłada.

– I Rychlik miałby być tym kimś? – Zaręba pokręcił głową. – Nie widzi mi się.

– Dziwne, ale wygląda na to, że on sam go zaprosił na przejażdżkę. Strykowski mu coś wcześniej nagadał, że szuka drewna, bo rozbudowuje dom, ale to by nie wystarczyło, bo co Rychlika taki marny detalista obchodzi? Już bardziej to, że Strykowski opowiadał mu też, że zajmuje się pisaniem o tych terenach, a to Rychlika interesuje.

– Tak... – Zaręba pokiwał głową. – W każdym razie... no, to ciekawa znajomość.

– Ty go nie lubisz. – Durlik spojrzał na przełożonego.

– Którego?

– Fakt, obu. Ale Rychlika już wcześniej.

– Zresztą „nie lubię” to za dużo powiedziane. Co oni mi swat czy brat? Obcy facet. Mogę się tylko domyślić, jak ten jego majątek przyrastał. Żyłkę ma do biznesu, nie odbieram mu tego, ale znajomości i układy też ma. I to drugie mu robi większy pieniądz. A jak się robi większy pieniądz, to się człowiek staje chytry i łapczywy. Jeszcze więcej zysków, jeszcze mniejsze koszty. Ekonomizacja. W takim pędzie różne się rzeczy mogą zdarzyć...

Durlik wiedział, co Zaręba miał na myśli. Sprawę, która wisiała niewyjaśniona w ich statystykach. Niecały roku temu na drodze z Ożennej do Krempej zginął młody chłopak, student z Krakowa. Potracił go samochód, to jedno było pewne. Więcej nic się nie udało ustalić. Pojawiła się hipoteza, że to była furgonetka na ukraińskich numerach, ale poza przypuszczenie to nie wyszło. Sprawa krążyła wokół tartaku, bo wtedy u Rychlika była grupa Ukraińców, którzy kilka dni wcześniej za mocno zabalowali z odwiedzającymi ich kolegami. Wtedy mówiło się o odwiedzinach, choć bliższa prawdy była, zdaje się, wersja o tym, że ci faceci pracowali już u niego, nielegalnie. Doszło do jakiegoś spięcia i wszystko się rypło. Oni się potem zwinęli i wszystko ucichło, a winnego śmierci tego chłopaka nie znaleziono. Durlik był wówczas na zwolnieniu, szykował się do zabiegu usunięcia woreczka. Z prostej niby sprawy zrobiła się całkiem poważna operacja, a nawet dwie, i skończyło się blisko trzymiesięcznym zwolnieniem, więc podkomisarz śledztwo znał z akt i opowieści. Widział, że ta historia dręczy Zarębę – raz, że statystyki, dwa, że szef miał syna w wieku tego chłopka, który zginął. Taka głupia śmierć u progu życia; Durlik to rozumiał, także czasem o tym myślał, ale raczej nie obwinał Rychlika, zresztą, choć może ciąg wypadków był taki, że to jego działania doprowadziły do tej sytuacji, formalnie nie on za to odpowiadał. Cóż, facet należał do tej grupy, która zawsze się ze wszystkiego wywijała. Zyski były jego, koszty innych.

– Z Orłem rozmawiałeś? O tych, wiesz, dzikich.

– Rozmawiałem, ale tylko przed jazdą tam, potem już nie. On ich słabo kojarzy, ja tam z trudem trafiłem.

– Słuchaj, Piotrek... – zaczął komendant – ja w ogóle nie chcę wiedzieć o tych wnykach. W ogóle. Albo to robisz, jak należy, albo jesteś w tym sam. Rozumiesz?

Durlik kiwnął głową.

– Znasz mnie, ja nie lubię się naginać. I prawa nie lubię naginać, bo nigdy nie wiesz, kiedy przegniesz. Nigdy.

Durlik znowu kiwnął głową. Poinformował Zarębę, jak było, ale wnyki wciąż leżały w bagażniku.

– Ja ich sprawdziłem. Ona mieszka w Krempnej, od prawie dwudziestu pięciu lat jest mężatką. Dzieci nie ma. Ani ona, ani mąż nie byli karani, mąż rencista, ale taki na chodzie, rentę ma zresztą od lat. Prowadzą małe gospodarstwo, żyją z jego matką. Ta Żeleźnik pracowała w sklepie, ale teraz tylko dorywczo coś robi, głównie w sezonie. Spokojna, choć trochę dziwna. Brat dziwny już bardzo, ale nigdy nienotowany, zresztą w ogóle ma czystą kartę. Nie pracuje, nie bierze zasiłków, nie chodzi do lekarza, no po prostu jakby go nie było. Pesel jest, człowieka brak. Również żadnych zatargów z prawem.

– Bo go nie złapali na kłusowaniu.

– Ona powiedziała, że brat przestał. Może w tym coś być, bo to żelastwo zardzewiało, jakby było dawno nieużywane.

Usłyszeli pukanie do drzwi.

– Proszę – odezwał się komendant.

W drzwiach pojawił się Tomasz Białek.

– Mecenas Janicki przyszedł. Chciałby z panem, komendancie, rozmawiać.

Zaręba się skrzywił.

– Niech poczeka, przyjdę, jak skończymy.

Białek wciąż stał w drzwiach.

– Czyli kiedy tak mniej więcej? Bo on jest dość niemiły.

„Dość niemiły”, powtórzył w myślach Durlik. Pasowało do mecenasa Janickiego. W sumie do każdego z uwikłanych w tę sprawę pasowało. Właściwie tylko Anna Żeleźnik się wyłamywała. Była przestraszona i nastawiona ugodowo – wszystko, byle nie mieć kłopotów. Byle nikt nie wchodził do ich świata. Dziwnego świata, fakt.

– Pół godziny – rzucił poirytowany Zaręba.

Sierżant się wycofał.

– A o tych zeznaniach Stryjkowskich to co ty myślisz? Przecież to jedzie ustawką na kilometr. Chyba że jednak „ci dzicy” jakoś mogą być w to zamieszani? – Zaręba spojrział na Durlika.

Podkomisarz westchnął.

– Najpierw myślałem, że to głupia próba odwrócenia uwagi od siebie. Teraz, po tym spotkaniu z Dzieniszem, znaczy Dzieniszem juniorem, bo ojca nie było, myślę trochę inaczej. Stryjkowscy mogli teoretycznie widzieć któregoś z nich, bo oni chyba całe dni spędzają na łażeniu po lesie, ale po co by mieli zabijać? Nie mają żadnego motywu. Żadnego.

– Dwie młode kobiety. Oni tam żyją sami. Ojciec to pewnie już nie, ale syn jest w takim wieku, że natura może dojść do głosu.

– Malik uprawiała seks tylko ze Stryjkowskim. U tamtej Słowaczki w ogóle nie stwierdzono śladów niedawnej aktywności seksualnej.

– Wiem. Ale może coś go spłoszyło, może coś mu nie wyszło? Może samo zabijanie jest dla niego podniecające?

– Sposób zabijania na to nie wskazuje.

– Kręcę się, obaj się kręcimy. Jak gównu w przeręblu! – Zaręba uderzył dłonią w blat biurka. – Sorry, jakiś spięty jestem. – Odchrząknął i wstał. – Stryjkowska nam umyka, zaraz nie będzie powodów do zatrzymania. Janicki nas podsumuje... Zresztą w cholerę z nim, trudno. Ale jaka jest prawda? Czego nie widzimy? Co przegapiliśmy?

Komendant zaczął chodzić po pokoju.

– Wciąż sprawdzam różne tropy. Po prostu potrzebujemy trochę więcej czasu.

– Może. Może. – Zaręba stanął przy oknie. – Tylko żeby nie było, jak z tamtym chłopkiem.

Więc jednak Durlik dobrze zrozumiał wcześniejszą sugestię.

– Jaki masz teraz plan? – Komendant odwrócił się w stronę podkomisarza.

– Czekam na wyniki badania młotka z domu Strykowski. I może trzeba jeszcze raz odwiedzić tych Dzieniszów? W przybudówce nie widziałem młotka, ale muszą go mieć. Nóż na pewno też. Według mnie to raczej po to, żeby ich wykluczyć, ale...

– Nigdy nie wiadomo. Nigdy. – Zbigniew Zaręba minął go i wyszedł z pokoju.

Odsunął krzesło od stołu. Wstał i wyciągnął ramiona do góry. Coś mu strzeliło między łopatkami. W ogóle cały był taki pokurczony, napięty, zastały. Stres robił swoje, ale brak aktywności fizycznej też dawał o sobie znać. Do niedawna regularnie chodził – codziennie wieczorami przemierzał gorlickie ulice. Dbał o formę, ale był i inny powód – rozmawiał wtedy z Karolą.

Karola. Durlik powiedział mu, że odnaleźli jej ciotkę w Szwecji. Jednak jest prawdziwa, to znaczy jest jej genetyczną rodziną. Tyle tylko Strykowski się dowiedział, więcej podkomisarz mu nie zdradził. Rozumiał go, takie są przepisy, a Durlik się ich trzymał. Był raczej służbistą, choć... W przypadku tego dziwaczego faceta, którego on i jak się okazało, Marta widzieli, dał mu coś więcej – informację, że taki człowiek, „o ile naprawdę to jego państwo zobaczyliście”, istnieje. Był sceptyczny, czy to mógłby być ich podejrzany, bo „brak tu motywu”. A Marta? Mogła zamordować dwie kobiety, ot tak? Bo jeszcze była ta druga sprawa. Tu podkomisarz był jeszcze bardziej powściągliwy. Strykowski przeczesał Internet w poszukiwaniu wiadomości na tamten temat, ale znalazł tylko kilka artykułów, a w każdym z nich informację o ataku niedźwiedzia.

I „dodatkowych wątpliwościach” lub że „nie wszystkie wątki są wyjaśnione”. Na szczęście to były archiwalne materiały, nic nowego, co by wikłało Martę, się nie pojawiło.

Nie rozmawiał z żoną od czasu, kiedy zabrano ją do Rzeszowa. Miał zakaz widzeń. Do teściowej w końcu zadzwonił, ale nie odebrała. Dostał za to SMS: „Trzeba czekać”. Nie zrozumiał dokładnie na co, ale nie dopytywał. I tak dobrze, że nie zerwała z nim kontaktów. Wysłał na adres teściów pocztówkę dla córek. Wcześniej, też SMS-em, poprosił teściową, żeby powiedziała dziewczynkom, że wyjechał służbowo. Na tamtą wiadomość nic nie odpisała, ale miał nadzieję, że zrobiła, o co prosił. Teść był zapalczywy i na pewno go teraz nienawidził, ale wnuczki uwielbiał. Nie chciałby, żeby cierpiały, a cierpiałyby, gdyby im objawił, że tatuś wolał inną panią, przez którą mamusia jest teraz w areszcie.

Wyłączył laptop. Postanowił, że dzisiejszy dzień spędzi na chodzeniu. Jeśli kogoś spotka, to do niego zagada. Jeżeli nie, trudno, z tych „badań terenowych” też może coś wyjść. Na przykład kontakt z tym dziwnym facetem. Był przekonany, że Durlik zna jego adres, ale na pewno by mu go nie zdradził. Nie szkodzi, Strykowski sobie poradzi.

Sięgnął po buty. Zabrał z domu trekkingowe, w końcu czekało go kilka godzin łażenia. Te góry to niby takie górki, ale teren potrafi być zdradliwy. Są podmokłe miejsca, gdzie nawet w taki upał noga się zapada po kostkę. A jak zacznie padać, trasa zmienia się nie do poznania. Co prawda, nie zanosило się na deszcz, ale nigdy nie wiadomo.

– Nigdy nie wiadomo – powiedział na głos i sięgnął po finkę.

Właściwie nie rozumiał, dlaczego nie pozbył się tego noża. Źle mu się kojarzył, jak zresztą wiele spraw związanych z ojcem, a mimo to wciąż go miał. Stary powtarzał mu, że mężczyzna zawsze musi móc się obronić, zawsze musi być przygotowany na atak. Takie maczystowskie prawo puszczy.

Teraz akurat mogło się to sprawdzić.

Wrzucił finkę do plecaka, ale po namyśle wyjął ją i przełożył do kieszeni bojówek.

Obejrzał się przez ramię w lustrze. Wyglądał teraz jak prawdziwy turysta, nie taki z nówkami z Decathlonu, a taki, co zaczynał jako zuch, i zawsze dawał się zaprawiać życiu.

Ojciec byłby zadowolony z jego obecnego wyglądu, przeleciało mu przez głowę, choć wcale nie miał już ochoty go wspominać.

Odwrócił wzrok od szklanej tafli; teraz przed oczami miał grube bale ściany domu. Teść ściągnął tę chałupę z okolic Czarnego. Więcej nie wiedział, zresztą więcej go nie interesowało. „Do przodu trzeba patrzeć, do przodu żyć”, powiedział, kiedy Marcin dopytywał go o losy chyży.

Strykowski przejechał dłonią po drewnie. Było gładkie, obrobione, odnowione.

– Ale pod spodem i tak jest przeszłość – powiedział na głos. – A przeszłość zawsze ma znaczenie.

– Jasne, będziemy w kontakcie.

Piotr Durlik odłożył telefon na stół. Poczul, że ręka mu lekko zadrżała. Podszedł do regału i wyciągnął jedną z tekturowych teczek. Otworzył ją i przejrzał zawartość.

A potem usiadł.

Piętnastego kwietnia. Tego dnia ktoś zniszczył pierwszą kamerę w Ośrodku Edukacyjno-Muzealnym w Krempej. Zgłoszenie dostali dwa dni później, ale jako datę „dewastacji” pracownica sekretariatu podała właśnie ten dzień.

Piętnastego kwietnia, z prawdopodobieństwem przekraczającym dziewięćdziesiąt procent, została zamordowana ta słowacka turystka.

Podkomisarz Piotr Durlik odchylił się na krześle. Pogodziłby się z faktem, że nie odnajdą tego, kto to zrobił, bo wiele aktów durnego chuligaństwa pozostawało bez przypisanych im sprawców, ale w tym wypadku mogło chodzić o coś więcej, ponieważ druga kamera została roztrzaskana czwartego czerwca – w noc przed śmiercią Karoliny Malik.

A teraz, jedenastego czerwca, przed chwilą, Janusz Orzeł zadzwonił po to, żeby mu powiedzieć, że tej kamery, co już zdążyli ją naprawić, znowu nie mają, bo ktoś ją w nocy rozwalił. „Nic z tego nie rozumiem”, powiedział.

Podkomisarz też nic nie rozumiał. Tyle tylko, że po każdym akcie „dewastacji” następowało morderstwo. Związku żadnego, ale fakty były takie.

Otrząsnął się. Sprawą zajmował się Tomasz Białek, ale szło mu tak sobie, o co zresztą nikt nie miał do niego pretensji – taki był los „aktów chuligaństwa”.

Postanowił przejechać się do Krempej. Obejrzy jeszcze raz te kamery, może pójdzie pogadać z dyrektorką szkoły? Stamtąd jest blisko do ośrodka, a wiadomo, że czasem dzieciaki mają głupie pomysły. Co jakiś czas przewalają się przez Internet różne *challenge*, coraz bardziej idiotyczne, kto wie, czy nie zapanowała moda na taką durnotę?

Wyszedł z budynku. Było południe, słońce dawało niemiłosiernie. Miał nadzieję, że w szkole będzie chłodno.

Mógłby wykręcić T-shirt, tak się spocił. Zdjął plecak, żeby wyjąć z niego bidon. Woda wciąż była chłodnawa. Pił ją z przyjemnością; chętnie by opróżnił butelkę do dna, ale do sklepu był jeszcze kawałek. Nabrać wody ze strumienia nie miał odwagi. Potok zaliczył wcześniej bliskie sąsiedztwo kilkunastu domostw. Kanalizacji tu nie widział, szambiarek też nie. Zresztą chyżę teść podobnie podłączył – ujęcie wody wysoko, szambo niby szczelne, a nigdy niewybijane.

Przez dwie godziny wędrówki nie spotkał nikogo, ale na tym odcinku niespecjalnie go to dziwiło. No, może miał głupią nadzieję, że znowu mu mignie przed oczami ten dziwak, ale na to trzeba by wyjątkowego fartu. Lub – jeśli naprawdę tak mogło być – niefartu.

Dotknął kieszeni spodni – finka była na swoim miejscu.

Spojrzał na mapę. Jeszcze jakieś dwadzieścia minut marszu i zejdzie z tego zbocza do drogi. Potem będzie musiał się kierować na północny zachód, żeby dojść do zalewu, a stamtąd to już rzut beretem do centrum, gdzie sklep i bar. Zje coś i spokojnie da radę pokonać kilka ostatnich kilometrów do domu.

Schował bidon i zarzucił plecak. Skrzywił się, gdy poczuł na skórze zimno-mokną koszulkę.

Tych terenów prawie nie znał. To zresztą był chyba jeden z najrzadziej odwiedzanych rejonów w okolicy – żadnego szlaku, żadnej ścieżki edukacyjnej, tylko las, który teraz zaczął się przersedzać, ustępując miejsca krzewom. Przed wojną były tu łąki, na których wypasano krowy i owce, co w naturalny sposób utrzymywało równowagę w naturze. Potem wszystko zniknęło, a przyroda zaczęła wypełniać pustkę. Wiedział, że w niektórych miejscach parku przyrodnicy kosili łąki, żeby zapobiec zmianom krajobrazu, ale zdecydowanie nie tutaj. Szedł, co chwilę czując drapiące gałęzie na rękach. Jeszcze kawałek i wydostanie się z tego gąszczu. Niżej była już typowa łąka, choć z mocno wyrosniętymi trawami. Ich dotyk był zdecydowanie przyjemniejszy. Szedł, rozgarniając zieleń na boki. W dole dostrzegł pasek drogi. Trochę się zdziwił, bo wydawało mu się, że będzie bardziej z lewej strony. Tym razem sięgnął po komórkę. Mapy nie chciały się załadować, aparat miał i miał aplikację, ale w końcu wypluł obrazek. I nawet niebieską kropkę, czyli jego. Zrozumiał, że w jakiś niezamierzony sposób skrócił sobie trasę i znalazł się bliżej cywilizacji. W prawym rogu mapy dostrzegł dwa szare kwadraciki, czyli domy. Jeśli przejdzie trawersem łąkę, powinien dotrzeć do pierwszego z nich, a stamtąd na szosę będzie już tylko krok.

Wsunął telefon do kieszeni. Spojrzał raz jeszcze przed siebie i zorientował się, że zielona plama niżej to sad. Zapewne stary. A jeśli tak, to przy nim był dom lub domy. A po nich zostały jakieś ślady. Trudno, zrezygnuje ze skrótu, pójdzie prosto w dół. Będzie miał przynajmniej zawodową korzyść z tej części spaceru.

Słońce mocno grzało. Żałował, że nie zabrał czapki z daszkiem. O głowę się nie obawiał, miał gęste włosy, ale oczy trochę go piekły. Okularów też nie wyjął z auta.

Mimo wszystko po raz pierwszy od czasu, kiedy... od tego dnia, tak ostatecznie pomyślał, poczuł spokój. Nigdzie indziej to mu się nie zdarzało. W Beskidzie Niskim było coś, co się wymykało zwykłemu opisowi, że cisza i natura. Było coś z innego porządku. Gdyby był bardziej wierzący lub uduchowiony, powiedziałaby, że metafizycznego. Rozumiał ludzi, którzy byli zauroczeni tym miejscem. Nawet ten Rychlik. Wygugłał go i trochę się zdziwił. Facet sprawiał wrażenie cwaniaka – ten styl, ten samochód, ten majątek w stosunkowo młodym wieku. Okazało się jednak, że z tymi terenami łączą go nie tylko biznesy. Był potomkiem wysiedlonych. Po wojnie jego dziadków przerzucono kilkaset kilometrów dalej. Ani oni, ani jego rodzice nie wrócili na ojcowiznę, a on – tak. Coś tam odzyskał, a potem zaczął kupować ziemię, lasy, prowadzić biznesy. Zresztą musiały mu się zdarzać altruistyczne gesty, bo w jednym z artykułów Strykowski zobaczył jego zdjęcie podpisane: „lokalny patriota i dobroczyńca”. Rychlik sfinansował remont budynku, w którym mieściła się społeczna szkoła podstawowa. Strykowski wciąż uważał, że facet musi mieć w swojej biznesowej historii jakieś ciemne plamy, bo przecież znał świat lokalnych interesów – teść niby nie robił niczego, na co byłby jakikolwiek paragraf, ale zdarzały mu się zagrania mało etyczne czy mało empatyczne. Tak czy owak, ktoś taki jak Rychlik miał wiedzę, co się tu dzieje, Strykowski natomiast dobrze wiedział, co się tutaj działo. Mógłby wyjść z tego jakiś barter.

Był już prawie przy sadzie. Zdziczałe, pokręcone jabłonie, między które wbiły się dwie czeremchy. Kawalek niżej zauważył jakiś cień. Zrobił jeszcze kilka kroków i zorientował się, że to krzyż, właściwie dwa krzyże, za którymi wyrosły bujne krzewy. Za każdym razem, gdy znajdował takie pamiątki przeszłego, coś mu w środku drgało.

– Było tu życie i już nie ma tu życia – powiedział na głos.

Znalazł się już blisko kamiennych pomników zwieńczonych zjedzonymi przez czas krzyżami. Obszedł chaszczę z lewej strony i...

Stanął i nie mógł się ruszyć. Gardło zatkała mu gula, w skroniach szumiało. Zesztywniał, jakby dostał ataku tężyczki.

„Nie ma życia, nie ma życia, nie ma życia...” – przez głowę przelatywało mu to ostatnie zdanie.

Piotr Durlik dopił colę. Kiedy wlewał w siebie bordowy płyn, wydawało mu się, że się nawadnia, ale po ostatnim łyku to uczucie minęło. Mógł wziąć mineralkę, ale wygrało pragnienie szybkiego cukru. Odłożył butelkę na fotel obok.

W szkole właściwie niczego się nie dowiedział. Dyrektorka Joanna Zych ewidentnie lubiła i swoją pracę, i swoich uczniów. Krzepiące, bo wcale nieczęste. Kiedy on chodził do podstawówki, szkołą trzęsła psycho- i socjopatka – teraz potrafił nazwać to, co lata temu widział. Nauczyciele straszili nią dzieci. Kobieta, z którą właśnie skończył rozmawiać, była zupełnie inna. Obiecała, że „delikatnie” porozmawia z uczniami, ale według jej wiedzy to nikt z nich. Owszem, są różne problemy, jak to z dziećmi, ale nie takie. Nigdy się nie zdarzyły akty chuligaństwa. No i oni żyją w dobrej komitywie z ośrodkiem, dzieciaki lubią to miejsce, mają tam różne warsztaty, spotkania, ogniska.

Pewnie miała rację, ale musiał to wykluczyć. Zniszczenie kamery wciąż jeszcze podpinał pod jakąś głupią zagrywkę, a do tego najbardziej pasowały mu młodzież i jej rozedrgane hormony.

Lecz te dwie pokrywające się daty zaległy mu z tyłu głowy. Przypadek? Owszem, czasem się zdarzały. Generalnie życie składało się z przypadków poprzetykanych celowymi działaniami, na przykład morderstwami.

Dyrektorka była na tyle miła, że zagadnął ją o Żeleźników. Najpierw zapytał o historię szkoły, a potem, kiedy dowiedział się, że kobieta jest stąd, przeszedł do meritum. Nie zdziwiła się, a on się dowiedział, że Anna

Żeleźnik nawet się pojawiła w szkole, kiedy pomagała sprzątać po remoncie, bo etatowe ręce to było za mało. „Spokojna, cicha, małowówna”, powiedziała dyrektorka. Nie znały się ze szkoły, bo dzieliło je kilkanaście lat.

Durlik postanowił odwiedzić Annę Żeleźnik. Tam, w tym domu w lesie, była zdenerwowana. Zapewne zaskoczona, ale też ewidentnie bała się o brata. Albo brata – co powie, co zrobi. Może na swoim terenie będzie bardziej rozmowna.

Żeleźnikowie mieszkali za zalewem, w ostatnim domu i tak rzadkiej zabudowy.

Włożył kluczyk do stacyjki i uruchomił silnik. Opuścił klapkę nad szybą, bo oślepiało go słońce. Ruszył.

Lubił tu być, ta wszechobecna zieleń go uspokajała. Najpierw trochę go rozczarował przydział pracy w Dukli, bo Podkarpacie nie było jakąś wybitną trampoliną do kariery, ale całkiem szybko dobrze się poczuł w tym miejscu. Cisza, przyroda, właściwie brak większych stresów...

– Cholera! – zaklął.

Zorientował się, że przejechał obejście Żeleźników. Było cofnięte od drogi i gęsto obsadzone bzami. Że za tym szpalerem są podwórko i zabudowania, zauważył dopiero wtedy, gdy zobaczył je w bocznym lusterku. Przyhamował, ale nie miał tu jak zawrócić – było za wąsko, tylko pas trawy i rów. Mógłby wycofać, ale postanowił dojechać do zatoczki; pamiętał, że jest niedaleko, za najbliższym zakrętem.

Droga lekko się wspinała, słońce miał teraz na wprost siebie. Poprawił klapkę i zmrużył oczy. Wykonał łagodny skręt kierownicą i prawie równocześnie gwałtownie wdepnął pedał hamulca. Usłyszał stukot w bagażniku – wnyki się przewaliły.

Nie spodziewał się nikogo na tej drodze, a już na pewno nie człowieka, który wyskoczy mu pod koła. Bo wyskoczył – po prostu pojawił się znikąd. Dobrze, że Durlik jechał przepisowo, bo mogłoby się to źle skończyć. Zresztą nie było wiadomo, jak się skończyło, bo sylwetka, którą dostrzegł, zmieniła pozycję z pionowej na poziomą. Nagły ruch, postać przed maską,

potem wyrzut rąk do góry i ktokolwiek to był, zniknął. Durlik nie poczuł uderzenia, ale i tak jeszcze przez chwilę siedział, ściskając kierownicę.

Zaciągnął ręczny i wyłączył silnik.

I pomyślał, że kiedy ostatnim razem tak hamował, to...

Wysiadł z auta. W stopach czuł szpilki. Zrobił dwa kroki i stanął twarzą w twarz z Marcinem Strykowskiem.

– Ona nie żyje. Jezu, ona nie żyje! – To było coś między krzykiem a wyciem.

...dowiedział się o morderstwie.

Dziennikarz był jednocześnie spocony i blady. Trząsł się.

– Nic panu nie jest? – zapytał Durlik, patrząc na niego.

Nigdzie nie dostrzegł krwi, maska również była cała, ale musiał się upewnić.

– Nie żyje, Jezu, nie żyje! – Strykowski dopadł do niego i złapał go za ramiona.

Podkomisarz pomyślał, że dziennikarz wziął jakieś prochy. Ewidentnie był w stanie silnego wzburzenia. I pewnie po raz kolejny przeżywał śmierć kochanki.

– Kto nie żyje? – zapytał jednak.

Strykowski lekko się od niego odsunął.

– Kobieta. Jakaś kobieta. Leży tu na trawie. – Wykonał ręką ruch w kierunku zbocza, z którego zbiegł. – I nie żyje. Jak Karola, tak jak Karola.

Rozdział 15

Piotr Durlik patrzył na Marcina Strykowskiego.

W ciągu dziesięciu dni podkomisarz dwa razy widział dziennikarza w podobnych sytuacjach, czyli przy zwłokach. Za pierwszym razem wzburzenie Strykowskiego było silniejsze, ale wtedy z zamordowaną łączyła go mocna relacja osobista. Za drugim razem też był poruszony, mimo że, jak twierdził, nie znał zamordowanej. Różnica polegała na tym, że teraz Strykowski był pobrudzony krwią. I że miał nóż.

– Dobrze, to poproszę jeszcze raz. Na spokojnie. – Podkomisarz przesunął w stronę Strykowskiego szklanę wody. – Od początku.

– Od początku. – Strykowski roześmiał się histerycznie. Nastrój zmieniał mu się jak w kalejdoskopie, od szłochu po złość. – Ale od którego początku? Bo dla mnie to się zaczęło, kiedy przyjechaliśmy tu z Karolą. Upojny weekend, ja pierdołę! – Gwałtownie wstał, odpychając krzesło, tak że się zachwiało i upadło. Łoskot trochę go otrzeźwił, zwłaszcza że do pokoju najpierw zapukał, a potem zajrzał sierżant Białek.

Durlik podniósł rękę w geście oznaczającym, że wszystko ma pod kontrolą. Trochę na wyrost, bo wszystko mu się raczej wymykało.

– Przepraszam. – Strykowski się zmiętygował. – Ale niech pan zrozumie, to jest po prostu jakiś koszmar. No po prostu koszmar. Ja chciałem... chciałem się rozejrzeć, pogadać z ludźmi, pomyśleć w samotności. Zająć się tą sprawą, bo przecież myśmy byli po dwóch różnych stronach barykady. Pan nie wierzył w niewinność mojej żony, ja czułem...

– Były poszlaki. Mocne poszlaki – wtrącił Durlik. Bronił honoru policji. Miał wątpliwości, ale przecież nie był samotnym kowbojem, tylko częścią tej instytucji.

– No dobra, były. Ale ja, jak powiedziałem, czułem... Bo dziennikarz powinien mieć intuicję. Powinien, bo to robota czasami trochę śledcza. Rozumie pan, prawda? – Nachylił się w stronę Durlika.

Podkomisarz patrzył na przekrwione oczy dziennikarza i jego potargane włosy. W sumie rozumiał. Nie były to jednak ani czas, ani miejsce na taką solidarność.

– No i się sprawdziło. Sprawdziło się! – Strykowski gwałtownie się wyprostował.

Durlik miał wrażenie, że dziennikarz triumfuje. „Przedwcześnie”, pomyślał.

– Bo teraz ją zwolnicie, prawda? Przecież nie mogła dokonać tego morderstwa, skoro siedzi w areszcie. No nie mogła! Podejrzewaliście ją o dwa poprzednie, ale teraz to nie ona, na pewno nie ona, więc ta teoria się sypie jak domek z kart!

Tak, Strykowski zdecydowanie triumfował.

– Wszystko odbędzie się zgodnie z procedurami. – Podkomisarz odchrząknął.

Gdyby, idąc tropem zaproponowanym przez dziennikarza, miał wyrokować o winie, Strykowska byłaby już w drodze do domu, i to wcześniej, przed dzisiejszym odkryciem. Strykowski zaś... Intuicja Durlika i jego zwalniała, ale fakty...

– Zatem – powiedział – postanowił pan pójść do Krempnej, do centrum. Drogą przez góry. Wytyczył pan sobie trasę, początkowo trzymał się pan tego planu, a potem zbczył pan.

Strykowski pokiwał głową.

– Zgubiłem się trochę. Tu przecież nie ma żadnego szlaku. Szedłem na azymut, posiłkowałem się mapą. Póki byłem w cieniu, lepiej mi szło, ale potem słońce mnie zmogło i gdzieś popełniłem błąd. Drobnym.

„Drobnym”, pomyślał Durlik. „Rany, stary, gdybyś popełniał tylko drobne błędy, może byśmy tu nie siedzieli”.

– Zorientowałem się, że coś jest nie tak, kiedy zobaczyłem szosę w dole, bo powinienem wyjść w innym miejscu. Ale to w sumie było na plus, bo okazało się, że jestem bliżej miasta, niż planowałem. I jeszcze te zabudowania... bo to z kolei znaczyło, że jak strawersuję tę łąkę, to przejdę obok nich i wyjdę na asfalt. Łąka była dość zarośnięta, ale dało radę iść. I pewnie bym tak dalej szedł na ukos, ale zobaczyłem sad, a obok krzyże. Pan wie, co znaczy krzyż?

„Śmierć”, pomyślał Durlik.

– Że tu było życie – powiedział Strykowski.

Niby to samo, a jednak inaczej to ujęli.

– Mnie to interesuje, piszę o tym, a w tym miejscu nigdy nie byłem. Więc ruszyłem w stronę tego sadu i tych krzyży. Pod słońce, widziałem tylko taki prześwietlony zarys. Wszedłem do sadu, ocieniło mnie, ale nawet wtedy jeszcze nie zauważyłem, że... – Podeszedł do stołu i sięgnął po szklankę. Opróżnił ją i odstawił. Usiadł na krześle. Patrzył teraz wprost na Durlika. – Te krzyże nie są odnowione... Zresztą pan to wie, pan to przecież widział. Nie są odnowione, kamienie są obrośnięte wysokimi trawami, dlatego na początku nie zauważyłem... Dopiero gdy już byłem bardzo blisko, zorientowałem się, że tam ktoś leży. Ale nawet wtedy nie pomyślałem o morderstwie. Słońce, trawa, zapach wiosny, długie włosy... No przecież to jest scena na życie, nie na śmierć!

Durlik miałby inne skojarzenia, ale każda profesja w odmienny sposób steruje wyobraźnią.

– Podeszedłem. Nie, najpierw jeszcze się odezwałem. „Dzień dobry”, powiedziałem, żeby nie przestraszyć. Bo z tej mojej pozycji to ja tylko te włosy widziałem. Żadnej odpowiedzi, więc się zbliżam i... – Marcin Strykowski pokręcił głową. Przejechał dłonią po czole. – I od razu przypomniała mi się Karola. Tak samo czoło zalane krwią, takie same zadrapania na rękach. Tyle że Karola była nago, a ta kobieta ubrana. Ale też kobieta właśnie. Starsza, innego... pochodzenia, tak to nazwijmy, ale kobieta. To musi być ten sam morderca, ten sam!

Durlik przetrzymał i ten wybuch emocji.

– Wróćmy jeszcze do tego momentu. Zanim wybiegł pan na szosę i zanim omal nie wpadł mi pan pod koła, podszedł pan do ofiary.

– No podszedłem, bo na początku nie wiedziałem, że nie żyje. Potem zobaczyłem jej głowę i krew i od razu przypomniałem sobie... Ale przecież musiałem sprawdzić, czy ona na pewno jest martwa. To jest pierwsza sprawa, jakiej uczą na wszelkich kursach, żeby się upewnić, czy jest puls.

Durlik pokiwał głową. To brzmiało sensownie.

– Kucnąłem, to znaczy przyklęknąłem. Wziąłem ją za rękę, za nadgarstek dokładnie. Niczego nie wyczułem, ale postanowiłem jeszcze sprawdzić na szyi. – Strykowski przyłożył dwa palce do swojej szyi, prezentując gest, jaki wykonał. – I nic, też nic. Wtedy zobaczyłem, że się ubrudziłem. Krwią. – Przeniósł spojrzenie na swoje szorty. – Ta krew była... świeża. Po prostu świeża. I w ogóle ona, to znaczy to ciało, było ciepłe. Rozumie pan, ciepłe, czyli mogłem pomyśleć, pomyślałem, że ona jeszcze może żyć. Dlatego spróbowałem z drugiej strony szyi.

Podkomisarz patrzył na dziennikarza. Wszystko, co mówił, się zgadzało. Wstępne ustalenia były takie, że ofiara zginęła bardzo krótko przed znalezieniem ciała przez Strykowskiego. Dlatego mógł przypuszczać, że być może szybka pomoc ją uratuje. Dlatego mógł ją dotykać, zostawiając swoje ślady. Mógł się ubrudzić jej krwią.

– Ale nic, zupełnie nic. A z tej drugiej strony głowa wyglądała gorzej, ewidentnie jakby ją ktoś uderzył, i wtedy zrozumiałem, że ja tu już nic nie pomogę. Że tu potrzeba policji. I wtedy też dotarło do mnie, że skoro ona jest taka ciepła, to... – wzdrygnął się – to wszystko wydarzyło się przed chwilą i morderca może być blisko. Wystraszyłem się, to raz. A dwa, pomyślałem, że szybka reakcja może coś dać, że łatwiej będzie złapać mordercę. Chciałem pobiec na drogę i stamtąd zadzwonić na sto dwanaście. No i w ten sposób trafiłem na pana.

Podkomisarz pokiwał głową. Ta opowieść była spójna z tym, co już usłyszał od dziennikarza, wtedy, na miejscu. Choć niekompletna.

– Wypadł pan na jezdnię. Ja zahamowałem, na szczęście skutecznie. Wysiadłem, pan mnie zobaczył i zaczął krzyczeć.

Marcin Strykowski pokiwał głową.

– W ogóle pana, znaczy auta nie widziałem. W takim byłem stanie.

– Przeparkowałem auto do zatoczki, kawałek dalej. Wróciłem do tego miejsca, gdzie pan stał, żeby pójść z panem i obejrzeć miejsce zbrodni.

– Tak, zgadza się. Zaprowadziłem...

– Ale wcześniej znalazłem na poboczu to.

Durlik sięgnął po foliową torebkę, w której był schowany w skórzanej pochwie nóż.

– Tak, to mój, jak powiedziałem. Musiał mi wypaść z kieszeni, gdy się przewróciłem, kiedy wyleciałem na drogę.

Durlik kiwnął głową. To również się zgadzało z tym, co dziennikarz wcześniej zeznał.

– Miałem go ze sobą, bo szedłem sam, tu jest odludzie, zdarzyły się przecież morderstwa, a ja widziałem tego człowieka. I Marta też go widziała! Teraz to chyba jeszcze bardziej podejrzane, prawda?

Utkwił wzrok w podkomisarzu.

Piotr Durlik zaś pomyślał, że Strykowski dwa razy miał sposobność do morderstwa, a za trzecim razem podkomisarz spotkał go prawie na miejscu zbrodni, przy ciepłym jeszcze ciele. Ubrudzonego krwią ofiary. I z nożem.

Na pierwszy rzut oka tego nie było widać. Gdyby to była inna sprawa, inna okoliczność, Durlik by tego nie zrobił. Wtedy zaś, pod tym krzyżem, wsunął lateksową rękawiczkę na dłoń i uniósł długą spódnicę ofiary. Na udzie zobaczył to, czego się spodziewał. Literę Z.

– Musicie go teraz poszukać. Ja wiem, że to mało konkretne, ale skoro dwie osoby go widziały, no to coś znaczy. Na pewno macie jakieś psy, trzeba po tropie, uda się go dopaść, nawet w lesie, nawet w górach.

Podkomisarz powoli pokiwał głową.

Akurat tu się ze Strykowskim zgadzała. Będzie musiał znowu iść do Dzieniszów. Po to, żeby powiedzieć im, że ich córka i siostra została brutalnie zamordowana.

Rozdział 16

– Trzeba znać te tereny. Trzeba mieć kondycję. Trzeba mieć czas. Trzeba mieć coś nie tak pod czaszką. – Zbigniew Zaręba rozprostował cztery palce prawej dłoni, wyliczając kolejne powody, które miałyby przemawiać za winą Jana Dzienisza.

– Ale po co. Po co? – Piotr Durlik delikatnie wzruszył ramionami.

Nie chciał być nonszalancki wobec szefa, bo po pierwsze, go szanował, a po drugie, rzadko kogokolwiek traktował w taki sposób. No i do tej pory nigdy się tak w komisariacie nie rozmijali w interpretacji spraw jak teraz. Fakt, nigdy wcześniej nie mieli trzech zabójstw w ciągu niespełna dwóch tygodni.

– Masz ten sam *modus operandi*. Trzecie zabójstwo. To seryjniak. A do tego trzeba specyficznych predyspozycji. Ktoś, kto żyje w takich warunkach, na pewno je ma. Giną kobiety, tak samo brutalnie, ale w prosty sposób mordowane. Podtekst seksualny, najbardziej oczywisty wykluczamy, bo nie było gwałtów, ale każdy inny: od urazu po nienawiść jest możliwy. Oni tam żyją sami, wyłącznie testosteron, i to taki pierwotny.

– Ale ta trzecia zabita to jego siostra – zauważył podkomisarz.

– Najwięcej przestępstw jest w rodzinach, przecież wiesz. – Zaręba spojrzał na Durlika.

Tak, podkomisarz znał statystyki.

– Ona ich karmiła. Pewnie załatwiała im też ubrania. Leki, kosmetyki. Wszystko. W ogóle była pośredniczką między światem a nimi. Niedaleko jej ciała leżała menażka. Z obiadem. Mielone i kasza gryczana.

Podkomisarz pamiętał tę czerwoną plamę metalowego pojemnika na bujnej zieleni łąki. I dwa kotlety, które wycoczyły się na ziemię i już były

oblezione przez owady. Próbował znaleźć powód, dla którego Dzienisz miałby rozwalić opiekuńczej siostrze głowę i wyciąć literę Z na jej udzie. W przypadku dwóch pozostałych kobiet dałoby się to może przepchnąć, ale tu?

– Nic o nich nie wiemy. To, że do tej pory za nic nie byli notowani, sprawy nie przesądza. – Zaręba chodził po pokoju. – Mówiłeś – zatrzymał się i spojrzał na Durlika – że ona zakazywała mu kłusowania. Może o to się pokłócili? A może było tak, że on zamordował tamte dwie z innych powodów, a siostrę dlatego, że było między nimi jakieś starcie? Może ona się dowiedziała, co on zrobił? A może inne emocje tu zagrały i po prostu poszedł utartym już schematem, czyli rozwalił łeb pierwszej napotkanej kobiecie, nie zwracając uwagi na to, że to siostra? Nie jesteś przekonany, co?

Durlik przez chwilę milczał. Nie, nie był przekonany. Tyle tylko, że...

– Tyle tylko że twoje przekonania jak na razie ograniczają się do eliminowania podejrzanych. – Zaręba musiał zajrzeć do jego głowy. – Strykowska nie. Tu oddam ci honor, miałeś lepszą intuicję. Wbrew poszlakom, podkreślam. – Fakt, tonem głosu też to podkreślił. – Strykowski... przez moment się zawahałeś. – Na twarzy komendanta pojawiała się satysfakcja; bez triumfu, ale jednak.

Durlik kiwnął głową. Trzeba by mieć ogromną wiarę w człowieka, żeby go od razu skreślić z listy podejrzanych, gdy spotyka się go przy ciepłych zwłokach, na dodatek z nożem. Świątek jeszcze nie dał mu papieru, ale od razu, gdy obejrzał finkę, stwierdził, że nie pasuje. „Wkłęśte ostrze, tamten miał wypukłe”.

– No ale też nie. Wykreślimy Dzienisza. No, przypuśćmy na chwilę, hipotetycznie, że przyjmuję taki wariant. To kogo dasz mi w zamian? Masz innego podejrzanego?

Podkomisarz patrzył na komendanta. Rozumiał go. Jako szefa, którego zespół, czyli Durlik, nie osiągał odpowiednich wyników. Jako człowieka, który właśnie odwołał długo planowaną wycieczkę z okazji ćwierćwiecza

małżeństwa. I jako obsztorcowanego przez mecenasa Janickiego policjanta. I na koniec telefon od Siudy. Kłapa, kłapa, kłapa.

– Jest jeszcze sprawa tych kamer – powiedział Durlik.

– Kamer? – Zaręba się zdumiał.

Podkomisarz nie zdążył mu powiedzieć o ostatniej rozmowie z Januszem Orłem.

– Tych z ośrodka.

– A, daj spokój! – Poirytowany komendant machnął ręką. – Co mnie teraz takie duperele obchodzą? Z tego nikt nas nie będzie rozliczał, zwłaszcza gdy podamy im tego mordercę na tacy. Zresztą co ty się rozpraszasz, jak tym to Tomek się miał zajmować? To sprawa akurat dla sierżanta.

– Są nowe okoliczności. Pierwsze zgłoszenie dotyczyło tego dnia, kiedy zginęła Słowaczka. Drugie nocy poprzedzającej śmierć Malik. Dzisiaj rano Janusz Orzeł poinformował mnie, że znowu miał miejsce... – Durlik się zawahał – akt dewastacji.

Nie miał pojęcia, jak to się mogło łączyć, co nie oznaczało jednak, że mógł tę niesamowitą zbieżność terminów pominąć.

– Ale co te kamery mają do naszych zbrodni? Przecież to w cholere daleko od miejsc, gdzie te kobiety zginęły. – Zdumienie Zaręby wyklarowało się w czystą esencję.

– W drugim przypadku mogłoby mieć, bo ta kamera obejmuje też skrzyżowanie. To, na którym pojawiała się Strykowska. Tyle że ona, zwłaszcza wobec ostatnich wydarzeń, jest niewinna. – Durlik rozłożył ręce.

– Noż kurna... – Zaręba usiadł przy biurku.

Durlik patrzył na szefa i nie potrafił ocenić, czy on się bardziej irytuje, czy dziwi. A może był bezradny? Do tej pory nie widział go w podobnym stanie. Zbigniew Zaręba zawsze był jak wzorzec policjanta odlany ze spiżu: spokój, uczciwość, sumienna praca dająca efekty.

„No i się skończyło”, pomyślał podkomisarz.

– A ty co o tym myślisz? – Komendant znowu spojrzał na niego. Też inaczej niż zwykle. – To ma związek ze sprawą czy to przypadek? Ktoś sobie z nami pogrywa? Te kamery to jedna osoba? Te morderstwa to jedna osoba? Ta sama osoba?

– Nie wiem. Po prostu nie wiem.

Zbigniew Zaręba wstał. Powoli podszedł do okna. Włożył ręce do kieszeni i zastygł w tej pozie.

Durlik nie wiedział, czy to już definitywny koniec ich spotkania, czy jeszcze coś usłyszy. A jeśli tak, to w jakim tonie.

Komendant obrócił się w jego stronę.

– Podobno jak człowiek się przyzna, że nie wie, to pierwszy krok do tego, żeby się dowiedział naprawdę.

Durlik nie potrafił stwierdzić, czy to cytat z jakiegoś filozofa, czy raczej z Coehlo, ale tak czy owak – był na dobrej drodze.

Dom tonął w zieleni. Z tyłu wyrastała ściana lasu, sprawa naturalna. Od frontu jednak rosły bujne bzy, przed domem malwy i jakieś pomarańczowe i żółte kwiaty, których nazwy podkomisarz nie znał. Na parapecie skromnej drewnianej chałupy stały prostokątne doniczki z czerwonymi pelargoniami. Pamiętał takie z dzieciństwa – miały pełne kwiaty, grube łodygi i mięsiste liście. Teraz sprzedawano inne odmiany, delikatniejsze, zwieszające się. Takie, które z trudem zimowały w ich garażu, mimo że Kaśka o nie dbała. Te tutejsze wyglądały, jakby bez problemu spędzały zimę za uszczelnionym wata oknem, bez ustanku kwitnąc.

Durlik pomyślał, że to wszystko to pewnie spod ręki Anny Żeleźnik. Kobieta, którą zobaczył na podwórku, była już mocno zaawansowana wiekiem i przygięta reumatyzmem albo inną chorobą, która zmienia człowieka w żółwia – patrzyła na niego, przekręcając głowę znajdującą się na wysokości jej klatki piersiowej.

– Dzień dobry – przywitał się. Brak jakiegokolwiek reakcji przypomniał mu, że do starszych osób trzeba zdecydowanie głośniejsze mówić. – Dzień dobry! – poprawił więc przywitanie.

Kiwnęła tą swoją żółtą głową, ale nic nie powiedziała.

– Czy zastałem pani syna, Piotra Żeleźnika? Z policji jestem. – Sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął legitymację. Podszedł trochę bliżej, ale staruszka nawet nie spojrzała na dokument.

– Boże mój, a co to się stało?

Podkomisarz pomyślał, że pewnie by złożyła ręce jak do modlitwy, gdyby nie to, że podpierała się na lasce.

– Chciałem z nim porozmawiać. Muszę mu przekazać informację.

– Tyle tylko? Coś powiedzieć? – zapytała nadspodziewanie mocnym głosem.

Kiwnął głową. Nie miał pojęcia, jakie relacje łączyły obie kobiety. Mógłby obstawić, że nie najlepsze, bo przecież kawały o teściowych nie brały się znikąd, zwłaszcza gdy dwa pokolenia żyły w jednym domu. Anna Dzienisz weszła do tej rodziny prawie prosto z lasu, bez majątku, za to z balastem w postaci brata i ojca. Czy mogła być witana z otwartymi rękami, nawet jeśli narzeczony też nie był szczególnie atrakcyjnym kłaskiem na rynku matrymonialnym?

Piotr Durlik przyglądał się mężczyźnie, który pojawił się w drzwiach i zaczął iść w ich kierunku. Piotr Żeleźnik, podobnie jak matka, też podpierał się laską, tyle że był wyprostowany. Gdy podszedł bliżej, podkomisarz zauważył, że jeden jego but ma dużo grubszą podeszwę.

– Mama sobie odpocznie. – Mężczyzna najpierw odezwał się do matki tonem, w którym było słyhać, że to często powtarzana przez niego fraza. – Pan do kogo? – Teraz spojrzał na podkomisarza.

– Piotr Durlik, Komisariat Policji w Dukli. – Znowu wyciągnął legitymację. Tym razem została obejrzana. – Chciałem z panem porozmawiać o żonie.

„Beznadziejnie to wyszło”, pomyślał, gdy sam to usłyszał. Taka próba odsunięcia w czasie podania złej informacji. Miał z tym trudność, tu dodatkową, bo było jasne, że zarówno ten mężczyzna, jak i jego matka odbiegają od średniej. Jak zareagują? Słabiej, mocniej? Nieprzewidywalnie?

– Co znowu? – zapytała kobieta, która wbrew sugestii syna nie poszła sobie odpocząć, tylko wciąż stała na podwórku.

Durlik zauważył, że mężczyzna się skrzywił. Anna Żeleźnik z pewnością nie była ulubienicą jego matki.

– Bardzo mi przykro, ale pana żona nie żyje.

Mężczyzna patrzył na niego, jakby nie zrozumiał przekazu. Albo zrozumiał, ale nie zrobił on na nim większego wrażenia. Dopiero po chwili jego oczy zwilgotniały.

– Co się stało? Bo ona poszła i nie wraca... Zawsze wracała.

Patrzył na Durlika smutno-niebystrych oczami, a podkomisarz pomyślał, że będzie mu jeszcze bardziej smutno, gdy zostanie tylko z matką.

– Na razie nie mam wielu informacji. Właściwie tylko jedną, że została zamordowana.

– Zamordowana? – Staruszka się do nich przysunęła.

O ile wiadomość o śmierci Anny Żeleźnik wysysała z jej męża resztki i tak niesporych sił życiowych, o tyle teściową pobudziła.

– W lesie? Tam u nich? Ja jej mówiłam, żeby nie chodziła. Mówiłam! – Potrzaskała laską. – Że od tego to są specjalne ludzie w gminie, co dają paczki. A ona chodziła dzień w dzień. Gotowała im, nie za swoje przecie, bo co ona miała, tylko za nasze. I chodziła tam, zamiast tu być, z mężem i przy nim. No i tak się skończyło! A ostatnio to już źle było. No było, pamiętasz? – Spojrzała na syna.

Piotr Żeleźnik powoli pokiwał głową.

– Bo on tu przyszedł, ten jej brat. – Kobieta splunęła przez ramię. – Z krzykiem i awanturą.

– On się bał... – zaczął mężczyzna.

– Bał się, bał! To jego my się bali! – Matka nie dała mu dokończyć. – Jak opętany był!

– Ania go uspokoiła. – Piotr Żeleźnik spojrzęła na komisarza.

– Ty zawsze jej stronę brałeś, zawsze. Nawet po śmierci!

I w końcu ta informacja w pełni się do niego przebiła. Mąż Anny Żeleźnik zaczął łkać, potem krzyczeć, a wreszcie odwrócił się od nich i pokuśtykał do domu.

– Minie mu. Uspokoi się. – Kobieta odprowadzała go wzrokiem. Sama już wróciła do pierwotnego stanu.

Durlik pokiwał głową, choć nie mogła zauważyć tej jego niewerbalnej odpowiedzi.

– Kiedy brat pani Anny ostatni raz tu był?

– Parę dni przeszło. Jakby diabeł w niego wstąpił. On zawsze ułomny taki był na głowie, ale wtedy to jakby złe go osiadło.

– Często przychodził?

– Nie, wcale. Nie chciał, tylko w tej chałupie jak dzikie siedzieli, oni we dwóch. I dobrze, tak lepiej, tylko po co ona do nich łąziła? Tu powinna być, w obejściu. Przy mężu. Mnie też pomoc potrzebna.

– A wtedy, co tak krzyczał, to kiedy to było?

– Najsampierw to dawniej, jeszcze śnieg leżał, choć już dzień długi. No, wtedy to nie krzyczał, ale taki był... nosiło go, zakradł się wieczorem, jak zwierzę, w okno stukał. Gadali, on z nią, ale ona potem nic, jak trusia była. A drugi raz to niedawno całkiem, może tydzień, może trzy... Trudno spamiętać, jak dzień do dnia podobny. I wtedy to jeszcze za jasności krzyczał, ona go musiała uspokoić.

– Pamięta pani, co krzyczał?

Wzruszyła ramionami.

– Jak to on, nie szło zrozumieć. Że już nie będzie. Szarpali się, o tu, na tym podwórku. – Laskę pokazała miejsce, w którym teraz stał Durlik. – Ona go złapała, on się wyrywał. Podrapał ją nawet.

– Pobił?

– No, pobił to nie – odparła staruszka, jakby ze smutkiem. – Ale uraz zrobił. Choć ona potem mówiła, że to niechcący.

– Po tym wydarzeniu synowa nadal chodziła do niego i do ojca?

– Chodziła. Do końca życia by chodziła. Ona go, ich obu kochała. Najbardziej w świecie.

„Tu ją boli”, pomyślał Durlik. Że nie jej syn i nie ona byli dla Anny Żeleźnik najważniejsi. Mógł to zrozumieć; Kaśce też chwilę zajęło przecinanie mocno już zwłókniałej pępowiny. Ale to nastąpiło i teraz on i Maciek byli na pierwszym miejscu. Trudno by mu było znieść inny wariant, więc mimo nieustępliwej antypatii dla staruszki rozumiał ją.

– A oni to nie wiem, czy kogo kochali. Stary to tę ziemię chyba najbardziej. On stąd jest, tu jego ojciec był. I on tak wczepiony w tę ojcowiznę, że nigdzie iść nie chce. I dzieci tym zaraził. Sam je chował, oboje, bo matce się umarło młodo. – Kobieta pokiwała głową. Spokojniej i ciszej dodała: – Tu wszystkie jesteśmy obce. Razem żyjemy, ale obce, bo wszystkie tu skądś przyjechali. Jakoś ludzie w kupie żyją, dobrze jest. A oni... Oni stąd i od każdego uciekają. Ona, znaczy Anka, no... – Kobiecie lekko załamał się głos. – Niech Bóg ją przyjmie.

Odwróciła się i powoli zaczęła iść w kierunku domu.

Trudno mu było w to uwierzyć, ale się zgubił. Miejsce, gdzie parkował, odnalazł bez trudu, potem przeszedł ten kawałek na piechotę, aż do dwóch krzyży. Popatrzył na nie i wrócił pamięcią do martwej Anny Żeleźnik. Mogła zginąć z rąk brata? Tego, któremu chwilę wcześniej lepiła mielone? Tego, dla którego psuła i tak trudne relacje z teściową? Czego dotyczyły te jego krzyki, że już nie będzie, o ile rzeczywiście właśnie to krzyczał. Kłusowania? Mordowania?

Piotr Durlik się zatrzymał. Albo był zmęczony, albo nie miał tak dobrej pamięci, jak mu się wydawało. Przymknął oczy i próbował odtworzyć

w pamięci poprzedni raz, gdy udało mu się dotrzeć do chałupy Dzieńiszów. Cofnął się na łąkę, pod te krzyże, i ruszył w górę – trochę tak, jakby był pionkiem na planszy, kierowanym przez własną pamięć.

Gdy doszedł do miejsca, gdzie rosło stare, powykręcane przez czas i zdziczałe drzewo owocowe, ucieszył się. Na pewno je wtedy widział. Teraz jeszcze kawałek do góry, a potem, przed najwyższą buczyną, w lewo i...

Zobaczył zarys chałupy.

Przyspieszył, tak go emocje poniosły.

Przy domu nikogo nie zastał. Nacisnął rozwierchutaną klamkę, ale drzwi nie ustąpiły. Rozejrzał się dokoła. Pod ścianą stały mocno zabrudzone walonki, na trochę oddalonym od chałupy sznurze powiewała brudna lub dziwnego koloru koszula. Na parapecie stał poobijany emaliowy kubek z resztką herbaty, a w papierze z marketu Atlantik leżał kawałek całkiem świeżego chleba. Ojciec i syn musieli być gdzieś niedaleko.

„Zresztą dokąd by poszli?”, zapytał sam siebie.

Postanowił obejść dom i zajrzeć do przybudówki. Przy oknie przystanął, ale w środku panował półmrok, a gęsta firanka dodatkowo utrudniała widoczność.

Tym razem przybudówka była zamknięta, to znaczy na skoblu wisiała kłódka, ale nie była zatrzaśnięta. Zawahał się i zdjął ten kawałek starego metalu. Otworzył drzwi. Zamknęły się za nim z niemiłym zgrzytem, tak jak poprzednio.

Na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło. Na drugi, gdy rozjaśnił mrok latarką z komórki, też nie. Szpadel i kosa stały na swoich miejscach. Pudła też były tam, gdzie wcześniej. Podeszedł bliżej – gwoździe, śruby i inna metalowa zbieranina, którą widział poprzednim razem. Zwój drutu wciąż zajmował spory kawałek ściany. Pod nim pustka. To stąd zabrał wnyki. Nadal miał je w bagażniku. Gdyby go Zaręba docisnęła, żeby mu wytłumaczył, po co je wozi i dlaczego nie ciągnie sprawy, chyba by nie potrafił tego zrobić.

– Intuicja – powiedział na głos.

Gdzie indziej niż w tej głuszy by się do tego nie przyznał.

Omiótł latarką pozostałą część pomieszczenia. Wszystko było tak, ja pamiętał. Metalowe wiadro w rogu również. Tyle tylko, że wtedy było puste, a teraz coś w nim leżało.

Nachylił się. Najpierw zobaczył poszarzałą drewnianą rączkę, a niżej metal.

Młotek. Poczuł, że puls mu przyspieszył. Wyciągnął z kieszeni chustkę i delikatnie chwycił trzonek. Narzędzie było dość ciężkie. Podniósł je i się wyprostował.

Jedną ręką wciąż trzymał drewniany uchwyt, a drugą oświetlał metal.

Na obu zobaczył to samo – ślady krwi.

Drzwi skrzypnęły i do środka wpadła smuga światła, uwypuklając zaschniętą czerwień.

Durlik wciąż trzymał w ręku młotek i patrzył na Jana Dzienisza.

– Musimy... – zaczął, ale nie skończył.

Mężczyzna doskoczył do niego i popchnął go z taki impetem, że podkomisarz boleśnie uderzył plecami o ścianę. Przez chwilę miał wrażenie, że odcięło mu dopływ tlenu do płuc. Młotek wypadł mu z ręki. Dzienisz podniósł go z ziemi i stanął nad Durlikiem. Podkomisarz widział słaby zarys potężnej sylwetki górującej nad nim. I rękę, która powoli się unosi. Rękę z młotkiem.

Po chwili ręka opadła.

Rozdział 17

– Niczego nie podpisywać, niczego, Anulka mówiła.

Piotr Durlik od blisko dwóch godzin próbował wydobyć z Jana Dzienisza jakieś informacje. Szło mu gorzej niż źle. Obaj byli zmęczeni. Brat Anny Żeleźnik spędził noc w areszcie, podkomisarz – w domu noc bezsenną. Dopiero nad ranem udało mu się na krótko odciąć świadomość. Kiedy tak nie spał, tylko leżał obok ciepłej i pachnącej owocowym balsamem żony, zastanawiał się, czego w tej sprawie nie widzi, czego nie rozumie. I czy naprawdę mógł to być jego ostatni dzień w pracy. I w życiu. Komendant go opieprzył, chyba pierwszy raz tak bardzo. Zarazem te kurwy, którymi rzucał, były jednak łagodzone szczerą ulgą, że Durlikowi nic się nie stało. „Jak mogłeś być, kurwa, tak nierozsądny? Jak mogłeś sam, bez broni, kurwa, pójść do człowieka, który jest teraz naszym największym podejrzanym, a do tego jest wielki, zwalisty i mieszka w lesie. No powiedz mi, kurwa, jak?” Te kurwy miały dłuższe, wibrujące r, wwiercające się podkomisarzowi w głowę. Nawet jednak taka stymulacja nie pomogła mu w znalezieniu odpowiedzi na pytania komendanta. Czy miał uspioną czujność, bo nigdy wcześniej nie prowadził takiej sprawy? Czy nie nadawał się do tej roboty? A może jednak miał tę cholerną intuicję, bo Jan Dzienisz ostatecznie nie rozwalił mu głowy młotkiem?

Komendant był przekonany, że to dlatego, że się przestraszył. Durlik odrzucał ten argument – jeśli ktoś morduje trzy razy, to czwarty jest dla niego jak splunąć. Fakt, Dzienisz potem uciekał, Durlik go gonił – przez las, przez chaszczę, krzyczał: „Stój, policja!”, a dopadł go tylko dlatego, że Dzienisz się potknął, bo zawadził o korzeń chorą nogą. Tyle że gdy podkomisarz padł na niego swoim ciałem i wykręcił mu rękę, brat Anny Żeleźnik zaczął płakać. Trząsł się i płakał. I powtarzał: „Anulka, Anulka”.

Durlik zdał raport Zarębie, ale sam się czuł nieswojo, powtarzając tę „Anulkę, Anulkę”. Jakby grał w jakiejś latynoskiej telenoweli.

Rano niewiele się zmieniło. Jan Dzieńsz sprawiał wrażenie nieobecnego duchem. Na kilka podstawowych pytań – o imię, nazwisko, wiek – odpowiedział. Na resztę pytań...

– Zrobimy przerwę. – Podkomisarz spojrzał na przesłuchiwanego. – Chce się pan czegoś napić?

– Wody. – Usłyszał.

Kiwnął głową i wyszedł z pokoju. Na korytarzu poprosił Tomka, żeby zaniósł Dzieńszowi szklankę mineralki. Sam poszedł do Zaręby.

– I? – zapytał go komendant, gdy tylko stanął w drzwiach.

– I niewiele. Wyciągnąć coś z niego graniczy z cudem. On się cuka i zamyka w sobie. I nie udaje. W sumie to powinniśmy sprawdzić, jak jest z jego poczytalnością. Bo na pewno ma obniżone umiejętności poznawcze. Zresztą Janusz opowiadał, że on nie skończył nawet podstawówki. Siostra tak, on nie.

– Myślisz, że wyjdzie niepoczytalność? – Komendant odchylił się na oparcie krzesła.

Wyglądał lepiej niż Durlik. Mimo wszystko chyba był zadowolony. W końcu mieli podejrzanego, który rokował. „Ułomnego, ale zawsze”, pomyślał podkomisarz.

– Nie wiem. Według mnie on rozumie, o co go pytam, ale po prostu... – podkomisarz się zawahał – nie rozumie, co on tu robi. Dlaczego jest wciągnięty w tę sprawę. On po prostu nie łączy siebie z tym wszystkim.

– Bo jest niewinny. – Zaręba z wychyłu powrócił do pozycji wyprostowanej. I taki napięty patrzył na podkomisarza.

– Trudno wyrokować, zwłaszcza przed wynikami z laboratorium, ale...

– Ale wyrokujesz! – Komendant walnął pięścią w blat biurka.

Durlik mimowolnie się wzdrygnął. Relacja między nim a szefem weszła na nieznane dotychczas terytorium. Mało przyjemne.

Do pokoju zajrzał Tomasz Białek, ale utknął w progu.

– Przepraszam. – Zaręba spojrział na niego i odchrząknął. – Nerwowo mamy tu ostatnio.

Sierżant pokiwał głową.

– Ja do Piotrka. Bo ten twój podejrzany wziął ode mnie kubek, napił się trochę i wszystko wypluł, jakby się oparzył. Nic nie powiedział, a ja nie rozumiem...

– Gazowaną mu dałeś? – Durlika olśniło.

– No. Mineralkę, jak chciałeś.

– On pewnie nigdy nie pił niczego gazowanego.

– Nigdy? – Białek pokręcił z niedowierzaniem głową.

– No. Daj mu niegazowanej, a jak nie ma, to po prostu z kranu.

– Takiej nieprzepracowanej?

– On ma silny system odpornościowy. – Durlik przypomniał sobie spartańskie warunki chałupy.

Sierżant kiwnął głową i wyszedł z pokoju.

Zaręba jeszcze przez chwilę siedział, milcząc, a potem się odezwał:

– Myślisz, że on na serio z tymi bąbelkami czy robi pokazówkę?

Mina Durlika była odpowiedzią.

Komendant wstał zza biurka i zaczął chodzić po pokoju.

– Trzy morderstwa. No, weźmy, że tamto na konto Słowaków, bo szczęśliwie ratuje nas granica. Ale dwa morderstwa w krótkim odstępie czasu i blisko siebie? Tak samo przeprowadzone? Tego się nie da zignorować. Góra już dopytuje o postępowanie w sprawie. Wiesz, co nas ratuje?

Durlik pomyślał, że czas, bo sprawa była świeża. I odludność tych terenów. Teraz, w dwudziestym pierwszym wieku, jeśli ktoś nie miał samochodu, to żył tu jak przed wojną. Po niej władza dawała ludziom jakieś autobusy, a teraz po prostu wykreśliła te tereny z mapy połączeń. Kto sobie radził, ten sobie radził, kto nie, miał nogi, rower, sąsiadów albo kłopot. Ot, polski kapitalizm.

– Mecenas Janicki. Zastanawiałem się, dlaczego nie ma jeszcze żadnych artykułów w lokalnej prasie albo na lokalnych forach. Nie było, bo musiałyby w nich paść, że została zatrzymana Marta S., córka znanego przedsiębiorcy z tych terenów.

Durlik pokiwał głową. Ale teraz, kiedy Marta Strykowska była w domu...

– Ale teraz to on nam z przyjemnością dowali. Jeszcze chwilę poczeka, a potem się zacznie seria artykułów o nieudolności policji. I do tego ten dziennikarz...

Dziś rano Marcin Strykowski pojawił się w komisariacie. Chciał porozmawiać z Durlikiem w sprawie tego morderstwa, które odkrył. Oczywiście, że łączył je ze sprawą śmierci swojej kochanki. Był też zainteresowany „ze względu na żonę”, jak powiedział. Durlik pomyślał, że ma ponadstandardowe powody, by drażnić temat. Dołożywszy do tego fakt, że był dziennikarzem, można się było spodziewać trzykrotnie większej upierdliwości. No i niestety, Strykowski trafił na chwilę, gdy na korytarzu pojawił się Jan Dzienisz. Od razu było po nim widać, że go rozpoznał – przystanął i zaczął się w niego wpatrywać. A po chwili podbiegł do Durlika i nie zwracając uwagi na otoczenie, wyrzucił z siebie: „To on, ten, którego widziałem. I Marta”. Jan Dzienisz ich obserwował. A jeszcze chwilę później, już w ogóle się nie hamując, dziennikarz zapytał: „On jest podejrzany? To on zabił Karolę i tę biedną kobietę z menażką?”. Menażka uruchomiła emocje dość spokojnego do tej pory Dzienisza, który w tym momencie zaczął się trząść i krzyczeć: „Anulka, Anulka”. Durlikowi puściły nerwy. Z trudem się pohamował, żeby nie przekląć, i powiedział Strykowskiemu, że komisariat to nie bar, żeby sobie tu wpadać, kiedy się chce. I robić, co chce. Rozstali się raczej chłodno, choć Durlik nie miał wątpliwości, że dziennikarz wróci.

– Dobra, idź do tego Dzienisza i spróbuj coś z niego wyciągnąć. Potem trzeba będzie porozmawiać z jego ojcem... Jak mu?

– Daniel. Syn mówi Danił.

– Z Rzeszowa coś już masz?

Durlik pokręcił głową.

– Adam traktuje to priorytetowo, ale potrzebuje jeszcze dnia, może dwóch. Z tego, co może mi już powiedzieć, to w obu morderstwach sprawca jest ten sam.

– Zero zdziwienia, zero. – Zaręba sięgnął do szuflady biurka po papierosy.

– Palisz? – zapytał Durlik.

– Nie, na spacer je zabieram. Ech! – Komendant machnął ręką. – Tyle miesięcy mordęgi, żeby rzucić, a teraz znowu.

Durlik pamiętał te boje. Miętówki, chipsy, krojoną marchewkę – wszystko, byle tylko czymś zastąpić nałóg. W końcu się udało. Do czasu.

Jemu też się do tej pory udawało być dobrym gliną. A teraz przyszedł czas na „sprawdzam”.

Marcin Strykowski odłożył telefon. Tak mocno go ścisnął, że dłoń mu się spociła. Wytarł ją o T-shirt. Popatrzył przed siebie. Zielono, zielono, zielono. To mu zalecała okulistka na badaniach do pracy – przerwy, w których patrzy w przestrzeń, najlepiej wypełnioną naturą.

Od momentu, gdy Marta trafiła do aresztu, nie widzieli się. Wtedy nie mógł jej odwiedzić, teraz...

– Dobra, powiedz to: masz pietra – rzucił w przestrzeń.

Był pewien, że żona siedzi teraz z rodzicami na jakiejś naradzie wojennej. Janicki też pewnie tam jest. Zastanawiają się, co zrobić, jaką narrację przygotować, czy uprzedzić ewentualny atak. Teść pewnie sący jej do ucha, że jeśli chce, to on i mecenas puszcza go, znaczy Strykowskiego, w skarpetkach. Że Marta nie rozważa takiego scenariusza, był pewien. Już wcześniej mówiła mu, że mu wszystko wybaczy, że przecież może być jak dawniej albo nawet lepiej, że wszystko się ułoży. Wtedy to było nerwowe, rozedrgane, bo emocje były świeże. Teraz, kiedy z nią rozmawiał, miał wrażenie, że jest dużo spokojniejsza. Oboje byli poza

kręgiem podejrzanych, choć jeszcze pozostawali uwikłani w te historie. Najważniejsze jednak, że byli już tylko we dwoje. Koniec trójkąta. Strykowski poczuł ukłucie gdzieś w okolicy serca. Mógł ratować małżeństwo dzięki temu, że Karola nie żyła. Wciąż myślał, że kocha żonę, nie tak jak Karolę, ale przecież tyle ich łączyło. To była po prostu spokojniejsza, okrzepnięta miłość. Ale czuł ten zgrzyt, ten ból. Nie da rady o tym zapomnieć, nie szybko, to się musi odleżeć, uklepać, minąć.

I musi się wyjaśnić, kto i dlaczego zabił Karolę. Ten facet w komisariacie... Strykowski nie mógł być tego pewien, ale ten człowiek wyglądał... no dziko. Jak jakiś traper albo surwiwalowiec. Albo ktoś nie z tej epoki.

Ale czy jak morderca?

Umówił się z Martą, a właściwie ona z nim, że na razie zostanie w chyży. Dziewczynki na szczęście myślą, że wyjechał w sprawach służbowych. Marta ma tu przyjechać, żeby „wszystko omówić”. Będzie musiał posprzątać, zmienić pościel, poskładać rzeczy Karoli, do końca usunąć ją z tej przestrzeni i jego życia... Teraz drapnęło go w gardle.

Podniósł się. Na razie nie chciał tutaj być, musiał dokądś pójść, coś zrobić. Postanowił, że pojedzie w to miejsce, gdzie znalazł zwłoki. Rozłożył mapę i zaznaczył na niej położenie chyży i krzyży, pod którymi leżała ta biedna kobieta. Wiedział, bo to akurat usłyszał, że ona była z tych zabudowań, obok których chciał przejść, żeby się dostać do asfaltówki. Potem jeszcze dołożył miejsce, w którym prawdopodobnie widział tego dziwaka. Nakreślił sobie trzy kręgi o promieniu dziesięciu kilometrów; taki zakres wypraw tego człowieka przyjął. A pewnie i domu, jeśli faktycznie mieszkał w dziczy. Wyszedł kawał terenu, ale Strykowski się nie zraził. Na wyprawę wybrał ten okrąg, w którym wczoraj natknął się na ciało.

Stanął tam, gdzie podkomisarz zostawił swoje auto. Spojrzał w dół. Rzeczywiście, w słoneczny dzień widoczność na tym zakręcie była słaba.

Do tego jeszcze rozrośnięte drzewa i bujne krzaki blisko jezdni. W sumie miał sporo szczęścia, że policjant jechał przepisowo.

Wahał się, czy nie przyjechać tu samochodem, oszczędziłby sporo czasu. Droga była, co prawda, wyłącznie do użytku służb leśnych, pracowników ośrodka, policji, straży i tak dalej. No i jeszcze Uniwersytetu Jagiellońskiego, nie wiedzieć dlaczego. Pozostali jednak mogli wysłać SMS i czekać na informację zwrotną, czy mogą przejechać na drugą stronę góry. Był ustalony limit na takie przejazdy; Strykowski nie sądził, że się nie załapie, ostatecznie to nie wakacje i naprawdę nie było tu nikogo poza mieszkańcami, ale wolał zostać nieodnotowany. „Niech pan to zostawi”, rzucił mu Durlik na koniec. Nie groził mu, choć nie zabrzmiało to przyjemnie.

Wybrał więc wariant pieszy. Owszem, blisko dwie godziny drałowania, ale po pierwsze, znał już tę trasę, a po drugie, potrzebował ruchu. Po trzecie, będzie mógł zrobić duże kółko, bo nie będzie musiał wracać po auto.

Swoją górę przeszedł w ekspresowym tempie, schodząc do godziny dwudziestu dziewięciu minut. Tym razem się nie pomylił i wyszedł tam, gdzie pierwotnie planował, czyli trochę wyżej niż ostatnim razem. Wziął też odpowiednią ilość wody. W bocznej kieszeni plecaka miał gaz pieprzowy. Na wszelki wypadek. Finkę zabrał podkomisarz, choć widać było, że tej kobiecie ktoś rozwalił głowę. Tak jak Karli. Strykowski jeszcze nie zapytał, czy dostanie nóż z powrotem. Nie kojarzył mu się najlepiej, ale miał go tyle lat. Był pamiątką, jedną z nielicznych po ojcu. Przypominał mu, jaki nie chce być. Nie do końca mu wyszło, skoro ojciec też zdradził matkę, a potem ich zostawił.

Przeszedł kilkadziesiąt metrów w dół i zatrzymał się w miejscu, w którym wybiegł na jezdnię. Teraz trawa była tu mocno zdeptana, a ścieżka do tych krzyży jasno wytyczona. Poszedł nią, ale ustąpił przed policyjną taśmą, której końcówka powiewała na wietrze.

Stał i patrzył. W śmierci Karoli był filmowy dramatyzm – piękna naga kobieta, strumień i rwąca woda. Jak w zatrzymanym kadrze. Mogło chodzić

o wszystko – miłość, nienawiść, zemstę, seks, wielkie emocje. Ta kobieta... Zrobiło mu się smutno. To była zwyczajna, pewnie dobra kobieta, spracowana, zmęczona życiem. A w menażce miała mielone. Komu je niosła? Mężowi? Dzieciom? Były dla niej, bo szła pracować gdzieś w polu?

Dwie tak różne sprawy. Ale przecież coś musiało je łączyć.

Zastanawiał się, w którą stronę teraz pójść. Postanowił wrócić na asfalt i piąć się nim w kierunku granicy. Ta droga była niezłym punktem obserwacyjnym – widać z niej było zbocza obu gór, między którymi biegła, a on miał ze sobą lornetkę.

Na asfalcie odczuł, jak upalna jest wiosna tego roku. Las dawał mu cień lub cień i wilgoć. Na łąkach też było chłodniej, a tu... Powietrze nad czarną powierzchnią falowało, a Strykowski miał wrażenie, że jego buty lekko się zapadają. Wiedział, że musi oszczędnie gospodarować wodą, więc wyliczał sobie czas – przystawał co kwadrans i brał po kilka łyków.

I podczas takiego – piątego czy szóstego – odpoczynku zobaczył jakiś cień przy drzewie po prawej stronie. Najpierw pomyślał, że to zwierzę, bo przed półgodziną sarna przebiegła mu drogę, ale tym razem to było coś innego.

Tym razem to był człowiek.

Strykowski od razu wyczuł, że patrzy na coś, na kogoś dziwnego. Przez chwilę nie rozumiał, ale potem do niego dotarło – ten mężczyzna, który zastygł jak surykatka albo zając, albo dowolne zwierzę, które ma nadzieję, że bezruch czyni je niewidzialnym, był podobny do tego przesłuchiwanego w Dukli, tyle że sporo starszy. Strykowski najpierw pomyślał, że może to jakaś osada, komuna lub cholera wie co, a potem że raczej rodzina, na przykład ojciec.

– Halo! – zawołał w kierunku tego człowieka.

Nieznajomy się nie poruszył.

– Halo! – Tym razem okrzykowi towarzyszyło machanie rąk.

Wciąż nic.

Strykowski zauważył, że bliżej tego faceta jest wąska ścieżka. Postanowił z niej skorzystać. Już prawie w nią skręcił, gdy tamten zaczął uciekać. Jak na starego, był naprawdę sprawny. Strykowskiego w pierwszej chwili przytknęło, ale potem rzucił się za tamnym w pogoń.

– Niech pan zaczeka, chcę tylko porozmawiać! – wrzasnął. – Niech pan zaczeka! – wydarł się po raz drugi.

Tamten zwiewał, Strykowski go gonił. Po kilku minutach poczuł pieczenie w klatce piersiowej.

– Czekaaj! – Nie miał już siły na dłuższe formy. – Stój, no!

Wciąż jeszcze go widział, ale dystans między nimi się nie zmniejszał. Droga lekko zakręcała i na chwilę stracił uciekiniera z oczu.

Zauważył go, gdy tamten zaczął się wspinać po zboczu.

Strykowski rzucił się za nim.

– Kurwa! – zaklął, gdy do jego butów wlało się coś zimnego i mokrego. Oraz śmierdzącego. Przystanął. Władował się w podmokły teren. – Kurwa – powtórzył i mimo wszystko ruszył przed siebie. Z każdym kolejnym krokiem grzązał jednak coraz bardziej. Coraz trudniej było mu wyciągnąć but z zimnej mazi. Facet robił się coraz mniejszą ciemną kuleczką na zielonym zboczu.

Jak on to ominął? Tego Strykowski nie rozumiał.

– Kurwa, no!

Stanął i odprowadził wzrokiem kropkę do momentu, gdy przecięła linię łąka–las i zniknęła wśród drzew. Odwrócił się i zaczął wracać po tym lepkiem, śmierdzącym i kląskającym terenie.

Kiedy wyszedł na asfalt, zobaczył, jak źle wygląda – ufajdany czymś brązowym, chyba gnojówką. Albo bagnem. Albo sam nie wiedział czym. Śmierdział i chlupało mu w butach.

Usiadł na asfalcie i wyciągnął z plecaka bidon. Przez moment się wahał, czy pić wodę, czy może użyć jej do opłukania nóg, ale pragnienie zwyciężyło.

Sięgnął po mapę i zaznaczył punkt, w którym puścił się za tym dziwakiem w pogoń.

W tym stanie nie nadawał się do dalszej wędrówki. Postanowił, że wróci tą samą drogą do domu. A jutro przyjedzie tu autem i pójdzie szukać tego gościa. Nie mógłby tego odpuścić, dręczyłoby go, kim ten koleś był, i dlaczego przed nim zwiewał.

Postanowił dojść do zakrętu i pójść obok krzyży. Mało przyjemnie, ale to była najkrótsza droga.

Gdy był na wysokości krzaków, usłyszał jakiś świst. Zrobił dwa kroki i...

Rozdział 18

Piotr Durlik powinien poinformować o tym telefonie Tomasza Białka, a potem wysłać go na rozmowę z Joanną Zych. To – zdecydowanie wyraźnie – zasugerował mu Zaręba. Mimo wszystko postanowił sam pojechać do Krempnej. Dyrektorka zadzwoniła, żeby mu powiedzieć, że ma dla niego „pewną” informację w sprawie kamer zainstalowanych w ośrodku. Przez telefon nie chciała jednak więcej zdradzić. Durlik próbował lekko naciskać, ale ustąpił. Wyczuł, że napór może dyrektorkę zniechęcić. Coś by mu na pewno powiedziała, jej nastawienie mogłoby się jednak zrobić mało przychylne. Zdecydowanie wolał tego uniknąć, bo w sprawie kamer był jak dziecko we mgle.

Wsiadł do auta. W bagażniku już nie trzymał wnyków. Zaręba kazał mu włączyć je do sprawy. „Jeśli nasze przypuszczenia się potwierdzą, każde takie nieregulaminowe zachowanie będzie potem w procesie jak kula u naszej policyjnej nogi”. Durlik wyobraził sobie mocne pordzewiałe szczęki na swojej łydce. Wyjął żelastwo, okazał je Dzieniszowi, a on, po raz pierwszy, wykazał jakieś zwaśne zainteresowanie. Sprzęt rozpoznał, potem zaczął gwałtownie zaprzeczać, że go ostatnio używał. I znowu powtarzał: „Anulka zakazała. Zakazała”. Właściwie o cokolwiek by go zapytać, to przewijały się te dwie frazy: „zakazała” i „Anulka”.

Była jeszcze trzecia, którą podkomisarzowi ciężko było znieść: „Gdzie Anulka?”.

„Czy pan rozumie, że pańska siostra, Anna Żeleźnik, nie żyje? Kiwnięcie głową i: „Gdzie Anulka?”.

Durlik pomyślał, że po tym przesłuchaniu należy mu się wytchnieniowa przejażdżka.

– Tu jest szlauch, obok, w tym metalowym pojemniku, mydło. Pożyczyć mogę kalosze albo klapki. – Mężczyzna w kolorowej koszuli, która bardziej by pasowała na kalifornijskiej plaży, podszedł bliżej ściany, na której wisiał termometr. – Dziś trzydzieści jeden w cieniu, chyba klapki lepsze.

Na białym budynku wisiała czerwona tabliczka. Stacja Badawcza Uniwersytetu Jagiellońskiego, przeczytał Strykowski.

– Jasne. – Kiwnął głową. – I jeszcze raz dzięki. – Uśmiechnął się.

– Drobiazg. I drobna rekompensata. W sumie moja wina, bo widoczność za tym zakrętem jest zerowa, ale jeszcze nigdy nikogo tu nie spotkałem, turyści, jeśli są, to wybierają ścieżkę na zboczu góry, na szczyt, a potem przez las. Wychodzą na asfalt dopiero w Ożennej, bo tam już się zaczynają prywatne łąki. A tak to nikogo. No, przepraszam, czasem rowerzyści, bo tutaj dużo fajnych tras. W ogóle piękne to miejsce.

Strykowski spojrzał na niego. Pomyślał, że facet chyba nie wie, co się tu kawałek dalej zdarzyło. W sumie to dwa kawałki dalej. A nawet trzy.

– Pan tutaj często przyjeżdża? – zapytał go.

– Parę lat temu regularnie. Wtedy było jeszcze fajniej, bo mieszkaliśmy w drewnianym domu na końcu wsi. Niezwykle urokliwe miejsce. Ale potem nastąpiły roszady z zarządzaniu tą chałupką, spod opieki botaników przeszła w ręce Instytutu Nauki o Środowisku, a oni podobno wydzierżawili ją komuś innemu, spoza ujotu. No i nie ma tam dla nas miejsca. Wtedy mnie to jakoś nie zabolalo, bo dostałem zagraniczny grant i miałem przerwę w tutejszych pobytach. Teraz jestem tu pierwszy raz po tej przerwie. Wczoraj wieczorem przyjechałem, dziś się urządzam. Na razie jestem sam, ale za dwa tygodnie dojadą studenci.

„Czyli nie wie”, pomyślał Strykowski. Zastanawiał się, czy go informować.

– A pan co tutaj robi, jeśli mogę zapytać?

Tak, powinien zdecydować, ile temu miłemu człowiekowi powiedzieć.

– Jestem na wakacjach. Ale też trochę w pracy. Marcin Strykowski, dziennikarz. Zawodowo zajmuję się trochę tymi terenami, a dokładniej wysiedleniami.

Wyciągnął rękę w stronę swojego rozmówcy.

– Jakub Zieliński, geolog. Doktor geologii z nadzieją na szybką habilitację. – Uśmiechnął się. – No to pewnie nieco pan wie o naszej bazie.

„Teraz już tak”, pomyślał Strykowski.

– Wiem, że wcześniej była tu wieś. Potem zniknęła. Ale w przeciwieństwie do wielu miejsc dokoła życie tutaj nie ustało, bo powstał tu PRG. Tyle że to życie już nijak nie przystawało do tego sprzed czterdziestego siódmego roku.

– No, nijak. Plus taki, że działalność rolnicza zahamowała naturalną sukcesję przez przyrodę. I my, w naszej bazie, z tego korzystamy. Pan patrzy na te ziemie okiem historyka. Ziemia jest dla pana tłem wydarzeń. A ja tę ziemię badam, bo każde z przeszłych wydarzeń osadziło się w niej jakąś drobiną. To jest moja historia. Przyniosę panu ręcznik papierowy, trochę pan sobie buty wytrze, choć w domu i tak musi im pan zafundować solidną kąpiel.

– I jeszcze się poparzyłem. Grzędawisko i pokrzywy. – Strykowski się skrzywił.

– Tam, gdzie teraz pokrzywy, dawniej były obory. Czyli życie. – Zieliński znowu się uśmiechnął. – Zaraz wracam.

Strykowski odprowadził go wzrokiem. Geolog zniknął we wnętrzu niedużego białego budynku. Teraz już rozumiał, dlaczego zakaz wjazdu na tę drogę nie obejmuje pojazdów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Nie wiedział, że tu jest ich stacja badawcza. Po rozmiarze zabudowań sądząc, stacyjka. Zawsze jakoś omijał ten kawałek Beskidu Niskiego, skupiał się na miejscach położonych bliżej Gorlic. Granicą były Czarne i Mareszka. Tamte tereny miał zbadane, tymi zajmował się mniej, i to głównie w archiwum. Nie sądził, że w taki sposób będzie zdobywał nowe informacje.

Podstawił buty pod silny strumień wody. Wypłynęła z nich brunatna maź.

– Widzi pan, to jest delikatna sprawa, bo... – Joanna Zych urwała i przeniosła spojrzenie za okno. Przez chwilę trwała w zawieszeniu, a potem znowu popatrzyła na podkomisarza.

Wyglądała bardzo ładnie. Miała gładką, miodowo opaloną skórę, rozpuszczone włosy w naturalnym, tak mu się przynajmniej wydawało, odcieniu.

– Jestem dyrektorką tej szkoły, ale też jestem pedagogiem. Znaczący pedagogką.

Durlik miał wrażenie, że lekko się speszyła.

– To nie jest tylko kwestia języka, wie pan, te feminitywy. Tu nie chodzi jedynie o to, żeby na każdym kroku podkreślać, że jest się kobietą i w ogóle połowa tego świata jest kobietą. To znaczący to też, bo przez tyle lat patriariat... – urwała. Wzięła głębszy oddech i znowu spojrzała na Durlika, który trochę ją rozumiał, a trochę nie. Może dlatego, że do tej pory feminizm kojarzył mu się z nerwowymi, zaniedbanymi, no dobra: zadbany w tym samym, co przeciętny mężczyzna stopniu kobietami. Joanna Zych zupełnie nie pasowała do tego wizerunku. – Ja kieruję tą szkołą, ale przede wszystkim myślę o dzieciach. Bo ja tu jestem dla nich, nie one dla mnie. Sama byłam tutaj uczennicą i wtedy dyrektorem był mężczyzna, i... no, to mój antywzór pedagoga, tyle powiem. Zatem, żeby już nie przedłużać. Po pana wizycie zorganizowałam spotkanie z dziećmi. Podzieliłam je na dwie grupy: starsze i młodsze, bo inaczej się do nich dociera. Powiedziałam, jaka przykrość spotkała nasz zaprzyjaźniony ośrodek. Że to strata finansowa, zniszczony przedmiot, ale przede wszystkim utracone zaufanie, bo to zapewne ktoś z nas, ktoś z naszej małej społeczności. A my tu razem, zgodnie żyjemy... – Znowu urwała. – Te dwie zbrodnie, bo były dwie, prawda? – Spojrzała na podkomisarza.

Durlik kiwnął głową. Aż dziw, że dopiero teraz o to zapytała. O trzeciej nie zamierzał wspominać.

– One mają coś wspólnego ze sobą?

– Na tym etapie śledztwa nie mogę udzielić informacji. – Durlik opancerzył się standardową formułką. Z przykrością, bo dyrektorka była naprawdę miła.

– No tak, tak... Ja tylko się zastanawiam nad bezpieczeństwem. Wie pan, ja lubię wyprawy do lasu, przejażdżki rowerem... Często samotne.

Piotr Durlik wyobraził ją sobie gdzieś w buczynie, z rozwaloną głową i literą Z wyrytą na na pewno ładnym udzie, bo Joanna Zych była zgrabna, co dobrze uwidaczniała lekka sukienka. Dzienisz siedział w areszcie, ale...

– Na razie polecałbym wyprawy w towarzystwie męża – odparł.

– Jestem rozwiedziona. – Poprawiła książki leżące na biurku.

Zrobiło mu się szczerze przykro. I... Postanowił, że kupi dziś Kaśce jakieś kwiaty. Drobnie gesty wzmacniają trwałość małżeństwa. A trwałość kruszeje.

– Więc – odchrząknęła – przeprowadziłam dwie takie miłe pogadanki, bez żadnych insynuacji, bez straszenia, bez ferowania wyroków. Powiedziałam, że ktoś zniszczył monitoring na budynku ośrodka. Bezpośrednio po nich nikt się u mnie nie zjawił. I kiedy już myślałam, że nic z tego nie będzie albo że naprawdę nikt nic nie wie, przyszedł do mnie pewien chłopiec. Z ósmej klasy. Nie w szkole, a w domu, w drodze do domu dokładnie, kiedy wracałam z pracy. On szedł z naprzeciwka, wtedy myślałam, że gdzieś był, że to tak przypadkiem wyszło. Teraz sądzę, że on to sobie zaplanował, bo nie chciał, żeby go ktoś zobaczył, jak idzie do mojego gabinetu.

– To on rozwalił tę kamerę?

Joanna Zych się zawahała.

– A co mu grozi? Bo ja już się z nim umówiłam, że on to odpracuje. Że ja to załatwię jakoś z Januszem, znaczy z dyrektorem ośrodka. Wolontariat, praca się znajdzie. To dobry dzieciak, tylko trochę zagubiony.

– Z marginesu, to znaczy z jakiejś biedy?

– Z biedy? Nie, wręcz przeciwnie. – Dyrektorka się roześmiała. – W promieniu wielu kilometrów trudno by było znaleźć bogatszy dom niż jego.

Durlik się zdziwił. Przecież jednak trochę znał te okolice i...

– Tylko widzi pan, on się przyznał, bo mi zaufał. Więc powiem panu, jeśli obieca mi pan, że to zostanie między nami.

Durlik kiwnął głową.

– To Antek Rychlik.

– Żaden problem, naprawdę. W tamtą stronę przewoziłem rzeczy ze starego budynku, tego, który jest na dole, niedaleko za zalewem. – Kuba Zieliński wrzucił na tył furgonetki kilka niebieskich toreb z Ikei. – Teraz i tak miałem jechać do sklepu. I w sumie to coś zjeść. Skoro od jutra się zaszyję w naszej głuszy i sam będę sobie gotował, to jeszcze dziś chciałem, żeby ktoś mi podał talerz. Jeśli chodzi o umiejętność przygotowywania posiłków, to mam dwie lewe ręce. I to zwichnięte. – Geolog się roześmiał. – A może wybralibyśmy się razem? Nie znam tu nikogo, możemy sobie jeszcze pogadać o historii tych terenów, taki informacyjny barter. – Spojrzał pytająco na Strykowskiego.

Strykowski popatrzył na swoje stopy w japonkach w palmy. I na mokre buty trekkingowe. Miał nadzieję, że doktor go podrzuci gdzieś bliżej chyży, choć właściwie to był głodny. I wolałby nie jeść makaronu z sosem ze słoika, bo miał już dość tego chemicznego posmaku. Ale jeżeli pójdzie coś zjeść, to miną ze dwie godziny, a jemu potem zostanie drałowanie szosą w tych klapkach. Godzina jak nic, dobrym tempem. Choć dobre tempo w tych laczkach to abstrakcja, więc pewnie ze dwie godziny.

– Potem mogę cię, znaczy pana... – zaczął Zieliński.

– Marcin. – Strykowski wyciągnął do niego rękę.

– Kuba. – Geolog ją uściskał. – Więc potem cię podrzucę do domu.

– To z pięć kilometrów, samochodem chwila.

– Nie ma o czym mówić, zwłaszcza że ugot stawia benzynę. – Zieliński się roześmiał. – No i lepiej nie kusić złego. Dziś omal nie włądowałeś się pod koła.

„Wczoraj też”, pomyślał Strykowski.

– A w tych klapkach... – Znowu się zaśmiał. – Dobra, to jedźmy.

Strykowski usiadł na podwójnym fotelu obok Zielińskiego.

– Ciekawi mnie, jak się pracuje na takim terenie. To znaczy, jak się pracuje geologowi. Czy dla ciebie historia tych ziem ma znaczenie? Bo mnie za każdym razem dopada jednak coś w rodzaju nostalgii. Cholernie smutno o tym czytać. W sumie to taka ziemia przeklęta.

Nie dodał, że na ten ogląd sytuacji mocno wpłynęły wydarzenia ostatnich dni.

– Nie wiem, czy aż tak, że nostalgia, bo ja generalnie jestem optymistą, ale jak przyglądasz się przekrojowi badanego kawałka, to datujesz te poszczególne plastry i wiążesz je z konkretnymi etapami w historii. Tyle że dużo, dużo odleglejszymi od tego, o czym ty mówisz. W ogóle w geologii nabierasz dystansu, bo my na takich ramach czasowych pracujemy, że ludzkie życie to jak mrugnięcie okiem.

Strykowski pokiwał głową. Może gdyby on zajmował się starożytnością...

Jakub Zieliński mocno trzymał kierownicę. Jechał czterdziestką, uważnie przyglądając się drodze.

– Żarty żartami, ale ta obawa o bezpieczeństwo na drodze to serio. Mieliśmy tu przecież strasznie przykry wypadek. – Posmutniał.

Strykowski lekko się spał, choć „wypadek na drodze” raczej wykluczał powinowactwo z tym, co przywiodło tu jego.

– W zeszłym roku, na jesieni. W sumie to jeszcze była końcówka lata... Nieważne. W bazie byli studenci, przyjechali tutaj na praktyki wakacyjne. Wśród nich był jeden z moich studentów. Bardzo fajny chłopak...

Strykowskiemu przyszło do głowy, że Zielińskiego mogło łączyć z tym chłopakiem coś więcej, bo miał taki wyraz twarzy... Aż go to uderzyło.

– No. – Zieliński odchrząknął. – Byli tu we troje. Tak jak mówiłem, on i jeszcze dwoje innych studentów. Chłopak i dziewczyna. Oni byli parą, więc siłą rzeczy trzymali się razem i czasem... No, jak to młodzi. Choć oczywiście nie mówię, że to, co się stało, to ich wina. Po prostu przypadek, cholerny przypadek... – Zielińskiemu załamał się głos. – No. Hm. Oni prowadzili standardowe badania, nic odkrywczego, ale Konrad, bo tak miał na imię, podchodził do tego z dużym entuzjazmem. Taki był. Ja wtedy wyjechałem, bo dostałem ten grant. I on do mnie czasem pisał, jak student, który lubi wykładowcę, do wykładowcy, który lubi studenta.

Strykowski był już przekonany, że tych dwoje łączyło coś więcej niż opisany przed chwilą układ.

– Że tak dobrze mu się pracuje, że to fascynująca robota i że chciałby mi coś pokazać, jak wrócę. No ale nie doczekał tego mojego powrotu.

Zieliński na moment przeniósł spojrzenie w bok.

– Zginął na szosie, gdzieś na tym odcinku między zakazem wjazdu a naszą stacją. Nie chciałem dopytywać gdzie dokładnie, bo gdybym wiedział, może nie miałbym odwagi tu przyjechać.

– A jak zginął? – zapytał Strykowski.

– Ktoś go potrącił. Może nie był tak ostrożny jak ty, a może ten ktoś nie jechał tak regulaminowo jak ja. W każdym razie zginął na miejscu. Ziemia przeklęta, tak powiedziałaś? No to w tym przypadku tak właśnie było.

Antek Rychlik.

Podkomisarz Piotr Durlik obracał w głowie tę wiadomość. Miał z nią pewien problem. Nie tylko dlatego, że obiecał dyrektorce, że nie zrobi z tej informacji użytku publicznego czy zawodowego. To na razie schodziło na drugi plan, bo na pierwszym było co innego – Antek Rychlik, syn Krzysztofa Rychlika, lokalnej szychy i lokalnego bogacza rozwalił

w kwietniu kamerę na budynku ośrodka, bo... spotykał się tam z koleżanką z klasy. Joanna Zych uroczo się zarumieniła, gdy mu o tym powiedziała. „Niewinne w sumie randki. Oni nie... no pytałam o to, bo teraz z edukacją seksualną słabo, już nie tylko ksiądz się krzywi, ale też kuratorium, a ja wolę uprzedzić fakty, które byłyby dla młodych trudne do udźwignięcia. Więc zaprzeczył, żeby tak do końca...”

Durlik nie był tak skory wierzyć w tej kwestii napchanemu hormonami czternastolatki. Pal sześc, co młodzi tam robili, mimo że prawo kazałoby być podkomisarzowi bardziej skrupulatnym w tej kwestii. Dziwne było bowiem to, że młody się zarzekał, że on rozwalił kamerę tylko raz, jeden, właśnie wtedy, w kwietniu. Potem zrobiło mu się głupio („To bardzo wrażliwy chłopak, mimo że bogaty dom mógłby go zepsuć”) i już więcej tego nie powtórzył. W jego wersji było tak, że gryzło go sumienie („Bał się”, pomyślał, znowu bez sentymentów, Durlik) i przyznał się dyrektorce, „bo dzieci mnie lubią, ufają mi”, skoro mówiła na zebraniu, że to ważne.

I stanowczo zaprzeczył, że miałby coś podobnego zrobić jeszcze dwa razy. „Był bardzo i szczerze zdziwiony, że zostały zniszczone jeszcze dwie kamery. Podczas zebrania nie podałam żadnych szczegółów, tyle tylko, że popsuto monitoring. Zarzekał się, że zrobił to tylko wtedy i że to była jedna kamera. I ja mu wierzę, bo po co miałby zmyślać, skoro i tak się przyznał?”, powiedziała Joanna Zych. „Znam te dzieciaki od zerówki, czyli jego już dziewięć lat. Nie kłamie”.

„Nie kłamie”, powtórzył w myślach podkomisarz. On z kolei dobrze znał to zaprzeczenie. I wiedział, że bywa podawane bardzo przekonującym tonem, choć całkowicie mija się z prawdą.

Powiedział dyrektorce, że chciałby sam porozmawiać z chłopakiem. Strasznie się spieszyła. Zaczęła mówić, że przecież dała mu słowo, że to zostanie między nimi, że jeśli go zawiedzie, to on już więcej do niej nie przyjdzie, może w ogóle się zrazi do nauczycieli i tak dalej.

Durlik pomyślał, że to chyba nie reforma szkolnictwa dała podstawówce w Kremnej taką dyrektorę, bo generalnie, jak się orientował, reforma

parła raczej do tego, by przywrócić czasy minione, łącznie z folwarcznym zarządzaniem. Nie, to Joanna Zych była taką osobą.

Było w tej kobiecie coś, czego nie potrafił nazwać, a co polegało na tym, że jednocześnie była stanowcza i ciepła. Miła i nieustępliwa. I do tego ładna.

„Kuźwa”, Durlik się otrząsała. Niecałe dwa tygodnie temu myślała, że Strykowski jest sam sobie winien, bo w romans się nie wchodzi ot tak, prawie że przypadkiem. A teraz jego myśli krążyły wokół tej kobiety, przekraczając granicę zawodowego zainteresowania.

Pomyślał, że pójdzie się czegoś napić, czegoś zimnego, a skoro tak, to może tu też coś zjeść. A potem wpadnie do Janusza Orła.

– Fajna miejscówka, co? – Jakub Zieliński zadał pytanie, na które sam sobie odpowiedział, bo jednocześnie pokiwał głową. – Lubię taką niewyszukaną prostotę. W Krakowie jest klimat, to jasne, ale jednocześnie jest tak... dekadenccko.

Strykowski mógłby się już o tuzin dużych piw założyć, że doktor woli męskie towarzystwo. Wszystko go w tym utwierdzało – od wyglądu (zadbanego) i zapachu (bardzo ładnego), przez pogodę ducha, po specyficzny sposób gestykulacji.

Rozejrzał się po barze i pomyślał, że jeśli Zieliński chciałby tutaj kogoś poznać, to szanse ma na to znikome. Trzy stoliki były zajęte: jeden przez miejscowych, dwa przez facetów z tartaku, z czego część też pewnie była z okolicy, ale dwóch albo trzech mówiło z ukraińskim akcentem. Jednego z nich chyba już tu widział, wtedy, przed poznaniem Rychlika. Bez względu jednak na pochodzenie, wszyscy wyglądali tak, jakby tęsknili za kobiecą obecnością.

– Chociaż jedzenie mają takie jak dla drwali – stwierdził Zieliński.

– Bo tak się składa, że drwali tu karmią. – Strykowi spojrzał w kierunku tamtych gości.

– No tak, w sumie. Ale warzywa by im nie zaszkodziły. Dobra, ja już wiem, co chcę. A ty?

Strykowski kiwnął głową. On akurat miał ochotę na smażoną kiełbasę. Kiedy wróci do domu, będzie na dietetycznym wikcie Marty. Żona już wcześniej przebąkiwała, że utyla po dzieciach, że musi się za siebie wziąć. W ich kuchni pojawiły się warzywa, których nazw nie znał i których smak go nie porwał. A teraz Marta na pewno będzie roztrząsała, dlaczego Marcin ją zdradził. I pewnie obwini o to nadprogramowe ciało i nie będzie chciała słuchać, że to zupełnie nie o to chodziło, tylko o to, że...

– Co do picia do tego? Piwo może? – Facet zza baru wyrwał go z tych rozmyślań.

– Może być, poproszę.

A miał nie pić.

– Duże, nie?

Kiwnął głową, prawie odruchowo.

– Dla mnie woda mineralna, ciepła, ale z cytryną – powiedział Zieliński.

Facet za ladą przyjął zamówienie i bardzo się starał nie okazywać zdumienia. Średnio mu szło. Zieliński natomiast sprawiał wrażenie, jakby tego nie zauważył albo zauważył, ale miał na to wywalone.

Nie miał jednak wywalone na pracę. Nawet nad talerzem ruskich opowiadał Strykowskiemu o badaniach, które prowadził.

– ...chemizm wpływów wód podziemnych w zlewni potoku Ryjak. Z tego robiłem doktorat. Pewnie dlatego mam sentyment do tego miejsca. Można by pomyśleć, że to nudna robota w gumowcach, rękawicach i babraniu się w ziemi, ale te krajobrazy dokoła! – Zieliński zastygł z widelcem uniesionym do ust. – I wtedy też zajmowałem się trochę tym, co ty. Siłą rzeczy. Bo dawniej potoki, w tym Ryjak, który jest prawym dopływem Wisłoki, to było źródło wody dla wsi, które tu funkcjonowały. Park wystawił te tablice z informacjami i ze zdjęciami. I powiem ci, że to działa na wyobraźnię. Bardzo. Kiedyś tętniło tutaj życie, a teraz...

„Teraz nie tętni”, dopowiedział w myślach Strykowski.

Zieliński rozpędzał się w swoim wywodzie.

– Zresztą sama praca też niezwykle ciekawa. Niezwykłe. Wyobraź sobie prawie piętnaście procent to akratopegi. A, bo ty pewnie nie wiesz. Więc akratopegi to takie podziemne wody, powiedzmy między wodą słodką a mineralną...

Jeśli chodzi o wody i potoki, to Strykowski myślał teraz o Wisłoce. Tej, do której wpływał ten Ryjek czy tam Ryjak. Ciekawe, czy to jego wody obmywały ciało Karoli...

– I w ogóle duże zróżnicowanie przestrzenne składu chemicznego wypływów wód podziemnych. A co było najciekawsze, no?

Strykowski poczuł na sobie wzrok rozmówcy. Nie miał pojęcia, co było najciekawsze. Spojrzał na niego z udawanym zainteresowaniem.

– Otóż najciekawsze było istnienie czterech wypływów nietypowych pod względem hydrochemicznym.

Strykowski dopił piwo. Zjadł dopiero połowę swojej solidnej, tłustej porcji, a w szklance już zobaczył dno.

– Chyba zamówię jeszcze jedno – odezwał się do Zielińskiego.

– Jasne. Coś musi rozpuszczać ten tłuszcz. – Geolog spojrział na jego talerz.

Strykowski podszedł do baru i postawił szklankę na blacie. Facet bez słowa ją nappełnił.

– Tak, bardzo ciekawe tereny. Dlatego tu wróciłem. Z myślą, żeby może pociągnąć ten temat, zwłaszcza że... – Zieliński umilkł. Dokończył ostatniego pieroga, wytarł usta chusteczką i sięgnął po szklankę z wodą. – No, piwo nie byłoby dziś takie złe. – Trochę tęsknym spojrzeniem objął bursztynowy płyn Strykowskiego.

– Łyka? – Dziennikarz przesunął szklankę w jego stronę.

– Nie, nie, mowy nie ma. – Zieliński gwałtownie zaprzeczył. – To nieodpowiedzialne wsiadać za kierownicę po alkoholu.

Strykowskiemu zrobiło się trochę głupio. Nie był opijusem, ale odrobina piwa to przecież nie przestępstwo.

– Zawsze tak myślałem, zresztą ja przestrzegam wszelkich przepisów. No i Konrad...

„I znowu ten więcej niż koleżeński smutek”, pomyślał Strykowski. Choć w sumie, jak nie żałować młodego chłopaka?

– Wiesz, on czytał moją pracę. Nie musiał, przecież nie ma obowiązku czytania prac wykładowców, ale on chciał. I był nią bardzo zainteresowany. Do tego stopnia, że kiedy tu przyjechał, to sam się do tego wziął. Z takim zapałem! – Zielińskiemu znowu głos się załamał. – Napisał mi, że się tym zajmuje, choć oni tutaj przyjechali z zupełnie innymi założeniami. I jeszcze, że coś mi pokaże, ale jak już skończy. Tyle że nie skończył, bo... bo umarł. – To ostatnie Zieliński powiedział już ze łzami w oczach.

Strykowski nie umiał go pocieszyć. W ogóle nie był specjalistą od empatii, mimo że przecież był wrażliwy. Jaki paradoks: z jednej strony delikatność, a z drugiej, jakaś niemoc w jej wyrażaniu, której się nabawił przy ojcu. I znowu zobaczył dno w szklance.

– Przepraszam na chwilę.

Wstał od stołu i po raz trzeci podszedł do baru. Facet bez mrugnięcia okiem nalał mu kolejną porcję piwa. Strykowski upił naddatek i poczuł, że świat mu się lekuchno przekrzywił. Nigdy nie miał mocnej głowy. „Nawet pić nie potrafisz”, tak go podsumował ojciec, kiedy po raz pierwszy wybrał się z kumplami z liceum na nocny rajd po Krakowie. Wrócił strasznie wymięty i sfatygowany.

– A wiesz, że oni tę sprawę chyba umorzyli? Tę śmierć Konrada?

Zieliński też był w swoim świecie.

– Mnie się wydaje, że to powinno być jakimś dziennikarskim śledztwem objęte. Dwudziesty pierwszy wiek i żeby nie można było sprawcy namierzyć? Te wszystkie techniki, metody, dowody z pyłu, prochu i powietrza oznaczane, a tu nic. Po prostu nic. Powiem ci – Zieliński nachylił się do niego – że ja nawet próbowałem się czegoś dowiedzieć. Nawet byłem na komisariacie. W Dukli, bo oni tam tę sprawę prowadzili, ale... – Machnął lekceważąco ręką.

Strykowski zareagował na Dukłę.

– Tak? I co? Myślisz, że to nieudolność policji?

Pasowałyby mu ta teoria. Bo jak na razie w sprawie Karli mieli niewiele. No, tego dziwaka, którego Strykowski sam im podsuwał, ale teraz, jakoś...

– A jak? – Zieliński prychnął. – Ten policjant, jak mu tam było?

– Durlik – odpowiedział Strykowski.

– Nieee, o, mam, Zaręba. Zaręba. Taki trochę starszy, nie za zdrowo wyglądający, z lekkim brzuszkiem.

– Komendant chyba – powiedział Strykowski.

„Ciekawe, czemu Durlik nie prowadził tej sprawy”, pomyślał.

– Tak, komendant. Więc tym bardziej oczekiwałem, że będzie efekt. Zresztą może to nie była nieudolność... co innego mi do głowy przyszło. Mówiło się – jeszcze bardziej się przysunął do Strykowskiego – że ten wypadek to mógł być przez kogoś innego spowodowany, w sensie, że nie stąd. Choć i stąd w pewnym sensie.

Strykowski nie zrozumiał. Fakt, świat mu ciutkę odpłynął, ale to Zieliński mówił tak, jakby był podchmielony.

– Nie stąd? Znaczy z Krakowa? Ty myślisz, że to któreś z tych studentów?

To by pasowało: stąd i nie stąd.

Zieliński spojrzał na niego zdumiony.

– Nie, absolutnie. Miałem na myśli, że z Ukrainy. Znaczy przez Ukraińca został potrącony.

– Przez Ukraińca? – zdziwił się Strykowski.

Trochę za głośno. Może nawet bardziej niż trochę, bo sąsiedni stolik umilkł i spojrzał na nich. Mało przychylnie.

– Tak. – Emocje poniosły i Zielińskiego. – Samochód na ukraińskich numerach. Zdobyłem taką informację, że to był ktoś z Ukrainy.

– Coś o nas się rozchodzi? – zapytał jeden z Ukraińców.

Oni też mieli piwo, a właściwie szklanki po piwie. Sporo pustych szklanek po piwie.

– Kto wie, kto wie – mruknął Zieliński. Ciszej, bo spojrzał na towarzystwo, które miało nad nim ewidentną przewagę fizyczną.

– A w czym rzecz?

Facet, ten największy, wstał i podszedł do nich. Kołyszącym krokiem, wskazującym zarówno na spożycie alkoholu, jak i na chęć konfrontacji.

– Że macie tu specjalne prawa. – Strykowski przejął pałeczkę. Podniósł się i przytrzymał blatu. Procenty podbijały jego odwagę.

– My?

Tamten już był obok.

– No. I że jeden z was potrafił mojego... kolegę mojego kolegi.

– Kolegę?

– Wypadek, jesień zeszłego roku.

Facet spojrzał na niego. Na chwilę gniew zniknął z jego twarzy.

– Pamiętam, w początek jesieni to było. Smutne, ale to nie my. Nikt z nas.

– Mówi się... – zaczął Strykowski, choć poczuł, że geolog ciągnie go lekko za T-shirt.

– Zawsze jak co złe, to Ukraińcy, nie Polacy. Zawsze Ukraińcy. Jak wy nas nienawidzicie. Zawsze, tu i wszędzie. No, tu to jeszcze bardziej! My wam tylko do pracy potrzebni.

Facet stał teraz naprzeciwko Strykowskiego. Dłonie miał zaciśnięte w pięści. Dziennikarz czuł jego alkoholiczny oddech. A może to on tak pachniał?

– Marcin, daj spokój. – Zieliński znowu pociągnął brzeg jego koszulki.

Wciąż siedział przy stoliku, tyle że teraz był bardziej skulony.

Strykowski jednak był już o krok za daleko, żeby się zmytygować. Co więcej, właśnie teraz poczuł, że jego złość, żal, rozgoryczenie potrzebują

znaleźć ujście. Że jest nimi tak wypełniony, że aż paruje, i ta para musi ulecieć.

– Fakty to fakty – powiedział.

A potem poczuł mocne i gwałtowne uderzenie w splot słoneczny. Odebrało mu dech i przyćmiło spojrzenie, ale tylko na chwilę. Wyprostował się i wyprowadził cios. Teraz zabolą go ręka, ale przeciwnik też się skulił.

Przy sąsiednim stoliku podniósł się rumor. Strykowski zauważył jeszcze dwie sylwetki zbliżające się w jego stronę i jedną oddalającą się – to był Zieliński.

Poczuł adrenalinę z łoskotem przewalającą się przez jego tętnice i...

Piotr Durlik zaparkował przed Drewutnią. Wyłączył silnik i wysiadł z samochodu. Przystanął. Wnętrze auta i dość głośno grające radio skutecznie odcinały go od dźwięków świata zewnętrznego. Teraz jednak je słyszał. Dobiegały z baru i nie świadczyły o dobrej zabawie.

Poczuł, że puls mu przyspiesza. Nie lubił tych pijackich burd, bo nigdy nie było wiadomo, jak rozdzielani zareagują. Jedni na hasło „policja” miękli, innych ogarniała kozacka odwaga, a wtedy konieczna była fizyczna interwencja.

„Kuźwa”, westchnął w duchu i ruszył w stronę drzwi.

Zobaczył to, czego się nie spodziewał. Marcin Strykowski leżał na podłodze, a nad nim klęczał jakiś rosły facet, który zaciskał ręce na jego szyi. O ułamek sekundy wcześniej, zanim podkomisarz wszedł do środka, od ściany oderwał się jakiś nieduży mężczyzna w kolorowej koszuli i skoczył tamtemu dyszącemu na plecy. Wtedy zareagował jeden z dwóch przyglądających się bijatyce z boku.

– *Uchodi!* – Próbował ściągnąć tego kolorowego.

Zwalisty na moment się odwrócił, co wykorzystał Strykowski – wierzgnął i udało mu się zachwiać napastnikiem. Ten, żeby złapać równowagę, oderwał ręce od szyi dziennikarza, na co Strykowski

zareagował ciosem w twarz. Trafił, chyba dość boleśnie, bo uderzony ryknął:

– *Szliucha.*

I znowu rzucił się na Strykowskiego.

„Kurwa”, Durlik pomyślał, że nie doszacował sytuacji. „Kurwa”, drugi raz zaklął w duchu, teraz z powodu Strykowskiego. Czy ten facet miał jakiś gen autodestrukcji?

– Policja! – krzyknął w stronę bijących się.

Bez efektu.

– Policja! – huknął, aż poczuł drapanie w gardle.

Tym razem zyskał uwagę dwóch obserwatorów. Oraz faceta zza baru, który wyszedł w jego stronę.

Strykowski, zwalisty i ten mały, który wciąż skakał mu na plecy, nadal jednak byli w amoku. Po chwilowej przewadze dziennikarza znowu wygrywał ten duży.

Durlik stanął nad nimi.

– Policja, przestańcie!

Jeden z obserwatorów nachylił się nad dużym i szarpnął go za ramię.

– *Chwatit. Nu, chwatit.*

– Policja, przestań! – powtórzył Durlik.

Zawsze miał w tyle głowy, że sytuacja może przybrać niekorzystny obrót, ale w tym przypadku uznał, że tłukący się zaraz ochłoną. Pomylił się. Zwalisty przeniósł mało przytomne spojrzenie z kumpla na podkomisarza i wyprowadził uderzenie.

Durlik zdążył się uchylić w ostatnim momencie. Poczuł, jak mu pulsują skronie. Już dawno nie był tak zdenerwowany. Kumple, którzy albo mniej wypili, albo bardziej się przestraszyli, próbowali odciągnąć kolegę, który zmienił teraz obiekt agresji. Odwrócił się w stronę podkomisarza.

– No co, kolejny polaczek? Odważny, co?

– *Chwatit!* – Z tyłu dobiegł krzyk.

Strykowski wciąż leżał na podłodze. Teraz pochylał się nad nim ten kolorowy, nieduży. Chyba próbował go podnieść, ale bez efektu.

Zwalisty miał w oczach szaleństwo. Podkomisarz znał takie spojrzenie – kiedy emocje podgrzały się za mocno, a alkohol nie pozwalał ich ostudzić. Pomyślał, że szanse ma takie, że na dwoje babka wróżyła.

„Obiad, kuźwa”, pomyślał. A mógł jechać prosto na komisariat.

Zacisnął dłonie w pięści. Czuł pulsowanie szyi. Był przygotowany.

I wtedy kątem oka zauważył, że drzwi się otwierają i ktoś w nich staje. A potem ostro rusza w ich kierunku.

– Dima, co ty, ochujałeś?

To na moment przywróciło napastnika do rzeczywistości. Zdjął spojrzenie z Durlika i odwrócił się w stronę głosu. Podkomisarz też zerknął w bok.

Krzysztof Rychlik dopadł do zwalistego.

– *S uma saszoł?* – Szarpnął go za koszulę. – Ochujaj?! – wrzasnął głośniej.

Facet jakby oprzytomniał. Popatrzył na Rychlika, na podkomisarza, a potem na Strykowskiego, który zmienił pozycję z horyzontalnej na siedzącą. Wyglądał tak, jakby nie miał pojęcia, co tu zaszło.

– Ja... on... no... – Facet bezradnie rozłożył ręce.

– Pan podkomisarz zapyta go o tego zabitego.

Dziennikarz wierzchem dłoni starł krew z wargi, rozsmarowując ją po policzku. Próbował się podnieść, ale trudno było mu utrzymać równowagę. Facet w kolorowej koszuli, który ewidentnie mu towarzyszył, podtrzymywał go.

– No, Kuba, powiedz panu podkomisarzowi, jak było. Powiedz, bo sprawy niewyjaśnione, statystyki kuleją, no... – Strykowski zachęcał kolegę.

Nieduży miał strach w oczach.

– Ja nie wiem na pewno, ale słyszałem, to znaczy mówiło się, że to może ktoś z Ukrainy. Ten wypadek.

– Jaki wypadek? – Podkomisarz się zdziwił.

Wypadek polegający na rozwaleniu trzem kobietom głowy młotkiem?

– No, ten na szosie do Ożennej. Kiedy zginął młody chłopak. Jesienią zeszłego roku.

Durlik spojrział najpierw na tego kolorowego, potem na Strykowskiego. Dziennikarz wyglądał bardziej niż żałośnie. Z nosa sączyła mu się krew, policzek miał czerwono-brunatny, jakby się szykował na wojnę z innym plemieniem, jego T-shirt był porwany. „W co on się znowu wpakował?”, pomyślał podkomisarz. „I kim jest jego trochę dziwny kumpel?”

– No nie, to pomówienia. I to brzydkie. Myślałem, że niechęć do cudzoziemców to już przeszłość. A pan mógłby się zdziwić, gdyby zbadał swoje korzenie.

Krzysztof Rychlik zabrzmiał spokojnie i trochę nawet inteligencko.

– Znam swoje korzenie. Zresztą my wszyscy pochodzimy z Afryki. I co to za protekcjonalny ton? – Zieliński się obruszył.

– Kim pan jest? Co tu się właściwie stało? I nikt nie wychodzi. – Podkomisarz lekko się przesunął w stronę drzwi. Napastnik i jego koledzy ewidentnie chcieli już opuścić lokal.

– Jakub Zieliński. Doktor geologii. Pracuję w Karpackiej Stacji Doświadczalnej. Chcę podkreślić, że nie brałem udziału w zajściu, to znaczy włączyłem się dopiero wtedy, gdy uznałem, że jest zagrożone zdrowie mojego znajomego Marcina, który został bezpardonowo napadnięty przez tamtego pana. – Wykonał ruch głową w stronę rosłego.

– Bo on kłamał, bładź!

Durlik zauważył, że twarz Rychlika lekko stężała.

– Panowie się znają – raczej stwierdził, niż zapytał Durlik.

Rychlik kiwnął głową.

– To mój pracownik. Od trzech lat, jeden z najlepszych. Nigdy nic. Absolutnie. Dziś to jakiś nieszczęśliwy splot wypadków. Za dużo piwa, za

dużo nerwów... No, źle to wyszło, ale przecież nikt tego nie chciał.

Durlik wyczuł w tych usprawiedliwieniach śliską gładkość, której nie lubił. Taką w stylu „dogadamy się”.

– Myślę, że najlepszym miejscem na wyjaśnienia będzie komisariat. Kiedy wszyscy uczestnicy już wytrzeźwieją. Panie Strykowski, będzie pan zawiadamiał o napaści?

Dziennikarz z pewnością nie był trzeźwy, ale wciąż komunikatywny.

– Ja... ja bym chciał, żeby pan się tym zajął. Tyle tych niewyjaśnionych spraw. Dziś widziałem tego dzikiego.

– Gdzie? – zdziwił się Durlik.

– Znaczy nie jego, ale takiego podobnego. Z rodziny, krewnego jakiegoś. Toczka w toczkę, tylko że stary.

Durlik zastanawiał się, ile z tego, co Strykowski mówi, wytrzyma próbę trzeźwości. Zauważył też, że Rychlik przysłuchuje się ich rozmowie. Z zainteresowaniem, ale i chyba napięciem.

– Zwiął mi, i dlatego wpadłem do gnojówki, a doktor Kuba mi pomógł. Ale już nie wiem, czy to on, ten stary albo ten młody, bo jakoś tak... – Strykowski się zachwiał. – No nie wiem, ale ktoś je zabił. No zabił moją Karolę...

Zieliński zbladł.

– Jak to zabił? Kto kogo zabił? Co tu się dzieje?

Durlik pomyślał, że sprawy zaszły za daleko. Nie miał ochoty na opowiadanie o śledztwie albo tłumaczenie się z opieszałości policji.

– Ale ta sprawa też jest ważna. Bardzo ważnaaa... – Teraz Strykowski zachwiał się mocniej. Gdyby Zieliński go nie złapał pod ramię, pewnie by się przewrócił. – Młody... Jak ginie młody, to źle. Smutno. To trzeba wyjaśnić. I może na przykład on zna jakieś wyjaśnienie, jak tak się boi? – Strykowski popatrzył na Ukraińca. – A może oni nie tylko to, a...

Durlik zdążył się odsunąć. Strykowski zwymiotował kilka centymetrów od butów podkomisarza.

„Ale bagno”, pomyślał. Apetyt całkiem mu już minął, za to jeszcze bardziej chciało mu się pić. Burda jak burda, niejedną widział. W tej jednak był element... podkomisarz chciał pomyśleć, że absurdu albo jakiegoś poplątania z pomieszaniem, ale coś, może mina Rychlika, a może to, że kategoria „przypadek” zawsze wzbudzała u niego czujność. Nie był rasistą, nie miał uprzedzeń, nic z tych rzeczy, zwłaszcza że żyli na takich poranionych ziemiach, ale po prostu rosły facet w sile wieku bardziej by pasował do morderstw popełnionych na kobietach. Więc może to wcale nie takie...

W kieszeni zawibrował mu telefon. Wyjął go i spojrzął na wyświetlacz. „Adam Świątek”. Odebrał.

– Cześć. Przeszkadzam?

Durlik się rozejrzał. Strykowski wciąż klęczał, geolog dosunął się do niego, Ukraińcy tkwili w tym samym miejscu, Rychlik przeglądał coś w telefonie. Atmosfera była gęsta.

– Nie. Nie bardzo – odpowiedział.

– To super. Bo mam wyniki badań tego młotka. Jest na nim krew Anny Żeleźnik. I odciski palców Jana Dzieńszka.

Rozdział 19

– A ty byś czego chciał? Żeby się podpisał na tym młotku? No, jeśli umie pisać, bo u nas niczego nie podpisuje, choć mamy mocne podstawy, żeby przypuszczać, że zet potrafi napisać.

Zbigniew Zaręba potarł skroń ręką. Podkomisarz widział, że szef brał tabletkę od bólu głowy. Wiedział też, że komendant leczy się na nadciśnienie, i nawet był zaniepokojony, czy aby ból głowy nie jest związany z chorobą, bo kilka dni wcześniej Zaręba coś napomknął, że skończyły mu się leki. W ogóle komendant nie wyglądał ostatnio dobrze. Może Durlik nie zauważył tego wcześniej, bo nie mieli aż tak częstych kontaktów, dopóki w ich rejonie nie zaczęli ginąć ludzie, a może jednak rzeczywistość go dociskała. Durlik nie chciał z nią konkurować; lubił Zarębę, to raz. Dwa, nie dążył do konfliktu, taką miał naturę. Był skory do kompromisów, póki to nie oznaczało, że miałyby zrezygnować ze swoich poglądów lub przypuszczeń. Albo, cóż, intuicji.

– Są jego odciski palców, bo go podniósł z ziemi. Przy mnie – powiedział.

– Bardzo wygodna okoliczność. Ta, że chciał cię nim uderzyć, już mniej.

– Ale nie uderzył.

– I jest na nim krew Anny Żeleźnik. I tak zupełnie przypadkiem ten właśnie młotek leżał u niego w przybudówce.

– A nie wydaje ci się to aż nazbyt oczywiste?

– Jezu, Piotrek, a ty byś czego chciał? Żeby się okazało, że te kobiety zamordowali kosmici? Żeby stała za tym jakaś niezwykle przemyślana intryga? Żeby to było, nie wiem, morderstwo polityczne albo na zlecenie? Jeśli to wioskowy głupek, to źle? Wymagasz od niego, żeby planował,

kluczył, ukrywał dowody? Jako potencjalnego mordercę wskazywali go oboje Stryjkowscy...

- Strykowski jakby się trochę wycofał...
- Strykowski to się wczoraj uchlał i wszczął burdę.
- Uchlał się, ale nie on zaczął.

Zaręba machnął ręką.

– Ten facet ma pecha. Czegokolwiek się tknie, tam afera. Nie rozumiem, czemu ta żona tak się go uczepiła. Powinna go zostawić. Tobie też bym radził się z nim nie zadawać.

– Właściwie tym razem to nie on. – Durlik spojrzał na szefa. – Tylko ten geolog ze stacji badawczej. Był absolutnie trzeźwy. I to on zasugerował ukraińskie powiązania w sprawie tego śmiertelnie potrąconego chłopaka.

Zaręba odpiął górny guzik koszuli. Odchrząknął.

– Ja wiem, o kim ty mówisz. On tu był. Po tym, jak ten chłopak zginął. Nie od razu, bo opowiadał coś o jakimś wyjeździe służbowym. I powiem ci, że zrównoważony to on nie jest. Doktor czy nawet wyżej, bo od razu wypalił ze swoim wykształceniem, a zachował się jak dzieciak.

„Dzieciak” uruchomił w głowie Durlika skojarzenie ze sprawą, o której też będzie musiał z Zarębą porozmawiać.

– A nawet gorzej.

Zaręba umilkł. Durlik najpierw pomyślał, że szef nie ma ochoty na rozwinięcie wątku, ale potem zrozumiał. To była znacząca przerwa. Komendant miałby pewnie ochotę coś dodać, ale krępowała go poprawność, którą, w tym przypadku niechętnie, wyznawał. Rzeczywiście, ten geolog odstawał od towarzystwa w Drewutni. Ze wszystkich obecnych tam facetów parował testosteron, a geolog roztaczał wokół siebie inną aurę. „Co Strykowski z nim robił?”, zadumał się Durlik. Dziennikarz kierował swoje zainteresowania w stronę kobiet aż nadmiarowo, więc ten wątek odpadał. Pewnie znowu w czymś grzebał. A może miał się spotkać z Rychlikiem, bo przecież on również się tam pojawił. Właśnie, Rychlik.

– A dlaczego on, znaczy ten geolog, interesował się tą sprawą? To znaczy domyślałam się, że w grę wchodziła sympatia do tego studenta. – Durlikowi nawet powieka nie drgnęła.

– Oj, Piotrek, Piotrek... – Zaręba westchnął. – No dobra. Ciebie wtedy jeszcze nie było, leczyłeś flaki po tej operacji. Zjawia się tu któregoś dnia, zimno już było, nawet pierwszym śniegiem sypnęło, a ten jak z tropików, taki kolorowy. Jednocześnie smutny. Pokazał legitymację, powiedział o bólu całej braci studenckiej, to zapamiętałem dobrze, bo on niby ziemią się zajmuje, a mocno elokwentny. I dopytywał o postępy w śledztwie. A jakie tu postępy, jak to był samochód widmo? Nikt go nie wiedział. Nikt niczego nie widział! – Zaręba walnął ręką w biurko. – No. I wtedy on się zdenerwował, zaczął pokrzykiwać, potem były łzy. Całkiem nie umiał utrzymać emocji na wodzy. A później sobie poszedł i więcej nie wrócił.

– Teraz wrócił, siedzi w tej ich bazie.

– I pewnie naopowiadał coś Strykowskiemu, a ten, jak to dziennikarz, zaraz podchwyci temat i wysmaruje coś z niczego. Jeśli mu wydrukują, bo nie wiem, jakie naczelnny dostał wytyczne od jego teścia albo od Janickiego.

– A nie uważasz, że ten wątek warto sprawdzić?

– Wszystko warto sprawdzić. A najpierw to skąd on ma taką wiedzę. Gdyby powiedział, że blachy warszawskie, to byłoby co innego, niż kiedy mówi, że ukraińskie. Rozumiesz?

Durlik kiwnął głową. Rozumiał. A wczoraj nawet zobaczył.

– Był taki wątek, ale upadł. Tartakowy, że przyjechali koledzy w odwiedzinę. Ale wszyscy mieli alibi. No i co zrobisz? Nic nie zrobisz, nawet jeśli... Choć nie twierdzę, że coś było.

– Jest jeszcze sprawa Rychlika.

– A z nim co? – zaniepokoił się Zaręba. – Brał udział w tej bijatyce? Przy okazji Strykowski założy komuś sprawę?

– Nie wiem, najpierw musi wytrzeźwieć. I mam na myśli Antka Rychlika, nie Krzysztofa.

– Antka?

– Jego syna. Wiem od dyrektorki podstawówki, że to chłopak rozwalił kamerę. Sęk w tym, że przyznaje się do jednej.

– Może kłamie? Jedna to mniej niż trzy, choć ojca byłoby stać na sto czy tysiąc.

– Sam się przyznał, nie musiał. Jego, tak jak samochodu widmo, nikt nie widział. Dyrektorka mówi, że mu wierzy.

– A ty wierzysz jej. – Po raz pierwszy podczas tej rozmowy twarz Zaręby się rozpozodziła. Znowu znacząco. – To bardzo ładna kobieta. Z darem przekonywania. I stanu wolnego – powiedział.

– To nie ma nic do rzeczy.

Durlik z tego wszystkiego nie kupił wczoraj Kaśce kwiatów. Dziś nadrobi.

– To wydaje mi się po prostu dziwne. Intrygujące. Ten jeden raz był wtedy, kiedy zginęła Słowaczka. Chłopak migdałił się z koleżanką, bo to ustronne miejsce, tyle że ta kamera. No to nim przystąpili do randki, on rozwalił kamerę. Można to kupić, ale wciąż nie wiem, co z pozostałymi dwiema. A te daty są niepokojąco zbieżne.

– To idź z nim pogadaj. Tylko wiesz, tak żeby ojciec nie mógł nam niczego zarzucić.

– No to oficjalna informacja, pismo, psycholog i tak dalej. – Durlik się skrzywił.

– Daj spokój, załatwisz to. Poproś tę dyrektorkę. – Zarębie wrócił dobry humor. – Aha, i jeszcze trzeba pogadać ze starym Dzieniszem. Tak ogólnie i w sprawie ewentualnego alibi syna.

Młodszy Dzienisz twierdził, że każdą noc spędza w domu. „Nie kłusuję, Anulka zakazała”. I tyle. Durlik wątpił, żeby jego ojciec był bardziej kontaktowy, zwłaszcza że on to już chyba żadnej edukacji nie zaliczył. Podkomisarz wyliczył odległości od chaty Dzieniszów pod Klin i do chyży Stryjkowskiej. Chyża to małe piwo, najkrótszą drogą z pięć kilometrów. Ale pod Klin było trzydzieści pięć. Mapa podała mu siedem godzin marszu. No i siedem z powrotem. Choć do aresztu Dzienisz trafił boso. Chyba

rzadko nosił buty, bo podeszwy stóp miał twarde, jak podzelowane. Więc hipotetycznie to było możliwe, tylko po co? Durlik nie miał złudzeń co do ludzkiej natury, wiedział, że nawet na pozór uczciwi mogą popełnić przestępstwo, ale muszą mieć powód. A tu tego powodu nie było.

Facet wyglądał odrażająco. Miał włosy w strąkach, pasma z przodu przykleiły mu się do czoła. Na twarzy jakieś szramy, cienie. Oczy podkrążone, lekko zgarbiony.

– Jezus... – Strykowski westchnął, odwracając wzrok od lustra. – Aaaa! – syknął, sięgając do szafki obok lustra po pastę do zębów. Wciąż bolały go zębra, każdy żwawszy ruch wyciskał mu łzy z oczu.

Wyglądał nie najlepiej. Ostatnie dwa tygodnie to była stylistyczna równia pochyła. Jeszcze trochę i upodobni się do tych dzikusów z lasu.

Wybierał się dziś do ojca tego, który siedział w areszcie. Trochę dlatego, że facet mu wtedy uciekł, a skoro uciekał, to coś mogło być na rzeczy. A trochę dlatego, że odsuwał od siebie moment decyzji, czy wnieść oskarżenie przeciw temu Dimie. Facet go załatwił koncertowo i na pewno by za to beknął, ale Strykowski znał lepszą walutę niż kara czy pieniądze – informacje.

Śmierć studenta pod kołami nieznanego do dziś auta to była smutna sprawa. I taka akurat dla dziennikarza. Nagły tragiczny koniec młodego życia i nikt za to nie odpowiada. Ludzie nie radzą sobie z taką niesprawiedliwością. Jest zbrodnia, musi być zbrodniarz. I kara. Ten Dima za ostro zareagował. Jasne, oni są wyczuleni na takie nacjonalistyczne teksty, ale tu mogło być coś więcej. Jeszcze wczoraj, jak się zbierali z Drewutni, Ukrainiec do niego podszedł i zapytał, czy mogą się dogadać. Strykowski wziął od niego numer telefonu i powiedział, że zadzwoni. No i zadzwoni, tyle że jeszcze poczeka. „Niech skruszeje”, pomyślał.

Syknął. Na razie to on kruszał. Zjadł już pół blistra leków przeciwbólowych, a i tak wciąż coś go ćmiło i szarpało. Może powinien

prześwietlić zebra?

– Potem. – Znowu spojrzął w lustro.

Po zabiegach kosmetycznych wyglądał odrobinę lepiej. Zresztą kim miałby się przejmować? Jak na lokalną średnią i tak było całkiem nieźle. No, Rychlik zawyżał poziom.

Rychlik. On też wczoraj do niego zagadał. Jeśli Strykowski dobrze pamiętał, dostał zawołowaną propozycję przekupstwa. Ten Dima był konkretny i podobnie wstawiony, za to Rychlik był trzeźwy i mówił naokoło. Coś o tym, że to jego najlepszy pracownik, że posyła pieniądze do domu, że nie chce żadnych kłopotów. I jeszcze coś o zniżkach na drewno.

Tak, temu facetowi było całkiem blisko do teścia Strykowskiego, i to już był wystarczający powód, żeby go nie lubić.

Buty były jeszcze lekko wilgotne, ale nie przeszkadzało mu to. Zeskrobał z plecaka drobne placki błota i wrzucił do niego klapki. Po południu wpadnie do Kuby, żeby mu je oddać. Podziękuje za podwózkę, no i porozmawia o tym chłopaku.

Łączył ich ból po stracie, a to zawsze zbliża.

Piotr Durlik położył dłoń na metalowym ramieniu krzyża. Odsapnął. Nie pamiętał, kiedy ostatnio mieli tu takie upały. To znaczy bywało gorąco, ale występowały też dające lekką ulgę przerywniki w postaci deszczu. Na tych terenach często padało – takie warunki. Nie męczyły ich ciągłe opady, nieliczni turyści nie musieli się bać, że przez cały urlop nie wystawią głowy z domku, bo pogoda była dynamiczna. Przewaliła się burza i wychodziło słońce.

Ale nie teraz. Teraz było bezlitosne lato wiosną. Durlik odkleił rękę od krzyża. Na palcach zostały mu drobiny rdzy. Strzepnął je w wysoką trawę i zaczął się wspinać.

Podniósł ręce. Nie spodziewał się takiej reakcji. Choć właściwie reakcji mógł się spodziewać, ale nie takiego wykonania. Zobaczył zarys sylwetki na ławce; jeszcze się wstrzymał z przywitaniem, bo brał poprawkę na słuch starszego człowieka, tymczasem Daniel vel Danił Dzienisz poderwał się, odwrócił i stanął przed nim – z nienawistnym wzrokiem i kamieniem ściskanym w prawej dłoni.

– Piotr Durlik, komisariat policji w Dukli.

Podkomisarz jedną rękę wciąż trzymał w górze, a drugą sięgnął do kieszeni po legitymację. Wyciągnął ją w stronę mężczyzny.

Dzienisz nic nie powiedział. Podkomisarz obstawiał niepiśmienność. Oglądał kiedyś program o wysiedlanych Łemkach. Pamiętał jakieś pożółkłe urzędowe karteluszkę ze zdjęciami różnych twarzy w skupieniu patrzących w obiektyw, a w miejscu podpisu trzy krzyżyki. Tak mogło być i w tym przypadku.

– Jestem z policji. Zajmuję się sprawą pana córki, Anny Źeleźnik.

Palce zaciśnięte na kamieniu zadrżały.

– Potrzebuję od pana informacji.

– Anulka – odezwał się Dzienisz.

Durlik kiwnął głową. Syn mówił o siostrze tak samo – z jakąś miękkością w głosie. Czy można tak mówić i jednocześnie walić kogoś młotkiem w głowę?

– Anulka – powtórzył za Dzieniszem.

Powoli opuścił drugą rękę. Schował legitymację i wyciągnął telefon. Przygotował się na to spotkanie. Zrobił zdjęcie fotografii Anny Źeleźnik z ewidencji ludności. Młodsza, prosto spoglądająca w obiektyw, z lekkim uśmiechem. Przesunął telefon w stronę Dzienisza.

– Anulka.

Mężczyzna rozprostował palce. Kamień potoczył się po ziemi, zahaczając o but Durlika.

– Anulka.

Wyciągnął rękę. Durlik kiwnął głową. Dzienisz przybliżył ekran do oczu. Po chwili potrząsnął aparatem.

– Nie ma. Czarne. – Pokazał mu ciemny wyświetlacz.

– Trzeba... – zaczął podkomisarz. Ale nie skończył. „Brat nie umie telefonu”, przypomniały mu się słowa zabitej. Ojciec nie umiał tym bardziej. Odświeżył ekran.

Twarz starego znowu rozbłysła.

– Anulka. – Dotknął szyby grubym palcem. – Anulka... – Zaczął kręcić głową i płakać. – Kto jej tak zrobił? Kto? Ona taka dobra.

„Sentymenty na bok”, Durlik przypomniał sobie słowa wykładowcy ze szkoły policyjnej. Na co dzień szło mu w tej kwestii nieźle, bo z kim miał się utożsamiać, kogo żałować? Piratów drogowych, permanentnie niepłacących alimenciarzy, złodziei idących prosto po odbyciu kary kraść?

– Właśnie tym się zajmujemy.

– A Jaś? Z nim co?

Durlik pokiwał głową. „Dobre pytanie”, pomyślał.

– Lubił siostrę? – zapytał.

Dzienisz spojrział na niego jak na przedstawiciela obcej cywilizacji.

– One zawsze we dwoje. Brat i siostra. Od urodzenia razem.

No tak.

– A mógłby... – Nie, jeszcze nie. To nie był czas na to pytanie. – A czy syn był ostatnio na jakichś dłuższych wyprawach? Dłużej go w domu nie było?

– Nie. On nie polował, prawdę mówi. Anulka zakazała. No, my się troszku... Ale zakazała i Jaś nie chodził. Anulka mówiła, że problemy z tego będą. To mądra dziewczyna, szkołę skończyła.

– Czyli syn się nie oddalał od domu?

– Nie. Tyle co blisko.

– A spotykał się z kimś?

„Kuźwa”, westchnął Durlik w duchu. Nie przygotował sobie specjalnego zestawu pytań. Przerabianie ich na miejscu słabo mu szło.

– Z kim?

Daniel Dzieńisz upuścił telefon podkomisarza. Durlik schylił się i podniósł go. Ekran był cały, tylko trochę zabrudzony ziemią.

– Z kobietami.

Zabrzmiało durnie – w tym otoczeniu, w tym przypadku.

Dzieńisz patrzył na niego bez słowa, a potem pokręcił głową.

– A z kimś innym?

Durlik zauważył, że Dzieńisz znowu zacisnął dłonie.

– On nie winowaty. Nic a nic. Ja tu będę i na niego zaczekam.

Durlik chciał pociągnąć wątek spotkań, bo stary ewidentnie coś wiedział, ale bał się go spłoszyć. Mieli już w areszcie jego syna, z którym zupełnie nie szło się dogadać.

– A jak mnie ubiją?

Podkomisarz zobaczył w spojrzeniu Daniela Dzieńisza strach. Prawdziwy, wręcz zwierzęcy strach.

– Kto? – zapytał szybko.

Stary odwrócił się od niego. Okienko szczerości było otwarte bardzo krótko.

– Giną. Umierają. Jeśli mnie też śmierć?

– Kobiety. Umarły trzy kobiety, dlatego pytam o alibi pańskiego syna, bo... znaczy pytam o to, czy był tu z panem, bo...

– On też.

– Był tu?

– On też nie żyje.

– Kto nie żyje?

Gdzieś z tyłu trzasnęła gałązka. Daniel Dzieńisz gwałtownie się odwrócił w stronę tego dźwięku. Wzrok podkomisarza także tam powędrował. I zatrzymał się na Marcinie Strykowski.

„Kurwa”, zaklął w myślach Durlik.

– Kto nie żyje? – zapytał raz jeszcze. Za głośno, za nerwowo. I znowu w zatrzaśnięte już okno.

Daniel Dzieńsz szybko jak na swój wiek krokiem doszedł do drzwi. Pożył dłoń na klamce. Durlik podszedł do niego.

– Kto nie żyje? – zapytał cicho. – Kto? Co chciał pan powiedzieć? To może być ważne. Może pomóc znaleźć tego, kto zabił Anulkę. I sprawić, żeby syn wrócił do domu.

Starał się być spokojny, ciepły i wzbudzić zaufanie, choć w środku się trząsał. Strykowski milcząco im się przyglądał.

– Kto? – Durlik powiedział to prawie błagalnie.

Daniel Dzieńsz otworzył usta.

– Żydowskie – wyszeptał.

I zniknął w środku chałupy.

– Kurwa! – Podkomisarz uderzył dłonią w swoje udo. – Co ja panu mówiłem? Jak najdalej od śledztwa. Chce pan nakaz z sądu? I sprawę o utrudnianie czynności śledczych?

– Co on powiedział? – Strykowski zignorował wybuch podkomisarza.

– Pan naprawdę nie...

– Żydowskie?

Durlik się zatrzymał. I zawahał. Z niczym mu się to nie kojarzyło. Żeby powiedział ukraińskie, to okej, ale żydowskie?

– Tak – zaryzykował w końcu.

– To wieś.

– Gdzie?

– Tu, na dole.

– Na dole nic nie ma.

– Ale było. Wieś. Żydowskie, tak się nazywała. Teraz jest tam stacja uniwersytecka, skąd wczoraj Kuba zawiózł mnie do Krempnej.

Podkomisarz popatrzył na dziennikarza. Stacja uniwersytecka, mały budynek na terenie dawnego pegeeru. Miejsce, gdzie teraz mieszkał ten geolog. I gdzie zginął ten chłopak.

„On też”.

Rozdział 20

Wpatrywał się w monitor. Ta mapa była inna od wszystkich. Większość miejscowości oznaczono na niej czarną kropką, kilka – czerwoną. To były miejsca, o których pamiętali już tylko historycy. Oraz Danił Dzienisz. Lipna, Radocyna, Ciechania, Długie, Nieznajowa, Świerzowa Ruska. Żydowskie. „Żydowskie (łem. *Жидівське*) to nieistniejąca obecnie wieś łemkowska, położona w dolinie potoku Krempna”. „Pierwsze wzmianki o Żydowskiem pochodzą z pierwszej połowy XVI wieku (1541 rok). (...) We wsi oprócz zdecydowanej przewagi ludności łemkowskiej mieszkali także Żydzi i Polacy. (...) Później nastąpiła II wojna światowa, która odcisnęła kolejne piętno za sprawą operacji zwanej dukielsko-preszowską z 1944 roku, mającą za zadanie nieść pomoc powstaniu, które wybuchło przeciw Niemcom na Słowacji. Ale Niemcy bronili się w tej okolicy aż do stycznia 1945 roku. Zawierucha wojenna się skończyła, nastąpił czas odbudowy zniszczeń wojennych, ale dla mieszkańców Łemkowszczyzny to najgorsze miało dopiero nadejść. Wsie w okolicach Przełęczy Dukielskiej były tak zniszczone, że mieszkańcy nie mieli najczęściej do czego wracać, podobnie było właśnie w Żydowskiem. Choć niektórzy zdecydowali się na powrót, niemniej jednak część mieszkańców wobec wzmożonej agitacji wyjechała na teren sowieckiej Ukrainy. Jakby tego było mało, nastąpił rok 1947, w którym to roku pozostali we wsi Łemkowie zostali wysiedleni w ramach tzw. akcji «Wisła». I tym sposobem dolina opustoszała, pozostały tylko nieliczne domy i cerkwie, które z czasem zaczęły niszczeć, aż w końcu zostały rozebrane. (...) Nowy rozdział nieistniejącej w zasadzie wsi zaczął się w latach 50. kiedy to zdecydowano, by utworzyć tu Państwowe Gospodarstwo Rolne (PGR), które sukcesywnie powiększano, prowadząc tu z czasem owczarnię. Działał tu także swego czasu zakład karny, którego «pensjonariusze» pracowali dla PGR-u. Obecnie po

zabudowaniach owczarni już niewiele pozostało (jedna duża hala). W latach 90. PGR upadł i dolina znowu opustoszała, choć nie do końca, bowiem działał tu jeszcze wyciąg narciarski utworzony na stoku Wysokiego, a zbudowany w 1978 roku. Ze względu na kiepską komunikację i dostępność doliny, właśnie w zimie, wyciąg także zamknięto. W 1995 roku tereny nieistniejącej wsi przejął utworzony Magurski Park Narodowy i jest tak do dnia dzisiejszego. Obecnie w nieistniejącej wsi znajduje się jeszcze Stacja Badawcza Uniwersytetu Rolniczego z Krakowa”^[1].

– Żydowskie. – Podkomisarz powiedział na głos, wpatrując się w fotografie, którymi zilustrowano artykuł. Współcześnie to była po prostu piękna i dzika przyroda, kilkadziesiąt lat temu – domy, ludzie, zwierzęta. Życie. Było i nie ma.

O co chodziło staremu Dzieniszowi? Durlik próbował go jeszcze nakłonić do rozmowy, ale facet się spłoszył. Nie wpuścił go, tylko patrzył na niego i Strykowski – cholerny Strykowski! – przez to brudne okno i nie najczystsza firankę.

Durlik chciałby sobie pozwolić na spontaniczną reakcję i po prostu opierdolić dziennikarza. Tak, opierdolić. Rzucić kurwą, chujem, wydrzeć się. Podkomisarz zwykle obywatel się bez przekleństw, zresztą w domu to była raczej konieczność, bo Kaśka się krzywiła, a w pracy... W robocie miał do tej pory nudnawę sprawę, to i emocje mniejsze.

Spojrzał w stronę drzwi. Wiedział, że za nimi siedzi Strykowski. Tam, w lesie, chwilę rozmawiali, ale dziennikarz wyczuł, że to nie jest dobry moment. Zapowiedział, że przyjedzie pogadać do Dukli. Kiedy podkomisarz chciał mu powiedzieć, że chuja pogadają – nie powiedział, bo raz, że za bardzo się pilnował, a dwa, że nie zdążył, Strykowski dodał, że w sprawie pobicia. Z tym Durlik nie mógł dyskutować. A teraz się zastanawiał, czy zostawić tę rozmowę Białkowskiemu, czy jednak przeprowadzić ją samodzielnie. Wkurw mieszał się z ciekawością. Strykowski był felerny, postrzelony, niedorośli, ale jednocześnie miał jakiś talent do wyłapywania różnych informacji.

Wstał od biurka i podszedł do drzwi. Nabrał powietrza i głębiej odetchnął. Kiedy mył ręce w łazience i spojrzął w lustro, przez moment zobaczył w swoim odbiciu coś z Zaręby. Nie chciałby za dziesięć lat łykać tabletek i mieć szarej twarzy.

– Proszę – rzucił do dziennikarza tonem, który postarał się ociosać z agresji.

Strykowski też nie wyglądał najlepiej, ale Durlikowi wydawało się, że od czasu spotkania pod chałupą Dzieniszów w dziennikarzu coś się zmieniło. Miał mniej mętne, zwawsze spojrzenie.

– Głupio wyszło, wiem...

Durlik przeniósł spojrzenie na monitor komputera.

– Imię i nazwisko już mam, z poprzedniej sprawy, ale niech pan powtórzy.

Strykowski zamilkł.

– No, w sumie to nie wiem, czy składać doniesienie.

– To właściwie po co pan przyszedł? – Podkomisarz spojrzął ponad pudłem monitora.

– Jezu, no. Panie podkomisarzu, ja naprawdę wszystko rozumiem, ale niech pan zrozumie mnie. Życie mi się posypało...

„Sam je sobie zawałiłeś”, pomyślał Durlik. „Kwiaty”, napisał na żółtej karteczce samoprzylepnej. Ciągłe zapominał. No i kwiaciarnię mieli czynną do czwartej. W zasadzie ich Dukła też była trochę wymarła.

– Wciąż nie wiem, kto zabił Karolę.

– To już nie dziki człowiek z lasu? – zakpił podkomisarz.

– To było proste skojarzenie, ale się nasunęło w taki oczywisty sposób. Oceniamy ludzi po pozorach, no co mam na to poradzić... Ale teraz uważam, że to nie on.

„To coś nas łączy”, pomyślał Durlik.

– Ale ten stary, tam przy ich chałupie... No chciałem z nim pogadać, bo on mi raz zwał. A może coś wiedzieć. Wiem, że to głupio, taki domorośli

detektyw...

Durlik nie zaprzeczał.

– Ale to też trochę przez Kubę. Tego geologa. Pojechałem oddać mu klapki, a on siedzi taki zgnębiony. Ten chłopak, co zginął w zeszłym roku, no, to on coś do niego czuł. Rozumie pan?

Durlik kiwnął głową. Nawet świadomy światopoglądowo Strykowski miał problem z nazwaniem tej relacji wprost.

– Właśnie. I boli go, że to niewyjaśniona sprawa. I to też trochę... no, nie powiem, że plama na honorze policji, ale... To nie do pana uwaga, tylko taka ludzka.

Strykowski lawirował i się wił.

– Nie prowadziłem tej sprawy – powiedział podkomisarz.

– Wiem, no wiem. Ale może warto wrócić?

– Nie jest zamknięta.

– No tak, ale tak zwawiej, no...

– Żwawo wracamy.

– Okej. No to w sumie tyle chciałem.

– Czyli pobicia pan nie zgłasza?

Strykowski przez moment się zawahał.

– Nie, jednak nie. Emocje były, nerwy go poniosły. Przeprosił. Trzeba być człowiekiem, pomyślałem.

– Trzeba – zgodził się Durlik. – W takim razie... – Podniósł się zza biurka.

– Tak. – Strykowski również wstał. – A – powiedział już spod drzwi – o co temu facetowi chodziło z tym Żydowskim? Czy tam Żydowskim?

– O to, że tam go ktoś śledził. Młody mężczyzna, około czterdziestoletni, w butach górskich i z plecakiem.

Strykowski patrzył na Durlika bez słowa. W końcu pokiwał głową i podszedł do drzwi.

– Ale jak coś się w sprawie Karoli ruszy, to da mi pan znać?

Wyglądał teraz na tyle smutno, że podkomisarz także kiwnął głową.

– Ja już to panu tłumaczyłam... – Głos w telefonie był miły i przepraszający. – On ma moje słowo, że nikomu nie powiem. Poza panem Orłem...

– Znam Janusza Orła, zresztą rozmawiałem z nim o tej sprawie. – Podkomisarz przerwał Joannie Zych. Nie chciał być niemiły czy niekulturalny, ale mieli impas. A on czuł, że tu impasu być nie powinno.

– Ja to wiem, ale zaufanie, jakim dziecko obdarza dorosłego, pedagoga, nauczyciela... Tu nie może być żadnej skuchy, rozumie pan?

Durlik teoretycznie rozumiał, choć w szkolnym życiu nieczęsto tego doświadczał.

– Tak, rozumiem. I powtórzę: to nie wyjdzie poza prywatną rozmowę. Chcę po prostu zamienić z nim kilka zdań i tyle.

Po drugiej stronie zaległa cisza.

– No dobrze. – Dyrektorka westchnęła.

Podkomisarz podkreślił wyraz „kwiaty” na żółtej karteczce.

– To może zrobimy tak, że ja porozmawiam z Antkiem, uspokoję go i dam panu znać? A pan mi obieca, że nie wyjdzie pan przed szereg i nie pojedzie do niego wcześniej.

– Obiecuję.

– To dobrze. Ja się do pana odezwę, kiedy... Aha, jeszcze jedno. Teraz mi przyszło do głowy. Pomyślałam sobie, że Antek miałby mniej oporów, gdyby to spotkanie odbyło się w mojej obecności. Ja rozumiem, że to śledztwo, sprawy poufne, ale ja bym nie przeszkadzała. Potrafię być bardzo dyskretna.

Podkomisarz poczuł coś, czego już dawno nie czuł. Miłe, rozprężające ciepło. Pod „kwiatami” pojawiły się dwa kolejne podkreślenia. Mocne.

– A ty wiesz coś o tej sprawie? – Strykowski zaciągnął się papierosem. Nie palił od kilku lat, dokładniej od momentu, gdy Marta zaszła w ciążę. Ale teraz nie odmówił. Dima palił, a wspólne palenie zbliża.

Ukraińiec wypuścił z ust obłoczek pary.

– Ja ci mówiłem, nic nie wiem.

Strykowski pokiwał głową.

– Ale zareagowałeś tak, jakbyś wiedział. I nie chciał, żeby inni wiedzieli.

– Nie, nie, nie. Po prostu jak kto nas obraża, Ukraińców znaczy... My tu ciągle gorsi.

– No nie zawsze. – Strykowski wyciągnął telefon i odblokował go. – „Była Polska, ale już jej nigdy nie będzie. Panowali Polacy, ale teraz już nie będą nigdy. Polaczki dwacet lat kręcili nam językami, a teraz kręcić nie będą”. Wiesz, kto tak powiedział?

Dima pokręcił głową.

– Delegacja ukraińska. Przyjechali do Krempej w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku, na jesieni. I za zgodą Niemców nastąpił tu ukraiński ład. A UPA hulalo do czterdziestego szóstego. Historia to nie jest prosta sprawa.

– Nie jest – zgodził się Dima. – Ale...

– Ale mnie nie o tę historię chodzi. Mnie w ogóle nie chodzi o takie narodowe, nacjonalistyczne szczucie. Ja też bym się pewnie wnerwił, gdybyś ty rzucił coś o polaczkach. Ale jest sprawa śmierci chłopaka. Młodego, studenta dopiero. Przyjechał tutaj się uczyć i zginął. Wyobrażasz sobie? Całe życie przed nim, niewinny, fajny człowiek i koniec. Rodzice zrozpaczeni, jakaś dziewczyna pewnie też...

Strykowski pomyślał o Kubie, ale to, niestety, nie była dobra karta przetargowa, bo Dimy na pewno by nie wzruszył ten związek.

– Rozumiem, no pewnie. Żal. Ale co mnie do tego? Co ja z tym?

– Bo widzisz, jest świadek, który powiedział o ukraińskich numerach.

– Świadek?

Było w tym nie tylko zdziwienie, lecz także strach.

– No. Świadek. I policja wraca do tego wątku. Zacznie pewnie od miejscowych Ukraińców, bo od czegoś musi zacząć.

– Słuchaj, ja naprawdę nie mam z tym nic wspólnego. Nic. Nie zabiłbym nikogo. Spać by potem nie mógł. Żyć by nie mógł. – Dima uderzył się w szeroką pierś.

– Ja nie mówię, że ty. Ale może wiesz coś? Coś słyszałeś? Nawet przypadkiem?

Dima pokręcił głową.

Strykowski jeszcze przez chwilę patrzył na niego, a potem westchnął.

– No trudno, myślałem, że się dogadamy.

– Ale ja naprawdę...

– W sprawie tego pobicia. Dzwonił dziś do mnie podkomisarz Piotr Durlik i pytał, czy je zgłaszam. No nic, jak mus, to mus.

Strykowski pokiwał głową i poszedł w kierunku auta. Znowu coś go w środku szarpnęło. Może naprawdę powinien zrobić obdukcję albo chociaż dać się obejrzeć lekarzowi?

– Poczekaj! – Usłyszał.

Odwrócił się.

– Ja coś... Ale ty obiecasz, że zgłoszenia nie będzie. I że ty nie powiesz, że ty ode mnie? Słowo za słowo?

– Słowo za słowo.

Dima się rozejrzył.

– Chodźmy jeszcze dalej.

Strykowski był trochę zdziwiony tymi podchodami. Ukraińiec umówił się z nim przy zaporze. Samochód zostawił gdzieś indziej, bo tu dziennikarz nie zobaczył żadnego pojazdu. Odeszli kawałek od drogi, w jakieś chaszczce i zdemolowane domki wypoczynkowe z PRL-u. Dima ewidentnie się bał. Tylko kogo?

– Dobra. – Westchnął.

Ukrainiec ruszył pierwszy, Strykowski za nim.

„Ktoś tu nieźle balował”, pomyślał, patrząc na butelki po wódce, opakowania po chipsach i jakieś puszki po konserwach. Trochę wyżej były te smutne relikty przeszłości, a tutaj chyba szykowało się coś nowego, ale ani jedno, ani drugie nie cieszyło wzroku, zwłaszcza że planowana inwestycja powstawała na jakimś dziwnie doklejonym do zbocza kawałku ziemi.

Dima wciąż szedł przed siebie. „Dokąd on idzie?”, zdziwił się dziennikarz. A chwilę potem potknął się o jakiś drut. Stracił równowagę, bo szutrowe podłoże zaczęło się osuwać, a on razem z nim. Próbował się czegoś złapać, ale wszędzie była tylko przewalająca się masa ziemi.

– Dima! – krzyknął w panice.

Rosła sylwetka stała trochę dalej, na skraju lasu, już poza tym terenem.

– Dima! – wrzasnął Strykowski raz jeszcze. Wciąż zjeżdżał, prosto do zalewu.

Sylwetka powoli zaczęła się oddalać.

Rozdział 21

Trochę krajobrazów, zdjęcia roweru górskiego na polnej drodze, zbliżenie na strumień, tak że było widać kamienie na dnie, jakiś krzyż, raz tył terenówki, ale nienachalnie. Jeśli on sam, to tylko w kapturze, z mocno zacienioną twarzą albo tyłem.

– To tyłem to ktoś ci musiał robić – powiedział na głos Piotr Durlik. – Może ta dziewczyna, z którą randkowałeś przy ośrodku?

Oglądał profil facebookowy Antka Rychlika. Spodziewał się quadów, zdjęć z nart w Alpach, sylwestra w Dubaju lub ostatecznie z McDonalda w Krośnie, a tu nic z tych rzeczy. W każdym razie to jabłko daleko padło od jabłoni, bo Krzysztof Rychlik postawił na solidną autoprezentację w duchu macho – on i jego nowe auto przed domem, on i jego nowe auto na leśnej drodze, on i jego nowe auto przed salonem samochodowym i tak dalej, jak na ruskich zdjęciach, na których zmienia się tylko jeden element, w tym przypadku tło. Sporo egzotycznych wakacji plus jakieś lokalne imprezy, które biznesmen sponsorował i uświetniał swoją osobą.

Takiego profilu Durlik się spodziewał. A co do Antka – tak mógłby się równie dobrze prezentować jakiś zapalony przyrodnik albo romantyczna dziewczyna. Albo młody student geologii.

Podkomisarz spojrzął na zegarek. Było wpół do dwunastej. Czekał na telefon od Joanny Zych. Prosił ją, by nie zwlekała z rozmową z Rychlikiem juniorem, a ona mu to obiecała. Z wdziękiem.

Mimowolnie przeniósł wzrok na żółtą karteczkę. Do kwaciarni oczywiście nie zdążył. Miał nawet pomysł, żeby się zatrzymać gdzieś po drodze, przy jakiejś łące, bo było na nich teraz sporo kwiatów, ale od razu zrobiło mu się głupio. To by było takie... szczeniackie, młodzieńcze. Zakochane. Po tym ostatnim zrobiło mu się dla odmiany smutno. Kiedy ta

sprawa się skończy, weźmie urlop. Może wyjadą gdzieś z Kaśką, we dwoje tylko. Teściowe uwielbiają Maćka, choć pewnie będą się dziwić. Inaczej żyją, bez fanaberii, wydziwień. Zwyczajnie – od ślubu do śmierci razem. Rodzina.

Na razie jednak myślał o końcu sprawy. Po badaniu młotka prokurator Siuda poinformował go, że przygotowuje akt oskarżenia. Rozmawiali przez telefon. Durlik zapytał, czy to nie nazbyt pochopne. W słuchawce zaległa cisza, a po chwili podkomisarz usłyszał: „A kto go dał do aresztu?”. Bez wyrzutu, zarzutu, zdziwienia. Nawet bez specjalnej chęci konfrontacji. „Ale sprawa jest rozwojowa”, stwierdził Durlik, mimowolnie odwracając się w stronę otwartych drzwi, naprzeciwko których był gabinet Zaręby. „A co ci się rozwinęło?”, kolejne, tym samym tonem zadane pytanie. Prokurator Zygmunt Siuda był na etapie zwijania. Na jesieni miał iść na emeryturę. I na pewno nie miał ochoty na nieudane zwieńczenie kariery zawodowej. Zaręba też nie miał ochoty na porażkę, mimo że do emerytury zostało mu jeszcze kilkanaście lat. Nie żeby Durlik marzył o porażkach, ale...

Wczoraj wieczorem Kaśka zapytała go, czy źle się czuje, czy to tylko zmęczenie. W pierwszej chwili podkomisarz pomyślał, że pewnie ma wypisaną na twarzy tę dziwną, niechcianą fascynację Joanną Zych, ale to był impuls w stylu „na złodzieju czapka gore”. On, co prawda, niczego jeszcze nie zwinął, pozostając w tej stylistyce, ale... Ale nie o to chodziło. Durlikowi ta sprawa nie dawała spokoju. Mogło być tak, że jest smutnie prosta, że zagubiony, może jakoś zwichrowany psychicznie, a na pewno zdziwaczały Jan Dzienisz zamordował trzy kobiety i tyle. W sumie pewnie i komendant, i prokurator chcieliby takiego finału, żeby oskarżony okazał się po badaniach niepoczytalny, a same morderstwa – przykrym efektem tej skazy. Durlik jednak nie potrafił pójść tą ścieżką. Miał przed wejściem na nią niesprecyzowany opór. Fakt, nie oponował, kiedy zabierali Dzienisza, ale chwilę wcześniej facet stał nad nim z młotkiem w dłoni.

A jego ojciec...

„On też”.

Konrad Biecz jako miejsce śmierci w nekrologu miał wpisaną Krempną. W ich papierach też była Krempna. Durlik obejrzał zdjęcia zrobione na miejscu. Jedno z nich zostało wykonane mniej więcej z tej zatoczki, w której podkomisarz zaparkował, kiedy nieprzytomny Strykowski wyleciał na drogę, bo przy krzyżach znalazł zwłoki Anny Żeleźnik. Krzyże stały w Żydowskim, ciało studenta leżało na asfalcie na ich wysokości, więc też w Żydowskim, wsi, która była i której nie było. Może Zaręba uznał, że to niefajnie kończyć życie w miejscowości o takiej nazwie? To by w sumie jakoś do niego pasowało; problem z empatycznym objęciem odmienności zataczał u komendanta szerokie kręgi. Nie tak wprost, ale wyczuwalnie. A może zupełnie bez intencji to było, zresztą Durlik nie miał pewności, gdzie dokładnie przebiega granica między dwiema miejscowościami.

Wybrał numer do Janusza Orła.

– Cześć – przywitał go. – Masz chwilę?

– Cześć. No pewnie. W sprawie tych kamer dzwonisz?

Durlik westchnął.

– To też się wydarzy. Niedługo. Na razie mam inne pytanie. Ta stacja badawcza, za zalewem, to w jakiej jest miejscowości?

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Wszystko dobrze? – zapytał po chwili Orzeł.

– Dobrze. Na tyle, na ile to możliwe. Doprecyzuję. W Krempnej czy Żydowskim?

– A, tobie o to chodzi! No, formalnie to powinno być w Żydowskim, bo ta nazwa nie zniknęła z mapy.

– Mam taką, na której jest oznaczona jako ta, co zniknęła.

– Wiesz, teraz to każdy może sobie napisać, jak chce, zwłaszcza w Internecie czy w przewodniku. A pozory mogą zmylić, bo tak jest w przypadku innych powysiedleńczych miejscowości, że są tylko na mapach dla turystów. Tyle że tam kamień na kamieniu został, ale tu były PGR i więzienie, a teraz nasz budynek, więc i nazwa miała rację bytu. Ale

w dokumentach mamy Krempna-Żydowskie, a w praktyce wszyscy mówią, że w Krempnej. A to ważne? Z jakiegoś powodu?

Teraz Durlik zwlekał z odpowiedzią.

– Pamiętasz, jak cię pytałem o tych ludzi z lasu? – odezwał się wreszcie podkomisarz.

– Pamiętam. Podobno syn jest u was.

– Jest.

– W sprawie tych kobiet?

– Tak.

– Nie jesteś rozmowny.

– Bo nie jestem... – Durlik już prawie miał „przekonany” na końcu języka, ale się powstrzymał. Nie wynosił na zewnątrz tego, co się u nich kotłowało. Lojalność bywała szorstka, ale niezbędna w tej robocie. – Dobro śledztwa, rozumiesz – powiedział. Słowo klucz w kulturalny sposób zamykające temat. – A pamiętasz tego studenta, którego w zeszłym roku potrącił samochód?

– Pamiętam, pewnie. Przykra sprawa. Choć bardziej dla uniwersytetu.

– Bo? – zdziwił się Durlik.

– Bo oni wcześniej mieli siedzibę na końcu wsi, w zabudowie jeszcze.

– Ten budynek, przy którym Żeleźnikowie mieszkają – stwierdził Durlik.

– Ten sam – zgodził się Orzeł. – Potem go komuś podnajęli, zresztą nie wiem dokładnie, w każdym razie wynajęli obiekt od nas, to znaczy od parku. I gdzieś w Internecie rozgorzała dyskusja, że gdyby nie wysyłali dzieci, znaczy studentów, w dzicz, tylko do cywilizacji, no, prawie cywilizacji, nie doszłoby do tragedii. To głupota, bo jakie to miało przełożenie? To był wypadek, nieszczęśliwy wypadek. Tyle że bez winnego... A winny musi być. Więc nam się dostało rykoszetem, bo twój szef sprawdzał, czy teren stacji był dobrze oświetlony, czy było oznakowanie i tak dalej. Było, ale to w sumie też bez znaczenia, bo ten chłopiec zginął na szosie, kawałek dalej, a właściwie wcześniej, bo, patrząc od nas, to było przed stacją. Fakt, gdyby szedł do dawnej siedziby, to byłby

już w domu w czasie, gdy ten kierowca gnał, bo on szedł z Krempnej. Z prawdziwej Krempnej. Z baru dokładnie.

– Z baru? – zdziwił się Durlik. – W papierach jest, że ze sklepu spożywczego, z Atlantiku. I że był trzeźwy. – Od razu dodał.

Niemożliwe, żeby Zaręba zrobił taki błąd.

– W sklepie też był. Ale i w barze, na pewno. I na pewno nic nie jadł ani tym bardziej nie pił.

– A ty skąd wiesz? – zainteresował się podkomisarz.

– Od Krysi Wolnej, tej, co w naszym sklepiku z pamiątkami pracuje. Ona go widziała. Potem płakała, jak się okazało, że on nie żyje. Pamiętam to, bo pamiętam jej łzy. Właśnie przez ten bar. Bo mówiła mi, że on tylko wszedł, podszedł do lady, popatrzył, a potem zaraz wyszedł.

– Ona tam się stołuje? – zdziwił się Durlik.

– Nie, przeciwnie, nosi tam swoje pierogi. Zniosła, wyszła i stała obok, bo na syna czekała, miał ją zabrać autem. Przez okno widziała tego chłopaka. I jak się dowiedziała, że on nie żyje, a obok niego plecak, a w plecaku zakupy z Atlantika, to w płacz, że biedny student, a ich to nie stać na bary i musiał sobie sam gotować, no ale... „Taki chudziutki”, jakoś tak to powiedziała. Ona ma trzech synów, takich rośłych, i sporo już wnuków, dlatego pewnie tak to przeżywała. I że gdyby zjadł, toby żył. Widzisz, kolejny przypadek.

– Kolejny przypadek – powtórzył Durlik.

– No. A z tymi naszymi kamerami, to jak jest: przypadek czy nie? Przepraszam, że tak naciskam, ale to mi nie daje spokoju.

„Mnie też”, pomyślał Durlik.

– Odezwę się.

– Jasne, do usłyszenia.

Podkomisarz raz jeszcze przejrzał dokumenty zebrane w sprawie śmierci Biecza. Rozmowy z tą dwójką studentów, ze sprzedawczynią ze sklepu, pewnie ze względu na te zakupy w plecaku, i tyle. W sumie i tak nieźle, bo to przecież był wypadek. Potrącenie. Przypadek.

Chyba.

Podkomisarz odsunął się od biurka.

Gdyby Dzieniszowie byli bardziej rozmowni... Ale nie byli. Durlik uważał, że ich wycofanie nie jest oznaką deficytu intelektualnego, tylko sposobem na życie. Matce starego Dzienisza udało się tu zostać, zapewne również dzięki takiej strategii – bycia niewidzialną, a może i szurniętą. Wariatkę czy wariata można zostawić w spokoju. Syn przejął ten wzór i przekazał go dzieciom. Do końca ich nie uchronił przed światem zewnętrznym, bo państwo wyciągnęło po nich ręce, ale ostatecznie po mniej lub bardziej udanej edukacji wrócili do dziczy. No, córka prawie, bo żyła na granicy wsi i lasu, i już nie z nimi, ale i tak widywali się codziennie. Silne więzy musiały ich łączyć. „Pierwotne”, pomyślał Durlik. Byli jak dzikie plemię, ufające tylko sobie, trzymające się razem, bojące się obcego. Tak, Dzieniszowie się bali. Uważali, że świat im zagraża. „Anulka mówiła, żeby nie podpisywać”. „Anulka mówiła, żeby nie rozmawiać”. „Anulka zakazała”. Jan Dzienisz był lękliwy.

– A czy miał się czego bać? – zapytał na głos podkomisarz.

Czy wszystko było w jego głowie? Czy chodziło tylko o tę ich rodzinną historię, kiedy ojciec na siłę próbował nie wydać dzieci światu, czy o coś więcej? Tylko o co? Komu oni mogli wadzić? A te trzy kobiety? I jeszcze ten chłopak. „On też”. Traktować serio słowa zdziwaczałego, nieszczęśliwego człowieka, któremu w końcu świat zabrał dzieci? Córka nie żyła, losy syna wisały na włosku. Już od tego można było się w sobie zapaść. Mimo wszystko Durlikowi wydawało się, że to „on też” zostało wypowiedziane całkiem przytomnie.

Konrad Biecz.

Podkomisarz wpisał jego imię i nazwisko w wyszukiwarkę. Pierwszy pojawił się Facebook. Było również kilka innych indeksów – strona UJ i koła naukowego Młodzi Przyrodnicy, poświadczenie uczestnictwa w jakimś sympozjum geologicznym, wyróżnienie w konkursie wojewódzkim na temat naturalnych bogactw Podkarpacia, artykuł z gazety studenckiej. Chłopak rzeczywiście był zafascynowany tą tematyką. Durlik

wszedł na portal społecznościowy. Kliknął zdjęcie profilowe. Spojrzał na niego uśmiechnięty blondyn leżący na trawie. Zdjęcie pokazywało właściwie samą twarz i trochę zielonego dokoła. Fotografia profilowa, dla odmiany, była szaro-brązowo-czarnymi paskami i wyglądała jak lekko zetłwały kawałek tortu. „Przekrój geologiczny – zapis cech litologicznych...” Dalej było jeszcze więcej wyrazów, których podkomisarz nie znał.

Pierwszy post był ogólnodostępny. I był nekrologiem. „Z niewypowiedzianym bólem i smutkiem informujemy, że nasz Ukochany Syn zmarł piętnastego września dwa tysiące dwudziestego roku i zostanie pożegnany dwudziestego czwartego września w samo południe w kościele Zmartwychwstania Pańskiego na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie”. Podpis: „Zrozpaczeni rodzice i dziadkowie”. Pod postem ponad dwieście emotek i wiele wpisów. „Nie wierzę”, „Odpoczywaj w pokoju”, „Nie tak miało być”, „Niech Bóg Cię przygarnie”, „Konek, nie wygłupiaj się”. Cały przekrój stylistyczny. Durlik wypatrywał wśród nich wpisu Jakuba Zielińskiego, ale go nie dostrzegł. To o niczym nie świadczyło, a nawet wręcz przeciwnie – mogło potwierdzać, że doktor lubił swojego studenta tak, jak lubić nie powinien. I chodziło tu nie tylko o polską zaściankowość, lecz także o fakt, że łączyła ich relacja wykładowca–student.

Durlik przejechał niżej. Siódmy września – „Wakacje, a ja w pracy. Jakie tu cuda!”, a pod wpisem seria zdjęć, które w podkomisarzu nie wzbudziły żadnych emocji: znowu jakieś skały, ziemia, zbliżenia. „Cały Konek!”, ten sam Adam, który kazał mu się nie wygłupiać w poście z nekrologiem, teraz polubił te zdjęcia czerwonym serduszkiem. Nic dziwnego, też był z UJ, a jego profil również zdobiły minerały, skały i wykresy. Pobyt Konrada Biecha w stacji badawczej był skrupulatnie relacjonowany – budynek, otoczenie, strumień, zdjęcia gdzieś na zboczu, na ścieżce, sama przyroda, on z tą dwójką studentów, tylko on. Z tego przyrodniczego zestawu wybijały się trzy fotografie. Z drugiego września „Jak się może nazywać sklep spożywczy w sercu Beskidu Niskiego?” i uśmiezek. Fakt, nazwa „Atlantik Market” nie była najoczywistszym pomysłem. Z siódmego września – jakieś rustykalne, nie dość wyraźne, ale widać było dużo

drewna, jakieś okno, może to był ganek, bo za szybą coś się zieleniło i różowiło. „Romantycznie już było. Dawna miejscówka”. I zdjęcie z ósmego września... Dość ciemne, bo robione we wnętrzu. Na pierwszym planie Konrad Biecz, właściwie połowa jego głowy, trochę rozmazana, i dłoń obejmująca kufel, uniesiona w geście pozdrowienia. Trochę niżej jakaś gazeta, książka albo kartki. „Nie samą nauką człowiek żyje”. Durlik się uśmiechnął. Chłopak wyglądał na tym zdjęciu tak beztrosko, fajnie, luzacko, jak to powinno być wtedy, gdy masz dwadzieścia jeden lat. I na pewno nie wiesz, że za tydzień będziesz martwy... Pokazał tu inną, zwyczajną twarz. Przecież ludzie muszą się kiedyś wyszaleć, bo jeśli nie, to wyrastają z nich tacy Strykowski. Choć w sumie słowo „wyrastają” nie było najlepsze, bo w dziennikarzu było coś z wiecznego chłopca. Może był rozpieszczany w dzieciństwie? A może wręcz przeciwnie? Durlik pomyślał o Antku Rychliku. Jego chyba nie dawało się zepsuć, wyglądał, jakby był w kontrze do ojca. Zerknął na telefon – nic, żadnej wiadomości od Joanny Zych.

Wrócił do tego zdjęcia. Było zrobione w Drewutni. Widać chłopak czasem jednak coś tam kupował, choć może niekoniecznie obiad. Powiększył obraz. Obok siedzieli jacyś ludzie zajęci sobą, wyglądający na turystów. Trochę z boku chyba ci z tartaku, to znaczy pracownicy w drelichach, choć raczej nie ci sami, których widział podczas bijatyki ze Strykowskim. Jeszcze trochę zbliżył obraz. Na wprost, za plecami chłopaka, w głębi zdjęcia siedział Krzysztof Rychlik. I patrzył w aparat telefonu. Durlik aż się wzdrygnął. Jakość nie była powalająca, ale to z pewnością był on.

Teraz wzdrygnął się po raz drugi, bo telefon zakręcił się po biurku. „Joanna Zych”.

Przełknął ślinę i przesunął zieloną strzałkę.

– Dzień dobry.

– Dobry, dla pana. Oby dla Antka też. – Usłyszał. – Zgodził się z panem spotkać.

– Świetnie. Kiedy?

– Za godzinę.

– W szkole?

– Nie, prosił, żeby było... poufniej.

Podkomisarz pomyślał, że dyrektorka zaproponuje swój dom, i zrobiło mu się...

– Nad zalewem. Tam jest mały parking, przed mostem. A od niego prowadzi droga, w głąb, przy takim starym ośrodku wypoczynkowym, w kierunku cmentarza wojennego. Wie pan, gdzie to?

– Wiem. Będę.

Durlik się rozłączył. Jeszcze raz spojrzął na fotografię. To ujęcie mogło być czystym przypadkiem, w końcu Rychlik był właścicielem Drewutni, jego obecność tam to nic dziwnego. To spojrzenie też mogło być zwyczajne – obserwował klientów, trafił na taki moment. Zmniejszył zdjęcie do wyjściowych rozmiarów, Rychlik się zgubił w mroku tła.

Durlik przymknął oczy. Miał przeczucie, że w tej sprawie właśnie o to chodzi, że prawda gdzieś mu się w tle gubi. Że niby wszystko widzi, ale nie potrafi wyciągnąć odpowiednich wniosków.

Rozdział 22

Włączył lewy kierunkowskaz. Nim wykonał skręt kierownicą, spojrzał jeszcze przed siebie. Po prawej miał Drewutnię, za nią Atlantik Market, po lewej z tyłu Ośrodek Parku, a przed nim szkołę. Tu zapadały decyzje dotyczące życia Krempnej.

Możliwe, że i śmierci.

Ruszył.

I prawie natychmiast gwałtownie zahamował, bo z prawej, z drogi gruntowej wyjechał stary beżowy passat. Zatrzymał się tuż przed asfaltem. Kierowca wykonał w kierunku Durlika przeproszający gest i lekko wycofał auto. Podkomisarz spojrzał na niego, przez chwilę się zastanowił, czy nie jest pijany, ale ten wyglądał raczej na zmęczonego. I może znajomego, choć sporą część twarzy miał schowaną za opuszczoną klapką chroniącą przed słońcem. Pokiwał głową i pojechał dalej.

I znowu zahamował.

– Co jest, kuźwa? – zaklął pod nosem.

Z naprzeciwka nadjechał zielony błyszczący SUV Strykowskiego. Dziennikarz włączył długie światła, kilka razy mrugnął i zatrzymał się na środku jezdni. Zamachał rękami, wysiadł i podszedł do Durlika.

Podkomisarz został na miejscu, tylko uchylił szybę.

Marcin Strykowski był mokry i trochę brudny. I wyglądał na ożywionego. Za mocno, niezdrowo ożywionego.

– Dzień dobry! Ma pan chwilę? – zapytał podekscytowany.

– Dzień dobry. Teraz nie. Poza tym miejsce mało dogodne. – Podkomisarz spojrzał w lusterko wsteczne. Nic nie jechało. Z naprzeciwka też nie, zresztą byli na drodze prawie donikąd, nie licząc Żydowskiego.

– Ale to jest ważne. Może być ważne. – Strykowski nerwowo się rozejrzał. – W sumie racja, tak na widoku to może lepiej nie.

– Jakaś lokalna burza? – Durlik popatrzył najpierw na błękitne niebo, potem na ubranie Strykowskiego. Jego koszulka zaczęła już trochę wysychać, ale szorty wciąż były ciemne i wilgotne. No i buty umazane błotnistym szlamem.

– Burza to będzie. – Dziennikarz roześmiał się nerwowo. – Tylko to będzie poufne, rozumie pan? – zapytał, nagle zmieniając ton na poważny. A może nawet wystraszony.

Durlik patrzył na niego i próbował wyrobić sobie zdanie, czy Strykowski naprawdę ma coś interesującego, czy powoli popada w jakieś szaleństwo. „W sumie miałby powody”, pomyślał.

– Niech pan zadzwoni. Po południu.

Strykowski kiwnął głową i poszedł do auta. W kilku miejscach zostawił na asfalcie mokre ślady.

Durlik patrzył w lusterku wstecznym, jak zielony SUV się oddala, a potem skręca w kierunku chyży.

Zaparkował na placyku przy zalewie. Stał tu jeszcze jeden samochód, bordowe kombi wypchane torbami, na których położono siatki z marketu. Na tylnej kanapie zobaczył dwa foteliki dziecięce. Auto miało warszawskie tablice.

Pomyślał, że dyrektorka i chłopak przyszli na piechotę. Ona mieszkała w Krempnej, chłopak kawałek dalej, w Świątkowej, ale pewnie do szkoły przywoził go ojciec albo ktoś inny z rodziny.

Ruszył przed siebie. Droga była początkowo ułożona ze starych betonowych płyt w kształcie rombów. „Lata siedemdziesiąte”, pomyślał. Z tego okresu musiały być domki wypoczynkowe wybudowane na skarpie, z widokiem na zalew. Wtedy pewnie było tu dziko i pięknie. Teraz druga strona zalewu była gęsto upstrzona budynkami i budynekami – takie lokalne centrum rekreacji się zrobiło, choć trudno było zrozumieć, dlaczego właśnie tutaj, skoro kąpiel w zalewie była zakazana. Wody nie udawało się

skutecznie oczyszczać, podobno to jakiś błąd konstrukcji zapory czy w ogóle całego zalewu. Wraz z potokiem napływał różnego rodzaju brud i osadzał się na dnie zbiornika. Podobno kiedyś go czyszczono, ale potem zaniechano tej operacji. Durlik nie znał się na tym, ale nawet gdyby inżynierowie zdołali usprawnić ten mechanizm, i tak by się tu nie kąpał. Nie lubił stojącej wody.

Minął częściowo już rozebrane domki i zaczął się lekko wspinać tak, jak prowadziła go teraz już gruntowa droga. Po chwili miał ładny widok na panoramę Krempnej. Szedł skrajem lasu, aż po kilku minutach dotarł na wzniesienie, gdzie znajdował się cmentarz wojenny. Czuł, że ma mokre plecy; dobrze, że teren był ocieniony.

Ostatni kawałek drogi przeszedł wzdłuż cmentarnego muru. Gdy wyłonił się zza zaokrąglonego ogrodzenia, zobaczył Joannę Zych i Antka Rychlika.

Młody był fizycznie nawet podobny do ojca, ale zdecydowanie mniej przebojowy. Stał za dyrektorką, a teraz, gdy Durlik się zbliżył, zrobił krok w tył. Nie było w nim też tężyzny ojca, zapewne wypracowanej.

– Dzień dobry – przywitał się podkomisarz.

– Dzień dobry. – Twarz Joanny Zych rozbłysła.

Chłopak wypowiedział swoje przywitanie w ziemię.

– Żeby nie przedłużać... – Durlik podszedł do chłopaka, który uciekł wzrokiem w kierunku cmentarza. – Jak już wiesz, jestem policjantem z Dukli i zajmuję się sprawą zniszczonych kamer w ośrodku.

– Ja tylko jedną. Mówiłem pani dyrektor. Kilka razy. – Antek Rychlik w końcu na niego spojrział. Miał ładne, duże oczy. W ogóle był ładny; nie po męsku przystojny, tylko właśnie po prostu ładny. – Naprawdę.

– Wiem, wiem. – Podkomisarz uspokajająco położył mu dłoń na ramieniu.

Chłopak lekko się odprężył.

– Wiem, co powiedziała pani dyrektor. – Durlik dokończył myśl. I poczuł, jak plecy chłopaka się spinają.

– Ja... – zaczął młody Rychlik.

– Dobrze, za chwilę wszystko mi opowiesz. Przejdziemy się? Tu, po cmentarzu. Pani dyrektor cały czas będzie na ciebie czekała przy wejściu.

Podkomisarz widział, że Joanna Zych chciała coś dodać, ale powiedziała tylko:

– Tak, będę tu czekała. Porozmawiaj z panem podkomisarzem. – Uśmiechnęła się.

Miała bardzo ładne dołeczki. Dziewczęce. Cała była taka – dojrzała, kobieca, ale i dziewczęca.

Durlik delikatnie popchnął chłopaka naprzód.

– No, to nie potrwa długo.

Weszli przez furtkę. Blisko nich stała jakaś okrągła kamienna budowla, która skojarzyła się Durlikowi z małym, malutkim właściwie, mauzoleum. Niżej były proste drewniane krzyże. Podkomisarz wiedział, że tu jest taki cmentarz, ale nigdy na nim nie był, bo i po co?

– Ta sprawa interesuje mnie nie z powodu samych kamer, choć oczywiście one też, bo to jednak akt chuligaństwa.

Chłopak poczerwieniał.

– Rozumiem jednak różne motywacje. Co więcej, czasem bywa tak, że szczerza skrucha, chęć poprawy i współpraca z policją powodują, że odstępuje się od kary. Tak może być w tym przypadku, ale te okoliczności muszą zajść. Rozumiesz? – Spojrzał na Antka Rychlika.

– Rozumiem. Ja od razu to zrozumiałem. Od razu, jak się z... jak ona poszła do domu. To był impuls, no nie wiem, jak to nazwać. Głupota po prostu. Coś mnie napadło.

Durlik pokiwał głową. Przypomniawszy sobie Joannę Zych, którą zostawili przed wejściem. Dziś była w czerwonej sukience w białe groszki. Bardzo jej pasowała. I mogłaby w kimś wywołać impuls.

– Rzuciłem kamieniem, potem jeszcze raz. To miał być żart, ale skoro ona pękła... Nie chciałem, żeby się zniszczyła, naprawdę. Nie jestem taki.

– Wierzę ci – zgodził się Durlik.

W to mu wierzył. Widział jego wpisy, patrzył na niego, ufał pedagogicznej ocenie Joanny Zych.

– Tylko próbuję zrozumieć, kto zniszczył pozostałe dwie kamery.

– Nie ja! – Chłopak zareagował gwałtownie.

– Nikt się nie dowie. Nie oficjalnie. Janusza Orła, dyrektora ośrodka, znam, załatwimy to. Praca społeczna, wolontariat, teraz podobno potrzebujecie takich zajęć w szkole, bo to jakieś punkty do liceum. Wszystko zostanie między nami. – Patrzył na chłopaka. – Ojciec też się nie dowie, jeśli tego się boisz.

– Ojciec wie.

Teraz to Durlik się zdziwił.

– Powiedziałeś mu?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Tak wyszło. Po prostu... Byliśmy tam po szkole. Najpierw poszliśmy do Drewutni, na colę, w kilka osób z klasy. To knajpa ojca, ja mogę tam jeść za darmo, czasem też postawię picie kolegom. Ojciec mówi, że jak nie za często, to okej, byle tylko ich nie przyzwyczajając, że ja mam pieniądze. – Chłopak się zarumienił. – Potem się rozdzieliliśmy, zostałem ja i... ona. – Konsekwentnie bronił się przed podaniem imienia. – Zrobiło się późno, miałem ją odprowadzić, no i odprowadzałem, ale jakoś tak wyszło, że zbczyliśmy w stronę ośrodka, bo to ładny obiekt i teren dokoła, i pustawo. No i... A ona powiedziała, że to byłby wstyd, gdyby nas ktoś w tych kamerach zobaczył. Miałem w plecaku procę, sam sobie zrobiłem. Tam na podjeździe sporo kamyków i tak jakoś... Głupio. A potem jeszcze głupiej, bo wyszedłem od tyłu, tam obok urzędu, i wpadłem na ojca. Dobrze, że już byłem sam, bo to już było po... po spotkaniu.

– Co twój ojciec tam robił?

– Nie wiem. Nie spodziewałem się, miało go nie być w ogóle, dopiero następnego dnia miał wrócić, bo pojechał coś załatwiać.

– Dokąd?

Chłopak pokręcił głową.

– Nie wiem.

– Nie wiesz, czy nie... – Durlik chciał powiedzieć „chcesz”, ale zamienił to na „możesz” – ...możesz powiedzieć?

Antek Rychlik pogrzebał czubkiem buta w trawie.

– Ale pan tego nie... nie wykorzysta? W sensie, że ojciec nie będzie miał kłopotów?

– No wiesz, jeśli to by było morderstwo... – Podkomisarz uśmiechnął się zachęcająco.

Chłopak też się uśmiechnął.

– Nie, no jak... ojciec... no, jeździ na zakupy. Kupować alkohol. W takie różne miejsca. Nie bardzo chce o tym mówić. – Znowu zaszurał butem w trawie. – I wtedy też pojechał. I miał być z powrotem następnego dnia, ale wpadłem na niego przy urzędzie. On też był zdziwiony, zapytał, co tu robię, no to mu powiedziałem.

– Wszystko?

Chłopak się zaczerwienił.

– No... prawie. Z pewną modyfikacją prawdy znaczy. Powiedziałem, że nie wiem, co mi odbiło.

– Bałeś się powiedzieć o dziewczynie?

Durlik się uśmiechnął. Szczerze.

– Ja... Bo ona to córka jednego z jego pracowników, znaczy z tartaku. I ojciec by nie był zadowolony, bo... on nie lubi, jak to mówi, „mieszać wątków”. A ja ją naprawdę... – Chłopak się zaczerwienił. – Powiedziałem mu, bo w pierwszej chwili sobie pomyślałem, że on wie. Rozumie pan, jak ktoś coś złego zrobi, to myśli, że inni o tym wiedzą. Więc powiedziałem, a on był trochę zły, a potem powiedział, żebym się nie martwił, że to w sumie normalne, bo chłopcy w tym wieku mają takie pomysły. I że sprawę załatwi, jakby co. To właściwie było takie okej... – Twarz mu się lekko wypogodziła, ale zaraz się spiął. – Na koniec mi jeszcze powiedział, żebym nikomu nie mówił, bo to mu popsuje opinię, i że on bez skazy, to i jego syn musi być taki w oczach ludzi.

– No tak – powiedział Durlik. – I później nic, już nigdy?

– Nie, przysięgam, naprawdę. Jak pani dyrektor powiedziała, to też byłem zdziwiony. Wiem, co pan może teraz pomyśleć, ale to nie ja.

Durlik był skłonny podzielić opinię Joanny Zych.

– Dziękuję, że chciałeś się ze mną spotkać. Na razie to tyle i oczywiście wszystko zostaje między nami. Nie bój się.

Chłopak pokiwał głową.

– To ja już pójdę. Mogę?

– Możesz.

– To do widzenia.

Chłopak wcisnął ręce w kieszenie i poszedł w kierunku furtki.

– A, jeszcze jedno pytanie. Też zostanie między nami.

Antek Rychlik się odwrócił.

– A ojciec gdzie wtedy był na tych zakupach?

Chłopak przygryzł wargę.

– Ale powiedział pan...

– I słowa dotrzymam. Ale chcę wiedzieć.

– Dokładnie to nie wiem. Tyle że na Słowacji. To mogę już iść?

– Tak.

Chłopak jeszcze szybciej niż poprzednio szedł ku wyjściu.

Podkomisarz patrzył, jak jego szczupła sylwetka maleje wśród drewnianych krzyży i wreszcie znika w prześwicie między kamiennym ogrodzeniem. Odwrócił się w przeciwną stronę. Miał przed sobą Krempną. Znowu jej centrum, tyle że teraz na pierwszym planie był Ośrodek Parku. Z tej perspektywy również wyglądał ładnie, bo był dobrze wkomponowany w otoczenie.

„Na Słowacji”, powtórzył w myślach podkomisarz. Piętnastego kwietnia Krzysztof Rychlik pojechał na Słowację. Akurat wtedy, kiedy zginęła słowacka turystka.

Z obrzydzeniem odsunął swoje buty. Śmierdziały, jakby nosił je Wodnik Szuwarek. Co tam musiało być na dnie, w tym zalewie. I pomyśleć, że mógł tam skończyć. No, może skończyć to nie, w końcu umiał pływać, tyle że był w szoku, opił się trochę wody i w ogóle sytuacja była nieoczekiwana. A gdyby go ściągnęło bliżej tamy... Otrząsnął się. Zdjął skarpety, koszulkę, szorty, bokserki. Odkręcił wodę pod prysznicem.

– Uch! – Westchnął z zadowoleniem.

Może więc wcale nie tak dużo dziś brakowało, żeby skończył źle. Jak Karola.

Wziął do ręki kostkę mydła. Była jej. Nie taka zwyczajna, jak z pierwszego lepszego sklepu przemysłowego, tylko ręcznie robiona, na zimno, z jakichś olejów i innych naturalnych składników. Przypomniawszy sobie, jak mydliła nią ciało. Niespiesznie, zgrabnie się zginając do kostek i przesuwając dłoń z tym kawałkiem kosmetyku do góry, po udzie, przez wzgórek łonowy, brzuch, piersi.

Mocniej zacisnął palce i śliski kawałek mydła spadł na kafelki.

Schylił się po niego.

Karola wciąż jeszcze leżała w chłodni, bo ciotka dopiero organizowała pogrzeb. Od Durlika wyciągnął tylko tyle. I jeszcze, że to leciwa pani, nieutrzymująca z Karolą zażyłych kontaktów, zdaje się z nikim ich nieutrzymująca.

Na tym powinien się skupić. Na niej, na wykryciu jej zabójcy. Temu biednemu chłopakowi też się to należało, bo to raczej nie był wypadek. Kuba mógł mieć zaburzony obraz sytuacji, no bo w grę wchodziły emocje, ale to, co się wydarzyło w barze... Jak oni gwałtownie zareagowali, zwłaszcza ten Dima. Dziś zresztą również. Kiedy Strykowski zobaczył, że Ukraińiec odchodzi, był przekonany, że wciągnął go w pułapkę, a jeśli wróci, to tylko po to, żeby się upewnić, że Strykowski zostanie w tym zasyfionym zbiorniku już na zawsze. A jednak wrócił, by pomóc. Może się przestraszył, może sumienie go ruszyło, cholera wie. Zbiegł na dół i podał

Strykowskiemu gałąź, a potem rękę. Upewnił się, że wszystko z nim w porządku.

Później trochę pogadali.

Jasne, mógł mu powiedzieć cokolwiek, bo przecież Strykowski nie wszystko był w stanie sprawdzić. Mógł skierować jego podejrzenia w dowolnie wybraną stronę i kupić sobie czas. A jednak powiedział coś takiego, co brzmiało wiarygodnie. Sensownie. Wciąż jednak pozostawała wątpliwość – czy Rychlik wiedział o wypadku? Nie zająknął się o swoim związku z tą sprawą. Tyle że po prostu nie mógł, bo ze słów Dimy wynikało, że ten Ukrainiec coś Rychlikowi przywiózł. Coś, czego nie wolno było przewozić. Przyjechali w kilka osób, niby to w odwiedziny, ale ten jeden miał coś dla Rychlika. A potem... Potem mogło się wydarzyć wszystko. Był pijany, zmęczony, zasnął, nie zauważył – cokolwiek. A że i tak starał się być kierowcą widmem, to po prostu pomknął dalej, może nawet dzięki pomocy Rychlika, zostawiając na drodze zmasakrowane ciało studenta. Wtedy to byłoby nieumyślne zabójstwo i pomoc w jego tuszowaniu.

Strykowski starł wodę skapującą mu z włosów na czoło i oczy. Odchylił głowę, ale ciało wciąż trzymał pod prysznicem, mimo że skóra już zaczynała go szczypać, a w łazience unosił się ciepły obłok pary, zasnuwający wszystko.

Tam, na górze, gdzie się tak niefortunnie spotkał z podkomisarzem, ten stary powiedział Durlikowi „Żydowskie”. A Durlik go wcześniej zapytał o kogoś, kto nie żyje. A nie żył, właśnie tam zakończywszy życie, Konrad Biecz. Strykowski nie mógł tego wiedzieć, bo skąd, ale to się mogło jakoś wiązać ze śmiercią kobiet. Bo po co inaczej by się podkomisarz tym interesował?

Zakręcił wodę i sięgnął po ręcznik. Owinął się nim i podszedł do lustra. Przetarł je ręką.

– No po co by się interesował? – zapytał swoje przymglone odbicie, ale obraz znowu szybko zaparował.

Przez moment bił się z myślami, ale przecież chodziło o wiarygodność. Nie da się gadać na takie tematy przy szklance mineralki.

– Piwo poproszę. – Oparł się o blat.

Facet spojrzał na niego, ale nic nie powiedział. Musiał go rozpoznać. Nie to żeby Durlik był jakiś charakterystyczny, ale sytuacja należała do tych raczej niecodziennych. No i barmani mają pamięć do twarzy. Do zasłyszanych historii. Oko do obserwacji. Są lepsi niż kamera, zwłaszcza jeśli tych nie ma.

Facet postawił na drewnianym blacie półlitrowy kufel. Podkomisarz objął go dłonią. Był przyjemnie chłodny. A piwo... Przełknął kilka łyków. Nie był specjalnym piwoszem, ale w upały powinno się pić tylko to.

– Spokój dziś – powiedział.

Zabrzmiało jak sentencja z kiepskiego filmu, czyli zgodnie z planem.

– No, spokój – przytaknął facet.

– Tu w ogóle cicha okolica.

Barman niby wycierał szklanki, ale co i raz spoglądał na Durlika.

– No.

– Takie burdy jak ta ostatnia to często?

– Nie, w ogóle – zaprzeczył gwałtownie. – Jak sami swoi, to nic takiego się nie dzieje.

– Ale to nie gość zaczął. – Podkomisarz uśmiechnął się do niego.

– No nie, nie w tym znaczeniu, że on zaczął. Po prostu tak... temat drażliwy, za dużo wypite. Tak to jest, jak alkohol namiesza w głowie.

Durlik potaknął. Szli w dobrą stronę.

– Alkoholi u was dużo. Popyt chyba jest.

– No jest. – Facet znowu się lekko usztywnił. – Czasem trzeba się zrelaksować.

– Pewnie. Po prostu stwierdzam fakt, że asortyment szeroki. I ceny przystępne. To i goście przychodzą. – Durlik obejrzał się w kierunku wejścia, gdzie pojawiło się dwóch mężczyzn.

Kiwnęli głowami barmanowi, on im odkiwnął.

– To, co zawsze – powiedział głośno jeden z nich.

– Robi się. – Barman podniósł rękę na znak, że przyjął zamówienie.

Odwrócił się i na chwilę zniknął na zapleczu. Durlik usłyszał, jak mówi: „Z mięsem dwa razy”, a potem znowu znalazł się w zasięgu jego wzroku. Nalał dwa piwa i poszedł z nimi do stolika, przy którym usiedli nowo przybyli. Jeden z nich poklepał go po ramieniu. Podkomisarz miał wrażenie, że facetowi nie spiesz się z powrotem. Ewidentnie nie czuł się dobrze, gdy rozmawiali o alkoholu w barze. Rychlik musiał coś kombinować, ale teraz to schodziło na drugi plan. Kiedyś by nie zeszło, bo procedury, przepisy i prawo, ale teraz Durlik inaczej ustawiał hierarchię, o ile wierzył, że jest tego warta, a w tym przypadku tak było.

Barman w końcu pojawił się po drugiej stronie blatu.

– A jedzenie wciąż pani Krysia robi?

Barman się zdziwił, ale i ucieszył ze zmiany tematu.

– No. Najlepsze.

– Jak ktoś ma do wykarmienia tylu facetów w domu, to musi dobrze gotować.

– No. Codziennie nam przywozi te swoje pierogi. I schodzą jak świeże bułki. Pierogi, a jak bułki. – Ucieszył się ze swojego żartu.

Durlik uśmiechnął się współodczuwająco, choć żart był czerstwy. Jak chleb.

– Nie tylko świetna z niej kucharka, ale i dobry człowiek. Pamiętam, jak rozpaczała, kiedy umarł ten chłopak, student, co tu był na praktykach.

Durlik sięgnął po szklanekę, upił trochę piwa i zapatrzył się w dal.

– No... Żal. Żal, jak młody umiera. A on był młody.

– I że tak jej było przykro, że on tego dnia nie miał pieniędzy na obiad. Akurat tego dnia.

– Nie miał pieniędzy? – Barman się zdziwił. – Jakby nie miał, ja bym mu dał na krechę, przecież my tu ludzcy jesteśmy. Różnie bywa, a gościom się ufa. A on był taki do zaufania. Tyle że on nie chciał jeść.

– Nie chciał? Pani Krysia mówi...

– Na pewno. Ona wtedy przyniosła pierogi, od tyłu, od zaplecza, a potem poszła. Spieszyła się, syn miał ją zabrać autem. A ten chłopak nie chciał ani pić, ani jeść. Spytał się tylko o coś. – Barman klepnął się w pierś.

– Tak? – Durlik zdziwił się uprzejmie.

– No. O szefa.

– Ciekawe.

Teraz barman się zmieszał.

– Tak zwyczajnie. Gadali sobie tu parę razy, szef dba o klientów, o atmosferę. Zagada, jak turyści, to coś doradzi, my tu mamy mapki i foldery. – Wskazał ręką na koniec blatu, gdzie leżały kolorowe wydruki. – Jedni idą do ośrodka, inni raczej do nas.

– No tak, jasne. I wtedy też coś chciał?

– Chciał, ale szefa nie było. Nie mówił co, zresztą ja jestem dyskretny. Ale on tylko o ziemi i takich pracach gadał. Kompletnie był zakręcony na ten temat. Znaczą tak fajnie, bo to fajny był chłopak, tylko że w jego wieku to ludzie są bardziej tacy, jak ta parka, co z nim przyjechała, a on... Ale szkoda, naprawdę.

– Wypadek – powiedział sentencjonalnie Durlik.

– Wypadek. A jak by inaczej? Tam ciemno, pustkowie. Kiedyś to się musiało tak skończyć.

Durlik niemo się zgodził.

– Ale trudno nie zauważyć, że się kogoś potrafiło.

Barman pokiwał głową.

– Dlatego mnie się wydaje, że to ktoś obcy. U nas ludzie nie są tacy.

– A obcy to skąd na przykład?

Barman lekko zbladł.

– No nie że z... z Ukrainy... tak od razu. Ze Słowacji, na przykład, przecież granica to jak czapką rzucić.

Durlik dopił piwo.

– Smaczne. Też ze Słowacji?

– Nie, nasze – zapewnił szybko barman.

– Czyli nie obce. – Durlik się uśmiechnął i wstał ze stołka. Poczuł, że boli go tyłek. Siedziska wyglądały całkiem nieźle, ale wygodne nie były. „Trzeba to rozchodzić”, pomyślał.

Wyszedł z baru. Przed wejściem jeszcze był cień, ale za nim rozciągała się osłoneczniona ulica. Durlik skręcił w prawo, do marketu. W Atlantiku było kilka osób; tu prawie zawsze ktoś coś kupował, bo nie licząc mniejszego sklepu kawałek dalej, konkurencji brakowało w promieniu wielu kilometrów. Podkomisarz włożył do siatki dwie bułki i poszedł za nie zapłacić. Trochę węglowodanów, półgodzinny spacer i wróci do Dukli.

Skierował się do zalewu. W połowie trasy zobaczył po drugiej stronie ulicy znajomą postać. Mąż Anny Żeleźnik też go rozpoznał. Zatrzymał się, rozejrzał i przeszedł przez asfalt. Mimo laski radził sobie całkiem sprawnie.

– Dzień dobry. Pan może do nas? – zapytał trochę z obawą, a trochę z nadzieją.

– Nie. W innej sprawie tu jestem.

Mężczyzna pokiwał głową.

– A co do Anulki... Coś więcej wiadomo?

– Śledztwo się toczy.

– A to naprawdę Jasiek? To on? – Mężczyzna obejrzał się za siebie.

Durlik pomyślał, że obawia się matki. Nie mogła go stąd zobaczyć, a mimo to popatrzył w stronę ich domu.

– Są poszlaki. Powody, żeby tak myśleć. A pan tak nie myśli?

– Ja? – Facet się przestraszył. – Co ja mogę... Ja tylko... On by tego nie mógł. No po co? On ją kochał. I ten swój dom kochał. To było dla niego wszystko. Teraz jej nie ma, on gdzieś wywieziony... A on nie umie nigdzie indziej żyć. Naprawdę. Anulka też tak mówiła. Że jakby nie tu, to on z ojcem umrą. I dlatego ona też tu. I dlatego wiedziałem, że ona będzie ze mną. Obiecała, że będzie, zawsze. A tutaj takie coś... Jakby diabeł szyki poplątał! – Uderzył laską w krawężnik.

Durlik patrzył na niego. Anna Żeleźnik była najlepszym, co go w życiu spotkało. A teraz już nic fajnego na niego nie czeka.

– Na pewno by była z panem – zdobył się na pocieszenie.

Twarz Piotra Żeleźnika się rozjaśniła.

– Tak... Nie odeszłaby, nawet gdyby sprzedali ziemię. Nie odeszłaby.

– Sprzedali ziemię? – zdziwił się Durlik.

– No. Ale on to sobie zmyślił, bo kto by chciał to ich zbocze kupować? Niespecjalnie, po prostu jemu z głową nie zawsze było po drodze, ale Anulka się zdenerwowała.

– On tak powiedział? – zainteresował się Durlik.

– No Jasiek. Ale to z głową nie tak coś. On był dobry, muchy by nie skrzywdził...

Durlikowi przypomniały się wnyki.

– Polował.

– Ale to dla użyteczności, żeby jeść – zdziwił się Żeleźnik. – On żył najprościej, a tak się nie grzeszy. I Anulka tak samo. Powie pan to w sądzie?

Piotr Durlik popatrzył na swojego rozmówcę. Kiedy rozmawiał z nim w domu, prawie nic nie udało się z niego wyciągnąć. Widać matka działa na niego jak najsilniejszy hamulec.

Kiwnął głową.

Żeleźnik poszedł w stronę centrum.

Durlik dotarł nad zalew. Był tu dzisiaj drugi raz. Dziwne miejsce. Trochę urokliwe, a trochę straszne. W założeniach przygotowane na wypoczynek mas pracujących, w praktyce – zamulona woda, po której można ewentualnie popływać rowerem wodnym. A mimo to akurat tutaj powstało najwięcej domków i ośrodków wypoczynkowych w okolicy. Gdyby Dzieniszowie tu mieszkali... Słowa Żeleźnika go zdziwiły, ale nie odrzucił ich od razu, bo nawet największemu absurdowi trzeba się uważnie przyjrzeć. Kiedy był młodszy, z trudem się do tego stosował. Teraz szło mu łatwiej. Więc kto by chciał...

W kieszeni zabrzączał mu telefon. Rozpoznał numer. I z niechęcią odebrał.

– Durlik, słucham.

– Dzień dobry. Moglibyśmy się teraz zobaczyć? – Strykowski wciąż był żywiołowy, ale chyba już trochę spuścił z tonu.

– Za... – Godzina na powrót, posprawdza różne rzeczy i... – ...dwie godziny. Pasuje panu? Tylko od razu uprzedzę, że żadnych informacji...

– Nie. Tym razem w drugą stronę. To ja coś dla pana mam. Do zobaczenia.

Durlik westchnął. Ten facet się nie poddawał. Wsunął telefon do kieszeni i wyciągnął z foliówki drugą bułkę.

– Dwie godziny.

Strykowskiego nosiło. Kąpiel dobrze mu zrobiła. Teraz to, co powiedział mu ten Dima, wydawało mu się jeszcze istotniejsze. Podskórnie czuł, że ta sprawa ma związek ze śmiercią studenta. Policja ma zdecydowanie więcej możliwości, żeby w tym pogrzebać. I jeśli do czegoś się dogrzebie, to może, choć to było jeszcze mającąco niepewne, i do tych okropnych zabójstw. I wtedy Durlik z wdzięczności powie mu coś więcej, szybciej?

Znowu go trzepnęło. I znowu by się czegoś napił. Zapobiegliwie i specjalnie nie kupił żadnego alkoholu do domu.

Podszedł do okna. Stąd nie było widać miejsca, w którym zginęła Karola.

Wyszedł na zewnątrz. Kamyki delikatnie osuwały mu się spod crocsów. Doszedł do strumienia. Nie mógł przestać tam chodzić, to było silniejsze od niego. Najpierw spojrział w lewo. Między drzewami zauważył jakiś ciemny kontur na parkingu. „Leśnicy pewnie”, pomyślał. I tu, poza granicami parku, jak wszędzie teraz w Polsce, robili wycinki. Odetchnął i ruszył w prawo.

Wszedł do wody. Była zimna, ale to ochłodzenie dawało mu teraz jakąś pokrętną ulgę. Powoli przeszedł na osuszoną kamienną łachę i tym ruszył w stronę miejsca, gdzie ostatni raz widział Karolę.

Zatrzymał się krok przed. Nie potrafił postawić nogi w miejscu, w którym ona... Oczy go zapiekły. Zacisnął dłonie w pięści, lekko przymknął powieki. Myślał, że już będzie umiał, że da sobie radę.

Nie dał. Gwałtownie ukucnął, jakby stracił władzę w nogach, tak go ten ból zgiął.

W tym samym momencie usłyszał świst. I stukot. Rozejrzał się skonsternowany.

Tym razem gwizdnęło mu koło ucha, aż poczuł coś jakby podmuch wiatru.

Serce zaczęło mu walić.

Ktoś do niego strzelał.

Rozdział 23

„Ponad sto tysięcy za taki kawałek terenu?”, zdziwił się Durlik. Ceny gruntów w okolicy zalewu i blisko parku były rzeczywiście wysokie. No ale tu była jakaś infrastruktura, życie. Ludzie niby chcieli odpoczywać na łonie natury, byle to łono było rozświetlone, ze wszystkimi mediami, asfaltem i usługami.

Krzysztof Rychlik rozumiał te wykluczające się pragnienia. Facet rzeczywiście miał głowę na karku. Tartak, fabryka wyrobów drewnianych, kantor i lombard w Gorlicach, bar, buda z lodami. A teraz się okazało, że Rychlik był też właścicielem kilku nowo wybudowanych domków na zboczu góry, z widokiem na zalew. „To był taki pomysł, żeby wykorzystywać wszystko lokalnie. Żeby to, co stworzę, było jak najsilniej związane z tą ziemią. I tak – grunty tutejsze, to oczywiste, domy z drewna, a drewno z lasów, które tu rosły. Przeze mnie ścięte, w moim tartaku obrobione, przez moich ludzi zmienione finalnie w budynki. A gości zapraszam do swojego baru. To, nie wstydzę się tego słowa, patriotyzm. Lokalny, a przez to cenniejszy”.

Podkomisarz wpatrywał się w zdjęcie Rychlika. Mężczyzna stał na tle swojego auta, a za plecami miał drogę łagodnie opadającą ku dolinie. „Może to w Żydowskim nawet”, zastanowił się Durlik.

Odsunął się od biurka i lekko odchylił na krześle. Przymknął oczy. Po co ktoś taki, tak bogaty i...

– Cukier ci skoczył? – Usłyszał.

Otworzył oczy i wrócił do standardowej pozycji. Przed nim stał komendant Zaręba.

– Jutro przewiozą Dzienisza na badania psychiatryczne.

– Okej.

– Lekarz, który jest tam na miejscu, nie nawiązał z nim żadnego kontaktu. To o niczym nie świadczy, zresztą to internista, miał mu po prostu obejrzeć jakąś paskudzącą się ranę na nodze, ale stwierdził, że to świr. No, tak potocznie świr, oczywiście.

– Potocznie to może być – zgodził się Durlik.

– A tobie to co? – Zaręba ni to się zmartwił, ni to zirytował. – Czym się zajmujesz? – Przechylił się przez biurko. – Rychlik?

– Tak ogólnie.

– Tak ogólnie – powtórzył komendant. – A w szczególe?

– A w szczególe jest niepokojący motyw, który wraca. Dzienisz ciągle powtarzał, że niczego nie podpisze. A dziś rozmawiałem z Żeleźnikiem, który stwierdził, że jego szwagier mówił coś o sprzedaży ziemi. I że on tego nigdy nie robi. Podobno był bardzo wzburzony.

– Sprzedaż ziemi? Ale oni mieszkają w środku lasu. Tam nawet dojść trudno, po co by to komu było? Gdyby niżej, nad wodą, w centrum... To jakieś bajki z mchu i paproci... A Rychlik co by z tym miał wspólnego?

– Nie wiem. Jest lokalnym potentatem, okazuje się, że również ziemskim, bo ma sporo terenów i biznesów.

– Nie każdy bogaty jest nieuczciwy – powiedział Zaręba, choć nie zabrzmiał przekonująco.

– Nie każdy. Ale sprawdzić można. Zwłaszcza że mamy kilka niepokojących nitek... Bijatyka w Drewutni, gdzie byli jego pracownicy, a poszło o ten wypadek w Żydowskiem.

– Żydowskiem?

– Student, furgonetka, brak sprawcy. Krempna-Żydowskie.

– A, no tak, zmyliłeś mnie. Nikt tak nie mówi.

„Mówi, Dzienisz senior”, pomyślał Durlik.

– Może to któryś z jego ludzi? Trzeba do tego wrócić. No i okazało się, że jedna z tych kamer, ta pierwsza, z połowy kwietnia, to przez jego syna rozwalona. Chłopak się zarzeka, że tylko raz, jeden jedyny, i w sumie mu wierzę. Miał tam randkę z dziewczyną. Tyle że potem spotkał ojca pod

budynkiem urzędu, mimo że miał wrócić następnego dnia. A był na Słowacji, gdzie podobno jeździ kupować alkohol. Syn chyba uważa, że z jakimś przekretem.

Zbigniew Zaręba milczał. W końcu się odezwał:

– Coś w tym może być. Może coś większego, ale raczej coś mniejszego. Jak mniejsze, to i tak się wywinie, oni tak mają.

– To jednak uważasz, że bogactwo nie wyrasta na uczciwości?

– Nie łap mnie za słówka – zirytował się Zaręba. – Wiesz, o co chodzi. To jak z Jaskólskim i Janickim. Choć trzeba próbować. Ale żeby coś większego... Gdzie to widzisz? Że facet gania za kobietami, żeby je mordować? Gdyby choć gwałcił, wtedy dewiant czy niewyżyty, choć jak się ma jego pieniądze, to się to inaczej załatwia. Ale tak? Zabić i jeszcze okaleczać? Klei ci się to?

– Tak to może nie, choć mam przeczucie... – Umilkł.

– No, to co ono ci mówi, to przeczucie? – Zaręba patrzył na niego.

– Że trzymamy w areszcie nie tę osobę.

– To już słyszałem. Ale co ci mówi o Rychliku?

– Tego jeszcze nie wiem. – Durlik rozłożył ręce.

– No to sprawdzaj. Tylko... rozsądnie.

Durlik pokiwał głową. Komendant nie musiał mu więcej wyjaśniać.

– Szefie... – W korytarzu, w którym chwilę wcześniej pojawił się Zaręba, usłyszał głos Tomka Białka. Podkomisarz wstał od biurka i wyszedł z pokoju. Cokolwiek sierżant miał do komendanta, już to załatwił.

– Tomek! – zawołał go Durlik.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – Chłopak się odwrócił i uśmiechnął, a podkomisarz pomyślał, że Białkowi po prostu brakuje genu hierarchii zawodowej.

– Możesz pójść do komputera i do telefonu i ustalić, w posiadaniu jakich ziem w Krempnej i najbliższej okolicy jest Krzysztof Rychlik.

– To trochę zejdzie. – Sierżant nie krył sceptycyzmu.

– Trochę tak, ale na szczęście nie masz innej roboty. – Durlik poklepał go po plecach. – A jak już ustalisz, to daj mi znać. Krzysztof Rychlik. Zapamiętasz?

Białek kiwnął głową.

Podkomisarz znowu usiadł przed laptopem. Mógłby się sam tym zająć, ale po pierwsze, to dobra szkoła dla sierżanta, po drugie, chciał poszukać jeszcze innych informacji o Rychliku, a po trzecie, i tu się lekko wewnętrznie skrzywił, niedługo zjawi się Strykowski i znowu zabierze mu czas.

„Krzysztof Rychlik”, wpisał w wyszukiwarkę. Wypluło mu kilkaset rekordów. Na początku były wpisy do KRS, które już przejrzał. Potem lokalne artykuły, w których Rychlik pojawiał się w roli dziewiętnastowiecznego filantropa. „Całym sercem jestem związany z tą ziemią”, powiedział, sponsorując przedszkolakom ze Żmigrodu imprezę na Dzień Dziecka. „Jestem z rodziny tych, których dotknęły nieludzie rozporządzenia. Dziadkowie żyli tu przed wojną, ich rodzice tu żyli. W Nieznajowej. W czterdziestym siódmym się opierali, jak mogli, aż w końcu dostali parę godzin, żeby się spakować. Sto kilo mogli zabrać, reszta została. Mój ojciec urodził się na obcej ziemi, ja też. Ale potem poznałem naszą historię i przyjechałem tutaj. I zakochałem się w tej ziemi. To jednak jest w genach. Tu, w tej części Podkarpacia, jest pięknie, ale żeby tak serce ciągnęło, to musi być jakieś podglebie, coś większego, silniejszego niż zachwyty turysty. Zostałem, zacząłem intensywnie poznawać te ziemie, później, bo los sprzyjał, kupować. No i pomagać tym, co tu są. Od razu powiem, że nie odróżniam naszych, znaczy tutejszych, od napływowych. Zależy mi, żeby zgodnie, dobrze żyć. Jestem otwarty na obcość, taką w cudzysłowie, co widać na przykład wśród pracowników mojego tartaku, gdzie jest kilku zza wschodniej granicy”.

„Doktor Judym czy kto tam”, pomyślał Durlik. Polski nie był jego mocną stroną, ale wyczulenie na fałsz – tak. I w przypadku Rychlika właśnie się ujawniło.

Kliknął kolejny link, kiedy zadzwonił telefon. „Może się odwoła”, pomyślał z delikatną nadzieją, kiedy zobaczył numer.

– Durlik, słucham.

– Ktoś chciał mnie zabić. – Usłyszał przerażony głos Strykowskiego.

Przejechał dłonią po korze. Ślad był świeży. I mógł powstać od strzału. Rozejrzał się; inne pnie nie ucierpiały. Kucnął i zaczął się przyglądać poszyciu. Było tu gęsto od łopianów, a dalej od pokrzyw i innych krzaków. Podniósł się.

– Ten był pierwszy, a drugi?

– Nie wiem, chyba podobnie. Jezu, no!

Strykowski się trząsł i nerwowo rozglądał na boki. Durlikowi chwilę zajęło namówienie dziennikarza, by wyszedł z domu. Dłuższy moment upłynął również od zastukania do otwarcia drzwi. Z niedawnej żywiołowości dziennikarza nic nie zostało.

– Ja tu stałem, w tym miejscu, gdzie Karola...

Fakt, to było to miejsce. Wtedy osłonecznione, teraz w cieniu góry.

– Przyszedłem, żeby... Tak trochę jak na grób... I nagle się zgiałem, bo coś mnie zakłuło, i wtedy świsnęło obok mnie, znaczy wyżej, nad moją głową. Jeszcze nie zrozumiałem, ale kiedy drugi raz, niżej, to... Ja bym zginął, gdybym chwilę dłużej postął, rozumie pan? Leżałbym w tej wodzie jak Karola. No co za skurwysyn!

– Kto?

– Ten cały Dima! A taki był niby współpracujący. Dałem się nabrać jak jakiś debil. Debil! Ale ja mu wygarnę, zaraz, kurwa, zaraz... – Trzęsącymi się rękami sięgnął do kieszeni szortów i wyjął z nich telefon.

– Chce pan dzwonić do swojego potencjalnego mordercy?

Durlik wciąż jeszcze zachowywał pewną rezerwę do słów Strykowskiego, choć ślad w pniu był. Ściągnie tu technika, wtedy okaże

się więcej.

– A co? A pan co robi? W sprawie Karli i tych kobiet? I tego studenta. Nic, no nic.

– W areszcie siedzi mężczyzna. To nie pan go podsuwał policji?

– No ja, ja! A od czego wy jesteście? Żeby rewidować takie podejrzenia.

– I rewidujemy. Podejrzany jedzie na obserwację psychiatryczną.

Strykowski na moment się ocknął z amoku.

– On nie jest nienormalny, tylko inny. Ten stary, tam na górze, to jego ojciec?

Durlik niechętnie kiwnął głową.

– On też po prostu inny. Wtedy mnie poniosło z wyobraźnią, no i Marta. Ale teraz myślę, że to nie on.

– Zwłaszcza siostrę – mruknął Durlik.

Bolała go śmierć tej kobiety, chyba najbardziej. Całe życie takie i jeszcze taka śmierć...

– Ta pod krzyżami to jego siostra? – Strykowski zdębiał.

Durlik kiwnął głową. Sądził, że dziennikarz miał tę wiedzę.

– No to w ogóle, przecież to niemożliwe, to...

– Akurat morderstwa w rodzinach są najczęstsze – wycedził Durlik. Irytowały go te wszechwiedzące wstawki Strykowskiego. – Choć raczej nie tutaj – dodał już bardziej ugodowo.

– I teraz ktoś do mnie strzelał, to nie mógł być on, no jak.

Strykowski znowu oklapł. Widać było, że jest strzępkiem człowieka. Otrząsnął się jednak i powiedział:

– A ten Dima mówił jeszcze, że tam ktoś przyjeżdżał do jego szefa...

– Do Rychlika?

– Tak. I że coś przywoził. Coś sobie szmuglują, chuj wie co, bez znaczenia, ale chłopaka musieli potraścić. I ten Dima też może być umoczony, a nie tylko lojalny wobec Rychlika. Na pewno coś ukrywają, na pewno. Ja zaraz... – Trzęsącą się ręką zaczął jeździć po ekranie.

– Nigdzie pan nie zadzwoni, to sprawa dla policji. Ma pan numer tego Dimy?

Strykowski na moment ochłonął.

– A tam, na górze, to o czym pan z tym starym rozmawiał? Że co? Że Karola, ta biedna kobieta, ta siostra i ten student to mają jakiś związek?

Durlik patrzył na Strykowskiego i myślał, że dziennikarz potrzebuje odpoczynku, bo ostatnie tygodnie nadszarpięły jego zdrowie. Choć słuch miał dobry.

I mimo wszystko nie zwariował, skoro jego myśli szły w tę samą stronę co podkomisarza.

Teren był nieogrodzony, choć właściwie można by przyjąć, że długie pnie poukładane w zgrabne konstrukcje w naturalny sposób wyznaczały granice placu. Przy wjeździe stał drewniany dom z bala, taka komercyjna wersja chyży z metalowym pokryciem dachu. Kawałek dalej zaparkowało kilka samochodów. Dwa osobowe, trzy furgonetki. Durlik rozpoznał beżowego passata, który mijał go dziś w drodze nad zalew.

Strykowski opowiedział mu o spotkaniu z Ukraińcem. Nierozsądne, choć jeśli wszystko potoczyło się tak, jak mu to dziennikarz streścił, to raczej nie Dima do niego strzelał. Miał okazję, żeby go sprzątnąć, a z niej nie skorzystał. Zresztą kulka w łeb, bo się poobijali w barze? Nie, tu chodziło o coś większego. Kogoś większego.

Cofnął się za drewno, żeby nie było go widać. Wybrał wstukany wcześniej numer. Po kilku sygnałach ktoś odebrał; w tle słychać było szum pił, synchroniczny z tym, co dolatywało do uszu Durlika.

– Halo? – Usłyszał podkomisarz. Akcent był silnie wschodni.

– Dzień dobry. Piotr Durlik, komisariat w Dukli. Sądzę, że musimy porozmawiać.

Po drugiej stronie zaległa cisza.

– O historii w barze.

– A. – Ulga, z trudem hamowana. – No, ja mogę przyjechać, może w przyszły tydzień.

– Jestem obok tartaku. Wsiądzie pan w swojego passata, zgrabnie wyminie tego czerwonego volkswagena, skręci w lewo, a po kilku minutach zjedzie pan z głównej drogi i zatrzyma się przy kapliczce na łące. Może też pan poczekać na placu, a ja zaraz przyjdę. Oczywiście poinformuję szefa, że zabieram pana na przesłuchanie...

– Nie, nie trzeba. Ja wiem gdzie. Będę.

Strykowski nie mógł się uspokoić. Tak niewiele brakowało, tak niewiele! Żył, a po chwili mogłoby go już nie być. Kulka w łeb, i tyle. Durlik był spokojny, ale to nie jemu coś groziło, to nie jemu bliscy umarli.

Wyjrzał przez okno. Na drodze, przed mostkiem, zaparkował samochód. Ten sam, co wtedy, kiedy zginęła Karola. Pójdą szukać śladów. Potem będą je badać, czas będzie płynął. W końcu się okaże, że łusek brak, inne tropy zatarte albo rozmyte przez wodę i sprawa odłożona na półkę. Jak z tym chłopakiem.

Wyszedł przed dom. Powoli przeszedł po podjeździe w stronę strumienia. W oddali zobaczył już jasną wstążkę policyjnej taśmy. Déjà vu. Jak wtedy. Spojrzał w lewo, w kierunku parkingu. Tamtego wieczoru i poranka był tam samochód Marty. Kiedy on szedł nad strumień, też coś stało. Durlik ma sprawdzić w leśnictwie i ośrodku, ale trudno przypuszczać, żeby pilarze się zabawiali strzelaniem do ludzi. To musiał być Dima. Tyle że Dima przyjechał jasnym autem. Strykowski widział, co prawda z oddali, jak szedł tą wąską uliczką, na której końcu stało coś w kolorze rozwodnionej kawy z mlekiem i raczej starego. Tylko to jedno auto, więc musiało być jego. A na dole samochód był ciemny, bo ledwo go było widać. Więc to nie Dima. Ciemne i spore, i...

Strykowski znał tylko jedno takie auto w okolicy.

– Nie wiem nic więcej, no naprawdę. – Ukrainiec złożył ręce, jakby się modlił do ciemnobrązowego krzyża obstalowanego na drewnianym budyneczku.

– To jest sprawa w najlepszym razie o nieumyślne spowodowanie śmierci. Poważna. – Durlik oderwał od paznokcia nieistniejącą skórę.

– Ale ja nie wiem, no naprawdę. Naprawdę! – Tym razem jego rozmówca uderzył się w piersi. – Tyle, co temu dziennikarzu powiedziałem. A on od razu do pana poszedł. A słowo dał! – Machnął ze złością ręką.

– Miał powód. Ktoś próbował go zabić. Więc tak przy okazji – po tym, jak wytoczył się pan z tej wąskiej uliczki, to w którą stronę pojechał pan na skrzyżowaniu? W prawo czy w lewo?

– No w lewo, do tartaku! Wyjechałem tylko na przerwę, na to spotkanie, a potem od razu wróciłem.

– Szef potwierdzi?

Ukrainiec się skrzywił.

– Nie, jego nie było. Koledzy mogą, na placu dużo nas. Ale nie ma potrzeby, żeby tak... oficjalnie.

– Na razie nie. A ten, co wtedy przyjechał, to pan go zna?

– Który?

– We wrześniu zeszłego roku.

Dima się skrzywił. Więcej podkomisarz nie musiał mówić.

– Ze słuchu. Z opowieści znaczy. Tak to nie.

– A ze słuchu wie pan, czym się zajmuje?

– Tym, co nie każdy chce.

Durlik powoli zaczynał mieć dość tej słownej ciuciubabki.

– Konkretnie.

– No, konkretnie to i przywieźć coś, i kogoś nastraszyć. Brudna robota.

– Robota – poprawił go Durlik machinalnie. – I kazał tego chłopaka sprzątnąć?

– Ale po co? – Ukrainiec był szczerze zdziwiony. – No po co? Co on jemu? Zresztą oni w barze rozmawiali, szef dla niego miły, on dla szefa.

Podkomisarz już drugi raz o tym słyszał.

– A o czym rozmawiali?

Ukrainiec wzruszył ramionami.

– Nie wiem. O tych ziemiach. Szef to ma... jak się mówi, wpatrzony w te tereny. Zakochany. A ten chłopak to student, on się uczył, też coś o ziemi. Coś razem czytali.

– Razem?

– No, jakieś papiery.

Durlik zauważył mały czarny punkt na szosie. Dima podążył za jego spojrzeniem. Nic nie powiedział, ale podkomisarz miał wrażenie, że Ukrainiec chciałby się rozpląnąć. Ich auta stały na bocznej drodze, za drzewami, lecz uważny obserwator mógłby je wypatrzeć z drogi.

Czarna terenówka jednak śmignęła, nie zwalniając.

– Muszę wracać.

Podkomisarz popatrzył na niego.

– Nową pracę zawsze można znaleźć. Ale z wyrokiem...

– Ja nic! – Tym razem ton był płaczący. – I szef też nic. Chyba. U niego to może nie zawsze wszystko... no, w papierach się zgadza tylko, ale to wszystkie tak robią. Wszystkie. A poza tym to on dobry, pomaga. I odpowiedzialny jest. No, czasem jemu coś do głowy przyjdzie, jak chłopak jakiś młody ma pomysły takie durne, ale tak w ogóle...

– A na przykład jakie durne?

– Oj, no pan mnie tak za język złapał... Takie różne.

Dima się miotał.

– Na przykład? – powtórzył Durlik.

– Na przykład, żeby dla zabawy kamerę zbić.

Ukrainiec kopnął kamyk leżący na drodze.

– Kamerę zbić? – powtórzył po nim podkomisarz.

– No, dla żartu. Głupiego. Jakby on był w wieku swojego Antka.

– Rychlik rozwalił kamerę? – Durlik czuł, że wyczerpuje limit zdziwień przypadający na tę sprawę.

– No...

Ukrainiec dopiero teraz przestraszył się poważnego tonu podkomisarza.

– Kiedy to było?

– No kiedy? Nie wiem, nie tak dawno. Było ognisko, takie dla pracowników, szef też był i alkohol był. Za dużo wypił, choć on zwykle niepijący, znaczy pilnuje się. I tak jakoś... Śmiał się, że czasem musi odreagować. I że tak mu coś do głowy się rzuciło.

– Serio mówił? A może się przechwalał?

– E, a co tu się chwalić. Pijany był. A potem..

– Potem co? – Durlik czuł, że puls mu przyspiesza.

– No, potem mi kazał... Ja nie chciałem, ale on powiedział coś takiego, że teraz to wspólna tajemnica.

– I też miałeś rozwalić kamerę, co?

– A pan skąd wie? – Dima wpatrywał się w podkomisarza z nieudawanym zdziwieniem. – Nikt nie widział, ja był ostrożny, to nad ranem...

– Nikt nie widział – zgodził się podkomisarz. – To było tydzień temu, co? Dwa dni przed tym, jak się w barze tłukliście z tym dziennikarzem?

Zdziwienie nie ustępowało.

– Tak, ale skąd...

Durlik machnął ręką.

Jeszcze nie do końca potrafił zebrać to wszystko do kupy, ale coś mu zaczynało świtać, mimo że komuś bardzo zależało na tym, by puścić tak dużo różnych nitek, żeby nie udało się ich spleść w jeden trop.

– Ani słowa o naszym spotkaniu albo od razu wrócisz do siebie, jasne?

Durlik sam siebie takiego nie znał. Ostrego i nieprzyjemnego.

Dima pokiwał głową.

– To jest naprawdę dobra rada. I... – Nie dokończył, bo poczuł wibrowanie telefonu. – No, co tam? – zapytał Tomka Białka.

– Dużo. Znaczący ten facet ma dużo ziemi. On jest jakimś...

– Potentatem – podpowiedział mu Durlik.

– Potentatem – zgodził się Białek, choć nie do końca przekonany. – Porozsiewane, tam, gdzie tartak, obok kilka hektarów łąk, dalej, przy granicy, tam las i łąki. I pod sklepem, i dom ma na wielkiej działce. Ale najciekawiej jest niedaleko zalewu. Tam jest góra. I ona prawie cała jest tego Rychlika, z wyjątkiem jednego kawałka, który należy do...

– Dzienisza. Daniela Dzienisza – odpowiedział za niego podkomisarz.

Rozdział 24

Trzymał kamień w ręku, aż zamiast chłodu poczuł wilgotne ciepło. Zamachnął się i wrzucił go do strumienia. Fontanna kropli wzniosła się i opadła. Kamień poszedł na dno, a nad nim wartko przelewała się przezroczysta woda.

Tak to miało być. Pewne sprawy miały się wydarzyć, zniknąć, zostać przytłumione przez to, co przyjdzie po nich.

Już na zawsze zalec pod powierzchnią.

A teraz się bał, że to może się nie udać.

Drugi kamień wzniecił kolejny rozbryzg wody, po chwili pojawił się kolejny.

– Kurwa.

Sprawy poszły nie tak.

Ale może nie było jeszcze za późno.

Ręce mu się trzęsły, lecz po chwili uspokoił oddech.

Bolało go to, co siedzi w środku i odzywa się wtedy, kiedy człowiekowi przytrafia się coś, na co nie zasłużył – to dobre i to złe. Jemu prawie zawsze zdarzały się te złe rzeczy. Wtedy czuł ból – niezawiniony, trudny do ukojenia. Nie potrafił go usunąć, ale jakoś sobie z nim radził – dla nich.

Teraz był sam i już się nie bał. Już nie miał się o kogo bać.

Schylił się i znowu zanurzył rękę w otworze. Tym razem jego palce wymacały to, czego szukał.

Wyciągnął rękę i spojrzał na pakunek owinięty brązowym materiałem.

– Broń myśliwska. – Durlik popatrzył na Zarębę. – Sztucer, kaliber trzysta osiem.

– Mało oryginalnie – stwierdził komendant.

– Mało – zgodził się Durlik. – Łowiectwo, strzelectwo, militaria...

– ...dzicy z lasu też?

Podkomisarz pokręcił głową.

– Nie, raczej lokalni przedsiębiorcy.

Teraz Zbigniew Zaręba pokręcił głową.

– Piotrek, ty mnie znasz niemal dekadę. Jestem... – Zaręba się na chwilę zatrzymał – uczciwy. Rzetelny. Nieoglądający się na warunki. No, prawie. A teraz popatrz na tę sprawę z boku. Najpierw zatrzymujemy Stryjkowską. Dobra, może pochopnie, ale z drugiej strony ginie kochanka jej męża, a ona jest na miejscu zbrodni. Gdybyśmy jej nie aresztowali, też by można nam zrobić z tego zarzut. Potem dołącza ta Słowaczka, choć tu sytuacja jest trochę odmienna, no ale jest, kolejna młoda. Trochę nam się nie klei, a trochę tak, Stryjkowska znowu się pałęta niedaleko miejsca zbrodni, można przyjąć, że w chorej głowie rodzi się pomysł zamaskowania tej jednej, właściwej zbrodni przez popełnienie innych.

Durlik drgnął. Zaręba właśnie powiedział coś, co było kluczem do tej sprawy.

– No ale Żeleźnikowa ginie wtedy, gdy alibi Stryjkowskiej jest nie do zbicia, bo siedzi w areszcie – ciągnął komendant. – Odpuszczamy, wypuszczamy, wielkiego wstydu nie ma, choć cios ze strony Janickiego może jeszcze paść. Stryjkowscy podrzucają trop dziwaka. Okej, facet w dziczy, giną młode kobiety, a potem jeszcze znajdujemy młotek z jego odciskami palców i krwią ostatniej ofiary. Jego siostry, znowu trochę zgrzyt, jak z tą ze Słowacji, ale są dowody. I teraz przychodzi podkomisarz, znaczy ty, i mówi, że nie, to nie on, bo jest inny podejrzany. – Zbigniew Zaręba wstał zza biurka. – Jest tak gorąco, że chyba dziś będzie padać, co?

– Spojrzał przez okno. – Nie idzie wytrzymać z tą duchotą. – Odwrócił się w stronę podkomisarza. – No, to co powiesz?

Piotr Durlik siedział na krześle przed biurkiem komendanta. Czuł się nieswojo – bo szef stał, a krzesło było ustawione jak dla petenta. To, co powoli zaczynało mu się układać w głowie w logiczny ciąg, jakoś się trzymało, póki tu nie wszedł. W tych dekoracjach, w tej scenerii, pod tym spojrzeniem... Ale właśnie przed chwilą padło tutaj słowo, którego Durlik potrzebował.

– Że to się jakoś łączy. Że musi się jakoś łączyć. Że mamy taką sytuację... – Podkomisarz też wstał. Lepiej mu się myślało, kiedy chodził. I kiedy nie siedział przed szefem jak uczeń. – ...że tylko jedna zbrodnia jest naprawdę, to znaczy wszystkie są naprawdę, ale jedna ma dla mordercy znaczenie. Pozostałe to zasłona dymna.

– Zabić trzy osoby, mimo że chodziło o jedną? – Zaręba pokręcił głową.

– O jedną. Ale zginęły cztery.

– Piotrek... – zaczął Zaręba, ale Durlik mu przerwał.

– Wiem, wiem, ale jestem blisko.

– Gadasz jak ten dziennikarz.

Durlik kiwnął głową.

To się akurat zgadzało. Nie bez powodu ktoś strzelał do Strykowskiemu.

– On twierdzi, że to było celowe, że ktoś naprawdę chciał go zabić.

– Nie mówię, że się nie zgadza, przecież nie wypieram faktów. – Zaręba podniósł papiery ze stołu i trzasnął nimi o blat. – Ktoś do niego strzelał, to nie budzi wątpliwości, ale gdybym miał teraz obstawiać w ciemno, to wiesz, kto mi pierwszy przychodzi do głowy? Jaskólski. Może i nie sam, może bierze jakiegoś łapsa i każe mu... no, nawet nie zabić, ale właśnie nastraszyć zięcia.

„I to też pasuje do tamtej sprawy”, pomyślał Durlik. Komendant opowiadał o równoległej rzeczywistości, ale wszystko było jak kolejne klocki, których Durlikowi brakowało.

– A on, znaczy ten Strykowski, to powinien wrócić do domu, do Gorlic, bez względu na ich rodzinne układy. Lepiej będzie dla niego i dla nas, jak stąd zniknie.

– Zdecydowanie. Właśnie miałem mu to zaproponować – zgodził się podkomisarz i odwrócił się w stronę drzwi.

– Piotrek. – Zaręba jeszcze go przywołał. – Ale tym razem to nie on ci podsuwa winnego?

Durlik odwrócił się i pokręcił głową.

– Nie.

Doszedł do drzwi. I już z ręką na klamce powiedział:

– Ale winny o tym nie wie.

Zapukał jeszcze raz, ale odpowiedzią była cisza.

Rozejrzał się. Na ławie, na której widać było świeże ślady nacięć nożem, nic nie leżało. Na parapecie też nie. No i nie było zielonego SUV-a. „Może już wyjechał?”, pomyślał Durlik. Idąc po kamiennej opasce, obszedł chyzę. Mimowolnie przesunął dłonią po płazach. Kiedyś, pewnie ze sto lat temu, ta chałupa stała w jakiejś dolinie, a gospodarzom do głowy by nie przyszło, że w kolejnym wieku ktoś ją przeniesie w to miejsce i te bale będą świadkiem takich historii. Choć... Podkomisarz zatrzymał się przy wejściu. Patrzył teraz w dół, na podjazd, na drewniane dechy umożliwiające przejazd przez rwący potok.

Wczoraj wieczorem rozmawiał z Kaśką. Miał poczucie, że tak się powoli, niezauważalnie rozjeżdżają. Zaczęło się jakiś czas po ślubie, kiedy namiętność się wypaliła. Byli sobie bliscy, kochali się, ale to były uczucia czy doznania z kategorii „codzienne”, a takie nie wzbudzają silnych emocji. Durlik zrozumiał – czerwona sukienka w kropki, ten głos i ten karmel skóry – że jeśli nie nadrobi się własnym staraniem tego ubytku namiętności, to w tę szparę, a potem już całkiem okazałą dziurę wejdzie coś innego. Ktoś inny. Miał za plecami taką historię.

Więc rozmawiali. O sprawie, choć podkomisarz zachował tu umiar profesjonalisty. To raczej Kaśka nadawała ton. „W sumie to banalna historia. Smutna, ale banalna. Ludziom wciąż się przytrafiają takie historie, bo chcieliby mieć coś innego, niż mają. I robią błędy, bo wierzą, że mogą mieć coś innego, a dostają to samo, tyle że na początku nie wiedzą, że to jest to samo”. Odebrał to osobiście, mimo że nic, zupełnie nic go przecież nie łączyło z Joanną Zych. Zatrzymał się przed pierwszym etapem, kiedy mógłby pomyśleć, że chciałby kogoś innego niż Kaśka. „A później też zawsze jest tak samo, bo sprawa się przecież wyda, to tylko kwestia czasu”. I to również była prawda życiowa, tyle że nie w tym przypadku. Bo w tym przypadku nie było tak samo. Gdyby Strykowski i Malik nie przyjechali do chyży, ona by żyła, ale zapewne zginęłaby inna kobieta. A morderca? On chciał dostać to, czego nie miał. Miał dużo podobnego, ale nie to.

„Dlaczego tak mu zależy na tym kawałku ziemi?”, tego Durlik nie mógł zrozumieć. Od wczoraj nad tym intensywnie myślał. Ludzie robili szwindle i świństwa w interesach, ale kilka morderstw? Musiało chodzić o coś więcej niż emocje. A więcej – to zwykle były pieniądze.

Kiedy Kaśka zasnęła, sięgnął po komórkę i znowu zaczął szukać informacji o Rychliku. Wyrzuciło mu to samo, co już wiedział. Nowością był artykuł sprzed pięciu lat, w którym Rychlik opowiedział, jak wysiedlenie zniszczyło jego dziadków. Że mimo, iż warunki, na które trafili, nie były bytowo najgorsze, to chodziło o utratę czegoś najcenniejszego. I że oni się nie pozbierali, a przez to i jego ojciec nie był szczęśliwy. Durlik mógł się domyślić, co się kryło za tym smutnymi, ale dość okrągłymi zdaniem. Ani dziadkowie, ani ojciec Rychlika nigdy tu nie przyjechali. „Niektórym się udało zostać, taka niesprawiedliwość losu”. Podkomisarz zatrzymał się na tym zdaniu, w którym, jak mu się wydawało, skumulowały się żal i złość Rychlika.

Dziesięciu udało się zostać, choć trudno mówić o szczęściu w ich przypadku.

Mimo wszystko czy uczucie zazdrości by wystarczyło, żeby mordować? Nie. Czyli znowu pieniądze.

Durlik źle postawił nogę i kilka kamyków osunęło mu się spod buta. Z trudem zachował równowagę.

– Kuźwa! – zaklął pod nosem, bo poczuł nieprzyjemne strzyknięcie w kostce.

– Dzień dobry! – Usłyszał za plecami głos.

Wciąż jeszcze z drzeniem w nodze się odwrócił. Na progu chyży stał Strykowski.

– Pan do mnie?

„Nie, przejazdem”, pomyślał Durlik. Z trudem pohamował złość. Na tego faceta, na własną niezdarność, na tę sprawę.

– Tak.

Starał się iść normalnie, ale noga go kłuła. Dociągnął się do Strykowskiego.

– Pukałem – powiedział, nie usuwając z tonu oskarżycielskiej nuty. W dupie miał teraz kurtuazję.

Dopiero z tej odległości zrozumiał, dlaczego Strykowski mu nie otworzył. Wyglądał jak strzęp człowieka. Błady, potargany, nerwowo rozglądający się na boki.

– Upewniałem się, że to pan.

Teraz też wykonywał nieskoordynowane ruchy głową. Durlik pomyślał, że dziennikarz potrzebuje odpoczynku. Najlepiej pod troskliwym okiem żony, która teraz już nie musi się obawiać, że z efektów jej troski będzie korzystała także inna kobieta.

– Ja, jak pan widzi. Mamy wyniki badań tej broni. To popularny sztucer, więc ustalenie sprawcy zajmie...

– Rychlik. On tam wczoraj był. Stał. Jego auto. To czarne.

– Widział je pan? To dlaczego nie powiedział pan tego od razu? – Przez Durlika znowu przepłynęła fala złości.

– Widziałem tylko zarys. Ciemną plamę. Coś. Potem pomyślałem, że to tych z lasu. A dopiero później, że to on.

– Ale jego pan nie widział.

– No nie... Ale to był on! Pan to musi udowodnić.

W tym się zgadzali.

– On wie, że jestem na jego tropie. Że łączę kropki. Ten Konrad i te kobiety, to ma wspólny mianownik. Ma. Rozumie pan?

Strykowski położył Durlikowi ręce na ramionach i próbował nim lekko potrząsnąć, ale w ostatniej chwili się zmiętył i odsunął.

– Policja jest dalej niż pan. Ostatni raz pana ostrzegam: niech się pan nie miesza. To grozi nie tylko zarzutami, ale i śmiercią. Pana śmiercią.

Strykowski zbladł.

– Niech się pan spakuje i jedzie do domu, do Gorlic. Pana obecność w tym miejscu nikomu nie wyjdzie na dobre.

Strykowski patrzył na Durlika, jakby nie potrafił podjąć decyzji. W końcu jednak kiwnął głową.

– A gdzie pana samochód?

Podkomisarz się rozejrzył.

– Kawalek dalej, tak dla niepoznaki, na wypadek gdyby on... gdyby ktoś... Ja już wtedy, na parkingu, kiedy go poznałem... W nim jest coś takiego... – Dziennikarz pokręcił głową. Był rozedrgany i rozkojarzony.

– Nie znał go pan wcześniej, to znaczy nigdy wcześniej go pan nie widział?

Strykowski zaprzeczył.

Durlik przedtem go o to nie zapytał, a to też było ważne.

– Na pewno?

– Nie. Może gdzieś na jakimś festynie, może w Gorlicach? – Strykowski próbował sobie przypomnieć. – Nie, nie pamiętam.

– A tu, podczas tego pobytu?

– No, wtedy, na parkingu, kiedy się spotkaliśmy.

Durlik pokręcił głową. To by było za późno.

– A kiedy przyjechaliście tutaj razem, we czwartek, to od razu pojechaliście do chyży?

Strykowski się zamyślił.

– Nie, zrobiliśmy jeszcze zakupy w Atlantiku. I poszliśmy do... – Gwałtownie urwał. I zbladł. – Na obiad, kolację właściwie. Do tej Drewutni. I Karola piła piwo, wypła jedno, chciała drugie, ja powiedziałem, że w bagażniku mam coś lepszego niż ten sikacz, ale ona się uparła i poszła sama zamówić. A jak wróciła, to zażartowała, że jak będę... no, że mam tu konkurencję, bo spotkała przy ladzie jakiegoś faceta, który był dla niej bardzo uprzejmy. Ja się wtedy zaśmiałem, że chybaby nie chciała mieszkać na stałe w drewnianej chałupie z kimś, kto pachnie owcami... Głupio, ale to był głupi żart. A ona wtedy powiedziała, że to zupełnie inny facet, przystojny, ładnie pachnący. Odwróciłem się, ale tam był tylko ten barman. Karola się nawet zezłościła, że jej nie wierzę. Ale potem to wszystko przestało się liczyć... Czy ona z nim rozmawiała?

Durlik kiwnął głową.

– Na to wygląda. Jakoś musiał tu trafić.

– Jezu, to gdybym ja wtedy poszedł po to piwo! – Strykowski ukrył twarz w dłoniach. – No skurywysyn, po prostu skurwysyn. Ale dlaczego, Jezu, kurwa, dlaczego właśnie ona? Co ona mu zrobiła?

Durlik pomyślał, że współczuje żonie Strykowskiego. Facet był w naprawdę kiepskim stanie, dobre obiady i troskliwa żona mogą sobie z tym nie poradzić.

– Nic. To przypadek – powiedział. – Po prostu przypadek.

Pocieszająco, ale i prawdziwie.

Cała ta sprawa toczyła się serią przypadków. A zaczęło się od tego, że kilkadziesiąt lat temu jednych stąd usunięto, a drugim udało się zostać.

Rozdział 25

Obejrzał się za siebie. Trzeci raz.

Niedobrze, to znaczyło, że jest zdenerwowany, że nie dowierza swojemu wzrokowi ani swojej pamięci. Że nie jest opanowany, a brak opanowania to pierwszy krok do wpadki.

Zacisnął ręce na kierownicy. Do tej pory wszystko szło dobrze. Plan był długofalowy, a jemu udawało się realizować wszystkie punkty. Teraz przyszedł czas na finał i nagrodę. I właśnie wszystko zaczynało się sypać.

Obejrzał się kolejny raz. Sztucer leżał na dywaniku.

Trzeba będzie podejść blisko. A ciało musi zniknąć. Tym razem żadnej pokazówki.

Włączył silnik i wyjechał na drogę.

Przejechał dłonią po pniu. Palce miał zgrubiałe, ale odczuł omszałą wilgoć doczepioną do kory. Powtórzył gest ze wzruszeniem. Ten dąb miał ze dwieście lat, może i kilka dziesiątek więcej. Udało mu się przetrwać czasy, kiedy cięli tu drzewa na potęgę, grabiąc te tereny z tego, co natura im podarowała. Potem odeszli, a tutaj została pustka. Żeby ją zapełnić, musiało upłynąć wiele, wiele lat.

Człowiek ma taki charakter, że nie potrafi się zatrzymać, poprzestać na małym. Wziąć tylko tyle, ile potrzebuje.

On tak żył. Słuchał natury, był jej wdzięczny. Nie niszczył.

Zabijał tylko wtedy, kiedy musiał. A musiał, żeby przeżyć.

I teraz też musiał przeżyć. Przetrwał już tyle, że nie da się teraz usunąć ze swojej ziemi.

Zacisnął dłonie na zawiniątku. Teraz się spóźnił, ale jeszcze tu wróci.
Zginie człowiek, ale już ostatni raz.
I pierwszy raz – winny.

Znowu tutaj zaparkował. Naprawdę piękne miejsce, aż dziwne, że wcześniej tu nie trafił. Zawodowo nie miał po co, przecież nic tutaj nie było, jeden, okresowo zamieszkiwany dom. Prywatnie... Jeździli nad morze, w zeszłym roku nawet do Grecji. Zauważył, że potrzebowali czegoś ciekawszego, mniej opatrzonego, jakiegoś ekstrabodźca, żeby poczuć radość z bycia razem. Wakacje pod gruszą już ich nie rajcowały, a przecież kiedyś, na początku, dekoracje naprawdę nie miały znaczenia. Ważna była ona. I on, razem. W jakimś wynajętym pokoiku, na spacerze w parku.

Pomyślał, że robi się nostalgiczny. Czyli stary. Albo zdenerwowany, bo gdyby coś mu się stało... Dotknął boku – tym razem miał broń.

Otarł pot z czoła. Gorąc osiągnął apogeum, a to znaczyło, że Zaręba miał rację – będzie padać. I to nie jakiś marny, przelotny deszczyk, ale burza. Solidna, mocna, taka, która oczyści powietrze.

Raz jeszcze dotknął kabury i ruszył przed siebie. Tym razem szedł z tej strony góry. Trasa była dłuższa, ale wygodniejsza. No i miał tu coś jeszcze do załatwienia.

Chałupa była pogrążona w ciszy. Drzwi do domu i przybudówki zamknięto. Na sznurku wisiała samotna kapota. Prana czy tylko wietrzona – trudno ocenić po wyglądzie.

Durlik stał niezdecydowany. Danił Dzienisz mógł być wszędzie. Mógł się włóczyć po lesie w poszukiwaniu jedzenia lub po prostu, jak to miał w zwyczaju. Mógł wrócić niebawem albo za kilka godzin. Bo że wróci, tego podkomisarz był pewien.

Poczuł lekki powiew. Obejrzał się – nikogo, to chyba wiatr. Jeśli dobrze czytał znaki pogodowe, naprawdę czekała ich dziś solidna porcja wody. Dzienisz też na pewno potrafi przewidywać zjawiska atmosferyczne, więc może nie oddalił się zbyt od domu. Tyle że on się raczej nie obawiał zmoknięcia.

„A jeśli?”, pomyślał Durlik. Nie, otrząsnął się. Jeżeli nie mylił się co do Rychlika, to facet będzie teraz urabiał osamotnionego Dzienisza. Martwy byłby dla niego raczej kłopotem.

Znowu coś poczuł. Odwrócił się. Tym razem naprzeciwko niego stał Danił Dzienisz. Podszedł bezszelestnie, jak zwierzę. Durlik odruchowo dotknął kabury.

Stary zawahał się, ale nie wykonał żadnego ruchu.

– Dzień dobry. Pamięta mnie pan? Piotr Durlik, z policji.

Dzienisz pokiwał głową.

– Chciałbym zadać panu kilka pytań. Ważnych pytań.

Musiał to przeprowadzić tak, żeby go nie zniechęcić. O zaufaniu nie mogło być mowy; już brak oczywistej wrogości byłby sukcesem.

– On nie winien. Jasiak nie winien.

Stary patrzył na niego z przekonaniem i uporem.

Durlik kiwnął głową.

– Czy przychodził tu do was ktoś i namawiał na jakieś umowy? Chciał kupić ziemię?

Dzienisz nie zmienił ani pozycji, ani repertuaru.

– On nie winien.

Podkomisarz postanowił zaryzykować.

– Też tak myślę. Ale to ważna informacja, czy ktoś przychodził do was z papierami? Proponował pieniądze albo dom gdzie indziej?

Danił Dzienisz pokiwał głową.

– Nie podpisał i nie podpiszę. To moje. Po mnie Jaśka. A po nim niech las to bierze.

Durlik znowu potaknął.

– A pamięta pan, kto przychodził?

– Ten, co las wycina.

Podkomisarz poczuł znajome ciepło.

– Na pewno?

Dzienisz pokiwał głową.

– Będę musiał pana oficjalnie przesłuchać. Na komisariacie. Przyjadę jutro, dobrze?

Stary podszedł bliżej domu. Usiadł na ławce. Westchnął głęboko.

Durlik poczuł, że po plecach spływają mu krople potu. Było cholernie gorąco.

– Spiszemy to, co pan mówi. Trzeba będzie to przeczytać i... – Urwał.

„Podpisać”. Obaj Dzieniszowie mieli złe skojarzenia z tym słowem.

A mimo to stary pokiwał głową.

Schodzenie wcale nie było lepsze od wchodzenia. Stopy mu lekko spuchły od tego upału i teraz przy każdym ruchu bolały go palce. To była pierwsza sprawa od czasu skończenia Szkoły Policyjnej, kiedy kondycja naprawdę mu się przydawała. A przydałaby mu się jeszcze bardziej, gdyby miał ją lepszą.

Wyszedł z zacienionego terenu na osłonecznioną łąkę. Nieznośny gorąc natychmiast go oblepił. Durlik przejechał ręką po czole, a potem wytarł dłoń w koszulę. Marzył o tym, żeby się czegoś napić. W aucie miał butelkę wody, teraz już pewnie podgotowanej, ale zanim tam dojdzie, musi odwiedzić jeszcze jedno miejsce.

Znalazł się teraz na wysokości budynku stacji badawczej. Ścieżka prowadziła w dół, potem trawersem zawracała. Oceniał, że to dodatkowy kwadrans. Zaczął więc schodzić w linii prostej. Nie mógł się zgubić, biel budynku była jak strzałka kompasu. Wysokie, ostre trawy trochę mu

przeszkadzały, ale tę niedogodność wynagradzał płynnie zmniejszający się dystans, jaki dzielił go od celu.

Trawa zmieniła kolor na zieleńszy, zrobiła się trochę niższa. Poczłł też delikatny chłód. I zobaczył wąską strużkę płynącej wody. Nachylił się. Strumyk wyglądał całkiem w porządku. Był wąty, pewnie gdzieś się tu zaczynał. Stacja na pewno miała szczelne szambo, dlatego pochylił się i nabrał wody w dłonie. Najpierw opłukał twarz i kark. Kolejną porcję wlał sobie do ust. Chłód był kojący, ale po nim przyszło obrzydzenie – woda smakowała paskudnie, gorzej niż najpodlejszy zuber w pijalni w Krynicy Górskiej.

– Kuźwa! – zaklął.

Jeszcze mu teraz potrzeba jakiegoś zatrucia.

Podniósł się i ruszył w dół. I prędko się przekonał, że skracanie drogi to nie był najlepszy pomysł. Teren robił się nieprzyjemnie grząski. Zieleń była tu wyjątkowo bujna nie bez powodu. I jeszcze wlał w pokrzywy.

Pod białym budynkiem stanął w ubłoconych butach i z pęcherzami na rękach. Oraz z narastającą irytacją.

Nie musiał pukać; drzwi się otworzyły i zobaczył w nich geologa.

– Dzień dobry – przywitał go Jakub Zieliński, mocno zdziwiony.

– Dzień dobry. Zanim zacznę, czy mógłbym... – zapytał Durlik i w tym samym momencie zauważył kran na ścianie budynku. – Opłuczę się – powiedział.

Zieliński spojrział na jego buty, kiwnął głową i po chwili wahania poszedł za podkomisarzem.

– On też się tak wpakował – powiedział. – To znaczy Marcin, ten dziennikarz.

„Jasne”, pomyślał Durlik.

– Był tu niedawno, rozmawialiśmy.

– O czym?

Durlik spłukał większość szlamu, ale buty i tak wyglądały mało reprezentacyjnie. No i zalał je w środku.

– O różnych sprawach. O tej stacji, o tym błocie... – Zieliński spojrzał na brudną wodę spływającą po lekko nachylonym terenie.

– Co jest z tym strumieniem? Dlaczego ta woda tak śmierdzi?

– Właściwości chemiczne. To bardzo ciekawy temat. Zajmowałem się nim trochę w doktoracie. Konrada też interesował, bo...

Geolog urwał. Durlik pomyślał, że on też może się spłoszyć, ale robiło się późno, a kurtuazja była czasochłonna.

– Łączyło was coś więcej niż studia i nauka, prawda?

Zieliński w pierwszym odruchu uciekł wzrokiem, ale po chwili pokiwał głową.

– Wolałbym, żeby to zostało między nami. To naprawdę nie ma żadnego związku ze śmiercią Konrada, a...

– Nie ma. – Durlik uspokoił go gestem ręki. – Ta woda – wskazał na kranik – jest pitna?

– Nie, nawet po przegotowaniu bym się wahał. Mam w domu, zapraszam.

Podkomisarz ruszył za nim. Przed wejściem zwolnił.

– Nie salony. I wszędzie terakota, łatwo sprzątać – uspokoił go geolog.

Weszli. W środku rzeczywiście było sterylne, trochę jak w laboratorium lub ośrodku wczasowym, którego właściciele mieli manię czystości i minimalizowali ilość łatwo brudzących się powierzchni.

– Proszę. – Zieliński nalał mu wody z baniaka.

Durlik wypił całą szklankę. Od razu zrobiło mu się lepiej.

– Nie będę owijał w bawełnę. Szukam informacji o ostatnich dniach życia Konrada Biecza. Ma pan wiedzę, której nie posiada policja?

Zieliński również nalał sobie wody, ale pił powoli, jakby się namyślał nad każdym łykiem.

– Pewnie tak. Nie jestem jednak przekonany, czy to ważne informacje. To znaczy ważne dla śledztwa. Bo dla mnie... – Głos mu się załamał.

– Byliście parą?

Podkomisarz wolałby mocniej wspiąć się na wzgórze subtelności, ale warunki były niesprzyjające, a on był zmęczony.

Zieliński kiwnął głową.

– To był początek. Ale taki obiecujący... Konrad był, obaj byliśmy... On się cieszył z tego wyjazdu, pisał do mnie... Osobiste rzeczy, wolałbym nie...

– Czasem trudno to ocenić. Mógłbym zobaczyć?

Durlik odpuścił sobie to wzgórze już definitywnie.

Zieliński odwrócił się do niego i sięgnął ręką na blat. Odblokował telefon, wykonał kilka ruchów palcem i podał aparat podkomisarzowi.

„Tęsknię”. „Czule myślę”. „Gdybyś tu przyjechał, te łąki są takie apetyczne...” „Mam coś dla Ciebie”. Uśmiezek. „Pokażesz mi?” Serduszko. „Nie, musisz poczekać”. Twarz diabełka. „Potrafisz mnie rozgrzać”. Znowu serduszko.

Zieliński patrzył na Durlika i nic nie mówił. A podkomisarz znowu pomyślał o żonie.

„No pokaż”. „Nie, musisz poczekać, ale warto, naprawdę”. I znowu te ikonki. I wreszcie zmiana klimatu: „Serio, to naprawdę coś ważnego, bardzo ważnego. Wszystko Ci powiem, jak się zobaczymy”.

– Czego dotyczyła ta korespondencja?

– Dla mnie najważniejsza była miłość, ale pan pewnie pyta o to na końcu. – Zieliński nie był ironiczny, był po prostu smutny. – Konrad zajmował się badaniami gleby i skał. Zainteresował go mój doktorat, poszedł tym tropem, ale od innej strony, bo ja opisywałem warunki hydrologiczne.

– Czy to mogło być coś ważnego?

– Konrad był bardzo zdolny. Mój najlepszy student i nie mówię tego przez pryzmat uczucia.

– A czy to mogło być tak ważne, że... – Że warto było dla tego zabić, tak chciał zapytać, ale to by był już sprint drogą na skróty, a nie przyspieszenie przesłuchania. – ...że warto by się zajmować tym dalej? Usilniej?

Zieliński pokiwał głową.

– Mogło tak być, ale już się nie dowiem. Po śmierci, jeszcze przed pogrzebem, pojechałem do rodziców Konrada. Niby oficjalnie, ale oni się domyślili, a ja nie potrafiłem udawać. To nie była miła rozmowa. – Zieliński gorzko się uśmiechnął. – Oni się bronili przed prawdą o Konradzie, wypierali to. Jego ojciec rzucił się na mnie z pięściami, matka płakała. Ja chciałem tylko powiedzieć, że tak mi smutno, że tak źle, że bardzo... – Odwrócił się i odchrząknął. – Ojciec powiedział, że wszystko, co zostało po Konradzie z tego wyjazdu, spalili.

– Spalili?

Durlik sądził, że się przesłyszał.

– Spalili – powtórzył geolog. – Żeby zostało tylko dobre. I że włożyli mu na szyję łańcuszek z krzyżykiem, chociaż wiem, że Konrad zostawił Kościół.

„Jezus”, wyrwało się Durlikowi w myślach. Niby pasowało, a jednak nie. Zrozumienie i miłość bliźniego – nie widział tu tych cech.

– Mogę? – Zieliński spojrział na swój telefon w rękach Durlika. Podkomisarz przekazał mu aparat. – To ostatnie, co mam.

Geolog obrócił ekran w jego stronę. Na podkomisarza patrzył teraz uśmiechnięty Konrad Biecz, oparty o drewnianą ścianę. Jedną ręką trzymał telefon, a w drugiej jakieś papiery. Durlik pomyślał, że zna to ujęcie, że już widział podobne. Co on tam napisał, próbował sobie przypomnieć.

– To z tego domu na dole, gdzie dawniej...

Dawna miejscówka, to było to.

– Tej niby leśniczówki? Takiej zielono-niebieskiej?

– Tak. Teraz tu pracujemy. To znaczy teraz ja sam. A kiedyś właśnie tam.

– Konrad miał tam dostęp, klucze?

– Nie wiem. – Zieliński odchrząknął.

– Miał? – Durlik poczuł nieprzyjemne tętnienie w głowie.

– Miał. No, dorobiony klucz, bo był taki pomysł, że ja przyjadę, tak na koniec tego wyjazdu i...

– Gdzie jest ten klucz?

Durlik miał w nosie romantyczne wzruszenia geologa.

– Nie wiem, naprawdę. Konrad go miał, ale gdzie jest teraz, nie mam pojęcia. Przysięgam!

Zieliński ukrył twarz w dłoniach.

Durlik poczuł nieprzyjemne ukłucie w klatce piersiowej. Nie był nieczuły, ale był w pracy. Jego myśli krążyły wokół Rychlika, Strykowskiego i Dzienisza. Wszyscy przebywali teraz w okolicy tej samej góry i z tego sąsiedztwa mogło się zrodzić coś niedobrego.

– Dziękuję za informację. Jeszcze się do pana odezwę, proszę nie wyjeżdżać.

Zieliński wycierał twarz kawałkiem papierowego ręcznika.

– Tu jest tak pięknie, ale to pozory. Pozory. To błoto, w które pan wpadł, to po dawnych oborach. Te krzyże, te groby, te zarośnięte fundamenty, w tej ziemi ciągle coś, coś z dawnego życia, którego nie ma. Tu ciągle się kończy jakieś życie. Ciągle!

„Tu ciągle się kończy jakieś życie”, rozbrzmiewało w głowie Durlika, kiedy parkował u stóp góry, przy dawnej siedzibie ośrodka.

Spojrzał w dół drogi. Kolejna zagroda była Żeleźników. To pewnie tędy szła Anna, niosąc w menażce obiad dla brata i ojca. Mijała ten ładny drewniany budynek, odmalowany kiedyś na pogodny kolor. I nie miała pojęcia, że gdzieś w jego wnętrzu leżą papiery, z których powodu za kwadrans straci życie.

Podkomisarz pchnął furtkę. Zgrzytnęła i ustąpiła. Zarośniętą ścieżką podszedł do przeszkolonego ganku. Drzwi były zamknięte, ale zamek w nich był sporo starszy od Konrada, a Piotr Durlik widział na swoim podwórku w Stalowej Woli kolegów w różnych akcjach. Rozejrzał się. Jedna ściana budynku była obsadzona różami, chyba trochę zdziczałymi.

Ich gałęzie przymocowano do zszarzałego drewnianego stelaża drutem. Podkomisarz zaczął odwijać splątany kawałek metalu.

– Auć! – syknął.

Nie widział, czy skaleczył się drutem, czy kolcem, ale po palcu pociekła mu strużka krwi. Wytarł ją chusteczką i rozgiął oderwany fragment. Zamek ustąpił łatwiej, niż się spodziewał. Być może Konrad Biecz wcale nie miał klucza, tylko kombinował tak samo.

Wszedł na ganek. To tu chłopak musiał sobie zrobić te zdjęcia, które Durlik znał z Facebooka i telefonu Zielińskiego.

Przeszedł przez pomieszczenie i stanął przed kolejnymi drzwiami. Te miały już całkiem nowy i solidny zamek. Szarpnął klamkę, napał na nie ramieniem – ani drgnęły. Postanowił wyjść na zewnątrz i sprawdzić okna. Kiedy prawie dotknął butem progu pierwszych drzwi, obrócił się. Ganek był tradycyjny – ściana z desek, na niej przeszklenie. Z tej perspektywy zauważył, że ta ścianka jest podwójna, wykończona wąskim parapetem. W jednym miejscu, w przeciwległym rogu, gdzie chłopak pewnie robił selfie, parapet był krzywy. Durlik podszedł i dotknął drewna, z którego łuszczyła się farba. Deska się przesunęła, odsłaniając wąskie wnętrze ściany. Podkomisarz włączył latarkę w telefonie i poświecił. W szarości zobaczył coś jasnego. Włożył tam rękę i wyciągnął papiery.

Klik-klak. Podobne papiery widział na zdjęciu, które pokazał mu Zieliński. I na blacie stołu w Drewutni.

Zaczął je przeglądać.

Po dziesięciu minutach wiedział już, że będzie potrzebował fachowej pomocy, żeby w pełni zrozumieć sens tego, co przeczytał.

Nie miał jednak wątpliwości, że to, czego właśnie się dowiedział, było wystarczającym powodem, żeby Krzysztof Rychlik popchnął pierwszy klocek z domina śmierci.

Rozdział 26

Trzymał ręce na kierownicy i patrzył, jak drżą mu palce. Wszystko ostatnio się zacinało, szło nie tak, jak zaplanował.

Auto tego policjanta zostawione na poboczu; poszedł albo do tego roztrzęsionego jak baba doktorka, albo, co gorsza...

– Kurwa – zaklął. – Kurwa. – Uderzył dłonią w kierownicę.

Spokojnie, spokojnie, wdech, wydech. Nic na niego nie mają. Nie zostawił żadnych śladów. Wypadek to nie on, zleceniobiorca nie do namierzenia, chłopaki będą milczeć, zwłaszcza Dima.

Dima... Ostatnio był taki... I dokądś pojechał.

Poczuł, że potnieją mu pachy. Odchylił lekko kołnierzyk koszulki polo.

Spokój, spokój, spokój. Nie dzieje się nic. A z Dimą się rozmówi. Dałby sobie rękę za niego uciąć, ale trzeba mieć pewność.

Włączył silnik. Objedzie górę i ruszy z drugiej strony. Nawet jeśli stary będzie miał jeszcze gościa, to go przeczeka. Nie obawiał się tej wizyty. Była mu nie na rękę, bo psuła plany, ale stary bał się wszystkich. Nic nikomu teraz nie powie.

A potem już nie będzie mógł.

Marcin Strykowski próbował przekręcić klucz w zamku, ale bez efektu.

„Cholerne drzwi”, pomyślał. Lekko je odchylił i trzasnął nimi tak, aż z zarośli poderwały się jakieś ptaki. Teraz udało się przekręcić klucz.

„Może tak trzeba zostawić to miejsce”, pomyślał. Po prostu na zawsze zatrzaskać drzwi i już tu nie wracać. Zresztą nie byłby w stanie. Może sam,

trochę jak do mauzoleum... Ale z Martą, z dziewczynkami? Nie, nie do wyobrażenia. Zresztą jeśli mają zacząć na nowo, to stare trzeba odciąć.

Odciąć. Podobno Karola i te kobiety miały dodatkowe rany zadane nożem. „Co za, kurwa, psychol”, Strykowskiemu zatrzęsły się ręce. Nie miał wątpliwości, że ten pozer i lokalny anioł jest w to zmieszany. Korciło go, żeby sprawdzić, pojechać porozmawiać, ale podkomisarz ostro mu tego zabronił. No i te strzały... Może miał się przestraszyć, a może cel był inny.

Podkomisarz... O nim też nie miał najlepszego zdania, choć ostatnio chyba był na tropie i lepiej niż Strykowski połączył te nitki. No i nie okazał się aż takim służbistą, na jakiego wyglądał. Dziś rano zadzwoniła do niego ciotka Karoli. Mimo wieku dobrze rozumiała złożoność życia. A może dzięki temu? Pogrzeb za cztery dni. A po nim umówili się na dłuższą rozmowę.

Wsiadł do samochodu. Wziął kilka głębszych oddechów i ruszył.

Kiedy dojeżdżał do skrzyżowania, zobaczył, że z lewej nadjeżdża znajoma czarna terenówka i skręca w kierunku ośrodka, a potem go mijają i jedzie dalej.

Strykowski powinien włączyć prawy kierunkowskaz i piąć się szosą przez las, do Gorlic.

Lekko przyhamował, rozejrzał się i pojechał prosto.

Piotr Durlik położył papiery na siedzeniu obok.

Od tego momentu do skazania mordercy będzie długa droga. Jan Dzienisz byłby łatwiejszym winnym, zwłaszcza gdyby uznano go za niepoczytalnego. A Konrad Biecz pozostałby ofiarą nieznanego kierowcy, który odjechał z miejsca nieszczęśliwego wypadku.

Krzysztof Rychlik...

Trudny przeciwnik. Ustosunkowany, bogaty, niekarany. Przygotowany do morderstw. Ale nawet on na pewno popełnił jakiś błąd, zostawił jakiś ślad. Na razie są poszlaki i intuicja podkomisarza.

Durlik się skrzywił. Ktoś powinien znaleźć lepsze słowo na ten splot przeczucia i poszlak.

Wjechał na most. Tafla zalewu wydała mu się ciemniejsza niż zwykle. Ciemny grafit rozbłyszczony słońcem. Spojrzał na niebo. Na błękitnej płachcie pojawiły się pierwsze chmury.

Dojechał do skrzyżowania. Stąd do Dukli miał pół godziny. „Za długo”, pomyślał i wjechał na parking przed Atlantikiem.

Wszedł do sklepu i wyjął z lodówki butelkę wody mineralnej. Kiedy się odwrócił, zobaczył przed sobą Antka Rychlika. Chłopak się spieszył, ale przywitał.

Durlik się zawahał, lecz uznał, że na rozmowę przyjdzie jeszcze czas. Inne miejsce, inne warunki.

Młody Rychlik sam go jednak zaczepił:

– A pan, tak jak się umówiliśmy, nic nikomu? – Spojrzał na podkomisarza.

Durlik kiwnął głową.

– Bo ojciec... No, mówił mi wczoraj wieczorem, że bym nic, gdyby ktoś o to pytał. Że w ogóle nic nie wiem, a ja już panu powiedziałem i... – Popatrzył na niego bezradnie.

Durlik nie rozgryzł do końca motywacji Krzysztofa Rychlika. Za pierwszym razem to był syn, podkomisarz wierzył młodemu. Pech chciał, że spotkał wtedy ojca, który mógł pomyśleć, że to szczęśliwy traf, że kamera wtedy nie działała. I że to dobry pomysł na przyszłość, gdyby komuś przyszło do głowy oglądać monitoring, a jego auto przypadkiem by się nagrało, kiedy jechał z młotkiem w bagażniku zabić kolejną kobietę. Albo że to może skutecznie rozpraszać uwagę policji, odciągać od głównego wątku. Durlik miał nadzieję dowiedzieć się tego od Rychlika seniora albo jeszcze docisnąć tego Dimeę.

– I nie pojechał do tartaku.

– Nie? – zdziwił się Durlik nieprzyjemnie.

Może jednak poczuł oddech policji na plecach i postanowił się ewakuować albo...

– A teraz widziałem go na drodze, jak wyszliśmy ze szkoły, i jechał chyba do domu. I pomyślałem, że może czeka tam na mnie, żeby mnie zapytać o te, wie pan...

Durlik natomiast poczuł ulgę, że Rychlik nie pojechał w stronę chyży, choć Strykowski powinien już być w Gorlicach.

A potem pomyślał, że z domu Rychlików też można dojść do Dzienisza. Dłuższą drogą, ale mniej rzucając się w oczy.

Stanął przed sklepem.

Upał sączył się jak przez gazę. Niebo było teraz prawie całe przykryte cienką warstwą chmur, które od południa ciemniały.

Wsiadł do samochodu i zamiast do Dukli ruszył śladem Rychlika.

Podniósł się z ławki. Rozprostował plecy. Poczuł ból w barku. Częściej mu się to ostatni zdarzało, prawie zawsze przed deszczem. Spojrzał w niebo. Zanim całkiem poczernieje, minie jeszcze godzina, może trochę dłużej. A potem zacznie lać, tak że po kwadransie po zboczu zaczną płynąć strumyki. I zmyją wszystko.

Schylił się po brązowe zawiniątko i ruszył w las.

Znał każdy kawałek tego terenu – drzewo, krzew, obniżenie, wzniesienie, kamień. Każde wspomnienie dawnego, czytelne już tylko dla tych, co pamiętali. Jemu wszystko pokazała matka. Był strażnikiem jej pamięci. Wiedział, że...

Zatrzymał się. Tego dołka jeszcze rano tu nie było. Ziemia wyglądała wtedy na niewzruszoną, jakby pod spodem była lita jej warstwa, a na górze po prostu trawa.

Trudny do wypatrzenia, łatwiejszy do wyczucia palcami zarys prostokąta zdradzał, że był tu grób. Przez lata ziemia lekko się obniżyła, bo pewnie zamieszkał tutaj borsuk albo lis. Tak to przyroda urządziła – gdy zostawało

puste miejsce, bo natura wyssała już z ciała wszystko, pojawiał się nowy lokator. Nic nie mogło się marnować, pustkę zapełniał ktoś inny, coś innego.

Ktoś nieuważny zbyt mocno tu stanął i ziemia lekko tąpnęła.

Wiedział, kto to był. Ten, kto chciał więcej, choć nie miał szacunku.

Mocniej zacisnął palce na zawiniątku.

Więc on też był u niego, ale się wycofał. Może teraz się nie rozminą.

Przeładował broń. Sztucer był za duży, teraz wziął coś mniejszego, lżejszego, poręczniejszego. Wystarczy, że jego będzie musiał ciągnąć. Wciąż się wahał, co potem. Czy zalew, z którego nikt już nie spuszcza wody i nie czyści, czy może jednak uruchomić tę retortę, którą w zeszłym roku ściągnął? Trzy dni i będzie po sprawie. Kiedy w wakacje odpali atrakcję turystyczną, stary będzie już tylko kupką popiołu. A jego ziemia... Młody zostanie w więzieniu albo trafi do psychiatryka. Jeśli się nie uda z papierami, to zrobi się inaczej. Ostatnia przeszkoda do usunięcia.

Przeszedł przez ogród i tylną furtką ruszył w las, pod górę.

Strykowski dopiero po chwili się podniósł. Był zdrtwiałym i się trząsał. Bał się, że zdradzi go jakiś ruch lub odgłos. Rychlik by się z nim nie patyczkował, kulka w łeb i po sprawie. Wtedy może naprawdę chciał go nastraszyć, zresztą udało mu się, ale teraz...

Co ten facet miał w głowie? Strykowski myślał o tym, jadąc w to miejsce. Nie wymyślił. Może tylko to, że skoro los wyrzucił stąd jego dziadków, powinien się temu losowi podporządkować. Nie wracać.

Zawrócił. Nie było tu zasięgu, może bliżej drogi, przy domu Rychlika.

Zaczął biec.

Domyślił się, co Rychlik chce zrobić.

Może powinien najpierw pojechać do Dukli. Może. Ale zarazem rozmowa z Rychlikiem będzie dla niego sygnałem ostrzegawczym, że Durlik się czegoś domyśla, że policja ma go na celowniku. Odpuści wtedy staremu Dzieniszowi, będzie wolał się przyczaić, poczekać, a w tym czasie podkomisarz wróci z papierami.

– Kuźwa!

Déjà vu. Inna droga, inny zakręt, słońce też inne, ale znowu z trudem wyhamował, żeby kogoś nie potrącić.

Zaciągnął ręczny, przekręcił kluczyk i wysiadł z auta. Nogi mu drżały, jak wtedy.

Przeszedł wzdłuż maski i zobaczył Strykowskiego.

– Kurwa. – Nawet nie próbował się powstrzymać.

– Jezu, jak dobrze! – Dziennikarz otrzepywał ręce i kolana. – Nic mi nie jest, widziałem auto, chciałem zatrzymać. Nikt nie zginął tym razem. To znaczy na razie, bo on poszedł w las, do góry, z bronią.

Durlik nie musiał pytać kto i po co.

Nie używał tego pistoletu, tyle tylko, żeby nie zmurszał, nie zaciął się. Żeby w razie czego był pod ręką. Kiedyś częściej, potem sporadycznie. Myślał, że w spokoju dożyje tu śmierci, że najgorsze się przewaliło. Ale złe wracało, widać taki jest los człowieka na tej ziemi.

A jednak nie oddałby jej za nic. Ziemia niewinna, winni zawsze ludzie.

Zobaczył go. Szedł tak, jakby był panem tego lasu, tej góry. Bez szacunku, bez uwagi.

Przymierzył się. Ręce już często mu drżały, ale nie teraz. Nacisnął spust.

Huk, huk, huk.

Stał, jakby stopy wrosły mu w ziemię. Spojrzał w niebo. Już nie świeciło, pokryły je ciemne chmury.

Podszedł do ciała.

Patrzył na niego martwymi oczami. Nie wypuścił z ręki pistoletu.

Na jego koszulce widniały trzy dziury, które robiły się coraz bardziej czerwone.

Trzy, podobno były trzy kobiety. Anulka powiedziała, że dwie, tak mówili ludzie. Ona była trzecia. I ten chłopaczek z Żydowskiego. To cztery.

Nachylił się lekko i czwarty raz nacisnął spust.

Musi być sprawiedliwość.

Poczuł ciepłe krople na policzku.

Strykowski szedł, a właściwie biegł za nim. Durlik mu zabronił, ale go nie posłuchał. Miał się z nim szarpać? „Mogę się przydać”, wydyszał mu w plecy dziennikarz. Na co? Rychlik miał broń i na pewno jej użył. Czy strzeli do nich? Do którego najpierw?

Dostał zadyszki. Duchota osiągnęła apogeum – taki stan przed burzą. Bo że zacznie zaraz padać, był pewien. Gałęzie drapały mu twarz i ręce, zbaczał ze ścieżki, ale parł do góry. Próbował się rozeznac w terenie, lecz wszystko wyglądało tak samo.

Wreszcie zobaczył zarys chałupy. Serce mu waliło. Co tam zastanie? Daniła Dzienisza leżącego przy stuletnich balach swojego domu? A może stary uniknął śmierci, bo poszedł gdzieś na łąkę? Albo się zabarykadował?

Dopadł do przybudówki. Panowała cisza. Kątem oka zobaczył, że Strykowski zatrzymał się przy drzewie i przykleił do jego pnia.

Durlik powoli, z odbezpieczoną bronią, przesuwał się wzdłuż ściany z bali. Doszedł do rogu i się wychylił.

Na ławce siedział Danił Dzienisz. Obok niego leżało brązowe zawiniątko. Stary odwrócił się w stronę podkomisarza. Durlik zauważył, że

na twarzy i koszuli ma ślady krwi, ale nie wyglądał na rannego. I nie był, bo podniósł się i zrobił kilka kroków. Stali teraz naprzeciwko siebie.

– Powiem wszystko – odezwał się Dzienisz. – I podpiszę, co powiedziałem. Teraz podpiszę.

Za plecami Durlika huknęło tak, że poczuł drżenie ziemi pod stopami. I jeszcze raz, bardzo blisko.

Zaczęło padać. Duże, gęste krople wsiąkały w wyschniętą ziemię.

Ślady krwi spływały z twarzy Dzienisza różowymi strużkami.

Po chwili była czysta.

Epilog

„Głos Gorlic”, 21 września 2021 roku.

„W Beskidzie Niskim odkryto okazałe złoża metali ziem rzadkich.

Państwowy Instytut Geologiczny potwierdził, że w odwiercie w miejscowości Krempna-Żydowskie natrafiono na wyraźne pokłady metali ziem rzadkich. Według ekspertów to istna surowcowa rewolucja. Mariusz Karłowicz ze Stowarzyszenia Metali Ziem Rzadkich powiedział: «Pierwiastki ziem rzadkich są zaliczane do grupy dwudziestu surowców mineralnych krytycznych dla gospodarki Unii Europejskiej. Popyt na nie będzie się zwiększał wraz z rozwojem nowych technologii i produktów high-tech. To odkrycie ma ogromne znaczenie nie tylko dla regionu, ale i dla Polski».

Choć jeszcze za wcześnie, żeby mówić o szczegółowych planach, to już wiadomo, że te złoża są ważne zarówno strategicznie, jak i gospodarczo. Metale ziem rzadkich, takie jak itr, skand, cer, neodym oraz inne lantanowce, są wykorzystywane do produkcji broni, elektrowni wiatrowych, telefonów komórkowych, silników elektrycznych, filtrów optycznych, katalizatorów samochodowych. (MS)”

Piotr Durlik odłożył gazetę na biurko. Druga połowa września była bardzo ładna, przynajmniej w Dukli. Na Wyspach Kanaryjskich, na które wybrał się Zbigniew Zaręba na swoją odroczoną podróż z okazji dwudziestopięciolecia małżeństwa, wybuchł wulkan. Komendant czekał na samolot do Polski. „Czasem los po prostu nie sprzyja”, pomyślał Durlik.

Los sprzyjał za to Marcinowi Strykowskiemu, który wrócił do żony i do pracy w gazecie. Szedł także w sukurs Danielowi Dzieniszowi, wobec którego prokuratura wystąpiła o nadzwyczajne złagodzenie kary. Durlik

polubił Przemka Szymczyka, nowego prokuratora, który zastąpił emerytowanego już Siudę. Los mógł się okazać łagodny także dla Jana Dzienisza, przebywającego na razie w domu pomocy społecznej w Foluszu.

Zmarli nie mogli już liczyć na żadne wstawiennictwo od losu, choć śmierć zaoszczędziła Krzysztofowi Rychlikowi wielu różnych nieprzyjemności, a sprawa Konrada Biecha była w toku dzięki Dimie N., oskarżonemu o zatajanie prawdy, ale dzięki współpracy z prokuraturą mogącemu liczyć na podobną ulgę co Daniel Dzienisz.

Podkomisarz spojrzął na zegarek. Do czwartej został jeszcze kwadrans. Akurat tyle, by zdążyć do kwiaciarni i kupić Kaśce kwiaty. Tu wolał nie zdawać się na los.

Od autorki

Ta opowieść to mieszanka prawdy i fikcji. Rzeczywiste są: obezwładniające piękno Beskidu Niskiego, które poznałam na początku lat osiemdziesiątych i które działa na mnie do dziś, większość opisanych w książce miejsc oraz smutna historia wysiedleń z tych terenów; połączenie zachwytu i nostalgii przyciąga tu jak magnes.

Prawdziwa była też jedna z wielu podanych przez Agnieszkę Pajączkowską historii, które zebrała w swoim *Wędrownym Zakładzie Fotograficznym*. Kilka zdań na temat losów pewnej rodziny, zamieszczonych w tym zbiorze spotkań, zainspirowało mnie do stworzenia postaci Dzieńiszów, choć ich historia oraz inne osoby i zdarzenia ukazane w *W cieniu góry* (także finalne metafory) to już fikcja literacka, nawet jeśli czasem przypomina rzeczywistość.

Agnieszka Jeż

Przypisy

[1] Dariusz Zając, *Żydowskie – nieistniejąca łemkowska wieś*, http://www.beskid-niski-pogorze.pl/galeria_regionu/nieistniejace_wsie/zydowskie/zydowskie.php [dostęp: 17.03.2022].